

A

M

N

E

Z

P E T E R
C A R E Y

A

A
M
N
E
Z
J P E T E R
C A R E Y
A

Z angielskiego przełożył
Bohdan Maliborski



Dla Frances Coady

C
Z
E
Ś
Ć

P
I
E
R
W
S
Z
A

1

W Waszyngtonie był wiosenny wieczór, w Melbourne chłodny, jesienny poranek, a w Greenwich wybiła 22.00, gdy do skomputeryzowanego systemu kontroli niezliczonych australijskich więzień przeniknął wirus, otwierając zamki także w wielu innych zakładach karnych, o których istnieniu haker nie mógł mieć pojęcia. Ponieważ w 2010 roku systemy zabezpieczeń australijskich więzień były z reguły projektowane i sprzedawane przez amerykańskie korporacje, wirus natychmiast zaatakował sto siedemnaście federalnych zakładów karnych w Stanach Zjednoczonych, tysiąc siedemset więzień i ponad trzy tysiące aresztów okręgowych. Docierał tam po cichu, w ciemnościach, jak pożar buszu trawiący korzenie drzew. Gdy osiągnął cel, pojawiał się komunikat: **PRZEJĘLIŚMY KONTROLĘ NAD TĄ INSTYTUCJĄ. ANIOŁ OGŁASZA, ŻE JESTEŚCIE WOLNI.**

Wiadomości te, a także inne, bardziej rozbudowane, pisane po angielsku, odczytywali strażnicy w Teksasie, pracownicy firm ochroniarskich w Afganistanie, w Kurdystanie, w obozach przejściowych dla imigrantów w Australii, na raketowym poligonie doświadczalnym Woomera, w kopalniach diamentów

w Kimberley i w tajnej amerykańskiej stacji radarowej pod Alice Springs. Niektórzy więźniowie zbiegli, część z nich została zastrzelona lub odniosła rany. Wędrujących po australijskich bezdrożach oszołomionych Afgańczyków i Filipińczyków, indonezyjskiego nastolatka rannego podczas strzelaniny, brytyjskiego muzułmanina umierającego z odwodnienia – wszystkie te wcześniej nieznanne osoby pokazała telewizja.

Na monitorach systemu alarmowego w obozie przejściowym dla azylantów w Villawood pod Sydney wyświetlił się napis: ANIOŁ PAŃSKI OTWORZYŁ NOCĄ DRZWI WIĘZIEŃ I PRZYNIÓSŁ IM WOLNOŚĆ. Moi byli koledzy pytali: Co mówi ten język o sprawcy?

Miałem to gdzieś. Byłem jednak wdzięczny losowi, że pojawił się duży temat, który wypchnął moje nazwisko z pierwszych stron gazet piszących o mnie: ŁGARZ, ŁGARZ, W GACIACH OGIEŃ MASZ. Po całych dniach przesiadywałem w Sądzie Najwyższym stanu Nowa Południowa Walia i płaciłem mecenasowi Nigelowi Willisowi pięćset dolarów za godzinę, żebym mógł odpowiadać za zniesławienie. Liczba „godzin pracy” Nigela już dawno osiągnęła pułap, przy którym stało się jasne, że Nigel to głupi kutas i że nie mam najmniejszych szans, ale on wciąż powtarzał: „Głowa do góry” i obstawiał szanse na kasację wyroku jak 3:2. I nieważne, że mój adwokat był właścicielem konia wyścigowego.

Tymczasem nie pozostawało mi nic innego do roboty niż czytanie gazet. FEDERALNI TWIERDZĄ, ŻE ANIOŁ TO WIRUS Z AUSTRALII.

- Czy oskarżony może wyjaśnić sądowi, dlaczego czyta gazetę?
- Jestem dziennikarzem, wysoki sędzie. To mój fach.

Następnie sąd zwrócił uwagę na stan mojej tweedowej marynarki. Cha, cha!, wysoki sędzie! Kiedy sędzia już sobie pozartował, ogłosił przerwę na lunch. Nie mając tamtego dnia nikogo do towarzystwa, zabrałem swoje słynne już, popieprzone „ja” do ogrodu botanicznego, gdzie przeczytałem „Daily Telegraph”. Pośród różnych ogrodów i nawozu z końskiego łajna dowiedziałem się, że ów terrorysta, który wcześniej był „rzecz jasna” chrześcijańskim fundamentalistą, przemienił się w córkę aktorki z Melbourne. Zdrajczyni była bardzo blada i nie wyglądała na swoje trzydzieści lat. Pod zdjęciem widniało nazwisko jego autora, Dicka Connolly’ego, ale najwyraźniej przebrobiono je w photoshopie, bo w rzeczywistości kobieta okazała się osobą o solidnej posturze i krzepkich nogach, zupełnie niepodobną do chudziny z fotografii w „Daily Telegraph”. Mieszkała w dzielnicy Coburg w północnym Melbourne, na nieciekawym, zaniedbanym, przemysłowym przedmieściu, gdzie zbiegiem okoliczności mieściło się więzienie Pentridge. Zjawiła się na rozprawie wstępnej ubrana w czarną bluzę z kapturem i przygarbiona, pewnie by ukryć fakt, że nasza pierwsza rodzima terrorystka ma piękną twarz.

„Anioł” to był jej nick, a w czymś, co – jak się dowiedziałem – nazywają „realem”, nosiła imię Gaby. Oskarżyli ją pod nazwiskiem Gabrielle Baillieux. Dawno temu poznałem jej rodziców – matka, Celine Baillieux, była aktorką, a ojciec, Sandy Quinn, posłem z ramienia Labor Party.

Wróciłem na własną rozprawę przygnębiony – nie z powodu tego, jak się potoczy, gdyż to było dawno przesądzone, lecz dlatego, że zrozumiałem, iż moja kariera dziennikarska legła

w gruzach akurat wtedy, gdy mogłem oczekiwać, że sięgnie zenitu.

Opublikowałem parę książek, pięćdziesiąt artykułów i tysiąc felietonów, głównie dotyczących traumy, jaką zafundowali mojej ojczyźnie w 1975 roku nasi amerykańscy sojusznicy. Moi koledzy wysnuli pochopny wniosek, że hackerka chciała jedynie uwolnić z australijskich obozów internowania nielegalnych imigrantów przybyłych na łodziach, a ja przyjąłem punkt widzenia naszych amerykańskich sojuszników, że chodziło o atak na Stany Zjednoczone. Od razu było dla mnie jasne, że wydarzenia z 1975 roku były pierwszą odsłoną tego dramatu i że działania Anielskiego Wirusa to akt zemsty. Gdyby Waszyngton miał rację, okazałoby się to tematem, na który czekałem całe życie. Jeśli określenie „wydarzenia 1975 roku” brzmi dla was niezrozumiale lub tajemniczo, to właśnie o to chodzi. One są sednem tej sprawy jako część „Wielkiej Amnezji”. Ciąg dalszy nastąpi.

W sali sądowej przysłuchiwałem się, jak mój wydawca dostaje cięgi od sędziego, i ujrzałem jego minę, gdy wreszcie zrozumiał, że nie może sprzedawać mojej książki nawet na wyprzedazach.

– Na przemiał? – spytał.

– Łącznie z egzemplarzem, który trzyma pan w rękę.

Wyznaczono mi grzywnę w wysokości stu dwudziestu tysięcy dolarów. Jestem ubezpieczony, czy nie? Nie miałem pojęcia.

Tłum przed gmachem sądu cieszył się jak przed egzekucją.

– Feels, Feels! – wołał taki jeden z News International. – Spójrz na mnie. Felix.

Kev Dawson, ostrożny chujek, który zarabiał na życie, przeredagowując komunikaty dla prasy.

– Spójrz tutaj, Feels.

– Co sądzisz o orzeczeniu sądu, Feels?

Oto, co sądziłem: Naszego jedyne go lewicowego dziennikarza, który się jeszcze ostał, obsikano z samej góry. Co było moją zbrodnią? Powtarzanie komunikatów dla prasy? Nie, opublikowanie plotki. Tymczasem w świecie dorosłych plotka jest takim samym „faktem” jak dym. A jeśli nie piszesz o dymie, nie informujesz o zagrożeniu na horyzoncie.

Sąd Najwyższy stanu Nowa Południowa Walia uznał to za zniesławienie.

– I co teraz, Feliksie?

Obrabuję bank? Zastrzelę się? Z całą pewnością nikt nie zleciłby mi tematu Anioła, choć miałem lepsze kwalifikacje (zapamiętajcie to sobie w „Wired”) niż którykolwiek z tych bystrych dzieciaków, którym to powierzają. Zostałem jednak – co z przyjemnością zaznaczył sędzia – spalony w swoim „dotychczasowym fachu”. A byłem głównym publicystą, felietonistą, tak zwanym dziennikarzem śledczym. Należałem do wąskiego grona Canberra Press Gallery relacjonującego obrady parlamentu, a moje „plotki” wywoływały tam sporo szumu. Podejrzewam, że sławny Alan Ramsey nawet mnie lubił. W połowie lat 70. przez krótki czas prowadziłem program „Radio dla kierowców” w stacji ABC.

Byłem podstarzałym żywicielem rodziny z absurdalnym kredytem hipotecznym, dlatego zostałem scenarzystą i dorywczo pisywałem powieści. Historyczne, polityczno-satyryczne, thrillery i kryminały. Filmowa adaptacja mojej powieści *Barbie i zakute*

pały stała się tematem warsztatów w Sundance Institute Roberta Redforda.

Ale nawet wtedy, gdy się podlizywałem i zabiegałem o „twórcze dotacje” Australijskiego Instytutu Filmowego, pozostawałem socjalistą i słuźebnikiem prawdy. Skierowano przeciwko mnie dziewięćdziesiąt osiem pozwów, nim ten ostatni złamał mi karierę. Po drodze zdemaskowałem działania Kerry’ego Packera i Ruperta Murdocha (swoją drogą absolwentów liceum i college’u Old Geelong), co zawsze jest zajęciem bardzo ryzykownym dla ojca rodziny i przerażającym dla tych, którzy liczą, że ów zapewni im byt. Gdy media głównego nurtu zamknęły podwoje przed wszystkimi naiwniakami, którzy pragnęli pisać prawdę, ja wciąż publikowałem swój „Lo-tech Blog”, biuletyn wydawany na przebitkach, który czytali wszyscy członkowie Canberra Press Gallery i cały parlament. Nie pytajcie, jak płaciliśmy za prąd.

Pracowałem jako dziennikarz w kraju, gdzie przepływ informacji kontrolowały trzy korporacje. Ich umiejętność manipulowania „prawdą” sprawiała, że powszechne prawo wyborcze stało się w sumie nieważne, ale byłem dziennikarzem. Robiłem, co mogłem. W swoim blogu zdemaskowałem tchórzliwą postawę australijskich mediów wobec relacjonowania kłamstw rządu na temat uchodźców z pokładu nieszczęsnego statku „Oolong”.

– Nie potrafię pojąć, jak prawdziwi uchodźcy mogli wyrzucać swoje dzieci za burtę – oświadczył nasz premier.

Znów, jak w 1975 roku, było to iście goebbelsowskie kłamstwo. Czwarta władza przekonała cały naród, że uchodźcy to zwierzaki i świnie. Wielu myśli tak do dzisiaj.

A jednak to było miejsce dla uchodźców. Czuliby się jak w domu wśród najlepszych z nas. Jesteśmy przecież tradycyjnie odważni, wytrwali i zaradni w obliczu osamotnienia i śmiertelnego zagrożenia. Niestety, cechuje nas także okropne tchórzostwo, lizusostwo, skłonność do przestępczości, nijakości i wygodnictwa.

Byłem przytłoczony, traciłem dech, ale odczuwałem też dumę, iż zostałem pozwany, napiętnowany, wzgardzony i nazwany zerem przez tych, którzy jedynie przeredagowują komunikaty dla prasy. Znalazłem w tym pociechę, pewnie dlatego, że nie było jej nigdzie indziej. Jak pokażą nadchodzące tygodnie, żaden z moich dawnych kolegów nie kwapił się, by wybawić mnie od powolnego, niszczącego duszę kieratu bezrobocia.

2

Pięciogwiazdkowy hotel mógłby się wydawać niemądrym wyborem dla steranego, liżącego rany wyrzutka, ale Wentworth był ulubioną przystanią mojego starego kumpla Woody'ego „Wodongi” Townesa. Wszyscy moi najbliżsi przyjaciele darzą gorącą miłością rozmowy i drinki, lecz spośród tego nierzadko szacownego grona to właśnie Woody jest facetem z charakterem i jajami. Zjawiał się w sądzie codziennie, choć musiał pokonać samolotem siedemset kilometrów z Melbourne. Kiedy się z kimś zarłem, zawsze stawał po mojej stronie. A gdy zacząłem obrywać w mediach, niemal każdego ponurego popołudnia czekał na mnie tam, gdzie się spodziewałem, wcisnąwszy obfite ciało w mały, pokryty aksamitem fotel w tak zwanym „Ogrodzie”. Gdy mnie dostrzegł, akurat nalewał lewą ręką szampana. Przybrał charakterystyczną pozę: ciężka, zwierzęca noga przerzucona przez błyszczące udo i uniesiony wysoko prawy łokieć, by spławić nadgorliwego kelnera.

Przyjrzałem się odsłoniętym, bladym pośladkom mojego wiernego przyjaciela, jego imponującemu paskowi, grubemu karkowi i zarumienionym policzkom i pomyślałem – nie pierwszy

raz – że tylko w Melbourne rodzą się takie niezwykle, XVIII-wieczne postaci. W bardziej ograniczonej przestrzeni życie by je ścieśniło, ale na południu, przy paryskim odcinku Collins Street, nic nie mogło powstrzymać Woody’ego przed wypełnieniem całego malowidła. Był niczym rycina Gillraya – pobłażliwość, osąd, władza.

Woody był z zawodu „deweloperem” i podejrzewałem, że czasami angażował się w wątpliwe przedsięwzięcia tej kasty. Moja żona uważała go za odpychającą kreaturę, ale nigdy nie dała sobie szansy, żeby naprawdę go poznać. Był jednocześnie bogaczem i dzielnym żołnierzem lewicy, spolegliwym orędownikiem spraw niepopularnych i (choć pewnie kompletnie pozbawiony słuchu) prezesem South Bank Opera Company. Wspierał finansowo co najmniej dwóch kompozytorów muzyki atonalnej, którzy – gdyby nie to – zapewne uczyliby muzyki w liceum. Zasponsorował też moją nieszczęsną sztukę. Jego język brzmiał niekiedy obraźliwie. Czasami Woody szkodził własnej filantropii, żądając w zamian drobnych przysług, ale zawsze można było mieć pewność, że fizycznie lub prawnie stawi czoło niesprawiedliwości. W czasach gdy do australijskiej Partii Pracy napływali karierowicze, świeżo upieczeni absolwenci uniwersytetów, Woody trzymał dawny fason i nie bał się konsekwencji, na jakie narażają go przekonania.

– Pieprzyć ich – rzucił i wcisnął butelkę szampana do wiaderka z lodem. To zdanie w zasadzie określało temat naszej rozmowy. Po trzech butelkach szampana i paru talerzach wymyślnych przekąsek Woody poprosił o rachunek, zapłacił banknotami wyciągniętymi z rulonu pięćdziesięciodolarówek, wsadził mnie do

taksówki i dał mi voucher na przejazd, który miałem podpisać, kiedy dojadę na miejsce.

– Nie poddawaj się – powiedział, albo coś w tym stylu.

Do domu w Rozelle miałem niedaleko, musiałem tylko przejechać przez Anzac Bridge. Tam czekała najlepsza część mojego życia, żona i dwie córki, ale w wąskiej alejce prowadzącej do naszego nieco zawilgłego szeregowca stało też – przez wredne zrządzenie losu – pięć kartonów z moją książką, złośliwie dostarczonych tego popołudnia.

Czyżbym miał osobiście je przemielić?

Czyż nie było zabawne, że mój wydawca o purpurowej twarzy, mieszkający w wielkim domu w Pymble, zadał sobie trud i poniósł spore koszty, by dostarczyć te pudła w me skromne progi? Tak się uśmiełem, że ledwo wniosłem ten ciężar do środka. Córki widziały mój dramat, ale najwyraźniej się nim nie przejęły, bo poszły oglądać program o rodzinie Kardashianów. Claire też musiała gdzieś tam być, ale jej nie zauważyłem, bo byłem zaabsorbowany wykonaniem polecenia sądu.

Nigdy nie umiałem rozpalać grilla. Nie miałem żadnych zdolności manualnych. To moja wysportowana Claire używała wiertarki, nie ja.

Rzecz jasna rekompensowałem to sobie z nawiązką podpałką. Naprawdę dołączyłem gratisową podpałkę do każdej z moich książek? Czy to był żart? Skąd miałem wiedzieć? To, że podpaliłem egzemplarze własnej książki niekoniecznie było żałosne, za to dolanie litra benzyny do słabo tłącego się ognia z całą pewnością okazało się głupotą, a przynajmniej błędem. Nie byłem przygotowany na gwałtowność żywiołu, na ten wielki

fajerwerk, który osmalił mi brwi i podpalił dolne gałęzie naszej ukochanej żakarandy.

Kiedy płomienie wędrowały z gałęzi na piętro przybudówki, powinienem był – wszyscy wciąż mi to powtarzają – chwycić za ogrodowy szlauch i ugasić ogień. W porządku, ale moi kochani przyjaciele nie widzieli tego, co ja. Dokonałem oceny sytuacji i wybrałem ludzkie życie kosztem nieruchomości. Wbiegłem schodami na górę i oderwałem telewizzki od Kardashianów. Tak, moje córki były nastolatkami. Tak, opierały się, ale nie było czasu na tłumaczenie. Nie miałem wyjścia, musiałem potraktować je brutalnie. Cuchnąłem jak skrzyżowanie pubu i kosiarki do trawy. Wybiegłem z nimi na ulicę i tam zostawiłem. Krzyczały.

Nie wiem, co było później, grunt, że w jakiś sposób sąsiad copywriter zaanektował moje córki, a po chwili strażacy z Balmain odsunęli mnie na bok i przeciągnęli brudne sikawki przez nasz hol. Claire, moja żona, pocięcha, kochanka i przyjaciółka, już na mnie czekała.

O tym, co nastąpiło później, nasze dzieci nie powinny się dowiedzieć, ale nigdy nie zapomnę dokładnego przebiegu tej rozmowy.

3

Claire była bystra, miła i zabawna. Sypiała z nosem wystawionym tuż nad kołdrą, jak mały opos. Budziła się z uśmiechem. Zdarła wiekową farbę z balustrad, po czym woskowała je i oliwiła tak długo, aż stały się lśniące. Podczas nocnych burz wspinała się na dach, by usunąć liście z zapchanych rynien. Chodziła od drzwi do drzwi, by zachęcić ludzi do głosowania w wyborach uzupełniających w okręgu Leichardt. Była wykształconą przez Japończyków garncarką, której prace kupowały muzea, ale kiedy wracałem do domu z Canberry, Melbourne lub ze związkowego pubu przy Sussex Street, nie zdarzyło się, by nie czekała na mnie wieczorem, żeby wysłuchać, co też takiego się wydarzyło.

Była powszechnie postrzegana jako wzorowa matka, podczas gdy o mnie krążyły wieści, że ją zdradzam, a przynajmniej próbuję. Mówiono, że zawsze jestem zawiany i tracę cierpliwość przy porządnych ludziach, z których poglądami politycznymi się nie zgadzam. Uważano, że nie utrzymam się na żadnej posadzie i że jestem komunistą, który nie jest w stanie pojąć, że czas tej ideologii już minął.

Claire po całych dniach katowała swoje mocne, kwadratowe dłonie krupiąstą gliną i z tego jej poświęcenia powstawały długie szyje i małe, całusne usteczka. Gotowała jak córka farmera, którą w istocie była – gicz jagnięcą, pieczone warzywa i smaczny sos. A jednak co wieczór pożerała życie, które znosiłem do domu. Ten mój skarb był osobą, którą określa się mianem politycznego ćpuna – okropny termin – a ja dostarczałem jej tego, czego najbardziej pragnęła. Przez całe lata było nam dobrze. Tak, wyhodowałem sobie typowy dla Canberry bebech i wstydziłem się uprawiać jogging. Tymczasem ona, co wszyscy podkreślali, pozostała zadbana i schludna. Nosila dzinsy, wiatrówki i trampki, sama podcinała sobie włosy i wystrzegala się „seksownych” nóg oraz rozchwianych szpilek zachęcających do dymania. Po pożarze dowiedziałem się, że niektórzy moi znajomi zastanawiali się, czy nie jest lesbijką. Idioci. Żaden z nich nie miał bladego pojęcia o naszym pożyciu. Byliśmy maniakami czułości, którą uprawialiśmy na sobie tylko znane sposoby. Gdyby nie ten dług, bylibyśmy dzisiaj w łóżku.

Niektórzy radzą sobie z długami. My sobie nie radziliśmy, a przekonaliśmy się o tym tak, jak ludzie, którzy cierpią na chorobę morską, przekonują się o swojej przypadłości, gdy ich statek odbija od brzegu. Dziennikarzowi i garncarce wydawało się, że mogą posyłać dzieci do drogiej prywatnej szkoły. Dobry żart, co?

Wcześniej opisałem, jak porzuciłem te dzieci na ścieżce. Porzuciłem? Na miłość boską, były niemal na końcu krzywej IS. Słuchając ich rozmowy, w życiu byście się nie domyślili, że ich rodzice to socjaliści w trzecim pokoleniu. Czy w ogóle pamiętały,

jak ich ojciec opiekał drożdżówki nad dymiącym ogniskiem? Czy wciąż słyszą piękny głos matki, która śpiewa *Moreton Bay*?

Byłem więźniem w Port Macquarie
Na Norfolk Island i w Emu Plains
W Castle Hill i w przeklętym Toongabbie
Wszędzie tam harowałem w kajdanach
Lecz spośród wszystkich tych miejsc potępienia
I zakładów karnych Nowej Południowej Walii
Z Moreton Bay żadne się nie równało
Tyrania dzień w dzień tam zwycięża

Claire śpiewała to dziewczynkom? A jakże.

Popełniliśmy straszny błąd, wysyłając córki do szkoły, do której chodziły dzieci naszych wrogów. Uznaliśmy, że uchronimy Fionę przed dysleksją. Tymczasem niszczyliśmy rodzinę, bo obarczyliśmy ją finansowym ciężarem, którego nie była w stanie udźwignąć. Nigdy, przenigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby nazwać Claire strachliwą. Skąd mogłem wiedzieć, że dług wywoła u niej taki lęk? Przyznali nam transzę kredytową w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów i za każdym razem, kiedy byłem sobą, Claire wpadała we wściekłość. Przedtem kochała mnie właśnie za to, za tę moją niemal wrodzoną potrzebę podejmowania ryzyka, obrony zasad, wsadzania kija w mrowisko. Nie wiedziałem, co to ustępstwo, nawet kiedy – jakże często – odczuwałem fizyczny strach. Nad naszym małżeńskim łóżem wisiał miecz, a ja go nie widziałem. Odrzucałem kompromisy, choć

Claire w skrytości ducha uważała, że jako ojciec mam moralny obowiązek się na nie godzić.

Rzecz jasna dziewczynki nie miały bladego pojęcia, o jaką stawkę gramy. Jeśli już sięgały po gazetę, to wyłącznie po strony o gwiazdach. Wątpię, by kiedykolwiek przeczytały choć jedno słowo, które napisałem. Nie wiedziały nic o mojej pracy i życiu. Nigdy nie widziały dowodów, które usprawiedliwiałyby moją nieobecność. Zgodziłem się, by więź, która łączyła je z Claire, była silniejsza, bo wiedziałem, jak bardzo zależy jej na tym, żeby były „moimi córkami”. Tylko raz kupiłem im ubrania (podkoszulki, tylko tyle). Później usłyszałem, że to nie moje zadanie i żebym więcej tego nie robił.

Przed tym ostatnim procesem o zniesławienie Claire weszła w rolę pasażerki z tylnego siedzenia, która zamyka oczy i mocno się trzyma, jednak ustalenia Sądu Najwyższego przelały czarę. Kiedy dowiedziała się o wysokości grzywny, całkiem się posypała.

W dzieciństwie była świadkiem przejęcia farmy rodziców przez bank. To był powód? A może coś innego? W każdym razie nie uwierzyła w moje zapewnienia, że „wszystko będzie dobrze”, skoro Woody przyleciał z Melbourne na rozprawę. Niczego nie obiecywał. Słusznie mi to wytknęła, ale nie potrafiła pojąć, że to właśnie taka sytuacja, w której można na nim polegać. Nie ogarniała wpływów Woody’ego. Nie obchodziło jej, że wyciągnął mnie z płonącego samochodu. Wiedziała tylko, że jego ojciec był właścicielem domów w slumsach i bandytą.

Nie dowierzała też mecenasowi Nigelowi, bo – skądinąd słusznie – uważała, że przyjaźni się z prokuratorem. Odparłem, że to bez znaczenia. I miałem rację. Gdyby tylko mi zaufała, znów

wskoczyłbym na rower i zasuwał z nią na zakrętach sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wygrałbym w sądzie wyższej instancji. Załatwiłbym kwestię kosztów sądowych i świętowalibyśmy jak już nie raz przedtem.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem i z przerażeniem dostrzegłem furię w jej oczach.

4

Pochodzę z niewielkiego miasteczka w stanie Victoria, ale przez piętnaście lat za swój dom uznawałem wspaniałe i grzeszne Sydney. Kiedy jednak zostałem wyrzucony z Denison Street w Rozelle, zrozumiałem, że nie mam żadnego domu. Trafiłem w bezlitosny korek na Victoria Road i na drugą stronę przyprawiającego o zawroty głowy Anzac Bridge. Muszę przyznać, że opuścili mnie wszyscy przyjaciele. Poniżej był Darling Harbour. Przede mną rozciągało się całe to jaskrawe, chaotyczne miasto. Nie miałem komórki. Nie miałem łóżka. Jedyne, co mi pozostało, to dzwonienie do drzwi na wschodnich przedmieściach Sydney. Nie będę szczegółowo opisywał, jak mnie przyjmowano, ale w końcu udzielono mi schronienia tak niechętnie, że musiałem odmówić, gdy gospodarz zaproponował poranną kawę. Na pewno nie zamierzałem się czołgać i prosić, żeby pozwolił mi skorzystać z telefonu.

Dzień spędziłem na poczcie przy Martin Place, wertując książki telefoniczne i rozmieniając pieniądze przy okienku.

– Czy ja pana nie znam? Był pan wczoraj wieczorem w telewizji?

– Tak, to ja.

Urzędnik z poczty był bladym rudzielcem bez tyłka. Podwinął rękawy koszuli, żeby pochwalić się bicepsami. Powoli odliczył drobne na telefon.

– Felix – rzucił.

– Zgadza się.

– Cienias z ciebie, stary.

Zabrałem monety i przycupnąłem przygnębiony przy końcu kontuaru, zastanawiając się, kto mógłby odebrać mój telefon. Liczyłem, że moich kolegów zainteresują plotki, ale najwyraźniej bali się tego, o co mogę ich poprosić. Tylu z nich w tym samym czasie „na chwilę odeszło od biurka”, że pewnie utworzyli taneczny korowód od Pyrmont do Ultimo i od Fairfax do siedziby Australian Broadcasting Corporation.

Opuściłem Martin Place i ruszyłem pod ponurymi figowcami wzdłuż zatoki Morton w Hyde Parku, a później William Street obok brzydkiego gmachu Westfield Tower, w którym niegdyś urzędowali najwspanialszy ludzie władzy, dziś już niemal zapomniani, tacy jak Gough Whitlam, Neville Wran oraz Harry Miller – zarówno przed, jak i po odsiadce w więzieniu w Cessnock.

Wkrótce nastał zmierzch i naprawdę nie miałem już ochoty na testowanie kolejnej przyjaźni, więc wylądowałem tam, gdzie było to nieuniknione – w pubie Bourbon and Beefsteak na King’s Cross. Dlaczego tak uwielbialiśmy B&B? Był to okropny lokal prowadzony przez Amerykanina Berniego Houghtona. Wszyscy wiedzieliśmy, że Houghton handluje bronią i ma niekwestionowane powiązania z CIA. Nigdy jednak nie

przeszkodziło nam to jadać tam późnymi wieczorami i nawet gdy odkryliśmy, że Bernie jest udziałowcem Nugan Hand, banku kontrolowanego przez CIA, który finansował wydarzenia z 1975 roku, wciąż chodziliśmy pić do Bourbon and Beefsteak.

Moja żona twierdziła, że jestem romantykiem i że B&B kojarzy mi się z aurą *noir*, bo przesiadywały tam prostytutki, turyści, amatorzy lewych zasiłków, transwestyci, przestępcy z koneksjami i brutalni policjanci. Może tak do końca się nie myliła.

Na dworze nie było jeszcze zupełnie ciemno. Dostałem chłodzony wiatrem stolik niedaleko okna. Z tego punktu obserwacyjnego wkrótce – jakieś czterdzieści pięć minut później – dostrzegłem nasze poobijane subaru, które skręciło z ulicy w alejkę. Czy się wystraszyłem? Pewnie tak, ale nie dałem nura pod stolik, wbrew temu, co mogli wygadywać wasi znajomi. W istocie moja żona miała w ręku jedynie niewinną plastikową torbę, do której – jak się później okazało – spakowała telefon komórkowy, ładowarkę, oprawione w ramki zdjęcie naszych córek oraz komplet, wszystkie sześć tomów, mojej ukochanej *Historii Australii* autorstwa Manninga Clarka.

Zdjęcie leżało na wierzchu. Dało mi to nadzieję. Gdybym ujrzał tam Manninga Clarka, od razu przewidziałbym, że szykuje się cios ostateczny, a tymczasem optymistycznie i naiwnie pomyślałem: „Kochana dziewczyna, wie, że najważniejsza dla mnie jest rodzina”. Podeszła wprost do mojego stolika. Przemknęło mi przez głowę: „Dzięki Bogu, umarłbym, gdybym ją stracił”.

– Dziś rano ścięli żakarandę.

Miała śliczną twarz, ale jej oczy były zaczerwienione, a usta zaciśnięte. Co miałem jej powiedzieć? Usiądź?

– Zadzwoń do Woody’ego – rzuciła, próbując wcisnąć mi torbę.

Objąłem ją. Powiedziała, żebym jej nie dotykał. Ładowarka upadła na podłogę. Gdy ujrzałem obwoluty *Historii Australii*, Claire już nie było.

Któż by się nade mną litował? Czyż nie naraziłem rodziny na niebezpieczeństwo?

Ale nawet wtedy pozostałem optymistą. Woody chciał, żebym do niego zadzwonił, a ja dokładnie rozumiałem dlaczego. Rozmawiał z Claire. Wiedział, że mam przechlapane. Jasne, że znajdzie mi jakieś mieszkanie. Zadzwoniłem natychmiast. Odebrał.

– Masz przesrane.

– Fakt.

– Gdzie jesteś?

– W B&B, gdzież by indziej?

– Pieprzony Bernie! – roześmiał się.

– Myślałem, że nie żyje.

– Akurat.

Nagle Woody dziwnie spoważniał i pomyślałem, że na pewno zna Berniego Houghtona, a Franka Nugana pewnie też. W tym mieście zdarzały się jeszcze dziwniejsze przyjaźnie. Zastrzelcie mnie za to, co powiem, ale Sydney, nasze gęste, mroczne miasto, jest naprawdę bardzo małe.

– Mam coś dla ciebie – oznajmił. Pomyślałem: „I dzięki Bogu”. Nie mogłem znieść myśli, że będę musiał błagać o nocleg.

– Jesteś prawdziwym kumplem – powiedziałem.

– Będziesz musiał przywieźć swój tyłek tutaj.

– Czyli gdzie?

– Do Melbourne.

– Dlaczego do Melbourne?

– Jezu, nie dyskutuj, Feels. Za chwilę znowu uratuję ci życie. Dlaczego do Melbourne? Rany, nie obrażaj ludzi.

– Dziękuję – odpowiedziałem. – Doceniam wszystko, co dla mnie robisz.

Oczywiście Melbourne było miejscem, gdzie posiadał większość ze swoich nieruchomości i gdzie najłatwiej znajdzie dla mnie jakieś puste mieszkanie. Powinienem być mu bardzo, bardzo wdzięczny.

– To chcesz czy nie?

– Tak, chcę.

– Czyli jutro w moim biurze. Zabiorę cię na lunch do Moroni's, jak za dawnych lat.

Mogłem zapłacić za bilet lotniczy naszą wspólną kartą kredytową, ale przecież widziałem minę Claire. Był czwartek, sklepy były otwarte do późna. Pojechałem taksówką do znanego antykwariusza, któremu zaoferowałem mojego Clarka. W każdym tomie widniała dedykacja „Felixowi, z szacunkiem”. Przekonywałem, że to dedykacja od kolegi po fachu.

– W jakim sensie?

Nie byłem jednym z wielu wielbicieli Manninga; lubiłem go, a jego bawiły moje teksty.

– To Manning Clark – odparłem. – A ja jestem Felix Moore.

Na antykwariuszu nie zrobiło to większego wrażenia, za to bardzo długo wpatrywał się w grzbiet Tomu Pierwszego. Był miłym, dyplomatycznie usposobionym młodzieńcem. Nie nazwał

mnie cieniasek i nie wytknął mi, że moje nazwisko się zdewało. Za to całkiem słusznie zaznaczył, że Tom Pierwszy kolegował się z czerwonym winem i długopisem, a Tom Piąty był poółkły. Zapropoował mi dwieście dolarów i, zgodnie z zasadami obowiążującymi w jego branży, oddał mi książki, jakby mówił „Nawet nie próbuj się targować”. Rzecz jasna wziąłem pieniądze. Było to dokładnie tyle, ile potrzebowałem: sto dwanaście dolarów na bilet i sześćdziesiąt na gówniany pokój, który wynająłem w Surry Hills.

Leżąc smutny i skruszony w śliskiej motelowej pościeli, zadzwoniłem do żony.

Ku mej radości odebrała telefon.

– Jeśli zadzwonisz jeszcze raz, każę wyłączyć twoją komórkę – rzuciła.

5

Przed wyczerpaniem ostatnich złóż ptasiego guana będącego źródłem jego bajecznego bogactwa i wejściem w zyskowny biznes tworzenia obozów przejściowych dla ubiegających się o azyl, republika Nauru zburzyła dwa historyczne budynki przy Collins Street w Melbourne i wzniosła pięćdziesięciodwupiętrowy ośmiokątny pomnik na cześć własnej nieudolności i korupcji.

Kto chciałby mieć biuro w takim miejscu? Oczywiście mój przyjaciel.

– Gdybym stosował twoje standardy, Feels, sypiałbym na plaży. Zresztą, z tego, co mi wiadomo, ty mieszkasz w Sydney – dodał.

Biuro Woody’ego mieściło się na pięćdziesiątym piętrze. Lubił bujać się tam w eleganckim fotelu i spoglądać w górę – na groźne, burzowe chmury oraz w dół – na siedzibę parlamentu i własne inwestycje w dokach. Rozciągał się stamtąd widok na południe aż do St. Kilda i na północny wschód do Collingwood, na cały ten śmietnik, który odziedziczył Woody, kiedy zastrzelono jego ojca.

Nigdy nie poruszałem z nim tematu tego zabójstwa. Opowieści o Woodym należały do świata, w którym wszystkie zdania zaczynały się od słowa „podobno”. Podobno był wzorowym uczniem

w liceum Melbourne High. Podobno chciał zostać wykładowcą literatury. Podobno nie miał wyjścia – musiał przejąć rewolwer po ojcu. Podobno nosił go zawsze przy sobie, nawet długo po tym, gdy zatrudnił ludzi do ściągania czynszów. Tego ostatniego jestem pewien, bo raz namówił mnie, żebym poszedł do pięknej, starej restauracji Florentino po „coś”, co nieroztropnie tam zostawił. Nie wspomniał, że chodzi o pistolet, ale zauważyłem trupio bladą twarz doskonale uprzejmego Raymonda Tsindosa, gdy ten podawał mi pudełko po butach z napisem „dla pana Townesa”. Na Bourke Street, przed witryną słynnej księgarni, uchyliłem pokrywkę. Nie powiedziałem Woody’emu, co tam zobaczyłem.

Mieszkańcy Melbourne zwykle nie noszą przy sobie broni. W istocie jest to przestępstwo. Zaskakuje zatem, że zamiast zszargać jego dobre imię, dziwaczny nawyk mojego przyjaciela dodał pieprzyku jego reputacji. Mecenas sztuki, kolekcjoner pierwszych wydań książek, uczestnik demonstracji, orędownik lewicy, a także – i przede wszystkim – deweloper. W innym kraju Woody Townes byłby rozgrywającym co najwyżej w radzie miejskiej, ale w naszej wysuszonej, sklerotycznej ojczyźnie tacy jak on moszczą się bardzo wysoko.

– Uratuję ci tyłek, mały.

– To bardzo szlachetne z twojej strony.

Spojrzał na mnie, a ja – niczym pijak, który zdał sobie sprawę, że kogoś obraził – poczułem się zmieszany, dotknięty i nie śmiałem odwrócić wzroku. To nie był Woody z hotelu Wentworth, tylko Woody w swoim biurze. Chwilami się go bałem.

– Dzięki – rzuciłem.

– Towarzyszu, przecież wiecie, że nie jestem szlachetny – odparł.

– Na swój sposób jesteście.

– Myślałeś, że masz przesrane, że znów tkwisz po uszy w gównie.

– W zasadzie tak.

– A tymczasem wdrapiasz się na sam szczyt.

„O kurwa” – pomyślałem, siadając naprzeciwko niego. Podaruj mi jeden z tych obrzydliwych penthouse’ów z widokiem na rzekę Yarra. Nie będę mógł odmówić.

– Wystarczy jakieś mieszkanie, póki czegoś nie rozkręcę.

– A cóż takiego zamierzasz rozkręcić, w sensie pracy?

– Rany, dopiero co przyjechałem.

– Może zaczniesz pracować szybciej, niż myślisz. Wiesz, kim jest matka Anioła?

– Tak. Ty też.

Uniosł ciężkie brwi, uśmiechnął się, coś ukrywał.

– Skontaktowałeś się z nią? – spytałem.

– Stary, nigdy nie zerwałem kontaktu z Celine.

Erotyczny podtekst nie zabrzmiał ładnie, ale zależało mi na tym, co sugerował.

– Masz dla mnie robotę?

– Opiszysz tę pieprzoną historię. Wywiad na wyłączność. Felix Moore. Oskarżona będzie rozmawiać tylko z tobą.

– Chrzaniasz!

– Wpłaciłem za nią kaucję. Pięćset tysiaków – dorzucił, jakby kupił portret pędzla Dobella.

Nie oceniałem jego prostactwa. Podziwiałem go. Któż inny w Australii mógł go zastąpić?

– Kiedy ty objąłeś się w parku w Sydney, wykonałem telefon. Wpłaciłem kaucję za tego pieprzonego Anioła, nim zdążyli ją dorwać Amerykanie. Co ty na to? Jest twoja – uśmiechał się do mnie jak szerokogęba ropucha. Nie musiałem tłumaczyć, że już jestem po jej stronie.

– I ona chce, żebym opisał tę historię? To masz na myśli?

– Stary, ona w życiu o tobie nie słyszała.

Jasne, że mu nie uwierzyłem, ale było mi wszystko jedno.

– Żadna gazeta tego nie puści – zafrasowałem się.

Wodonga wrzucił kanapkę do kosza. Przypomniało mi się, że podobno przeszedł operację zmniejszenia żołądka i kiedy umawiał się we Florentino, podczas posiłku dyskretnie wymiotował do chustki. Teraz przybrał bardziej oficjalną pozę, delikatnie splótnięty na brzuchu okropne, słoniowate łapy.

– Książka – wyjaśnił. – Duża zaliczka. Nawet jeśli odrzucą twoją apelację i każą ci zapłacić grzywnę, kupisz swojej Claire seksowną podomkę. Właśnie sporządzają umowę. Ale jeśli nie jesteś zainteresowany, wystarczy powiedzieć.

Honorarium okazało się rewelacyjne, chociaż prawa autorskie przechodziły na firmę Woody’ego i nie mogłem liczyć na tantiemy. Nie mogłem też nic zrobić, gdyby bez konsultacji usunęli moje nazwisko ze strony tytułowej. Woody nie wspomniał mi także, że nie ma najmniejszego wpływu na Anioła. Przez wiele tygodni będę przeżywał katusze, nie mogąc się z nim skontaktować. Gdyby Woody mnie o tym uprzedził... Niczego by to nie zmieniło. Przyjąłem grubą, szarą kopertę, w której – jak sobie

wyobrażałem – jest jakaś książka w miękkiej oprawie. Woody wyjaśnił, że w środku jest dziesięć tysięcy dolarów. Nawet nie przeliczyłem.

– Pierwsza zaliczka, dowód dobrej wiary – dodał Woody. – Kup sobie garnitur.

– W porządku – odpowiedziałem i pomyślałem: „Pieprzyć garnitur, opłacę chesne za szkołę”.

Woody włożył marynarkę i wyjął z szuflady fikuśną parasolkę.

– Napiszesz o zdrajczynie – przykazał mi, patrząc, jak upycham kopertę do kieszeni marynarki. – Jesteś frajerem, więc się w niej zakochasz. Jedyne problem polega na tym, że pewnie skazą ją na śmierć.

Już chciałem mu przypomnieć, że w Australii nie ma kary śmierci, ale udał się do przylegającej do gabinetu łazienki. Sikał długo i hałaśliwie. Wiedziałem, że popisuje się udaną operacją prostaty.

– Zarezerwowałem stolik w Moroni's – oznajmił, kiedy już stamtąd wyszedł. – Chcesz się przyczesać?

– Jasne, że nie.

Nie potrzebowałem grzebienia, żeby wpuścili mnie do Moroni's. Jadłem tam już ze sto razy z Goughem Whitlamem i Johnem Cairnsem – czyli z premierem i premierem stanowym, którego wystąpienie przeredagowałem kiedyś właśnie w tej restauracji przy, co warto zaznaczyć, wsparciu zabójczej firmowej grappy.

Kierownik sali miał na imię Abramo. Zawsze wyglądał identycznie, jak łagodny James Joyce o doskonałym wzroku. Abramo miał wszelkie powody, żeby mnie lubić, co natychmiast zademonstrował, ignorując Wodongę i ciepło witając mnie-

niechluja. Poprowadził nas do stolika w rogu sali, przy którym siedziała jakaś niezwykła istota. Po pierwsze, była to kobieta, jedyna w tym wyciszonym i pełnym garniturów lokalu. Miała na sobie antracytowy, jedwabny, chiński płaszcz z ceglastą podszewką. Jej fryzura musiała powstać w jakimś ekskluzywnym salonie fryzjerskim, bo była krótka i prosta, z przedłużkami z mocnych, niemal elastycznych, siwych włosów. Źle oceniłem jej wiek, wy też byście się pomylili. Jej klasyczna uroda zasadzała się na wspaniałych kościach policzkowych i nic by jej nie zaszkodziło, nawet gdyby ta kobieta przez sto lat paliła gauloise'y.

Kiedy się zbliżyłem, wstała i wyciągnęła dłoń. Przedstawiła się, ale nie złapałem nazwiska. Podejrzewałem, że jest wydawcą.

– Felix Moore – rzuciłem. Słyszałem, jak Woody jęknął. Nie mógł uwierzyć, że nie rozpoznałem jej sławnej twarzy.

– Felix – powtórzyła kobieta. – To ja, Celine.

Zacząłem coś mówić, ale nie zdołałem dokończyć zdania. Matka zdrajczyni pochyliła się i ucałowała mnie w obydwa płonące policzki.

6

Nie chodziło tylko o to, że nie rozpoznałem sławnej twarzy. Zналиśmy się od lat, ja i Celine byliśmy w gronie trzystu czterdziestu siedmiu studentów pierwszego roku Monash University, a nie było tam wtedy studentów drugiego, trzeciego czy czwartego roku. Rok wcześniej nie było Monash University. Tak zwany „kampus” był placem budowy oddalonym o dwadzieścia kilometrów od restauracji Moroni’s. Otaczały go akry gorącego, pozbawionego cienia parkingu, przez który sunęły młode kobiety w szpilkach.

Tamta Celine była wizją, jak rudzielec z pudełka zapalek Redheads. W żadnym wypadku nie przypominała kobiety siedzącej przy stoliku w Moroni’s. Była dużo wyższa i piersiasta. Nosiła zwiewne spódniczki i miała wspaniałe, zdrowe i jasne włosy.

Tymczasem Celine z Moroni’s była sławna. Miała pełne, ale jednocześnie blade, jakby wyrzeźbione w steatycie usta. Tamta dziewiętnastolatka miała usta intensywnie czerwone, a jej dramatycznego wizerunku dopełniało coś, co moglibyśmy nazwać „paczką”: grupa bardzo groźnie wyglądających młodzieńców,

z którymi natychmiast zapragnąłem się zaprzyjaźnić. Byli wśród nich bitnik, poeta, gej, facet przypominający członka gangu motocyklowego Hell's Angels i wreszcie jej kochanek, Sandy Quinn, starszy mężczyzna w lnianej marynarce, który z całą pewnością nie pojawił się tam wprost z ogólniaka. Dopiero po latach dowiedziałem się, że związek zawodowy opłacił mu studia. Nie dostrzegłem w jego oczach smutku. Za to zauważyłem brodę, spłowiałą na słońcu, starannie przystrzyżoną i przylegającą do szczęki. Jego milczenie wydawało mi się jednocześnie oznaką siły i skłonności do ferowania ocen.

– Byłem kompletnym cymbałem – powiedziałem do Celine i była to prawda.

– Był prawdziwym ciachem – powiedziała Celine do Woody'ego.

– Jurny szczeniak – ocenił Woody. – Dobierał się.

Ten komentarz sprawił, że zamilkliśmy. Przypomniał mi się incydent z fotografią jej ojca. Abramo napełnił mój kieliszek.

Byłem niski, niechlujny i mówiłem przez nos, jak to w Bacchus Marsh. Miałem krótkie włosy i nie tak czyste, jak należało. Nie nosiłem nieodzownego, porozciąganego swetra. Chłopcy z paczki Celine początkowo byli ubawieni, później oburzeni, a w końcu kompletnie zdumieni moim bezczelnym przypuszczeniem, że nadaję się na ich kumpla. Wygadywali rzeczy, które kogoś słabszego zmusiłyby do ucieczki i płaczu.

Ja jednak byłem synem człowieka, który przez całe popołudnie gotów był stać na błotnistym kartoflisku, byle tylko sprzedać jakiegoś forda. Takie miałem geny.

Celine nigdy nie uważała mnie za ciacho, ale dostrzegła we mnie silną wolę, która znacznie wyprzedzała moje pozostałe

atuty, zatem była zadziwiająca. Pewnego popołudnia w Springvale przepowiedziała mi, że jako jedyny z nich wszystkich do czegoś w życiu dojdę. Teraz sprawi, że jej przepowiednia się ziści. Umożliwi mi wyłączny dostęp do swojej występnej córki. „Zobaczycie – pomyślałem – zobaczycie, jak to załatwię”.

Kelnerzy najwyraźniej oglądali moje ponizenie w telewizji, więc cieszyłem się, że ci wysocy, dyskretni mężczyźni w białych fartuchach z eleganckimi siwymi wąsami staną się świadkami mojego odkupienia. Patrzyli, jak królowa sceny i ekranu całuje mój umęczony policzek.

– Za Feliksa – powiedziała i trąciła mój kieliszek.

– Najadłem się wstydu – odrzekłem, naturalnie mając na myśli „POŻAR W GACIACH”, ale jednocześnie podkreślając swój krnąbrny charakter, którego nikt nie potrafił zaakceptować. Nie wyjawilem, że dysponuję informacjami na jej temat, o których sama nie ma pojęcia, jednakże zasugerowałem w typowy dla siebie, subtelny sposób, że szanujący się dziennikarz musi być też skorpionem. Dziennikarz pozostaje na usługach opisywanej historii i nie myśli o osobistych konsekwencjach, jakie czasami musi ponieść.

– Nie najadłeś się wstydu – odparła Celine. – Tylko ich zawstydziłeś, jak zwykle.

Przypomniałem sobie wtedy ten szczególny błysk w jej szarych oczach, charakterystyczne podniecenie w obliczu drobnego niebezpieczeństwa.

– Nawet jeśli przegrałeś, pokazałeś, jacy tamci są zepsuci i sprzedajni.

Tak, przez całe życie toczyłem bój w słusznej sprawie, jednak po drodze stałem się straszną kreaturą.

7

Rozpoczęcie roku akademickiego odbywało się w cholernym upale. Przy tym lało jak z cebra i z trawnika, na którym stałem z ojcem, kiedy rektor Monash University wygłaszał mowę rozpoczynającą uroczystość, unosiła się para. Jako pierwszy w rodzinie przebrnąłem przez niziny ogólniaka. Nie potrafiłbym świadomie wytłumaczyć, dlaczego zdecydowałem się na uniwersytet bez kruzganków, czworokątnych dziedzińców, dobudowywanych college'ów i chłopaków z prywatnych szkół jeżdżących triumphami model TR3. Zamiast tego wybrałem morze błota, wcześniej pełniące rolę targu warzywnego, z jeszcze niewybrukowanymi alejkami, i kampus otoczony zakładami przemysłu lekkiego oraz domami z kremowej cegły, zamieszkanymi przez ludzi pracujących w tych krytych deskami fabrykach. Nie był to wybór polityczny. Nie miałem świadomych poglądów politycznych.

Działo się to trzy lata przed incydem w Zatoce Tonkińskiej i przed poborem do Wietnamu i siedem lat przed tym, jak Klub Laborzystów w Monash wymyślił rewolucję, która pociągnie za

sobą – odebrałem ten komunikat osobiście – stawianie pod ścianą i strzelanie.

My, studenci, chadzaliśmy po wąskich ścieżkach gęsiego, jak krowy na dojenie. Wracaliśmy do właścicielek wynajmowanych pokoi, których mężowie byli monterami i tokarzami, choć przedstawiały nam ich jako inżynierów. Byliśmy dla naszych gospodarzy barbarzyńcami, nanosiliśmy błoto z Monash (PROSZĘ ZDEJMOWAĆ BUTY) i opryskiwaliśmy moczem sedesy (PROSZĘ PODNOSIĆ DESKĘ).

Nie jestem pewien, czy szpilki Celine były ubłocone, jak później twierdziła, ale nie mam wątpliwości, że sikała na stojąco przy pisuarze. Wszyscy o tym mówili. Imponowała mi pognieciona, lniana marynarka Sandy’ego, bo sam byłem zbyt głupi, żeby kupować używane ciuchy. Pewnie za bardzo się starałem. Chłonałem wszystko, co mówili. W rezultacie pojechałem pociągiem z Clayton na Flinders Street, gdzie znalazłem, choć nie tak od razu, zarówno *Ulissesa* jak i *Pieśni* Ezry Pounda. Zawiozłem te ciężkie książki do mojego podmiejskiego pokoju, który dzieliłem ze studentem chemii z Wonthaggi. Stało tam tylko jedno biurko. Gdy było zajęte, czytałem, leżąc, lub pisałem, klęcząc przy łóżku. Zwędziłem z księgarni drogi komentarz do *Ulissesa* i robiłem notatki na marginesach na temat, choćby, „Agenbite of inwit”. „Inwit” powinno się pisać „inwyt”. Czy Sandy wiedział, że James Joyce robił błędy ortograficzne? Rozumiał, że „U.P:up” miało się kojarzyć z oddawaniem moczu i erekcją? Klęczałem. Notowałem. Zbierałem amunicję. Za smutnymi koronkowymi firankami, równoległe do mojego łóżka, stał szary drewniany płot. Kilometr dalej, też równoległe, biegła trakcja

kolejki elektrycznej. Barry Humphries^[1] w długiej czarnej pelerynie grasował na ulicach.

Dla wszystkich powinno być oczywiste, że nie nadaję się na inżyniera, ale mój ojciec miał ambicje, żebym został Inżynierem Hrabstwa Bacchus Marsh. Kupił mi drogi suwak logarytmiczny, którego nigdy nie nauczyłem się używać. Oszukiwałem przy eksperymentach fizycznych, wychodząc od stałej wartości g i do dziś pamiętam, że wynosi 980 cm/s^2 .

Nie miałem pojęcia, że podążam ścieżką prowadzącą ku katastrofie. W istocie wszystko wydawało się możliwe. Znajomi Celine studiowali dramaturgię, psychologię, filozofię polityczną i poezję. Dyskutowali o Opisie, Narracji, Ekspozycji i Argumentacji. Gdybym tylko umiał, tu też bym oszukiwał, ale mogłem im zaoferować jedynie parę kontrowersyjnych wyrażen: „Agenbite of inwit”. „U.P.:up”.

Mój bystry ojciec nigdy nie miał potrzeby napisania rozprawy czy wyrażenia jakiejś abstrakcyjnej myśli. Tych umiejętności nie wymagano także ode mnie w liceum w Ballarat. Do matury przystąpiłem z przeświadczeniem, że jestem orłem z chemii i matematyki, ale do magicznego kręgu znajomych Celine przybyłem z czterema ledwie zaliczonymi egzaminami i bez żadnej wiedzy na temat tego, jak odnaleźć się w ich grze. Czytywali Franca Fanona, Simone de Beauvoir i Alfreda Jarry'ego. Wszelka radykalna myśl, jaką mogłem im zaproponować – na przykład, że może nie być Boga – była dla nich nudna i sprawiała wrażenie zażenowanych, że w ogóle o tym wspominam. Byłem zdumiony faktem, że choć wcześniej się nie

znali, zdawali się kontynuować rozmowę, którą rozpoczęli przed wielu laty. Wszyscy wiedzieli, że „Nosorożec” to sztuka.

Nieraz mówili, żebym spadał, ale przecież to ja ich wybrałem i postanowiłem zostać tak długo, aż docenią moją wartość.

Motocyklista rzadko ze mną rozmawiał. Sandy Quinn zwykle uśmiechał się, kiedy coś mówiłem. Po latach wyzna mi, że denerwował się za mnie i że uśmiechał się wyłącznie po to, żeby dodać mi otuchy.

Ciało Celine nie mogło być takie, jak sobie wyobrażałem, ale była aktorką grającą fizycznie, która potrafiła przekonać, że talię ma węższą, a nogi – dłuższe niż w rzeczywistości. Nie była tak bystra, jak sądziłem. Czasami traktowała mnie chłodno, a niekiedy – czule. Pewnego razu publicznie zmierzwiła mi włosy. Być może rzeczywiście zawsze była po mojej stronie, jak później przekonywała, jednak niezmiennie i niepowstrzymanie bawiło ją, kiedy patrzyła, jak biegam po piłki rzucone przez poetę. Poeta był wysoki, szeroki w barach, miał piegowatą twarz, którą można było uznać za nijaką, jeśli nie potrafiło się dostrzec, że na swój spokojny, piwnooki sposób był zdolny absolutnie do wszystkiego.

– *Buszujący w zbożu* – zagaił łagodnie. – Powiedziałaś, że czytałeś, ale to nieprawda?

Był taki miły, że aż nie mieściło się w głowie, że się nade mną znęca.

Ten w skórze siedział z opuszczoną głową, skręcał papierosy, jednego po drugim, układał je na brzegu stołu, po czym dopychał wystający tytoń.

– Nie, właściwie nie – odpowiedziałem.

Poeta uśmiechał się, jak ktoś, kto ssie zapałkę.

– Pewnie za bardzo amerykański?

– Przestań, Andrew – wtrącił się Sandy. – Wystarczy.

– Czyli, Feliksie... – drażył Andrew – ...dla ciebie Patrick White, a Salinger wynocha?

Patricka White'a też nie czytałem.

– Czasami tak musi być – odparłem.

– Zatem, jeśli chodzi o literaturę, pierwsza jest dla ciebie Australia.

To był moment, żeby podchwycić tę myśl i się jej trzymać.

– Dla mnie liczy się Bitwa o Brisbane – wyznałem. – Każdy dzień tej bitwy.

Ten w skórze prychnął przez nos, ale rzecz jasna nawet Sandy nie słyszał o Bitwie o Brisbane.

– Nie było *bitwy* o Brisbane – powiedział. – Pewnie masz na myśli Linię Brisbane, kiedy byliśmy gotowi oddać Japończykom wszystko, co na północ od Brisbane.

– Nie, Sandra.

Nawet dzisiaj wstyd mi, że tak się do niego odezwałem. Czułem się zbyt niepewnie, by dostrzec jego niezwykłą empatię. Kiedy nazwałem go Sandrą, mógł się poczuć, jakby narobił na niego szpak. Uśmiechnął się blado.

– Pewnie kiedyś odkryjesz, że w 1942 Japończycy zbombardowali Darwin i Broome.

Byłem niepoukładanym smarkaczem i wydawało mi się, że traktuje mnie protekcjonalnie.

– To nie była bitwa z Japończykami – odparłem. – W Brisbane byli Amerykanie. Mieścił się tam sztab MacArthura. Powiedz mi, Sandy, kto jeszcze stacjonował w Brisbane w 1942?

– Oczywiście Australijczycy – odpowiedział i spojrzał na mnie wyzywająco.

„Pieprz się – pomyślałem. – Mylisz się”.

– Australijscy żołnierze walczyli z Amerykanami na ulicach Brisbane – wyjaśniłem. – Nazywają to Bitwą o Brisbane.

Musiałem się naprawdę spiąć, żeby wytrzymać jego milczenie.

– W porządku – rzucił wreszcie.

– Ta informacja była ocenzurowana. Wiem o tym tylko dlatego, że Amerykanie odstrzelili mojemu staremu pół ręki.

Celine zawiesiła na mnie wzrok. Nie wiedziałem, czy mam się cieszyć czy bać. To mój wuj, a nie ojciec, miał niesprawną rękę. Czekałem. Celine wysypała cukier ze szklanego dozownika i usypała z niego stosik. Wykonując tę czynność – jak i wiele innych – zdołała wzniecić pewien żar, oczekiwanie, że zrobi coś szalonego i ryzykownego, a my będziemy tylko siedzieć i patrzeć. Wysypała na cukier zawartość popielniczki i wepchnęła w to zapalki. Później wbiła we mnie wzrok. Zrozumiałem, że ją uraziłem i że cała ta skondensowana i zakodowana złość jest przeznaczona dla mnie.

– Co ty możesz wiedzieć o Bitwie o Brisbane?

– Chyba już wam powiedziałem, skarbie.

– Skarbie skarbie. Gówno prawda.

Czułem, jak płoną mi policzki.

– Nie uśmiechaj się tak, bobasie – powiedziała. – W książkach nie ma o niej ani słowa.

– Myślę, że pan Moore mógł mieć na myśli Linie Brisbane – wyjaśnił Sandy.

Celine wyrwała swojemu kochankowi papierosa i rzuciła go na podłogę.

– Nie, pomponie, nic mu się nie pomyliło.

Kiedy zobaczyłem, jak bardzo poeta uradował się na wyjawienie tego sekretnego przezwiska, zrozumiałem, że mam jeszcze jednego konkurenta. Poczęstował się jednym z pięknych, ręcznie wykonanych papierosów motocyklisty.

– Czyli co to była za bitwa? – spytał mnie.

– Chodziło o seks – wytłumaczyła Celine. – Głupi Australijczycy byli zazdrośni o jankesów, jedyny naród na świecie, który chciał nam pomóc. Zaczęli do nich strzelać, bo podobały im się australijskie dziewczyny.

– Czyli rozróżba.

– Nie, cholerna bitwa. Z bronią, trwała dwa dni. Kompletnie bez sensu, bo później to Amerykanie polecieeli na Nową Gwineę, żeby walczyć z Japończykami.

– Na Nowej Gwinei nie było Amerykanów – zaproponował motocyklista. – Ani jednego, maleńka.

– Pieprzysz, skarbie – odparła Celine. – Mój ojciec tam był, maleńki.

– Mówię o Amerykanach.

– Mój ojciec był Amerykaninem, skarbie. Zginął tam. – Rozpłakała się, wstała i obróciła tyłem do nich. – Chodź, Maluch – powiedziała i złapała mnie za rękę.

Płakała, a ja byłem na tyle niedojrzały, że nie posiadałem się z radości. Szlochała, ale wygrałem. Dałem im odpór. I tak stało się coś do tej pory niewyobrażalnego – Sandy i jego wóz poszli

w odstawkę, a ja dostałem zachętę, żeby odprowadzić Celine Baillieux na przystanek autobusowy przy Ferntree Gully Road.

^[1] Australijski aktor i satyryk

8

Kontemplując spękane i poczerniałe portrety anonimowych kolonizatorów, wiszące na ponurych ścianach restauracji Moroni's, przypomniałem sobie, że sir Robert Menzies był jednym z dwóch premierów, „właścicieli” tego narożnego stolika. Tym drugim był Paul Keating. Rzecz jasna Keating NIE POCHODZIŁ Z MELBOURNE, ale w Moroni's zawsze czuł się jak w domu, gdy jego dziwnie delikatna, blada twarz wychynęła z tego samego światłocienia, który okrywał ciemne, szyte na miarę garnitury. To właśnie tutaj, przy tym narożnym stoliku, przy którym siedziałem teraz z Celine i Woodym Townesem, żona premiera – Annita Keating – z taką pasją mówiła o „liczbie splotów” w jej pościeli. Pewnie był to bezpieczny temat rozmowy w Nowym Jorku, Waszyngtonie lub nawet w Sydney, lecz tutaj liczba splotów obrażała nasze purytańsko-socjalistyczne przekonania. A może nie wiedzieliśmy, co to jest „liczba splotów”.

Karta dań w Moroni's nie zmieniła się od 1970 roku, gdy zaczęły się protesty przeciwko wojnie w Wietnamie i maszerowaliśmy pod oknami lokalu za wielkim Johnem Cairnsem („Odpowiedzialność za akty przemocy spoczywa

wyłącznie na nim” – The Age). Było nas tam sto tysięcy, w tym ja ze słynnym transparentem PIEPRZYĆ BOGATYCH. Cztery miesiące później pierwszy raz zaproszono mnie do Moroni’s, gdzie burzą włosów zakłóciłem panujący tam zacny spokój.

Kotlet cielecy.

Osso bucco.

Rum baba.

To samo wtedy, to samo teraz. Nie było na świecie drugiej niby poważnej włoskiej knajpy, która serwowała by takie plastikowe pieczywo.

Gdy Abramo gorliwie dolewał mi do kieliszka, obserwowałem w wysokim, odchylonym od ściany lustrze po zachodniej stronie lokalu jakiegoś „twardziela” z Rady Związków Zawodowych podejmowanego przez wroga klasowego. Unikał mojego świdrującego głównie wzroku.

Woody zaproponował wodę San Pellegrino, ale te smutne wybielone poletka – na których mój ojciec sprzedawał fordy – pozbawione uroku, pełne skał i królików farmy wokół Anakie, produkowały teraz zimne *chenin blanc* w kolorze słomy, o smaku tak złożonym, jak *vouvray*. Któż śmiał o tym marzyć?

– Wystarczy mi wino – powiedziałem. – Słucham.

Celine miała jedną z tych twarzy, które podziwiamy w kinie – myśli i emocje przenikają po nich jak cienie. Rozumu od tego nie przybywa, ale jest to wciągające. Wpatrywała się w moje wino dłużej, niż pozwalała na to grzeczność.

Czterdzieści dziewięć lat temu ruszyliśmy razem w stronę Ferntree Gully Road i wylądowaliśmy w domu jej matki w Springvale. Później pracowaliśmy razem w gabinecie

wicepremiera, a ostatni raz widziałem ją na przyjęciu gwiazdkowym, gdy karmiła piersią córkę.

Teraz wyjęła żółty notatnik i jednym prostym gestem przemieniła się w prawniczkę.

Jak zawsze odmówiłem robienia notatek. Kiedy znów dolewano mi do kieliszka, zapadła cisza.

– Muszę mieć nieograniczony dostęp.

Celine zerknęła na Woody’ego. Woody zwrócił się do mnie:

– Proszę bardzo. Jest twoja. Dlatego dostałeś mamonę.

– Nazywasz ją Gaby czy Gabrielle?

– Tak i tak.

– Jest w Melbourne?

– To tajemnica.

Co za palant z tego Woody’ego!

– Zgodziła się? – spytałem Celine. – Żebym przeprowadził z nią wyczerpującą, oficjalną rozmowę?

– Stary – wtrącił się Woody. – Nie twórz problemów tam, gdzie ich nie ma.

Podali swojego słynnego witlinka, ale Celine nawet nie tknęła sztucców.

– Nim radośnie pomkniemy do przodu – powiedziała – możemy pogadać o tej pieprzonej ekstradycji? Gaby jest Australijką, na litość boską. Dlaczego Amerykanom wydaje się, że wszystko ma związek z nimi?

– Otworzyła setki ich więzień.

– Przecież nieumyślnie. Nie możemy wydać jej państwu, w którym stosuje się karę śmierci.

Teraz zwróciła się do mnie:

– Masz córki. Na pewno sobie wyobrażasz, co czuję.

– To jego praca – rzucił Woody, ale Celine nie pozwoliła mu dokończyć.

– Co powiedział ci ten twój wielki adwokat? Sam mi to powtórzyłeś. Nie mogą wydać jej państwu, w którym stosuje się karę śmierci.

Woody położył mięsistą dłoń na jej szczupłym nadgarstku.

– Gdyby naprawdę chciała zaatakować Amerykę, byłaby to działalność polityczna. To dobrze, bo jeśli to udowodnimy, nie będzie podlegać ekstradycji. Felix to odpowiedni człowiek do opisanie tej historii. Mógłby to zrobić, stojąc na głowie.

– Posłuchasz mnie wreszcie? To odważna dziewczyna, ale nie mogła zrobić tego, o co ją oskarżają. Kocham ją, ale nie jest aż tak bystra.

– Jej ojcem jest Sandy – wtrąciłem. – Ma bardzo łośskich rodziców.

– Ja dostawałam w szkole czwórki i trójki. A Gaby nawet nie skończyła liceum, dlatego miała taką kiepską pracę w IBM. Nie byłaby w stanie zrobić tego, co napisali w akcie oskarżenia. Tak powinniśmy się bronić – powiedziała do Woody'ego. – Niech zrobią jej testy. Nie zaliczy ich. Ma geny trójkowo-dwójkowej uczennicy. Jest niewinna.

– W porządku, ale chyba się przyznała.

– Przyzna się, do czego tylko zechce.

– Przechwalała się, że zniszczy dwanaście korporacji. Podała ich nazwy. Na tej liście jest imperium braci Kochów.

– Przygotowali ją jej zwariowani fani. Wchodzą na fora internetowe i wymyślają głupoty. Fantazjują. Konfabulują. Piszą

za nią lesbijskie listy miłosne. To świry i miej się na baczności: jeśli ich skrytykujesz, rozniosą cię na strzepy.

– Od tego jest Felix – ponownie podjął temat Woody. Tym razem Celine mu nie przerwała. – Jego rolą będzie oświecenie Australijczyków, którzy mają naturalną skłonność do oskarżania Amerykanów o to, że posuwają się za daleko. Kiedy Felix opíše tę historię, dziewczyna znowu stanie się Gaby z Coburg. Nie straci na tym, że wkurzyła jankesów. Nikt nie będzie chciał jej wydać.

– Nie zamierzała zrobić im krzywdy – podkreśliła Celine.

– Zrób z niej Australijkę, stary – poinstruował mnie Woody. – Gaby z Coburg. Szczere dziewczę. Krew nie woda.

– Błagam, wylejcie mnie – zwróciłem się do Celine. – Wiesz, że robię to tylko dla pieniędzy.

– Niby dlaczego mielibyśmy cię wylać?

„Żeby było szczerze – pomyślałem. – Uczciwie. Bo najwyraźniej jestem wykorzystywany. Bo wiem o tobie różne rzeczy, Celine, które musiałbym ujawnić. Nie powstrzymałbym się”.

– Mogą ją porwać prosto z ulicy – zafrasowała się Celine. – Tak, jak porwali tego jak-mu-tam w Rzymie.

– W Mediolanie. Oddam ci zaliczkę – powiedziałem do Woody’ego. – Przekaż ją na fundusz prawny. Jestem dziennikarzem. Nie mogę uprawiać propagandy. Dlaczego się uśmiechasz?

– Jaki palant poprosiłby cię, żebyś robił mu reklamę?

– Trzeba wykorzystać wszystkie możliwości – stwierdziła Celine. – Złożmy jej hołd, takiej, jaka naprawdę jest, ale bez hysterii.

– Masz za zadanie uratować kogoś niezwykłego – dorzucił Woody. – Chcę, żebyś wbił to sobie do głowy.

Jego małe słoniowate oczka zaszły tak sentymentalną mgiełką, że aż musiałem odwrócić wzrok.

– Nie jestem odpowiednim kandydatem – tłumaczyłem Celine.

Ale jednocześnie zamówiłem grappę. Mimo że Woody wciąż próbował ściągnąć na siebie moje spojrzenie, upierałem się, że się do tego nie nadaję. Później zrozumiałem, że – w sensie prawnym – przyjąłem zlecenie w chwili, gdy odebrałem od niego kopertę z gotówką. Zgodziłem się też na drugą grappę. Dodatkowo wynegocjowałem: receptę na deksedrynę, MacBooka Pro, zwrot za taksówki i wreszcie lokal, w którym mógłbym mieszkać, póki moja żona nie wybaczy mi tego, że jestem sobą.

9

Celine i Woody nie wspomnieli, że mam zamieszkać w Eureka Tower, a jednak ich milczenie, gdy wchodziliśmy do tego najwyższego drapacza chmur w Melbourne, potwierdziło, że stanie się on moim domem. Gdy mijaliśmy pięćdziesiąte piętro, poczułem strzyknięcie w uszach. Jadąc jeszcze wyżej, doświadczyłem miłego mrowienia szyi, tej szczególnej ekscytacji, która pojawia się zawsze, kiedy popadamy w dekadencję, i to w żadnym razie nie z naszej winy.

Gdy otworzyły się drzwi windy, oszołomiły mnie szklane ściany.

– Masz lęk wysokości – roześmiał się ten skurczybyk. Owszem, był moim przyjacielem, lecz nie pozwoliłby mi się wesprzeć na swoim ramieniu.

Drzwi windy się zamknęły i zostałem więźniem.

– Wiecie, że mam zawroty głowy.

Celine dobrze wiedziała. Jeszcze w Monash doszło do incydentu, kiedy wymogła, bym wspiał się na rusztowanie Gmachu Menziesa. W tamtych czasach przykładła wielką wagę do odwagi. Teraz, gdy znów byłem pozbawiony męskości, nawet nie chciała nawiązać ze mną kontaktu wzrokowego.

Woody podszedł do okna i patrzył, jak łapię równowagę, opierając się o blat w kuchni.

– Nie bądź mięczakiem – rzucił. – Chodź tu do mnie.

Tymczasem Celine gdzieś zniknęła i dotarło do mnie, że dobrze zna ten apartament. Znów poczułem – jak często zdarzało mi się to w Monash – że jestem wykluczony z erotycznego kręgu wtajemniczonych, że nie wiem, co jest grane.

– Kici, kici! – zawołał Woody, stukając kluczami o szybę.

– Łazienka – zażądałem.

Dopiero kiedy zatrzasnęły się za mną drzwi do sracza, zorientowałem się, że znalazłem się w potrzasku, gdyż miałem przed sobą widok, którego tak bardzo pragnąłem uniknąć.

Kto mógł sobie wymarzyć coś takiego? Toaletę ze szklaną ścianą.

– Możesz srać na całe Melbourne – krzyknął Woody. – Powinno ci to odpowiadać. Robisz to od lat.

– Wypuść mnie.

– Drzwi nie są zamknięte na klucz.

Spuściłem wodę, wyszedłem i zobaczyłem go przy fortepianie. Stał oparty o szybę, jedną nogę wysunął przed drugą; scena niczym z wodewilu, pod warunkiem że wypadłby przez okno i się zabił. Rzecz jasna, trzymał w rękach butelkę i korkociąg. Wcisnął *Vosne-Romanée* między obleczone wełną uda i powoli wyciągnął długi, francuski korek. – Cellar Pro, piwnica na wino o stałej temperaturze – oznajmił. – Apartament z obsługą. Sprzątaczką przychodzi dwa razy w tygodniu – wystarczy wrzucić majtki do kosza. Szatan zabrał Jezusa na górę – dodał. – Przywyknij.

Claire byłaby tu w siódmym niebie, usadowiona przy Steinwayu. Odgoniłem tę myśl.

Wielki Wodonga rozlał nieco wina, napełniając kieliszki, i teraz wycierał plamy dużą białą chustką.

– *Château Valium* – zażartował.

Przyjąłem ten podarunek i opadłem na fortepianowy stołek. Celine zawołała Woody'ego. Wdali się w dyskusję o mojej pościeli. Przy trzecim kieliszku zdołałem unieść wzrok. Później oczywiście musieliśmy wyjść.

– Oto twoje klucze. Jeśli zgubisz, konsjerż i tak cię wpuści.

Potem wszyscy wylądowaliśmy bezpiecznie w windzie, a po chwili na ziemi, gdzie przedstawiono mi konsjerżę Bruce'a, który „czytał twoją książkę”. Bruce wręczył Woody'emu jakąś paczkę, którą Woody przekazał mnie. W środku znajdowały się mój nowy iPhone i MacBook – uruchomione, jak mnie zapewnił. Nie nabrałem najmniejszych podejrzeń.

Celine ucałowała mnie w oba policzki. Zamierzała nas opuścić? Woody klepnął mnie w ramię i zagonił z powrotem do windy. Znowu znalazłem się sam, odesłany do miejsca kaźni.

Jeśli nigdy nie mieliście zawrotów głowy, to pewnie nie okażecie mi współczucia, a ja tylko pogorszę sprawę, przyznając się do tego, co zrobiłem. Ostatecznie byłem jednak kompletnie zalany. Usiadłem po turecku przy oknie. Słońce wisiało nisko nad skierowanymi ku morzu paluchami terminalu kontenerowego. Dalej, gdzieś w zapadających ciemnościach, ciągnęły się straszne wulkaniczne równiny i wznosił się dom mojego dzieciństwa w Bacchus March. Tymczasem na wschodzie roztaczał się złoty skarbiec wytyczony nitką rzeki Yarra. Mój kieliszek był miejscem

zbrodni wymazany wstrętnym osadem *Château Valium*.
Przycisnąłem nos do szyby.

Na wschodzie, niezbyt daleko, może siedemnaście kilometrów dalej, leżało pogrzebane niczym zwłoki gangstera pod wiaduktem Monash Freeway, miejsce, gdzie kiedyś zamierzałem pocałować Celine.

Jej ojciec był Amerykaninem. Umarł. Pograżona w żałobie Celine wybrała spośród wszystkich właśnie mnie, żebym odprowadził ją do autobusu. Naprawdę próbowałem wypytać ją o ojca, ale – jak mi przypomniała – szliśmy tylko do autobusu, a nie do spowiedzi. I co było potem? Przecieliśmy parking i ruszyliśmy pokrytą żwirem drogą. Spytałem, czy słyszała o Ornece Colemanie.

– Feliksie, nie bądź nudny.

Jasne, że byłem nudny. Byłem nieopierzonym pisklakiem, który właśnie wypadł z gniazda. W której jesteś klasie? Słyszałaś o tym?

– Masz adapter? – spytałem.

Spojrzała na mnie uważnie, tak szczerze się przy tym uśmiechając, że wiedziałem, iż jak na dłoni widzi, że jestem prawiczką.

– Podobam ci się, Feliksie?

Podniecało mnie do szaleństwa nawet przypadkowe muśnięcie jej plisowanej spódniczki. Chwyciłem jakiś kamyk i rzuciłem go dalej na drogę.

– Jeszcze cię nie znam – odpowiedziałem.

Odgarnęła z oczu gęste, jasne włosy i przypatrywała mi się z taką intensywnością, że aż spąsowiałem.

– Dlaczego poprosiłam, żebyś odprowadził mnie do autobusu? Co sobie pomyślałeś? Że chcę ci się wypłakać w mankiet? Co przemknęło ci przez głowę?

Przemknęła mi przez głowę myśl o seksie. Pomyślałem, że puszcze jej trzeci utwór z drugiej strony płyty, *Una muy bonita*. Od wielu dni nosiłem ten album w torbie. Potrzebowałem tylko gramofonu. Powiem jej, że jest *una muy bonita* i, jeśli się uda, pocałuję.

– Nie wiem.

– Najwyraźniej Bitwa o Brisbane.

Później jakoś tak wyszło, że ruszyłem za nią do pubu. Tak to było, kiedy miało się osiemnaście lat; człowiek uczył się, że odprowadzenie na przystanek oznacza wyprawę do hotelu Notting Hill, zwanego także Plebanią lub Nottem.

Znałem sławnych absolwentów Monash University, wyłącznie mężczyzn, których oczy zachodziły mgłą na wspomnienie Plebanii i jej właścicielki, Kath Byer, lecz tamtego dnia zauważyłem tylko, że spódniczka Celine niebezpiecznie faluje i że Celine wybrała ustronny stolik, na którym starannie ułożyła zapalniczkę marki Ronson oraz paczkę czarnych papierosów Sobranies, tak dla mnie egzotycznych jak kobieca bielizna. Przegryzła celofan prostymi, białymi zębami. Czarne papierosy miały złote filtry. Nie miałem pojęcia, że na świecie istnieją takie rzeczy.

– Zostałam spłodzona w Brisbane – oznajmiła Celine, wkładając papierosa do ust. – Zaczerwieniłeś się.

– Wcale nie.

– Jesteś uroczy. Postawisz mi whisky z wodą i limonką? Na sto procent ci oddam.

Chciałem jej pokazać płytę Colemana, ale spędziłem sporo czasu na wyjaśnianiu nieporozumienia dotyczącego mojego wieku i gdy wreszcie dostałem nasze drinki, Celine zdążyła już rozłożyć na stoliku chaotyczny zbiór zdjęć i wycinków prasowych. Nie wyjaśniła, czego dotyczyły. Wzięła ode mnie szklankę i odsunęła się na krześle, żebym mógł swobodnie im się przyjrzeć. Była tam mała odbitka ukazująca białego, gibkiego amerykańskiego żołnierza stojącego pod palmą. Był też wycinek sprasowany jak zasuszony fiołek w pamiętniku. Były też większe zdjęcia. Wszystkie pokazywały żołnierzy, najpewniej amerykańskich. Pracownicy redakcji wychodzącego w Melbourne „Heralda” przystawili stemple z numerem na odwrocie paru dużych błyszczących fotografii, ale największa została wycięta z magazynu „Life”. Z jednej strony widniały na niej ślady zaokrąglonych nożyczek do paznokci. Dwie postaci nosiły śliniaki i szelki, trzy były w mundurach, wszystkie miały jasne włosy i zdrowe zęby. Wszystkie, oprócz siwowłosej matrony, zasiadającej na krześle z giętego drewna niczym na tronie, ze strzelbą o wyjątkowo długiej lufie spoczywającą na jej kolanach.

– Nie był bohaterem. Nie zginął na Nowej Gwinei – wyznała Celine. – W dzieciństwie to ona wciskała mi do głowy te brednie. Teraz twierdzi, że zginął podczas Bitwy o Brisbane. Dlaczego akurat teraz, skoro ukrywała to przede mną przez całe życie i wykorzystała, by mnie ukarać, kiedy pierwszy raz nie wróciłam na noc?

Nie wróciła na noc. Ciekawe, z kim była.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

– Słucham?

- Mój ojciec zginął podczas bójki w barze.
- To była bitwa – powtórzyłem z przekonaniem. – Zginęło dwóch Amerykanów.
- Zatem mój ojciec był jednym z nich.
- Czyli padł ofiarą przestępstwa. Zabiła ich żandarmeria wojskowa.
- Tak, ale kłamała. Dlaczego przez wszystkie te lata mówiła o Nowej Gwinei? Wcale nie potrzebowałam bohatera, tylko po prostu jakiegoś ojca, ale im głębiej drażę ten temat, tym bardziej on znika. – Celine zgasiła papierosa. – Nie mogę powiedzieć o tym Sandy’emu.
- „Sypiała z nim” – pomyślałem.
- Nigdy – ciągnęła. – Zrujnowałoby mi to życie.
- Splunęła w dłoń i wyciągnęła ją przed siebie.
- Miała paznokcie w kolorze jasnego cynobru. Na smukłym, opalonym nadgarstku wisiała złota bransoletka. Niewiele potrzebowałem, żeby się podniecić. Musnąłem jej dłoń, skórę i płwocinę.
- Kto chciałby się ożenić z córką wariatki?
- Ten jedyny zrozumie – odpowiedziałem, ale nie wyczuła, do czego zmierzam.
- Uważasz, że przesadzam, ale przyjrzyj się tym zdjęciom.
- Już się przyjrzałem.
- Przysunęła krzesło bliżej.
- Spójrz jeszcze raz.
- Czego mam szukać?
- Nie rznij głupka. – Jej włosy musnęły mój policzek.

– Jeden z nich to twój ojciec, tak? – spytałem, ale przecież wszyscy wyglądali podobnie, z tymi jasnymi włosami i w amerykańskich mundurach.

– A gdybym ci powiedziała, że w dzieciństwie wmawiano mi, że na wszystkich zdjęciach jest jeden i ten sam człowiek? – Spojrzała mi w oczy. To było nie do zniesienia. – Przez cały czas. Co ty na to?

– Nie wiem.

Nawet jeśli w powietrzu fruwały feromony, Celine najwyraźniej tego nie dostrzegła.

– Dzięki, Feliksie, mówisz, jak prawdziwy dyplomata, ale jeśli wychowują cię tak, byś widział coś w określony sposób, to właśnie tak to postrzegasz. Dopiero kiedy nagle wypaliła z Bitwą o Brisbane, zdjęłam te zdjęcia ze ściany, żeby się im przypatrzeć. Miałam okropnego kaca. Nie byłam w stanie niczego dojrzeć, ale kiedy matka zobaczyła, co robię, wpadła w prawdziwy szal. Ujrzałam jej minę i zrozumiałam, jak bardzo jest przerażona. Zabrałam fotografie do swojego pokoju, zamknęłam drzwi, wyjęłam je z ramek i odkryłam, że niektóre skrywają kolejne. Tymczasem matka płakała i dobijała się do drzwi.

– Co mówiła?

– Nieważne. Już nigdy się do niej nie odezwę.

Mówiła to serio? Myślałem, że nie, ale w końcu – jak już zdążyliśmy uzgodnić – nie znałem Celine i nigdy jej nie poznam.

– Wyobrażasz sobie, co moja matka zrobiła swojemu jednemu dziecku? Dlaczego tak mnie ukarała?

Jedno z moich rodziców też było nieobecne, co stanowiło dla mnie źródło nieustających cierpień. Moja matka odeszła, tylko

tyle wiedziałem. Ojciec nie potrafił o niej mówić, nie roniąc łez. Nie uważałem, że jest wariatem albo że jesteśmy dziwni, ale zawsze pilnie skrywałem ten mój sekret i nie zamierzałem się nim dzielić z Celine Baillieux.

Wreszcie zacząłem jej słuchać z autentycznym zainteresowaniem. Poznałem dom w Springvale, gdzie w ogrodzie jej dziwna matka prowadziła firmę taksówkarską. Budynek przypominał domy sąsiadów – kremowa cegła, trzy okna od frontu – taki, który nam, mieszkańcom Melbourne, kojarzył się z tandetnymi małymi pudełkami z piosenki Pete’a Seegera. Kto by przypuszczał, że w plastikowym saloniku, ciemnych korytarzykach, kuchni z jarzeniówkami i jadalni kryje się obsesyjny pomnik ku czci upadłego Amerykanina, znanego Celine jako „tata”? Oprócz siedmiu oprawionych w ramki fotografii znajdowały się tam przedziwne artefakty, na przykład muszle, spłowiały różowy bilet na tramwaj oraz odznaczenie Purple Heart, oprawione w ramkę i zawieszane obok certyfikatu poświadczającego, że kuchnia jest oficjalną siedzibą korporacji taksówkarskiej.

Ta śliczna dziewczyna potrzebowała mnie, a nie przystojnego Sandy’ego Quinna, którego serce było najwyraźniej za małe, by pomieścić jej ból. Oczywiście przyjmowanie cudzego cierpienia stało się misją życiową Sandy’ego, ale w swej ignorancji uważałem siebie za kogoś lepszego. Celine trąciła mnie w ramię. Dotknęła moich włosów. Uznałem, że mogę pocałować ją tuż za uchem.

– Przestań! – zaprotestowała gwałtownie.

Wyciągnąłem rękę, żeby pogłaskać ją po policzku, ale ją odtrąciła.

– Dzieciak z ciebie. Niewiarygodne, że wybrałam cię do zwierzeń.

Nagle pojawiły się wielkie łzy i rozmazany tusz do rzęs, a dwaj siedzący obok panowie zaczęli dociekać, czy przypadkiem „nie dokuczam pani”.

– Nie – odpowiedziała pani. – Spadajcie, pieprzone bałwany.

– Wszystko w porządku, koledzy – dorzuciłem.

– Jasne, kolego – zaszydziła Celine, gdy jej obrońcy się wycofali. – Wszystko w porządku, mały.

Odepchnęła szklankę i zaczęła szlochać.

– Jestem nieźle pochrzaniona – powiedziała.

Pochyliła się na krześle, a potem jeszcze trochę. Jej twarz była cała mokra od łez. Delikatnie mnie pocałowała. Pachniała papierosami i whisky, tusz do rzęs rozlał się na policzki, a Celine bardzo powoli całowała mnie w usta.

– Masz słodką, dobrą twarz – powiedziała. – Cieszę się, że to ciebie wybrałam do zwierzeń.

„Rozwiążę dla ciebie tę zagadkę” – pomyślałem. Uniosłem jej podbródek – rozmazany granatowy tusz, opalizujący jak muszla uchowca – i pocałowałem ją wreszcie, nie pojmując roli, w jakiej zostałem obsadzony.

10

W jaki sposób Gaby się ze mną skontaktuje? Jeśli szyfruje maile, jak, u diaska, je odczytam? Pomińcie moje uwagi o magazynie „Wired”. Nie jestem przygotowany do nowoczesnego życia.

Wraz z upływem dni zawroty głowy zastąpiła ogólna niemoc, gorsza od niestrawności powodowanej przez jedzenie na wynos. Byłem grymaśny. Niecierpliwy. Tłukłem w klawiaturę delikatnego MacBooka tak, jak kiedyś w klawisze maszyny do pisania Olivetti Valentine (dopóki jedna z liter nie odpadła). W Eureka Tower na klawiaturze szybko pojawiły się zacieki na literach „f” i „t”.

Wchodziłem do wyszukiwarki Google i na stronę LexisNexis, gdzie odkryłem, że obiekt moich zainteresowań już jako nastolatka wzbudził zainteresowanie policji. Okutana od stóp do głów w żółty kombinezon ochronny została aresztowana za gmeranie przy jakimś chemicznym świństwie.

Dotarłem do jednej z jej dawnych nauczycielek ze szkoły im. R.F. Mackenziego. Rany boskie, miała na imię Crystal! Była aktywistką, osobą postępową. Wiele godzin tłumaczyła mi przez

telefon, że szkoła im. R.F Mackenziego była niemal idealnym miejscem dla bystrej uczennicy o radykalnych poglądach. Trudno było odwieść ją od tematu. Żalobnym tonem rozprawiała o szkołach w centrum miasta, od East Brunswick przez liceum przy Bell Street po Moreland, w których postępowi nauczyciele kiedyś mieli szansę coś zmienić. Pamiętała, że Gaby Baillieux miała chłopaka, ale zapomniała, jak się nazywał. Przypomniała sobie też, że miała samozańskich przyjaciół, lecz później uznała, że to „fakty dotyczące życia prywatnego”. Przekazała mi za to dużo więcej informacji o bystrych, lewicujących nauczycielach, których wysłał ze szkół i wchłonął Departament Edukacji, kiedy laborzyści odzyskali władzę.

Dzięki samozańskiemu kościołowi metodystów w Coburg dotarłem do przyjaciółki Gaby, Solosolo. Solosolo mieszkała teraz w Sunshine, gdzie – tuż przed moim telefonem – ktoś dźgnął nożem jej starszą siostrę. Tak, Solosolo grała z Gaby w reprezentacji piłkarskiej liceum z Bell Street. Modliła się za nią. Przeprasza, ale musi zakończyć rozmowę.

Gabrielle Baillieux zniknęła z ekranu mojego komputera, póki nie odnalazłem jej na pewnym zapomnianym blogu. Teraz miała dwadzieścia dwa lata i pracowała jako specjalistka do spraw technologii w IBM. Trzy lata później niejaka Gaby Baillieux została oskarżona o wtargnięcie i celowe wyrządzenie szkód w obiekcie rządowym nieopodal Alice Springs.

Rzecz jasna, IBM ją wylał. Nie mieli wyjścia. Dwa lata temu niejaka Gaby Baillieux otrzymała posadę inżyniera czuwającego nad projektem nowej gry komputerowej w południowym Melbourne. Firma wciąż działała, ale odmówiła odpowiedzi na

pytania. Dotarłem do oceny zdolności kredytowej Gaby. Była w porządku. Nie wyszła za mąż. Nie posiadała żadnych nieruchomości, nie urodziła dzieci.

Nie znalazłem dowodów na to, że była hakerką ani na żadną inną działalność przestępczą czy polityczną. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem jej matka nie ma racji, twierdząc, że dziewczyna jest niewinna. A może znaczyło to tylko tyle, że jest bardzo dobrym fachowcem. Liczyłem na to. Chciałem, żeby naprawdę istniała.

Zadzwoiłem do sztabu wyborczego Sandy'ego w Coburg. Sandy powiedział, że bym się walił. W porządku. Zacząłem taplać się w meliznach przestępczości komputerowej, w świecie anonimowej sieci internetowej i bitcoinów. Zrobiłem sporo notatek, niczego nie rozumiałem i – chwalić Pana – zrezygnowałem z wkroczenia w mroki internetu bez zabezpieczenia.

Przestudiowałem umowę o ekstradycji między Australią a USA i przekonałem się, że wszystkie informacje przekazane mi przez Woody'ego są prawdziwe – ale co z tego? Z doświadczenia wiedzieliśmy, że Ameryka i tak robi, co zechce, a Australia, jak zawsze, zachowa się jak petent.

Widziałem Sandy'ego w CNN. Biedak, uroda przeminęła, włosy przeredzone w następstwie zmartwień i rozwodu. Z powodu dziwnej marynarki w kolorze musztardy laborzystowski poseł Sandy Quinn nabrał żalostnego, wschodnioeuropejskiego wyglądu. W „Washington Post” już skomentowali, że Gaby to produkt „Kultury zazdrości”, co było z ich strony ukłonem wobec socjalistycznego skrzydła australijskiej Partii Pracy.

Sandy wyznał, że nie widział się z córką od wielu lat, nawet nie pamięta, od ilu.

No, ale gdyby musiał pan wybierać między zdradą ojczyzny a pańską córką?

Było widać, że Sandy'emu chce się płakać. Odwróciłem wzrok od telewizora, przycisnąłem nos do szyby i uświadomiłem sobie, że przynosi mi to ulgę – zimne szkło w środku nocy.

Źle spałem.

Leżałem w łóżku i wyobrażałem sobie, że w mieszkaniu jest pełno ludzi, po czym uświadamiałem sobie, że to tylko telewizor, w którym o każdej porze można było obejrzeć ten sam materiał na temat Anioła i jeszcze raz usłyszeć amerykańskich polityków, najwyraźniej nierozumiejących, że Gaby nie jest obywatelką USA i w związku z tym nie może być dla nich ani zdrajczynią, ani patriotką. Tymczasem przewodniczący większości w Izbie Reprezentantów uznał za polityczną konieczność nawoływanie do egzekucji.

Pośród tej narastającej hysterii, gdy nad górami Dandenong zaświtał brzask, dowiedziałem się, że nadęty adwokat Gaby uzyskał pierwsze odroczenie rozprawy. Zorganizowano późnowieczorną konferencję prasową przed gmachem sądu. Gaby zachowywała się niepewnie, onieśmielona spoglądała na swojego prawnika w peruce, a ten poufale ją poklepywał, łajdak.

„Koniec czekania – pomyślałem. – Ta kobieta mnie potrzebuje”. Potem minął dzień, później drugi i jeszcze jeden. Kiedy się obudziłem, ujrzałem na kołdrze butelki, kartony po pizzy i zimne frytki.

Najpierw uznałem, że Woody się urznął i zrobił bajzel w swoim apartamencie. Nie był to bezpodstawny wniosek. Nie raz się z nim upiłem i byłem świadkiem całego spektrum zachowań, od chowania surowych krewetek w karniszach zasłon w pokoju motelowym po dzielenie się planami inwestycji w nieruchomości wartej trzydzieści milionów dolarów. Bywał arogancki, nieokrzesany lub sentymentalny, lecz zawsze pozostawał moim obrońcą i nigdy nie wstydził się popierać słusznej sprawy i jej służyć.

Ucieszyłem się, ale ani trochę nie zdziwiłem, kiedy podczas mojego procesu zaczął przyjeżdżać do sądu na każdą rozprawę. Trudno mi opisać, jakim był dla mnie wsparciem. Właśnie takie relacje łączyły nas przez całe życie. Był – co wielokrotnie powtarzał – moim „fanem”. Dopiero gdy odwróciłem wzrok od szokujących śmieci walających się na łóżku, przeczytałem wiadomości przyklejone taśmą do ścian w sypialni i dotarło do mnie, że nasz związek przeżył prawdziwe trzęsienie ziemi. Mój fan stał się moim szefem.

PŁACĘ CI ZA PISANIE, A NIE ZAŻERANIE SIĘ NA ŚMIERĆ.

Czekał na mnie przy śniadaniu, ubrany niczym papież w karminowy dres z podwójnymi białymi lampasami. Mój komputer leżał na jego obfitym podołku. Woody otwierał pliki zawierające najróżniejsze pierdoły, do których nie miał prawa zaglądać. Tajemnice zwariowanej matki Celine i jej wymyślanego ojca nie były z tego wszystkiego najgorsze.

– To tylko notatki, stary.

– Nie mogę opublikować twoich pieprzonych notatek! – wykrzyknął. – Chcę mieć pełne strony bez błędów ortograficznych i interpunkcyjnych. Zrób z niej Australijkę, na litość boską. Proszę cię, Feels, bądź równiachą.

Odparłem, iż wolałbym, żeby nie czytał moich plików.

W odpowiedzi zatrzaskał MacBooka i cisnął go na blat stołu.

– Myślisz, że mamy wpływ na przebieg śledztwa? Ile to potrwa? Pięć miesięcy? Rok? Jeśli wpłynie wnioski o ekstradycję, twoja książka musi przedtem trafić do księgarń. Widziałeś pannę w telewizji? Uważasz, że jest słodka, tak? Staje ci od samego patrzenia. Ale wierz mi, prześwietlają ją. Wywołuje strach. Nie reaguje normalnie.

– Muszę poznać szczegóły. Właśnie to przeczytałeś na moim laptopie. Szczegółowe notatki.

– To mój laptop – sprostował Woody. – A płacę ci za konkrety. Tego potrzebujemy. Rób to, co zawsze. Naprawdę pojechałeś w czasie wojny do Bougainville? Nie. A artykuł był bez zarzutu? Całkowicie. Jesteś geniuszem. Wymyśl to i, przede wszystkim, zrób tak, żeby suka wypadła sympatycznie. W porządku?

– Sympatyczna nie będzie. Jak wszyscy nietuzinkowi ludzie.

– Daj spokój, Feels. Kim był ten matolek, który siedział z tobą w sądzie i po całych dniach gapił się na twoje brudy? Kto klaskał, kiedy oświadczyłeś, że nie ma czegoś takiego jak obiektywne dziennikarstwo?

– To nie była linia obrony polegająca na zmyślaniu.

– Ekstrapolacja, tak to nazwałeś? Słuchaj swojej intuicji. Dać ci dobrą radę? Niech to nie będzie opowieść o tobie, bo wszystkich

wkurzy. Dlatego cię nie lubią i dlatego, nie obraź się, zawsze pakujesz się w tarapaty.

Było to krzywdzące, a jednak historia mecenatu wyraźnie pokazuje, że nawet najbardziej nieoświeceni i barbarzyńscy spośród sponsorów mieli ogromny wpływ na powstanie wspaniałych dzieł sztuki. Tylko dzięki tej obraźliwej przemowie wreszcie dostrzegłem kształt, jaki może przybrać ta książka.

– I, na litość boską, kup sobie jakieś ubranie!

– Czekam na kontakt od Gaby.

– Myślisz, że tak ubrany możesz chodzić na wywiady? A jeśli zaproszą cię do telewizji? Ogarnij się. Kup też skarpetki. No, idź. Poczekam tu na ciebie.

Tak zrobiłem. Pierwszy raz od czterdziestu lat przeszedłem przez most przy Swanson Street i zacząłem płynąć przez meandry czasu, dokładnie wiedząc, gdzie jestem, a jednocześnie nie mając na ten temat zielonego pojęcia. Postanowiłem pójść Flinders Street do Henry'ego Bucksa, żeby minąć zabalsamowane szczątki siedziby dziennika „Herald” (w którym byłem kiedyś tak ostro cenzurowany). Przed jego zamkniętymi drzwiami ostry wicher pomiał papierkami po cukierkach.

Czasami śni mi się „Herald” taki, jaki był przed laty: marmury, lastryka, dębowa boazeria, pogwizdujące i buczące przewody wentylacyjne nad głową. Wszędzie kopiści i kopistki z ubrudzonymi kalką policzkami. Ludzie goniący za trudnymi do ogarnięcia sprawami. Jedni ruszają prosto do rozklekotanych wind. Inni, mężczyźni w kapeluszach, przemykają obok recepcji i wybiegają przez wahadłowe drzwi.

Pierwszy raz przekroczyłem progi tej świątyni, trzymając w ręku szarą kopertę ze zdjęciami wszystkich domniemanych ojców Celine. Byłem całkowicie pewien, że jeden z nich okaże się tym prawdziwym. Wyjaśniłem cel mojej wizyty recepcjonistce, która najwyraźniej nie potraktowała mnie serio.

Czekałem. Nie poszedłem na wykład z fizyki. Później z fizykochemii. Kiedy zegar wybił jedenastą, czyli w porze, gdy profesor R.D. Brown z całą pewnością stał już z tablicy wszystkie swoje upiorne równania, ujrzałem wyprostowanego jak struna faceta w bajeranckim garniturze, który wbiegł przez wahadłowe drzwi do recepcji. Był to – choć wtedy nie znałem jeszcze jego nazwiska i stopnia – kapitan Stackpole. Najwyraźniej kogoś we mnie rozpoznał, odpowiadałem jakiemuś rysopisowi. Wskazał na mnie palcem i pytająco uniósł brew.

– Thomas Ryder?

Wstałem. To wystarczyło.

– Za mną – rzucił, zawracając ku drzwiom. Ruszyłem za nim. Bałem się. Podążyłem po schodach w dół, po schodach w górę, korytarzami, aż do gabinetu, gdzie ujrzałem jego nazwisko bardzo wyraźnie wypisane na drzwiach.

Co mógł mi zrobić?

Był niskim mężczyzną, bardzo schludnym i energicznym. Miał dołek w brodzie, wojskowy wąs i wpiętą w klapę brązowej marynarki odznakę RSL. Wskazał mi krzesło, ale nie chciałem tracić ani chwili i pokazałem mu zdjęcia ojców Celine.

– Co to?

– Muszę porozmawiać z fotoedytorem.

– Z archiwistą?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – Rypnął fajką w popielniczkę. – Nazywasz się Thomas Ryder.

– Felix Moore, proszę pana.

– Powiedziałeś, że Thomas Ryder.

– Nie.

– Nie?

– Nie, kapitanie Stackpole.

Spojrzał na mnie wojowniczo. Sięgnął po telefon. „O, kurwa – pomyślałem. – Rozmyślił się”.

– To miejsce to cholerny cyrk – rzucił, odepchnął zdjęcia, chwycił mnie za rękę i poprowadził schodami do holu, a stamtąd do drzwi z przytwierdzoną pinezką karteczką „ABBOT”. Trafiłem do dużego pokoju, który przypominał składzik mojego ojca z częściami zamiennymi: szare, stalowe regały z wywierconymi w równych odstępach otworami, od podłogi do sufitu, głębokie półki, jedna metr nad drugą, zavalone czymś, co teraz nazwałbym pudłami z archiwami, szarymi lub w kolorze słomy, z rogami zabezpieczonymi metalowymi okuciami.

Kapitan Stackpole prowadził mnie między regałami i gniewnie wykrzykiwał nazwisko panny Abbot.

Wreszcie ujrzałem za rogiem archiwistkę „Heralda”, siedzącą na najwyższym stopniu drabiny na kółkach. Sunęła na niej, odpychając się rękami obleczonymi w białe rękawiczki. Mimo że znajdowała się tak wysoko, od razu zauważyłem, że ma na czym usiąść, a jej nogi są długie i proste.

– Herr Steckenpoo! – zawołała, schodząc z drabiny.

W czasach tapirowanych fryzur jej czarne włosy szokowały radykalizmem, nie tylko dlatego, że były krótkie i przyczesane, lecz także dlatego, że stanowiły zapowiedź przyszłych mód. Była przystojną kobietą z wysokimi kośćmi policzkowymi i szczęką heroiny. Erotyzm podkreślały zmrużone oczy, podpuchnięte, co świadczyło, że musiała być bardzo niegrzeczna.

– Cześć, stary – rzuciła i wyciągnęła do mnie rękę. Służbowa biel rękawiczki skrywała sztywność protezy.

– Panno Abbot, pomoże pani temu młodzieńcowi?

– Kapitanie Steckopopo, do usług.

– Oj, doigra się pani, panno Abbot.

– Tak, ale nie z panem. Czym mogę służyć, kolego? – spytała panna Abbot, pozostawiając kapitana Stackpole' a samemu sobie. – Pokaż, co ty tam masz.

Miała śliczny, zuchwały i harmonijny chód. Nawet jeśli jej zadek nie był mały, to nie nosiła gorsetu i dlatego cudnie było mu się przyglądać.

Umościła się przy długim i wysokim stole. Miała pełne uda i kształtne łydki.

Podąłem jej szarą kopertę. Od razu wysypała na stół jej zawartość.

– Niech no na to zerknę – powiedziała i lewą ręką (tą bez rękawiczki, smukłą, z długimi palcami) podzieliła zdjęcia na różne kategorie.

– Jeden z nich jest moim tatą – skłamałem. – Nie wiem tylko który.

– Nie możesz go o to spytać?

Nie odpowiedziałem, ale najwyraźniej dostrzegła mój smutek.

– Ach, tak – westchnęła. Panna Abbot odznaczała się żywą inteligencją, której nie przeczyły zapuchnięte oczy.

– Może mi pani pomóc?

Delikatnie dotknęła mojego barku.

– Jak nikt inny. Dobrze trafiłeś.

Zdjęcia zostały podzielone na pięć kupek. Pierwsza zawierała odbitki, które – jak sądziłem – zostały już kupione od „Heralda”. Panna Abbot spisała numery zaznaczone ołówkiem na odwrocie.

– Poczekaj – rzuciła. Słyszałem odgłosy kółek drabiny toczącej się między regałami. Później cisza. A potem panna Abbot wróciła z nazwiskami wszystkich czterech żołnierzy oraz datami i miejscami, gdzie zostali sfotografowani.

„Jestem geniuszem – pomyślałem. – Wygram. W piątek zaproszę Celine do Purple Eye Jazz Club”.

Panna Abbot wzięła czystą kartkę papieru i narysowała tabelkę. Opisała wszystkie zdjęcia oprócz jednego, pożółkłego wycinka, który włożyła z powrotem do koperty.

– A co z tym?

– To nie jest twój tata.

– Skąd wiesz?

– Jankesi byli z reguły śliczni – odpowiedziała. – W Melbourne nie powinnam mówić takich rzeczy, bo nazwą mnie dziwką, ale byli prawdziwymi dżentelmenami. Miałeś bardzo przystojnego tatusia i nieważne, który z nich się nim okaże.

Ten ojciec pojawił się w „Argusie” między 1942 a 1946. Ten był w „Age” po 1943. Zdjęcie tego tutaj na pewno zamieścili w „Life”. W bibliotece publicznej w Melbourne przechowują oprawione roczniki, więc powinienem natychmiast tam pójść. Jankesi

przystąpili do wojny cholernie późno, więc mam do przejrzenia ledwie dwieście wydań.

Wpatrywałem się w zawadiackiego amerykańskiego żołnierza częstującego jabłkiem roześmianą dziewczynę i zastanawiałem się czy „to” zrobili. Panna Abbot położyła lewą dłoń na moim nadgarstku.

– Nie rób wyrzutów swojej mamie – powiedziała.

– Dobra.

– Nie słuchasz mnie. Wszyscy baliśmy się, że zginiemy i wszyscy robiliśmy mnóstwo głupstw. Jeśli twoja mama popełniła błąd, wybacz jej. Wie, że się tym interesujesz? Twoja mama.

– Nie za bardzo.

Wpatrywała się w moją twarz. Nie wiedziałem, jak zareagować. Wzięła z dolnej szuflady dużą, białą kopertę, z której wyjęła błyszczące, czarno-białe zdjęcie w rozmiarze 10x8. Widywałem już takie fotografie wcześniej – wyzwolenie jakiegoś miasta w Europie, amerykański czołg, pełno żołnierzy i śliczna dziewczyna z potarganymi, kruczoczarnymi włosami. Była fotografką. Na szyi miała dwa duże aparaty. Tryumfalnie machała rękami. Obok stał przystojny żołnierz z wilczym uśmiechem, który – co stwierdziłem zszokowany – trzymał obydwie dłonie na jej piersiach.

– Kapujesz.

– Tak – odpowiedziałem, ale dopiero gdy schowała zdjęcie, dotarło do mnie, że ta piękna fotografka to panna Abbot.

– Bądź miły dla swojej mamy – poradziła mi. – To były inne czasy.

Zapisała wszystko na kartce i wsunęła ją do koperty wraz ze zdjęciami, które wziąłem od Celine.

– Wiesz, gdzie jest biblioteka publiczna? Jasne, że nie wiesz.

Poprowadziła mnie schodami, a potem przez newsroom do holu. Minęliśmy recepcjonistkę z tapirowanymi, polakierowanymi włosami, po czym przeszliśmy razem jeszcze dwie przecznice, aż do Swanston Street.

– Idź prosto – poinstruowała mnie. – Biblioteka mieści się na rogu La Trobe Street, po prawej stronie. Jak skończysz, możesz pójść obejrzeć Phara Lapa. Wiesz, kim był Phar Lap?

– Koniem, który zginął.

– Zgadza się. Palisz, koleś?

Powiedziałem, że tak. Poczęstowała mnie cravenem „A”, którego mi przypaliła.

– Odwiedź mnie kiedyś – zaproponowała, gdy z trudem powstrzymywałem kaszel. – Powiesz mi, który z tych byczków to on.

Później mnie pocałowała, tak jakoś dziwnie, w usta.

Powinienem był pójść na wykłady, ale nie wahałem się ani chwili. Ruszyłem do biblioteki z żarzącym się cravenem „A”. Wiał gorący, północny wiatr i wśród spalin wyczuwało się zapach pożaru buszu.

Byłem podekscytowany i szczęśliwy, bo moje śledztwo zakończyło się sukcesem, aż tu nagle, przechodząc przez Bourke Street, poczułem niewypowiedziany smutek.

Wtedy było to dla mnie zagadką, ale teraz już znam powód – łyzy w moich oczach wywołał smak szminki, jaki czułem w ustach,

idealnie zachowany smak matki. Odczułem wtedy pustkę, tak jak teraz, kiedy idę kupić garnitur do Henry'ego Bucksa.

11

Wróciłem ze wspaniałym jedwabno-kaszmirowym garniturem, ale wciąż nie docierało do mnie, że podpisałem umowę z deweloperem, a nie z wydawcą. Nadal nie mogłem przywyknąć do myśli, że Woody jest moim szefem. Powiedziałem, żeby na mnie zaczekał, ale kompletnie zignorował prośbę. Wysłałem mu zjadliwy mail.

Ledwie po chwili odkryłem, że zamknął na klucz piwniczkę na wina o kontrolowanej temperaturze i w lodówce zostawił mi marną puszkę piwa Foster's.

Kiedy się zorientowałem, że znowu grzebał w moim komputerze, napisałem do niego kolejnego maila, zwracając uwagę, że tak się nie robi. Gdybym był jego chirurgiem, to czy oczekiwałby, że pomoże mi wysterylizować skalpel?

Wciąż nie odpowiedział na pierwszą wiadomość, ale nie mogłem tak pracować. Otworzyłem konto na Dropboksie, ukryłem ikonkę i przenieśliem wszystkie swoje pliki tam, gdzie nie mógł już w nie wejść. Taki byłem naiwny. Na pewno chcesz usunąć plik o nazwie Anioł z twardego dysku? Tak, tak i jeszcze raz tak. „Dawaj, Harry!”, jak by powiedział mój ojciec.

Czy moja informatorka była zbyt ważna, żeby rozmawiać ze mną tak od razu? Wybaczyłem jej. Miałem co robić. Deksamfetamina Woody'ego była przeterminowana i smakowała jak dropsy owocowe. Chce, żebym zdał się na intuicję. Potrafię o wiele więcej. Już miałem w głowie nieznane nikomu innemu elementy tej historii. Książka będzie bardziej szczerą, niż mój sponsor mógł sobie wymarzyć.

Nad Cudownym Melbourne zapadł zmierzch, Wodonga wciąż nie odpowiedział na moje maile, ale miałem to w dupie. Byłem nabuzowany. Pracowałem całą noc i cały następny dzień. Gdy zapadł kolejny zmierzch, uznałem, że lepiej zrobić sobie przerwę, niż dostać zawału. Schodzenie z haju jest okropne. Już czułem łzy w gardle. Cała moja pogrzebana przeszłość zrobiła się lepka, przesycona jak wyświechtany aksamit albo zwiędłe róże. Łyknąłem valium i dwa temazepamy i położyłem się na łóżku z laptopem ulokowanym na piersi niczym rentgen.

Ledwie po dwóch godzinach obudziłem się i stwierdziłem, że o szyby wali grad z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przeczytacie o tym w archiwalnych egzemplarzach „Age”. Wszystkich mieszkańców Melbourne obudził szcęk lodowych kulek, tymczasem w laminowanej Eureka Tower było tak cicho, że ledwo słyszałem głosy dobiegające z sąsiedniego pokoju.

Dochodziła trzecia nad ranem. W kuchni otwartej na salon zobaczyłem bosą Celine, która paliła papierosa, sączyła whisky i robiła bałagan w aktach i papierach leżących na blacie. Rzuciła dwa kartony na kuchenkę. Zaskakujące było to, że taka sprawna i zorganizowana osoba nosi swoje skumulowane życie niczym

bezdonna – spłowiałe dokumenty, wgniecione kartony, wszystkie bebeczy na wierzchu.

– Cześć – rzuciłem.

Zmarszczyła brwi.

Traktuje mnie chłodno czy jest po prostu zmęczona? Dlaczego jest bez butów?

Tymczasem Wielki Wodonga siedział przy moim biurku, przy którym śmiało zmieściłby się Lucian Freud. Potężne uda sprawdzały wytrzymałość opiętych spodni. Pochylał się nad laptopem, którego najwyraźniej oswobodził z mojego uścisku niczym pluszowego misia z objęć śpiącego dziecka.

– Skryba – rzucił sarkastycznie. Zatem znowu wczytywali się w moje notatki i spotkał ich los wszystkich szpicli – zasmuciło ich to, co odkryli.

– Gdzie moja rozmówczyni? – spytałem stanowczo. – Czy to prawda, że nie możesz mnie z nią skontaktować?

Można by to nazwać zagrywką taktyczną. Z przyjemnością zauważyłem, że wpłynęła na zmianę ich nastawienia.

Woody oddał mi komputer, a Celine powiedziała:

– Nie, nie, ale zrozum, że to nie takie proste. Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Powiniennem odpocząć. Powiniennem się przespać. Muszę poczekać do poniedziałku, chociaż to Wielki Poniedziałek, więc pewnie minie jeszcze kilka dni, zanim porozmawiam z Gaby.

Woody ziewnął i wstał. „Wróci do domu, do swojej nowej fotogenicznej rodziny” – pomyślałem, tymczasem wyciągnął się na czterometrowej, „dizajnerskiej” sofie. Wkrótce dołączyła do niego Celine. I tak leżeli, nie dotykając się, lecz na tyle blisko, by

przebiegał między nimi prąd. Faktycznie „pozostawali w kontakcie”. Pieprzyła się z tym brutalem? To dlatego Wodonga zajął się tą sprawą? Miał łeb wielki jak sklep i ohydne stopy, nawet w skarpetkach. Za to jej stopy – Jezu, były równie oszałamiające jak kiedyś, tyle lat temu, na niebieskiej pluszowej narzucie w Springvale. Rzecz jasna Celine była jedną z tych piękności, które starzeją się niczym cenny materiał, prany i płukany dzień po dniu i rok po roku, którego czerwienie przemieniają się w róże, a błękity niemal w biele.

W mroku za oknem grad na pewno już się topił, a kłębiące się chmury odpływały znad równin na wschód, przesuając się zapewne nad „bezpieczną kryjówką” Gabrielle Baillieux i jej elektroniczną obrozą.

Zastanawiałem się, co mogło być taką bezpieczną kryjówką i wyobrażałem sobie jej smukłą łydkę.

Woody westchnął. Wzrok miał ciężki i chmurny. Coś, co napisałem, musiało go naprawdę wkurzyć. Kiedy wreszcie przemówił, zabrzmiało to nieprzyjemnie:

– Mogę ci dać dobrą radę, stary?

– Wszyscy musimy czekać na Gaby – przerwała mu zaniepokojona Celine. – Nawet ja. Jej fani muszą nam dać zielone światło.

– Czyli nie spotyka się nawet z tobą?

– Odpuść, Felix – burknął Woody.

Ale to nie do niego mówiłem. – Twoja córka nie chce się spotkać z tobą? Czyli koniec. Woody wyłożył kasę, a ona nawet z tobą nie chce rozmawiać.

Woody zmrużył oczy, ale wciąż byłem zbyt nawalony, żeby zachować ostrożność. – Jeśli nie dostarczycie mi Gaby, to nie mam tu nic więcej do roboty.

Dlaczego tak skłamałem? Sam nie wiem. Żeby go podpuścić? Przejąć kontrolę? W każdym razie nie był to dobry pomysł. Woody zadrżał jak koń. Rozpoznałem te objawy. Za chwilę zaczną przytupywać. Już wiedziałem, że źle się to skończy. Jeszcze zanim zrobił z dłoni pistolet, zrozumiałem.

No i go zobaczyłem, pięciopalczasty pistolet wycelowany prosto w moją głowę. Już najwyższy czas, by Felix Moore powiedział dobranoc.

12

Rankiem po Woodym nie było ani śladu, ale nad włączoną drukarką ujrzałem bladą jak trup Celine ubraną tak samo, jak poprzedniego wieczoru. Jej fryzura przypominała wysuszoną łąkę, na której wcześniej spały dzikie zwierzęta. Rzuciła mi ciężkie spojrzenie zza dużych, ciemnych szkieł.

Każdy inny domyśliłby się, że okulary przeciwsłoneczne skrywają podbite oko. Ale nie ja.

– Wybieramy się na plażę? – spytałem i sięgnąłem do nich. Odepchnęła rękę.

Każdy z odrobiną oleju w głowie domyśliłby się, że ją uderzył. Ja dostrzegłem jedynie to, że próbuje wykraść moje notatki. – W takim razie oddaj mi tę torbę – powiedziałem.

– Muszę przeczytać to, co napisałeś.

Zapanowałem nad sobą. Milczałem, kiedy wynosiła moje notatki do łazienki. Czekałem na odgłos prysznic, ale usłyszałem jedynie zgrzyt klucza w zamku i furkotanie suszarki. Zaparzyłem kawę, spokojnie ustawiłem talerze na blacie, wyjąłem mleko i płatki. Niedługo potem ufryzowana Celine stanęła w okularach przy barze i zaczęła przypatrywać się poczęstunkowi, jaki jej

zapropnowałem. Sypiała z nim, byłem tego niemal pewien. Zawsze był brutalny wobec kobiet.

– Feliksie – przemówiła w końcu. – Byłeś dużo bardziej uroczy, niż ci się zdaje. Miałeś osiemnaście lat. Było w tobie tyle życia. Dlaczego teraz chcesz mnie zdradzić?

Dobra, wspomniałem w notatkach o jej matce wariatce. Przeczytała to? Mógłbym to zmienić. Nie było powodu do hysterii.

– Zostań, Celine. Nie zdradzę cię.

– Nie będziesz chciał, ale trzymaj się z daleka od Woody’ego.

– Jesteś zdenerwowana. Oddaj moje notatki.

– Pewnie, kurwa, że jestem ZDENERWOWANA. Nie masz pojęcia, w co się wdałeś. Nie rozumiesz? On gra dla nich.

Była to jedyna rzecz, której nie można było powiedzieć o Woodym. Stał u mego boku w mroczne dni w listopadzie 1975 roku. Wspierał mnie w przygotowaniach do roli prowadzącego „Radio dla kierowców”, a gdy doszło do katastrofy, przeniósł mnie w bezpieczne miejsce. Nie był zdolny do gier dla drugiej strony.

– Ja cię w to wciągnęłam – wyjawiała Celine. – Lecz zasady gry uległy zmianie.

Zamierzałem uratować moje notatki, ale w jakiś sposób mnie przechytrzyła.

– Zaraz wrócę – rzuciła, a po chwili zabrzączała winda i wraz z nią odjechały moje zapiski. Gdy zjeżdżały w mrok, wschodzące słońce okraśliło brzegi rzeki Yarra i przemieniło biurowiec w żółte lustro. Właśnie wtedy przypomniałem sobie Woody’ego celującego do mnie z wyimaginowanej broni. Ujrzałem wtedy tę skrytą, pełną pasji postać, człowieka, któremu zamordowali ojca. Kark mojego przyjaciela, jego usta i szerokie ramiona sugerowały

istnienie seksualnego półświatka, którego nigdy nie chciałem poznać, lecz tamtego ranka odtworzyłem w pamięci zeznania jego pierwszej żony, złożone na rozprawie rozwodowej. Pierwszy raz przyszło mi do głowy, że mogła mówić prawdę.

Tego dnia nad Melbourne wisiało zimne niebo, na wzgórzach kwitły akacje. Gdy stacja przy Flinders Street przemieniała się w złoto, napisałem ostrożny mail do Wodongi Townesa, w którym wyraziłem żal z powodu wszelkich przykrości, jakich przysporzyłem jemu i Celine. Nie wiedziałem, co złego zrobiłem, ale przeprosiłem. Niczego nie zataiłem. Przyznałem, że byłem ślepy i lekkomyślny. Nie mam pojęcia, ile było w tym prawdy. Mogę tylko założyć – napisałem – że natknęli się na owoce paru ostatnich tygodni mojej pracy, które wydałyby się mu mniej groteskowe, gdyby zrozumiał, że sporządziłem te notatki pod wpływem jego deksedryny. Płaszczyłem się. Przyznałem się do ohydnie wybujałej ambicji i pragnienia, by mój artykuł był „okazały” i „wielowątkowy”. Wyjaśniłem, że zdrowy rozsądek podpowiedział mi, że nadmierna liczba informacji sprawiałaby wrażenie zbyt osobistego podejścia do tematu. W odniesieniu do mojej nadinterpretacji dotyczącej stosunku Gaby do matki napisałem, że posunąłem się za daleko.

Był to typowy list, w którym się kajam i który powinienem był wielokrotnie wysyłać w przeszłości. Czołgałem się w swoim zwykłym stylu. Na koniec powtórzyłem, że jestem okropnym człowiekiem.

Wysłałem mail i wziąłem prysznic. Następnie włożyłem nowe ubranie, co – jak przypuszczałem – ubawi mojego oddanego fana, jak wróci do mieszkania. Składała się na niego również

niedorzecznie droga koszula. Akurat walczyłem ze spinkami, których się w niej nie spodziewałem, gdy usłyszałem pukanie. Wcześniej nie wiedziałem, że gdzieś tam są drzwi, do których można zastukać, ale wreszcie je znalazłem, w nieużywanej pralni. Gdyby nawet znajdował się tam włącznik światła i tak nie mógłbym go dojrzeć. Nie było nawet judasza.

– Kto tam?

– Felix? – odezwał się zdyszany męski głos.

– Kto tam?

– Chryste, to ja, George. Zaraz padnę.

Jaki George? Nie znałem żadnego George'a. Ktokolwiek to był, mógł zejść na dół i zgłosić się do konsjerża. Po chwili, rzecz jasna, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie na to czekam. Na drzwiach był mosiężny haczyk z blokadą. Umieściłem haczyk na zaczepie i uchylilem drzwi.

Zobaczyłem brzydką, zieloną koszulę i mignęło mi przez moment jakieś owłosione ramię. Przez wąską szczelinę ten ktoś wsunął wizytówkę ze złotym obramowaniem. Zaproszenie na ślub? Może i dobrze się domyśliłem, lecz w tej konkretnej sytuacji wizytówka posłużyła podważeniu blokady drzwi. Później rozpętało się piekło. Naparł na mnie jakiś krępy, łysiejący facet z przepoconą brodą.

– Nie! – zaskrzeczałem.

Upuściłem spinki. Chwyciłem mop i dźgnąłem go w brzuch. Wyrwał moją broń, złamał ją o swoje wielkie, nagie kolano i zaatakował jej śmiercionośnym końcem. Stałem na spince i rozciąłem sobie stopę.

– Nie rób mi krzywdy.

– Ty głupia cipo, nikt cię nie skrzywdzi.

Wycofałem się do salonu. W kuchni były ostre noże, ale oczywiście szybko by mi je odebrał.

ZHAŃBIONY DZIENNIKARZ ZADŹGANY NA ŚMIERĆ.

– Do kurwy nędzy, uspokój się. Przyszedłem, żeby cię do niej zabrać. Masz jakiś notatnik?

Wyciągnąłem spinkę ze stopy. Wepchnąłem do kieszeni długopis i książeczkę czekową. Stałem plecami do steinwaya.

– Do niej?

– Fajna chata – ocenił. – Serio z ośmioma miejscami parkingowymi?

Spytałem, kto go wynajął, ale jego myśli zaprzętały inne sprawy.

– Nie mam zamiaru pokonywać dziewięćdziesięciu półpięter. Możemy zjechać windą wprost do garażu?

– Nie wiem, kim jesteś.

– Już się przedstawiłem. George. Myślałem, że mnie pamiętasz. George Olson. Z Cottles Bridge.

– Byłem tam trzydzieści lat temu.

– Stary, nie przyszedłem tu na pogawędkę. Daj ten pierdolony klucz do tej pierdolonej windy.

Ale przecież nie potrzeba było klucza, więc po chwili zjeżdżałem windą w towarzystwie intruza, który cuchnął starymi szmatami do podłogi, potem, papierosami i depresją. Nie takiego kontaktu się spodziewałem.

– Zabierasz mnie na spotkanie z pewną młodą damą?

– Zgadza się, koleś. Musisz się schować, kiedy będziemy wyjeżdżali, w porządku?

– Do bezpiecznej kryjówki?

– Tak jest.

Nie miałem wyjścia, musiałem mu zaufać. Wyjaśnił, że musi przykryć mnie kocem, „jak klatkę z papugą”. Byłem bardziej podekscytowany niż przestraszony. Spotkam się z Aniołem bez pomocy jej matki. Uścisknę jej dłoń. Za tym kocem kryła się pewna logika. W końcu byliśmy ledwie pięć minut od chłoptasiów na usługach CIA, siedziby ASIO, australijskich służb specjalnych przy St Kilda Road. A była to jedna z około sześciu państwowych i korporacyjnych „agend”, które, jak sądziłem, miały mnie na oku. Kiedy wyszliśmy na parking, z ulgą zauważyłem, że tuż przy windzie stoi trzydziestoletni holden sedan w kolorze pudru.

– Jesteś garncarzem? – spytałem, ale akurat zaczął grzebać w bagażniku, przerzucając stertę mało zachęcających dzianych dywanów i narzut. W końcu wybrał podejrzenie wyglądający cytrynowy koc i rozpostarł go, jakby chciał sprawdzić rozmiar.

– W porządku? – spytał. Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdyż wcześniej owinął mi nim głowę. – Tylko nie panikuj – rzucił.

Martwiłem się głównie o garnitur.

– Jak długo mam być taki przykryty?

– Póki się nie rozpędzimy.

Wypowiadając te słowa, drań uniósł mnie w górę. To wtedy, w jego żelaznym uścisku, zrozumiałem, że zostałem porwany. Krzyknąłem z przerażenia.

– Zamknij się! – wrzasnął i cisnął mnie do bagażnika.

Kiedy pracujesz dla dewelopera, spotykają cię właśnie takie rzeczy.

13

Byłem skończonym idiotą. Teraz umrę, bo nie byłem w stanie przyjąć do wiadomości oczywistej prawdy, którą znałem od zawsze, że mój największy fan jest zdolny do wszystkiego.

Jakież to żałosne, że dałem się wplątać w jego romanse. Nawet nie miałem pojęcia, w czym zawiniłem ani dlaczego Celine jest taka wystraszona, a jednak zginę, i moje praworządne córki nie będą miały pojęcia, że jednak byłem kimś więcej niż tylko pijanym podpalaczem. Nigdy nie zobaczą mnie w porządnym garniturze. Nie domyślą się, jak bardzo je kochałem ani jak bardzo cierpiałem i nie zdołają wyobrazić sobie zapachu wewnątrz odciętej od dostępu powietrza trumny, woni mokrej juty i pleśni, smrodu prawdziwej zbrodni w Melbourne. Mój ojciec odkupił kiedyś używanego holdena i znalazł w nim ukryte w drzwiach 10 000 dolarów. Ponieważ był to holden, drzwi wypełniły się wodą i forsa przemieniła się w pulpę, która cuchnęła właśnie tak. Dusłem się. Znalazłem lewarek do wymiany kół i zacząłem tłuc nim w klapę bagażnika. Samochód zwolnił, gwałtownie przyspieszył, a potem zjechał z drogi. Usłyszałem, jak kierowca otwiera i zatrzaskuje drzwi.

Zgrzyt kluczyka w zamku. Uchylona klapa. Skrawek jasnoczerwonych ust mojego porywacza.

– Duszę się.

– Jeśli jeszcze raz uderzysz moje auto, rozszarpie ci to pierdolone gardło – rzucił z mrożącym krew w żyłach spokojem. – Rozumiemy się? Słyszałeś, co powiedziałem?

– Tak.

– Co cię, kurwa, napadło? Odwaliło ci?

– Duszę się.

– Masz – wcisnął przez szparę papierową torebkę.

– Co to?

Kiedy dotarło do mnie, co znajduje się w środku, pędziliśmy autostradą i miałem świadomość, że już po mnie. Wódka, która miała mi dodać odwagi przed egzekucją. Będzie to zabójstwo na zachodnich przedmieściach, choć popełnione na wschodzie miasta, pewnie pistoletem do gwoździ, kupionym w promocji w supermarkecie budowlanym Mitre 10 w Thomastown – sześciocalowe gwoździe w mojej czaszce.

Co byście zrobili na moim miejscu? Jednym przyciśnięciem wybrałem numer Woody’ego, ale miał wyłączony telefon. Wszyscy się z niego podśmiewaliśmy. Żartowaliśmy, że Ważniak wie, gdzie pochowane są ciała. Teraz piłem jego wódkę i modliłem się, żeby wyziewy z rury wydechowej zabiły mnie, zanim osiągniemy cel podróży. Zadzwoiłem jeszcze raz.

Mój porywacz pruł przed siebie, a ja w tym czasie zatelefonowałem do Woody’ego ze dwadzieścia razy. Nagle zjechaliśmy z autostrady, a potem – ledwie godzinę jazdy samochodem od Moroni’s – asfalt się skończył i zaczęliśmy

podskakiwać na jednej z tych polnych dróg, które kiedyś pozwalały mi udawać, że czmychnąłem z przedmieść. Powinienem być zadzwonić do córek, ale bym się rozplakał. Przecież nie mogły wiedzieć, co symbolizuje polna droga. Były dziećmiakami z miasta. Rozbawiłaby je sama myśl, że ich ojciec rąbał drewno.

Zastanawiałem się, czy porywacz zatrzyma się, żeby kupić pistolet do gwoździ, czy załatwił to już wcześniej. Droga była bardzo wyboista; marzyłem, by po jednym z podskoków stracić przytomność. Jeszcze raz zadzwoniłem do Woody'ego.

– Czołem, Feliksie, gdzie jesteś?

– W samochodzie.

Roześmiał się, sadyistyczny łajdak.

– Woody, nie chciałem sprawiać przykrości Celine.

Długa cisza.

– To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Znów chwila ciszy i wreszcie:

– Wczoraj sprawiałeś inne wrażenie.

– Jestem okropnym człowiekiem.

– Feliksie, przestań już. Płaszczysz się od trzydziestu lat.

– To prawda.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że mógłbym opowiedzieć ludziom o tej aferze z „Radiem dla kierowców”?

– A konkretnie o czym?

– O kurzym gównie.

– Stary, nie zrobiłbyś tego.

Zrobiłby, drań. Trzymał w szafie dowód na moje moralne tchórzostwo i, zmuszony okolicznościami, byłby brutalny. W sekundę mógł rozbić w pył moją lewicową reputację.

– Myślę, że nie nadaję się do tego przedsięwzięcia, Woody.

– Chyba nie chcesz zdezerterować?

– Oddam ci pieniądze.

– Feels, podpisałeś umowę, do cholery.

Jezu.

– Nadal chcesz, żebym o tym napisał?

– W przeciwnym razie dlaczego miałbym cię znosić?

Nie mogłem go spytać, dlaczego wciąż przebywam w bagażniku.

– Jestem gotowy – odpowiedziałem. O ile chcesz to kontynuować, stary. Ja bardzo chciałem, w każdym sensie.

Czyżby się zaśmiał? Trudno było to ocenić.

– To dobrze – rzucił. – Bo nie chcemy nieporozumień.

– Tylko jedna rzecz.

– Muszę kończyć. Wylatujemy.

– Woody, może jest coś, co chciałbyś odwołać?

Ale się wyłączył, a kiedy zadzwoniłem do Celine, odezwała się poczta głosowa.

Nigdy przedtem nie korzystałem z nawigacji, ale miałem nowiutkiego iPhone'a, który podpowiedział mi, że właśnie minęliśmy Eltham, gdzie ja i Claire daliśmy początek naszej rodzinie. Długie weekendy sadzenia małych drzewek, samochody kombi na okrągło pokryte żółtawym kurzem, zapach akacji i ostrowoń czarnych porzeczek dochodząca z głębokich, porośniętych buszem parowów, wiejscy bitnicy z Eltham i Cottles Bridge obwąchujący sobie nawzajem tyłki. W tamtych czasach prowadziłem kronikę policyjną i mieszkalem w dzielnicy domów z cegły z łupkowymi podłogami. W ogólnie rozumianym

„sąsiedztwie” zdarzała się duża liczba zrad, ale niewiele morderstw. Eltham było rykowiskiem, niczym gorszym.

Zadzwoiłem do Woody’ego. Nie było go. Pociłem się w miejscach intymnych. Samochód stanął. Opróżniłem butelkę tej ohydnej wódki, w ręku trzymałem lewarek, więc kiedy porywacz uchylił klapę bagażnika, leżałem tam skulony, z obolałym kręgosłupem i podkurczonymi łydkami.

– Feliksie! – Porywacz przejął ode mnie lewarek i pomógł wygramolić się z bagażnika, podtrzymując drugą ręką za łokieć, po czym cisnął lewarek do środka.

– Pamiętasz dupę o nazwisku Skye Olson?

– Jesteś jej mężem.

– Synem, durniu.

Splunął mi pod nogi i wdrapał się za kierownicę. Przypomniałem sobie chłopca z wywiniętą górną wargą i oskarżycielskim spojrzeniem dużych, ciemnych oczu.

– I co teraz? – spytałem.

– Ja spadam do domu.

– A ja?

Było to otwarte zaproszenie, by odpowiedział, żebym poszedł się jebać. Tymczasem wskazał ręką wzgórze, gdzie dwie blade koleiny wyżłobione przez koła nagle się urywały, co wskazywało na gwałtowny incydent z udziałem auta z napędem na cztery koła.

14

Czterdzieści pięć kilometrów od galerii handlowej GPO w Melbourne przeciąłem wąski strumień i natknąłem się na spalonego jeepa z rozbitymi ślepiami, które zarosły dzikimi jeżynami. Natychmiast wyobraziłem sobie wszystkie czekające mnie opcje – nie tylko siepaczy Woody’ego, ale też rozwścieczonych „fanów” Anioła, którzy tylko czekają, żeby dopaść reportera „mediów głównego nurtu”.

Nie byłem odważny. Nigdy nie twierdziłem, że jestem. Wyżłobioną przez koła aut koleinę skryły akacje i inne rośliny, które odrosły po pożarze buszu. Przypominało to Eltham z lat 50., gdzie takie drogi prowadziły do domów zamieszkałych przez komunistów, zwolenników wolnej miłości, artystów i innych różnej maści popaprańców. Za rozwalonym płotem rosły porowate brzozy. Nie było ścieżki, jedynie kawałek niebieskiego sznura mógł coś wskazywać, i to tylko tym, którzy znali to miejsce. Dzieci pozostawiły gryzmoły na białej korze. Na ziemi wały się połamane kredki. Dlaczego wyglądało to tak ponuro? Dalej wznosił się pagórek z grupą smukłych eukaliptusów o białej korze. Z jego wierzchołka rozpościerał się widok na morze pnący,

które zawładnęły długim, płaskim, blaszanym dachem i cedrową pergolą. Przeczuwając, że działanie z zaskoczenia nie wyjdzie mi na zdrowie, wydałem z siebie przeciągłe „Heeej!”.

Odpowiedział mi kobiecy głos. Po chwili zobaczyłem to, czego się spodziewałem, choć kto mógłby przewidzieć cudowną biel piżamy czy załamujące się światło jak z płócien Moneta. Mój garnitur nie przypominał niczego, co dotychczas nosiłem. Spod antracytu przebijał delikatny odcień indyga, niczym w piórach kruka, w których pobłyskuje niebo. Schodząc po kamiennych stopniach, byłem wyczulony na wszelkie zmysłowe doznania i barwy. Czułem, jak jeżą mi się włosy na karku.

– Felix Moore! – zawołałem.

– Wiem – odparła Celine Baillieux.

O, kurwa!

– To ty mnie porwałaś? Zamknęłaś w tej pieprzonej trumnie?!

– Plan był inny – odrzekła. Jej pokiereszowana twarz wyglądała monstrualnie. Cała dolna lewa powieka była czarno-fioletowa, spuchnięta, szokująca, rozogniona i brzydka jak penis pawiana. Rozsunęła gładkie, szklane drzwi i ruszyłem za nią. Przystanęła, obróciła się i dwukrotnie mnie spoliczkowała. Zobaczyłem gwiazdy i ogłuchłem na jedno ucho.

– Ty piździelcu! – rzuciła.

Za co? Już zostałem ukarany, wręcz przeżyłem tortury. Spostrzegłem, że moja śliczna marynarka jest podarta i że na wierzch wyłazi wyściółka, niczym wata z nadprutej sofy wystawionej na licytację. Podreptałem dalej do iście królewskiego pomieszczenia z ceglana posadzką, ciężkimi belkami na suficie i długim, ciemnym stołem niczym z refektarza, zasłanym moim

perłowo-białym manuskrytem. Napastniczka przeszła do wyłożonej dużymi kafłami kuchni i nalała wody do szklanki, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Widziałem tylko jej plecy, lecz gdy odkręcała i zakręcała kran, słyszałem wściekle bulgotanie w rurach.

– Gdybym zajrzała do tych notatek, zanim tu przyjechałam, zostawiłabym cię na pastwę twojego psychotycznego kumpla.

Odwróciła ku mnie obitą twarz.

– Jesteś koszmarnym człowiekiem – powiedziała.

– Nie.

– Zawsze taki byłeś?

Byłem niewinny. Nie tknąłem jej. Jednak przypomniał mi się śmigłowiec, który zawadził o gmach siedziby banku Westpac w Sydney. Zginął mój znajomy pilot. Wysłali mnie do Bondi Junction, bym wyprosił u wdowy jego zdjęcie. Miałem dwadzieścia jeden lat. Reporterzy wystający przy bramie wyśmiali mnie, że w ogóle próbuję. Wdowa z nikim nie chciała rozmawiać, ale już wtedy byłem Feliksem Moore'm. Miałem żelazną wolę. Zapukałem do drzwi wejściowych. Otworzył chłopak prawie w moim wieku. Powiedziałem, że wiem, co czuje, bo w ubiegłym tygodniu też straciłem ojca. Wyznałem, że przysłał mnie tam „Sun-Herald” i że zależy mi na tej pracy, gdyż mam na utrzymaniu matkę. Zaprosił mnie do środka. Dostałem zdjęcie. Jego matka pocałowała mnie. Tak, byłem koszmarnym człowiekiem. Przez lata był to mój znak rozpoznawczy. Ale akurat *to* – fakt, że odkryłem traumę związaną z narodzinami Celine i jej o tym nie powiedziałem? Naprawdę nie wydawało się to aż takie straszne, choć rzecz jasna nie podzieliłem się z nią tą opinią. Przeprosiłem

ją. Wyznałem, że się w niej kochałem. Uciekła z domu. Była taka krucha. Nie mogłem znieść myśli, że teraz ja ją skrzywdzę. To, jak i inne rzeczy, było prawdą.

– Jesteś fantastą.

– Ani trochę.

– Jesteś skurwielem.

Tak naprawdę nie byłem skurwielem. Byłem dobrym człowiekiem. Po cichu podkochałem się w niej. Wybrała innego. Ale to nie był czas na takie rozmowy. – Masz jedyną kopię tych notatek. Poproś Woody’ego, żeby sprawdził w komputerze. Wszystko wykasowałem.

– Tak samo, jak odrąbałbyś sobie rękę.

– Nic więcej nie ma.

– Kłamiesz. Dlaczego w ogóle przyszło ci do głowy to napisać? Jak mogłeś uważać się za autorytet w sprawie małżeństwa mojej matki? Ja jeszcze nie przyszedłem na świat, a ty nigdy nie byłeś w tamtym domu. Skąd u ciebie ta myśl, że możesz o niej pisać?

– Pokaż mi, co przeczytałaś.

– Stanley Street 825, Wooloongabba – odpowiedziała i cisnęła we mnie notatkami. – Tego domu już nawet nie ma. Tam, gdzie stał, biegnie autostrada. Oni wszyscy nie żyją.

15

Napisałem, że największą zaletą adresu Stanley Street 825, Woolloongabba było to, że tramwaje mijają z grzechotem dom i przejeżdżają przez most na rzece Brisbane, a tam, jeśli zadbałeś o swój wygląd, nikt nie mógł rozpoznać, skąd jesteś. Bez tych tramwajów Celine Baillieux nie mogłaby przyjść na świat.

Jej babcia, która zmarła na początku pierwszego roku naszych studiów w Monash, była „wysoka i chuda jak grabie”. „Nigdy nie wzięła zwolnienia lekarskiego”. Jej syn i mąż walczyli na wojnie za granicą. Wynajmowała pokoje, ale zawsze była spłukana. Należała do kościoła Metodystów. W czasach Wielkiego Kryzysu karmiła rodzinę ziemniakami, które w nocy kradła sąsiadom. Maniery i zasady miała takie, na jakie ją było stać. Gdy władza poinstruowała Australijki, by ugościły „jankesów” w swoich domach i przekonała je, że zostając „Pięknotkami Zwycięstwa”, ich córki wypełniają patriotyczny obowiązek, w ciągu paru krótkich miesięcy – zanim zrozumiała, co to dokładnie oznacza – babcia Celine informowała urząd, że z chęcią będzie zabawiać oficerów, byle nie byli Żydami.

Jej wdzięczność wobec Amerykanów miała solidne podstawy. Japończycy zbombardowali Pearl Harbour, zaatakowali Tajlandię i Filipiny, zajęli Guam, wkroczyli do Birmy i dokonali desantu na plaży na brytyjskim Borneo. Wkrótce zbombardują port w Darwin, później Broome, a potem co? Przekłuwali bagnetami ludzi przywiązanych do drzew, gwałcili i odrąbywali głowy. Kierowali się na Brisbane, a Brytyjczycy „nie mogli za cholere nic na to poradzić”, więc zmykali do domu. Tymczasem „nasi chłopcy” walczyli w Egipcie w swoich mundurach z przeceny, próbując ratować Angoli.

W owych pierwszych dniach babcia Celine okazywała Amerykanom wdzięczność całym sercem, bo – co więcej – nie dotyczyło ich racjonowanie cukru i papierosów i można było liczyć, że wygramolą swoje dobrze odżywione ciała z taksówek, niosąc kartony czekolady, słodzonego skondensowanego mleka i, przede wszystkim, jedwabnych pończoch. Nie ona jedna tego oczekiwała.

Jej córka, Doris (przyszła matka Celine), w dni powszednie chodziła do położonej w centrum szkoły dla sekretarek, więc kiedy w sobotnie popołudnie zjawili się Amerykanie, obie kobiety były w domu.

W tamtym czasie babcia Celine miała ledwie czterdzieści lat i niezłe nogi. Włożyła odświętne ubranie, które, co prawda, pochodziło z darów organizacji dobroczynnej św. Wincentego à Paulo, ale „nikt w życiu by się nie domyślił”. Gdy w ciemnym, rozgrzanym domu rozniosło się echem stukanie kołatki, babcia wzięła Doris za rękę i podeszła z nią do drzwi.

Ujrzały przed sobą czterech oficerów Armii Stanów Zjednoczonych, a nawet jeśli nie oficerów, to człowiek w życiu by

nie zgadł, bo mundury mieli z delikatnego materiału i tak szykownie skrojone, że aż żal ścisnąć serce na wspomnienie Naszych Chłopców, którzy, biedacy, nie mieli przy nich żadnych szans.

Stali tak we czterech z wyszczerzonymi w uśmiechu super białymi zębami i podarkami w ciemnych rękach, bo ci Amerykanie byli czarni jak noc. Babcia Celine, która nigdy nie wyściubiła nosa z Woolloongabby, prawą rękę przyłożyła do piersi, a lewą bez powodzenia próbowała chwycić córkę.

Mężczyźni przedstawili się. Mieli niskie, melodyjne głosy.

– O, Boże – westchnęła babcia Celine, kiedy już zamilkli. – To jakaś pomyłka.

Ten, który stał z przodu, był niski, przynajmniej w porównaniu z pozostałymi, ale przeżył się z dumą, trzymając w dłoni karton lucky strike'ów. Zerkając zza żyłastych ramion matki, Doris uśmiechnęła się do niego.

– Bardzo mi przykro, ale zaszła pomyłka – powtórzyła przyszła babcia Celine.

Doris wyczuła zapach wody po goleniu, jakiego jeszcze nie знаła. Za sobą czuła woń, jakiej można było oczekiwać: kapusty i owczego łoju. Tymczasem przed sobą miała Amerykę, czystą i piękną, oraz stojącego z tyłu młodzieńca, wysokiego i gibkiego, ze skromnie spuszczonej powiekami. Miał twarz cherubina – jeśli istnieją czarni cherubini, a najwyraźniej istnieli. Dziewczyna uśmiechnęła się, młodzieniec natychmiast odpowiedział uśmiechem.

Matka zaczęła zamykać drzwi, ale Doris szarpała je w drugą stronę.

– Nie! – krzyknęła i przytrzymała klamkę.

– Zamknij się – syknęła babcia Celine. – Takich tu nie zapraszałam.

Uśmiechy od razu przygasły.

– Przepraszam – rzuciła zapewne kobieta. – To nie wasza wina. Zwykła pomyłka i tyle.

Przez chwilę nikt nie napierał na drzwi.

– No, cóż – odezwał się ten niski i szeroki w barach o dumnym wyrazie twarzy. – Bardzo nam przykro, że sprawiliśmy kłopot. Pójdziemy sobie, chociaż to nie jest pomyłka. Kapitan Cohen się nie myli.

Później Doris prawdopodobnie pomyślała, że jej matka padła ofiarą jakiegoś psikusa, w tamtej chwili miała jednak poczucie, że przedpokój pogrążył się w mroku. Wymierzony policzek odrzucił jej głowę na bok. Poczowała ostry ból i usłyszała ciężki odgłos kroków zmierzających po schodach na piętro. Poczucie krzywdy i lęk były w tym domu czymś tak normalnym, jak zapach jagnięcego gulaszu, więc gdy zatrzasnęły się drzwi pokoju babci Celine, w życiu Doris nie zaszła żadna zmiana.

W szkole dla sekretarek wyszło na jaw, że jedna dziewczyna z Rockhampton wiąże na szyi apaszkę, żeby ukryć „maliny” na szyi. Została relegowana.

Mijał czas. W niedziele mało się działo. Doris krążyła tramwajem pomiędzy Stanley Street a centrum, nie robiąc sobie wielkich nadziei. Domy w Wooloongabba wzniesiono na wysokich palach. Do uszu Doris dochodziły dźwięki orkiestr przygrywających do tańca na Trocadero – *Eastern Swing*, *Lindy Hop*, *Jive* – ledwie milę dalej.

Właśnie skończyła siedemnaście lat. Późnym wieczorem w radiu leciała pewna piosenka. Słowa mówiły o tym, iż jej usta znalazły się tak blisko jego ust, że nie mogła się oprzeć, by go nie pocałować, a on nie miał nic przeciwko temu.

Z twarzą zanurzoną głęboko w poduszkę widziała go bardzo wyraźnie. Oczywiście był Amerykaninem. Miał dopasowany mundur, śliczne zęby, a to, że tak jak wiele innych dziewczyn wolała jego od australijskich żołnierzy, nagle stało się grzechem. Chciano, żeby okazywały gościnność jankesom, lecz bardzo szybko znienawidzono za to, że robiły to, co im kazano. Byłaś Australijką, więc powinnaś chodzić na tańce z Australijczykami, z rodakami, którzy za ciebie ginęli i musieli nosić te okropne mundury, w które zaopatrzył ich sknerowaty rząd – niedopasowane, nieeleganckie, a nawet w nieodpowiednim rozmiarze. To byli jej bracia, kochani australijscy chłopcy z zapadniętymi policzkami i usuniętymi zębami, żeby rząd mógł zaoszczędzić na opiece dentystycznej. Amerykanie kłuli niczym ostrze wbitego w brzuch noża – dobrze opłacani, wciąż myślący o seksie i w zasięgu ręki.

Każdego wieczoru o zachodzie słońca babcia Celine zamykała drzwi na klucz. Tymczasem za oknem z tramwajów ciągnących z centrum wysypywało się coraz więcej ciemnoskórych żołnierzy, którym „tylko jedno było w głowie”.

Biali Amerykanie zostali w mieście, ale Stanley Street leżała nieopodal „czarnej strefy” w Brisbane, w której ciemnoskórym Amerykanom pozwolono szukać rozrywek. Czarni zlatywali się na Trocadero jak pszczoły do miodu, żeby tańczyć przy dźwiękach *Chattanooga Choo Choo*.

Dlaczego my? – dociekała babcia Celine. Rząd uważa, że nie jesteśmy lepsi od nich. Wyobrażasz sobie, jaką minę miałby twój tata? Zamordowałby ich.

Matka kazała zapomnieć Doris te wszystkie brednie o Pięknotkach Zwycięstwa. Żeby wzmocnić wrażenie, odłączyła sznur od czajnika i ukręciła z niego bicz.

„Niech ci się nawet nie śni, że wyjdiesz stąd wieczorem” – zapowiedziała. Umiała używać tego sznura tak, jak ojciec kiedyś skórzanego paska, ale sznurem bolało bardziej niż paskiem. Zostawiał jaskrawoczerwone ślady na bardzo kształtnych łydkach Doris.

Czy mama pozwoli mi wyjść, jeśli przyrzeknę, że nigdy, przenigdy nie zatańczę z czarnym?

Nie.

A do klubu Czerwonego Krzyża? Nasi chłopcy też tam chodzą.

Nie.

Doris była grzeczną dziewczyną, bardzo spokojną i skromną, ale i upartą, jak jej rodzice. Skrzyżowała ręce na piersi i poszła do swojego pokoju, żeby uszyć ze spadochronowego jedwabiu ładne, skąpe majteczki.

Jej matka dowiedziała się o tych kusych majtkach. Przeszukała jej pokój, znalazła je i wrzuciła do kuchennego pieca, po czym usiadła w milczeniu i cerowała. Wiedziała, co robią dziewczyny w zamian za amerykańskie pończochy. Słyszała, że „władze” wkrótce zaczną żądać, by kobiety ubiegające się o zasiłki na swoje amerykańskie dzieci, poddały się badaniom krwi.

Doris kupiła więcej spadochronowego jedwabiu, opakowała go w szary papier i ukryła pod domem. Ciepłe zimowe miesiące

między lipcem a październikiem przesiedziała w domu, ale w listopadzie kupiła wykrój na sukienkę.

Doris cerę miała nie jak z Brisbane, ale z jak z księżycyca – półprzezroczystą i promienną. Jej oczy przypominały niebieskie szafiry. Stała w swoim pokoju i wypięła pierś. Mogłaby być Amerykanką. Słuchała nadawanych przez radio piosenek i tańczyła przed lustrem. Miała nieczne marzenia. Siadywała przy drzwiach wejściowych, łagodnie pochylała głowę i przebierała stare skarpety do sprucia na włóczkę. Była gotowa – prawie gotowa – lecz gdy nadarzyła się okazja, bo jej matka wreszcie wyszła z domu na spotkanie abstynentów, by nadać nogom kolor pończoch, miała jedynie sos z mięsa. Próbowwała wymalować szew, ale wychodził nie tak, jak trzeba. Była już siódma i Doris musiała zmyć to wszystko zimną wodą, która sprawiła, że skóra stała się zaczerwieniona i wysuszona – ale nie miała wyjścia. Ponownie wysmarowała nogi sosem i zapukała do drzwi starego pedała, który przystrajał witryny u Barry’ego i Robertsa. Inni sublokatorzy podejrzewali, że nosi perukę, lecz kiedy otworzył jej drzwi, włosy miał na swoim miejscu.

W jego pokoju unosiła się woń miętówek i brudnych skarpet. Zawstydzona Doris poprosiła, żeby wymalował jej szwy na nogach. Gdy wreszcie pojął, o co chodzi, zareagował bardzo miło, po czym zrobił to szybko i starannie. Obiecał, że nie piśnie nikomu ani słówka, a ona pocałowała go w mydlasty policzek.

– Tylko nie daj się złapać, kwiatuszku.

Jasne, że da się złapać. Nie było innej możliwości. Już czuła smagnięcia sznura, który chlaszcze jej nogi.

W łagodny wieczór Święta Dziękczynienia Doris wsiadła do tramwaju, lecz, gdyby nawet o tym święcie wiedziała, nie miałyby to dla niej najmniejszego znaczenia. Nigdy nie słyszała o Święcie Dziękczynienia. Australijczycy nie dziękczynili. Kiedy powiedziało się „dziękuję”, ojciec odpowiadał: „Nie dziękuj mnie, tylko Bogu, że w ogóle coś masz”.

Listopad to piękna pora roku w Brissy. Tramwaj z otwartymi drzwiami kolebał się w stronę miasta. Doris siedziała wyprostowana z dłońmi złożonymi na podołku, najwyraźniej nieświadoma tego, jak jest piękna. Nikt nie ośmielił się jej zaczepić.

Tramwaj terkotał po starych, brudnych dźwigarach mostu, a jej jedwabna sukienka lśniła perłście nad oleistą taflą rzeki Brisbane. Sukienka miała okrągły dekolt i tylko trzy guziki z tyłu.

Klub amerykańskiego Czerwonego Krzyża mieścił się na skrzyżowaniu Creek Street i Adelaide Street, dokładnie naprzeciwko sklepu dla amerykańskich żołnierzy. Doris ruszyła z przystanku z małą wieczorową torebką pod pachą, onieśmielona faktem, że przyciąga uwagę i zaskoczona tłumem Australijczyków i jankesów kłębiących się na ulicy.

Miała wysmarowane sosem nogi i sukienkę ze spadochronowego jedwabiu. Mężczyźni, którzy nawet nie będą jej się podobać, ocenią ją jak krowę na targu. Gdy zaczęły się o nią ocierać szorstkie mundury, postanowiła zawrócić do domu.

I właśnie wtedy z tego kłębowiska potu i piwa w kolorze khaki wyłonił się przepiękny mężczyzna. Niedobór prądu sprawiał, że siadało światło, jednak było dostatecznie jasno, by dobrze mu się

przyjrzała – złociste włosy, szerokie barki, wąska talia i mocne ramiona, które opinały rękawy koszuli.

– Jesteś jak śpiewający ptak – powiedział. Zaskoczyło ją to, jak nieśmiało zawiesił głos, co kontrastowało z pewnością siebie, widoczną w jego ruchach. Jesteś jak śpiewający ptak ze znakiem zapytania.

Powinna była się przestraszyć, lecz odczuła ulgę, że targ wreszcie się skończył.

– Że co?

– Śpiewasz w chórze – odparł i domyśliła się, że jego oczy okazały się jasne i łagodne jak jej własne. I tak rzeczywiście było.

– Tak – odpowiedziała.

– Zawsze wypatrzę śpiewającego ptaka – rozpromienił się.

– Widocznie bystry z ciebie gość – stwierdziła.

– Nie, panienko. W tym tłumie bardzo łatwo dojrzeć takiego ptaka. Wyróżniasz się.

Roześmiała się, pewnie z ulgą albo zwyczajnie zadziwiona, iż ktoś się domyślił, że ma dobry głos. Gdy spytał, czy pójdzie z nim coś zjeść do „The Society”, była mu wdzięczna, że nie musi wracać do tego ludzkiego młyna. Podał jej ramię. Gdy szli przez tłum w stronę Queen Street, wszyscy rozstępowali się, żeby ich przepuścić. Doris uśmiechała się jeszcze promienniejszym na myśl, że to hołd dla jej urody. Nie spodziewała się, że spotkają ją szykany, lecz, gdy czyjaś ślina trafiła ją w policzek, pomyślała: „No, jasne. Jestem dziwką, puszczam się z jankesem”.

16

Światła szperaczy przecinały puste niebo, a tropikalną noc przesycala woń piwa i sandałowca, którym pachniał Hank. Amerykanin dociskał ramieniem Doris, śpiesznie prowadząc ją w bezpieczne miejsce, gdy tymczasem australijscy żołnierze wyzywali ją od dziwek, kurew i pizd. Do jej policzka przywarła plwocina. Nie zamierzała ścierać jej dłonią, ale przy wejściu do restauracji jej wybawiciel wyciągnął dużą białą chustkę i dokładnie wytarł jej twarz. Mimo lęku i przerażenia doceniła jego urok.

Wbiegli do restauracji. Doris szlochała. Było zbyt jasno. Czuła się odkryta i zawstydzona. Zachwyciły ją kwiaty, wykładzina, amerykańscy oficerowie i piękne kobiety. Drogę zagroził jej bardzo stary kierownik sali w długim czarnym fraku.

– Przepraszam – pokajała się. Wiedziała, że przez jedwab sukienki przebija zarys jej majtek.

– Dwie osoby – rzucił Hank.

Tymczasem stary kelner wpatrywał się w Doris. Była śmieciem z południowego Brissy. Jak w ogóle śmiała wdychać tutejsze powietrze?

Uśmiechnęła się do jego zgorzkniałej twarzy. „Jesteś tchórzem – pomyślała. – Nie spławisz jankesa”.

I nie spławił. Powiedział kelnerce: „Stolik numer 23”, po czym Doris i jej przystojny facet zostali poprowadzeni przez zatłoczoną dolną salę restauracji „The Society’s”.

Zrobili duże wrażenie. Bo czemuż by nie? Doris miała na nogach rozsmarowany sos i rozmazany przez ślinę makijaż. Podążyła za kelnerką przez hol i po schodach. Oczywiście górna sala była gorsza. Przy jednym ze stolików siedzieli australijscy podoficerowie, a w najdalszym kącie dwie amerykańskie żołnierki w cywilnych ubraniach. Biedaczki, współczuła im.

Tymczasem Hanka nic nie zrażało. Oznajmił, że usiądą przy oknie z zasłonami, czyli nie tam, gdzie wyznaczono im miejsce. Odsunął krzesło dla Doris i odczekał, aż się na nim usadowi, nim sam usiadł.

– Ładnie tu – powiedziała.

Był niesamowicie przystojny. Miał pełne wargi i proste białe zęby. Był taki pewny siebie i solidny. Jak ratownik.

– Muszę wyglądać okropnie – rzuciła.

– Doskonale – odparł i dotknął jej wcześniej oplutego policzka.

– Ty też nie najgorzej – odpowiedziała.

– Nie jestem cherubinem, skarbie – zachnął się, lecz powiedział to tak lekko i nieśmiało, że aż się roześmiała. On też się uśmiechnął i zmrużył oczy. Doris poczuła dziwne mrowienie w żołądku. Oczy miał jasne i przejrzyste jak woda, w której nie ma żadnych głązów, kamyków, łach, drobinek ani śladów wojny.

– Masz śliczne zęby – skomplementowała go, zdecydowanie za szybko.

– Tym przyjemniej będzie mi się ciebie jadło – odparł i, dla żartu, przygryzł dłoń, a później pokazał jej czerwony ślad na skórze.

– Dziwny jesteś.

– Dziękuję pani. – Uśmiechnął się, ujął jej palce i pocałował tył nadgarstka tak delikatnie, że aż musiała cofnąć rękę.

– Hola koniku!

– Zaśpiewaj mi – poprosił. Może i by zaśpiewała (Czemu nie? Bo czy jeszcze zdarzy jej się taka prośba?), ale usłyszeli potężny wrzask dobiegający z ulicy, zupełnie jakby na stadionie Gabba podczas meczu krykieta zwała się bramka.

Hank natychmiast odsunął kotarę. Doris szepnęła, że nie wolno tego robić po zmroku, lecz odparł, że obowiązuje częściowe zaciemnienie, a nie całkowite. Ktoś zawołał, żeby z powrotem zaciągnął zasłonę. Odkrzyknął, że Australijczycy zawsze panikują. Doris bardziej bała się tego, co może się za chwilę zdarzyć w restauracji, a nie na ulicy i dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że za oknem, na Queen Street, trwa gwałtowna przepychanka.

Widziała, jak dwaj amerykańscy oficerowie wychodzą z restauracji na ulicę.

Pierwszego powalili na ziemię. Widziała to. Drugiego unieśli w górę, wciąż z serwetką lub chusteczką w ręku, i przekazywali go sobie ponad głowami jak tuszę zaszlachtowanej krowy, nim rzucili go na chodnik po drugiej stronie ulicy. Australijczycy otoczyli go i zaczęli kopać po głowie.

Tłum liczył trzy, cztery, aż w końcu pięć kręgów. Gdy ulicą szedł jakiś Amerykanin, Australijczycy chwyтали go za ręce i nogi

i podrzucali w górę, a gdy padł na ziemię, tłukli go. Przez cały czas słyhać było miarowe uderzenia, jakby obijano komuś kości. Doris w końcu zrozumiała, że to tłum dobija się do drzwi restauracji.

– Nie możemy tu zostać – powiedziała.

Hank usiadł. Jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że zaraz wtargną tu Australijczycy, żeby dopaść jankesów i zabić ich dziwki, rozerwać je na strzępy.

– Zamordują nas – chwyciła go za rękę. Był wściekły, lecz pozwolił, by poprowadziła go do wieszaka, z którego przytomnie zgarnęła typowy australijski kapelusz. Pociągnęła go w dół po schodach. Przebiegli przez zatechłą kuchnię i wypadli na śliski zaułek, gdzie cuchnęło tłuszczem i krwią.

Dalej była Queen Street i wyjący tłum.

– Chodź! – powiedziała, ale już zdążył ją objąć i napierał swoim interesem na jej brzuch.

– Śpiewający ptaszku, zaśpiewaj mi.

– Jezu, opanuj się!

Nasunęła mu kapelusz na głowę i chyba wreszcie zrozumiał, w jakiej sytuacji się znalazł. Ściągnął kapelusz do tyłu, tak, jak robią to Australijczycy.

Uratowały ich spadki napięcia i szczęśliwy traf, który sprawił, że tłum przewrócił tramwaj jadący w kierunku północnym akurat w momencie, kiedy wyszli z zaułka. Zrobiło się wielkie zamieszanie. Amerykańska żandarmeria wojskowa wyciągnęła karabiny. Doris myślała tylko o tym, żeby wrócić do domu, w jakieś bezpieczne miejsce w południowym Brissy. Usłyszała jeden wybuch, a później drugi. Ukryłaby się w bunkrze, ale

wszystkie były zajęte przez mężczyzn i kobiety, którzy robili to, czego ona nigdy nie robiła i nie zrobiłaby, nieważne po ilu drinkach. Znała dziewczyny, które chodziły na „bara bara” do bunkrów, ale nie przypuszczała, że aż tak w nich śmierdzi.

– Zabiją cię! – ostrzegła, ale najwyraźniej miał ochotę na „bara bara” i to natychmiast. Był silny i nieustępliwy. Przekonał ją, by skręcili w boczną uliczkę. Wciąż delikatnie ją całował, obsypując miękkimi buziakami jej szyję.

– Zaśpiewaj dla mnie – powtórzył, obejmując silnymi ramionami i składając szalone pocałunki na jej gardle. Ze strachu zaczęła śpiewać *Danny Boy*. – Nie przestawaj, nie przestawaj – zaklinał ją.

Robił to, czego jeszcze nie znała.

– Nie przestawaj. Śpiewaj.

Musiał zwolnić uścisk, żeby pogmerać przy jej staniku. Wymknęła mu się i pobiegła przed siebie Queen Street, trzymając buty w rękach. „Boże! Oby nie było tu potłuczonego szkła!” – modliła się w duchu. Tramwaj w stronę południowego Brissy już ruszył, kiedy do niego wskoczyła. Hank wskoczył za nią, słyszała go. Śmiał się jak wariat.

Opadli razem na ławkę, ona cała w nieładzie, a on do cna ubawiony. Wszyscy pasażerowie nagle zamilkli i uznali ją za dziwkę. Doris złożyła dłonie na podołku, przesłaniając palec serdeczny i udając przed samą sobą, że się zaręczyli, że zamieszkają w Detroit i że nie jest już Doris Crook, tylko kimś lepszym, mniej narażonym na niebezpieczeństwo, pogodniejszym i bogatszym. Chwała Bogu, że Hank zachowywał się jak należy. Objął ją ramieniem i tak to się stało. Kiedy dojechali na Stanley

Street i zobaczyła w odległości kija do krykieta od ściany tramwaju trzynaście schodów prowadzących do jej domu, wciąż trzymała Hanka Willenskiego za rękę.

Napisałem, że naszą jedyną powinnością wobec przodków jest dawanie im życia, tak jak oni dali życie nam. Domy w południowym Brissy oplatały skrywane tajemnice, niczym welon kraty. Okna pokoju matki Doris wychodziły na Stanley Street. Tak, po tej stronie było głośniejsze, lecz gdy słyszała szcęk furtki, matka mogła w sekundę wyskoczyć z łóżka. Zawsze można było liczyć na to, że czai się przy oknie ze skręconym sznurem w dłoni.

Dom stał cztery metry nad ziemią i dół też był okratowany. Gdyby nie zaciemnienie, ulica wyglądałaby pięknie – niebo w kolorze głębokiego granatu i domy z kratownicami lśniące niczym złote latarnie w przesyconym zapachem wiciokrzewu powietrzu. Gdyby zamknąć oczy, ukryć tramwaje, pub, toczący się pociąg i sikającego pod latarnią pijaka, można by pomyśleć, że Wooloongabba jest prawie piękna.

Z braku innego pomysłu Doris zabrała Hanka Willenskiego do domu. Gdy zeskoczyła z jadącego tramwaju, już wiedziała, że zostanie nakryta. Nie miała wątpliwości, że matka się na nią wydrze i, że skończy się na sznurze chłostającym ją po nogach.

Amerykanin stanął tuż za nią, gdy tramwaj potoczył się dalej, a jego koła szorowały po szynach, skrzypiąc jeszcze przeraźliwiej niż paznokcie po tablicy.

Teraz już tego chciała. Chwała Bogu.

– Dom – rzuciła całkiem głośno. Wyczuwała jego zęby. – Tata pewnie jeszcze nie śpi.

Przyłożyła palec do jego ust, by przykazać mu, żeby jej nie całował.

Mocno ugryzł ją w palec.

– To nie było zabawne.

Dlaczego nie powiedziała tego szeptem? Chciała, żeby ją nakryli.

– Zaśpiewaj mi piosenkę.

Objął ją w talii i uniósł w górę. Chwyciła się płotu i poczuła, że w ugryziony palec wchodzi jej drzazga. Dlaczego nie krzyknęła? Przerzucił ją sobie przez ramię i przeszedł przez furtkę. Matka usłyszy szczęk zasuw.

Kiedy wciągnął ją pod dom, zniknęli jej z pola widzenia. Walały się tam różne rzeczy, węże w słoikach, siekiery, powidła z pigwy, puste butelki. „Potknie się i upadnie” – pomyślała.

– Puść mnie – powiedziała. – Pomogę ci, słowo.

Opuścił ją bardzo powoli, ale zaraz znów zaczął całować jej szyję, ścisnąć jej rękę z tyłu i napierać na nią swoim interesem.

– Pokażę ci – powiedziała. Co mu pokaże? Gdzie? Wstydziła się zapachu swojego domu. Fekalia i wiciokrzew, brud i benzyna. Kopnął w słoiki z powidłami. Usłyszała brzęk tłuczonej butelki i słodki zapach soku brzoskwiniowego, który zmieszany z piachem utworzył papkę.

– Nie. Ja ci pokażę – odparł.

Popchnął ją tak mocno, że aż upadła. Żadnego szkła. Żadnych skaleczeń. „Chwała Bogu” – pomyślała. Ułożył jej głowę na rzeźniczej desce, nie wiedząc, co to jest. Poczowała chłodne powietrze między nogami. Naparł na nią i ją rozdarł. Bolał ją brzuch, ale nie śmiała krzyknąć. Jego dłonie wokół jej szyi. – Lepiej zaśpiewaj – ostrzegł i klęknął za nią, łajdak.

Nie mogła złapać tchu, ale zaśpiewała *Danny Boy*. Przez słowa przedzierało się powietrze, które było jak podarte szmaty. Miał duże i bardzo silne dłonie i wreszcie dotarło do niej, że jak skończy, na pewno ją zabije.

Zacisnął jej tchawicę i zadrżał jak koń. To, co jej tam wsadził, przeżywało spazmy, jak kot, który zdycha po uderzeniu młotkiem. A potem to *on* krzyknął, wprost do jej ucha.

Później Doris zorientuje się, że stłuczona butelka utkwiała mu w kolanie i w nodze. Wreszcie była wolna. Puścił ją. Uciekła.

Pierwszy raz w dziejach na Stanley Street zaległa cisza.

– Mamo! – krzyknęła Doris, stając przy furtce. Chwała Bogu, usłyszała trzask drzwi na piętrze.

– Proszę pani?

Doris zobaczyła w świetle ulicznej latarni ciemnoskórego mężczyznę z prostytutką. Było to oczywiste nawet w tak słabym świetle. Żołnierz zostawił dziewczynę, przeszedł przez tory i wyciągnął rękę do Doris. Sprawiał wrażenie pijanego.

– Mamo! – zaszlochała Doris.

Był to ten sam żołnierz, który wcześniej z takim wdziękiem zapukał do ich drzwi. Teraz chwiejnie stanął przed nią.

– Panienko, co się stało?

– Przelecisz ją czy mnie? – zainteresowała prostytutka. Okazało się, że to Glannys Craig, najszybsza biegaczka w klasie Doris.

– On jest tam, pod domem – wyjaśniła Doris.

Ciemnoskóry żołnierz spojrział na Glannys Craig, później na Doris, po czym, gdy rozwarły się drzwi wejściowe, wyciągnął portfel i dał prostytutce parę banknotów.

– Ale z ciebie frajer – rzuciła Glannys Craig i rozplynęła się w mroku. Za kratownicą zaczęły zapalać się światła, jedno po drugim i nagle, na zaciemnionej Stanley Street, dom pod numerem 825 zapłonął cały jak latarnia i ciotowaty projektant witryn ruszył sprintem – on i to w jego wieku! – i włączał po kolei wszystkie lampy, a matka Doris gnała za nim i je wyłączała.

– Teraz wszyscy się dowiedzą – powiedziała, kiedy znalazła się na ulicy. Poświeciła latarką na oniemiałą czarną twarz żołnierza, potem na sukienkę ze spadochronowego jedwabiu, poznaczoną krwią, spermą i drzazgami przeszłych wydarzeń.

Kiedy Doris zaczęła wymiotować na buty, matka stanęła przed amerykańskim żołnierzem, który – pijany czy nie – najwyraźniej był tym samym facetem, którego wcześniej spławiła. Teraz też stał wyprostowany, z czapką w rękę, i próbował wszystko jej wyjaśnić.

– Idź stąd – powiedziała babcia Celine. – Bo utnę ci jaja.

Celine podniosła się ze zniszczonego skórzanego fotela. Położyła moje notatki na podłodze, bez słowa komentarza, choć było jasne, że to jeszcze nie koniec. Patrzyłem, jak sięga po pogrzebacz i, niczym kowal, kilkakrotnie dmucha na rozpalony do czerwoności bal. Jak dużo przeczytała? W jej oczach odbijały się iskry.

Podszedłem do zadania wyjątkowo profesjonalnie, ale najwyraźniej nie brała tego pod uwagę. Zdmuchnęła popiół z koniuszków palców, owinęła się szczelnie kimonem i wyszła na korytarz. Później usłyszałem, jak wymiotuje w łazience.

Zatem doszła do tego fragmentu. Było mi bardzo przykro, ale okazałbym się hipokrytą, gdybym to powiedział. Wróciłem na swoje miejsce i czekałem na karę, ale z całą pewnością nie spodziewałem się, że Celine wróci z opartą na biodrze strzelbą.

– Dał mi ją mój ojciec – wyjaśniła. – Mój prawdziwy ojciec.

Odbłyśki ognia tańczyły na metalowej lufie.

– Był najzaciejszym człowiekiem, jakiego znałam. A właściwie był przestępcą, ale zmieniał mi pieluchy, kiedy mama nie mogła. Zostawił mi dość pieniędzy, żebym mogła pójść na uniwersytet.

Przycinał mi włosy i nauczył strzelać. Jak myślisz, ile zajęcy ustrzeliłam?

– Nie mylę się, co do Willenskiego. Nie cieszy mnie to, ale taka jest prawda.

– Ściągnęłam cię tu, żeby wyrwać ze szponów Woody’ego, gnoju. Tylko że nie miałam pojęcia, co zrobiłeś. – Gwałtownie potrząsnęła strzelbą, jakby to była motyka. – Niczego cię nie nauczyli w tym sądzie? Kłamstwo jest społecznie nie do zaakceptowania. Ja też muszę cię ukarać?

– Nie zmyśliłem tej historii.

– Jesteś skazanym przez sąd oszczercą.

– Nie.

– Mój ojciec gwałcicielem? Przecież nie możesz tego wiedzieć.

– Jak myślisz, dlaczego nie powiedziałem ci prawdy w Monash?

– Ukrywałeś to przede mną przez całe życie?

– Pamiętasz, w jakim byłeś stanie? Zamieszkałaś z tym jak-mu-tam, z tym poetą. Później przygarnął cię Sandy. Właścicielka mieszkania pogoniła was oboje i spaliście w jego samochodzie. Byliście zbyt zajęci paleniem domu.

Sandy przyjął jej ból, przytulił i nie wypuścił z rąk, póki za niego nie wyszła. Nie wyznałem jej, jak bardzo ją opłakiwałem.

– Skąd mogłeś cokolwiek o tym wiedzieć?

– W Brisbane sfotografowano tylko jednego Amerykanina. Resztę zdjęć zrobiono w Melbourne. Daty też się zgadzają. Willenski był na okładce „Courier-Mail”.

– I to wszystko? Na tej podstawie napisałeś coś takiego? Każdy, kto cię zna, wie, co się za tym kryje. Ameryka gwałci Australię. To

żałosne. Wiesz, ilu Amerykanów było tu podczas wojny? Chcesz, żeby ten psychol uosabiał ich wszystkich?

– W zeszłym tygodniu potwierdziłem jeszcze raz wszystkie fakty.

– Niby jak?

– Pozwoliłem, by palce wykonały za mnie robotę, jak mówią w tej reklamie.

– Zadzwońiłeś do mojej matki?

– Jej adres jest w książce.

– Niby dlaczego miałyby o tym rozmawiać z nieznajomym?

– Ludzie, którzy mają sekrety, właśnie to robią.

– Ale dlaczego z tobą?

– Bo mam dar.

– Ze mną nigdy by o tym nie porozmawiała.

– Celine, kochanie, jak rozumiem, nigdy nie potrafiłaś jej wybaczyć. Podobno nawet nie poznałaś jej z Gaby.

– Poznały się.

Uniosłem brew.

– Nie nadyмай się, Titch. Komu służy to całe grzebanie w brudach? Bo na pewno nie Gaby.

– To ty do mnie przysłaś.

Usiadła w fotelu i położyła strzelbę na poręczy, z dala ode mnie.

– Nie. Ciebie zaproponował Woody, ale nie mógł przypuszczać, że aż tak mu się poszczęści.

19

Napisałem, że matka Doris bez słowa zamknęła drzwi prowadzące na werandę. Dopiero kiedy obydwie znalazły się w kuchni, starsza okazała młodszej nagi gniew.

– Plugastwo! – wykrzyknęła.

Przyczajona z mokrą szmatą w dłoni zaatakowała tyłek i uda córki.

– Mamo, proszę cię. Tak będzie jeszcze gorzej!

– Gorzej! – wrzasnęła matka Doris i szarpnęła jej jedwabną sukienkę. Rozdarłszy ją, zobaczyła świeżą ranę.

– Jezu, daj spokój! Nikt nie widział.

– Nikt nie widział! Boże, ratuj! – Jej wzrok był przerażający, ale i przerażony. Najwyraźniej rozglądała się za czymś, czym mogłaby stłuc nogi, ramiona i szyję córki. – Już ja ci pokażę, dziewczuszko! Nikt nie widział!

Doris ruszyła na górę, żeby zamknąć się w bezpiecznej łazience, ale jej matka szybciej wdrapała się tam na czworakach.

– Gorąca woda jest dla lokatorów!

– Mamo, proszę cię.

Szlochając, padły na podłogę. Wykręcały sobie nawzajem ręce, szukały zrozumienia i gwałtownie się odpychały. Później matka Doris odkręciła zimną wodę i wrzuciła garść soli do wanny na nóżkach.

– Ściągaj łachy! – Rozebrała ją, jakby miała do czynienia z sześciolatką. – Przeciągnij włosy. Wytrzymaj nos.

– Cuchniesz nim – powiedziała matka Doris. Przetarła jej oczy ręką. Jeśli myślicie, że był to gest współczucia, to się mylicie. – No, już, dawaj majtki.

– Nie rozbieraj mnie do naga.

– Masz stanik. Owiń się ręcznikiem.

Matce Doris nie chodziło o chorobę czy ciążę. Martwiło ją tylko jedno: Kto wiedział? Kto widział?

– Mogłaś chociaż poderwać białego.

Kto będzie pisał do męża Doris pełne jadu listy? Spali tę jedwabną sukienkę. Żałowała, że nie zdobędzie się na odwagę, żeby spalić cały dom. On ją zabije. Zabiłby je obie – i trudno się dziwić. Gdzie drwa rąbią, rąbią jeszcze więcej drewna. Jego żona też nie była Miss Kryształowego Serca.

Doris zamknęła na zamek drzwi do łazienki i płakała. Czuła, jak sól zabija zarazki i dzieci. Sól połączyła się z mydlinami i pokryła jej ciało szarym szlamem, którego zapach Doris będzie czuła jeszcze rankiem, w tramwaju. Zniszczeniu uległo nie to, czego się spodziewała.

W szkole dla sekretarek spotkało ją szczęście lub pech – jej koleżanki zauważyły jedynie rozmiar pierścionka zaręczynowego Maisie. Jej narzeczoną był Amerykanin, kapitan Baillieux. Doris poprosiła Maisie, żeby zapisała jej jego nazwisko. Nikt nie

zauważył – ani nikogo to nie obeszło – że zachowała ten skrawek papieru.

Rzecz jasna Doris nie postanowiła jeszcze, że zostanie panią Baillieux, ale nawet gdyby, to i tak by im o tym nie powiedziała. Nie mogła zawierzyć koleżankom w żadnej ważnej sprawie. Wyczekiwała okresu w samotności i kiedy zobaczyła krew, odetchnęła z ulgą. Nazajutrz „tam na dole” pojawiły się otarcia. Dwa razy dziennie przecierała je solą i obrażenia, chwała Bogu, zniknęły, ale to jeszcze nie był koniec. Kasjer z banku z pokoju od zachodniej strony płacił czynsz na czas, ale był flejtuchem. Lubił czytać „Courier-Mail” i wszędzie go zostawiał, choćby na stole w kuchni, gdzie Doris zobaczyła nagłówek z drugiego grudnia 1942 – „Dusiciel grasujący po zmroku”. To był on, ten Amerykanin z cudownym uśmiechem, nieprzytomnie przystojną twarzą i niesfornym, opadającym na czoło kosmykiem włosów. Zgwałcił, udusił i w dziwny sposób okaleczył sześć dziewcząt. Gdy Doris to przeczytała, ledwie mogła cokolwiek w siebie wmusić. Przestała miesiączkować. Zmatowiały i zszarzały jej włosy. Nawet jeśli zdołała zjeść trochę budyniu, rzygała podczas snu.

Mimo że zmienił się jej wygląd, spotykały ją nieoczekiwane miłe gesty. Późnym wieczorem, po dziesiątej, gdy słuchała radia z projektantem witryn, ten zaczął ją czesać. Innym razem otulił ją kołdrą przed snem. Matka upiekła placek z królikiem. Wyczuwało się w nim smak masła, chociaż skończyły się im kartki. Doris opierała się wielkiej pokusie, żeby przeczytać artykuł ze skradzionego „Courier-Maila”. Miały piękne święta Bożego Narodzenia: zaprosiły sublokatorów; projektant witryn grał na pianinie. Był dziwnym, miłym człowiekiem z białą, delikatną,

pozbawioną włosów szyją wyłaniającą się spod peruki. Matka była szczęśliwa i, chwala Bogu, nie wpadła na to, o czym jest tak naprawdę „Black and White Rag”.

Przyszła nowa rok, a wraz z nim deszcze. Alianci zajęli Bunę w Nowej Gwinei. Później była Sanananda. W Guadalcanal Japońcy podkulili ogony pod swoje żółte tyłki. W marcu polegli w Bitwie na Morzu Bismarcka. Wciąż był sezon na owoce mango. Kasjer z banku tak uwielbiał mango, że jadał je nawet w wannie. Doris też je jadła. Wrócił jej apetyt. Później przyszedł list od taty – że jest już w Perth i wraca do domu. Potem Tom trafił do Adenu i czekał na statek. Dopiero wtedy, kiedy miała już pewność, że się pozbierają, matka Doris wtargnęła do łazienki.

Doris była naga, kiedy drzwi rąbnęły o ścianę.

– Ty idiotko! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Tylko przytyłam.

– Przytyłaś! Boże ratuj! Spójrz na siebie.

– Tak jest od Gwiazdki.

– Cztery cholerne miesiące! Nic dziwnego, że rzygasz. Musisz wyjechać, zanim tata wróci. Nie płacz. Trzeba było myśleć wcześniej. Nie możesz go przywitać z Murzyniątkiem.

Matka zamilkła i zeszła po schodach na dół, cicho jak duch, jak anioł zwiastowania.

Doris ujrzała ją potem na kolanach przy drzwiach wejściowych, jak pucowała gałkę.

– Mamo?

Głowa matki była mała jak kokos. Miała marne włosy i podkrążone oczy.

– Durna jesteś – powiedziała. – Mogłam ci pomóc.

– Mamo, to nie był ten czarny żołnierz, tylko biały. Przekonasz się i pożałujesz swoich słów.

Usta matki Doris były ledwie kreseczką, blizną, wykrzywioną, zaszytą raną.

– Droga Myszko – powiedziała, a Doris aż zadrżała na tę czułość. – Nie mamy wyjścia, myszeńko. Musisz zniknąć, zanim tata wróci.

– Mam się przeprowadzić do hostelu?

– Powinnaś raczej poszukać pracy w Sydney.

– Tacie nie spodoba się ładny, biały dzidzius? – spytała Doris, choć już poczuła mdłości na myśl o małym jak mysz Hanku Willenskim, który rośnie w jej łonie.

Oczy jej matki wypełniły się łzami. Pogłaskała córkę po uszkach.

– Znasz ty chociaż jego nazwisko?

– Baillieux – odpowiedziała Doris i je przeliterowała.

– Francuz?

– Nie wiem. Nie mówił.

– Stacjonuje w Nowej Gwinei?

– Tak.

– To niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Niech ma go w opiece.

Doris nie wspomniała, że jej dusiciel nie żyje, zamordowany przez Australijczyków w celi więzienia przy Boggo Road.

20

Pomyślałaś kiedyś, jak będę się czuła, kiedy to przeczytam?

Czułem jej kwaśny oddech. Spojrzałem na podbite oko, wielki siniec na wysokości kości policzkowej i na okropny ropień na delikatnej skórze w zagłębieniu oczodołu. Czułem wyciągnąłem rękę, którą natychmiast odtrąciła.

Oświadczyłem, że nie jestem jej wrogiem i że nigdy nie chciałem zrobić jej krzywdy. Wyraziłem zdziwienie, że nie docenia, iż odbyłem dla niej podróż w czasie i dostarczyłem informacji, których sama nigdy by nie uzyskała. Jej życie było dla mnie cudem – ze Stanley Street na deski teatru, gdzie szaleńczo oklaskiwali ją widzowie.

– Wszystko, co napisałaś, jest godne potępienia – oznajmiła. Rzecz jasna prawda często bywa brzydka i przerażająca. Umieszczamy ją w witrażach, lecz kiedy przybywa osobiście, nieumyta, śmierdząca, krzykliwa i agresywna, naszą pierwszą reakcją jest sięgnięcie po broń.

– To, co napisałaś, wszystkich rani.

Nigdy nie skrzywdziłbym nawet muchy, ale byle laboratoryjny szczur wiedziałby już, że byłem skazany na powtórzenie moich

działań niczym automat w Disneyworld. Poczułem niewypowiedziany smutek. Wpatrywałem się w ogromne polano w kominku, aż spłonęło i opadło na rozżarzone posłanie z delikatnego, białego popiołu. Celine przycisnęła moje notatki do piersi. Miała delikatne, gładkie paznokcie – paznokcie pływaczki, pomyślałem – w kolorze sepia. Patrzyłem, jak przewraca kolejne strony. Jedna z nich, formatu A4, wyśliznęła się i poszybowała w stronę kominka. Chwyciłem ją.

– Kłamca! – wykrzyknęła Celine i cisnęła stertą kartek. Dwieście dwadzieścia jeden stron chlasnęło mnie w głowę, obito ucho i wylądowało w płomieniach – białe skrzydła zwijające się w czern.

Przysiągłem, że to jedyna kopia, a jako że jestem dobrym człowiekiem, nie mogę być kłamcą. Nie miałem wyjścia, musiałem włożyć ręce w ogień.

Celine przyskoczyła do mnie i zaczęła zrzucać kartki na podłogę, przydeptując ich płonące na karminowo brzegi. Papier drażnił skórę jak pokrzywy. Sądziłem, że ból będzie dużo większy.

– Przestań! – wykrzyknęła Celine. – Co ty wyprawiasz?

Pozwoliłem, by wepchnęła moje skłonne do poświęceń dłonie pod kuchenny kran. Wysypała do miski lód z tacek, a ja przyjrzałem się moim poranionym czerwono-czarnym dłoniom, opuchniętym jak śnięte ryby.

– Pieprzysz – powiedziała cicho i znów poczułem jej nieświeży oddech. – To na pewno nie jest jedyna kopia.

– Wiem.

– Więc dlaczego to zrobiłeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy nikt cię nigdy nie kochał, Feliksie?

– Jestem okropną osobą.

– Chciałeś mnie skrzywdzić. Powinieneś być zadowolony. Udowodniłeś, że mój ojciec był Amerykaninem.

– No i?

– To daje im prawo do Gaby.

– Wcale nie.

– Jesteś nieuważny i lekkomyślny. Nie wiesz, na czym stoisz. Powiedziałeś Woody’emu, że nie zdołam skontaktować cię z Gaby. Uwierzył w to. Myślał, że go oszukałam, żeby tylko wpłacił kaucję. A ty poszedłeś sobie do łóżka i zamknąłeś drzwi na klucz. Słyszałam szcęk zamka.

– Przepraszam.

W naturze Celine nie leżało posiadanie apteczki, a jednak ją miała – czarny plecak z białym krzyżem wymalowanym farbą. Wyciągnęła z niego rolkę bandaża, którym delikatnie owinęła moje poparzone dłonie.

– Woody jest twoim wielbicielem, niech Bóg ma cię w opiece. Zabije nas oboje.

Nie powinienem był dopuścić, by wypowiedziała te słowa.

– Feliksie, zadałeś sobie kiedyś pytanie, dlaczego Woody tak dużo mi płaci?

– Zawsze miał gest.

– Jasne – skwitowała sarkastycznie Celine, a, mimo to, okazała mi dobroć, bandażując dłonie i zabezpieczając opatrunek małymi, elastycznymi klipsami. – Sąd nawet nie wyznaczył Gaby terminu rozprawy wstępnej – ciągnęła. – Tymczasem Woody zadzwonił i zaproponował, że wpłaci kaucję i wynajmie jej adwokata.

O cokolwiek cię poprosi, nie zrobi tego dla mnie i wykorzysta brudy, których się dogrzebałeś.

– Sam zaproponował, że wpłaci kaucję, mówiłaś, że go o to poprosiłaś.

Ogień z kominka rozświetlił posiniaczony i lśniący policzek Celine. Jej palce muskały mnie niczym pióra, kiedy obrywała luźne nitki zwisające z bandaża.

– Znałam Woody’ego, kiedy był maoistą i nosił czerwony, kaszmirowy sweter.

– Wszyscy mu ufają.

– Z pewnością ja ufałam, że mi pomoże.

– Jim Cairns mu ufał. Woody go uwielbiał, na początku, kiedy jeszcze nie był ministrem skarbu i wicepremierem.

Celine naląła wina do kieliszka i przystawiła mi go do ust. Pociągnąłem łyk.

– No, właśnie.

– To sarkazm?

– Zastanów się. Amerykanie uważali Jima za wroga. Doktor Cairns, wicepremier sojuszniczego państwa, był komunistą. Mówił o tym Gough, o „przerażeniu Amerykanów”, bo Jim miał zostać wtajemniczony w kwestie związane ze stacją radarową Pine Gap. Pomyśl – komunista miał dostęp do wspólnego projektu dotyczącego bezpieczeństwa.

– I co?

– Nie domyślasz się, że skaperowali kogoś bliskiego Cairnsowi?

– Czyli Wodonga jest amerykańskim szpiegiem? Jezu, Celine! Nigdy mi o tym nie wspomniałaś.

– Opanuj się. Wcześniej o tym nie pomyślałam. Pamiętasz te fotografie na ścianach w gabinecie Woody’ego? Jak to możliwe, że facet, który inwestuje w nieruchomości w Melbourne, nagle gra w golfa z amerykańskim sekretarzem stanu?

– Nie wiem, ale Woody uwielbiał Jima. Zrobiłby dla niego wszystko.

– Pracowałam w gabinecie Jima, kiedy był ministrem skarbu. Wydaje mi się, że też cię tam widywałam. Nie pamiętasz, jak żenująco zachowywał się Woody? Jak podlizywał się Jimowi na konwencji partyjnej w Terrigal? I to przy ludziach. W gabinecie był takim chłopcem na posyłki. Woody to w sumie drań, ale stał przy biurku i przekładał Jimowi kartki w dokumentach do podpisu.

Podniosłem kieliszek, trzymając go między nadgarstkami, i upiłem wina. Celine przypatrywała się, jakby liczyła, że szkło zaraz wyśliznie mi się z rąk.

– Jim tak działał na ludzi – rzuciłem i w niewesołej ciszy, która zapadła po tym, jak odstawiłem kieliszek, pomyślałem o wspaniałych ludziach tworzących rząd obalony w 1975. Jego premier, Gough Whitlam, był patrycjuszem. Za to Jim Cairns pochodził z bazaltowej równiny, z Sunbury. Wcześniej był policjantem, świetnym biegaczem i robotniczym intelektualistą. To właśnie on miał moralny autorytet, by w 1970 poprowadzić nas, sto tysięcy ludzi, Burke Street. Gdy byłem młodym dziennikarzem, najbardziej upojny wieczór spędziłem u Jima, wymyślając podpisy pod zdjęciami do jego książki o Wietnamie. Podziwiałem go tak samo jak Woody.

Kiedy został brutalnie pobity przez związkowców ze stoczni, to tylko dlatego, że zawsze prowadził dom otwarty. Mimo że był ministrem skarbu, można było do niego wejść wprost z ulicy i spotkać tam Junie Morosi (jego kochankę i szefową biura), mnie, jego stażystę milionera Woody'ego Townesa oraz Celine w tunice i bez stanika. Byli tam też hipisi z Nimbin, rwetes i paskudna kawa rozpuszczalna. To były czasy! Człowiek był taki młody i tak blisko władzy. Australia wycofała się z Wietnamu i uznała Chiny. Gdyby Woody działał jako szpieg, znalazłby się w idealnym miejscu – tyle że on naprawdę kochał Jima Cairnsa.

– Jest bardzo lojalny – powiedziałem. Celine chwyciła strzelbę i odciągnęła zamek. Z komory wyskoczyła pojedyncza łuska.

– Łap!

Próbowałem, ale mi się nie udało. Usłyszałem, jak się odbija i toczy. Później Celine smarowała twarz kremami w łazience, a ja zostałem w mroku sam z zapachem popiołu.

21

Zatem najwyraźniej moim łóżkiem miał być fotel. Nikt nie przyniósł mi koca. Spałem jak reporter podczas nocnego lotu samolotem. Kiedy się obudziłem, stała nade mną jakaś blada istota.

– Co? – spytałem stojącą nade mną bladą istotę.

– Słyszałam różne rzeczy – odpowiedziała.

Czy to podobne do mnie, by wzdragać się przed kobiecym dotykiem, kiedy mi go oferują?

– Boję się – ciągnęła. – Pójdiesz ze mną? Tylko żeby dotrzymać mi towarzystwa?

Nawet jeśli się zawahałem, to nie dlatego, że wciąż byłem żonaty, lecz dlatego, że bałem się z nią pójść i bałem się jej odmówić. Była niezwykle krucha, taka wręcz bidulka, a przecież pamiętałem ją jako Medeę, Antygonę, Heddę Gabler, czyli niebezpieczną kobietę.

Byłem starszym mężczyzną, ale wciąż mężczyzną. Nigdy nie położyłem się do łóżka z kobietą bez choć cienia szansy na seks. Gdy eukaliptusy w Smiths Gully wyginały się niespokojnie, leżałem bardzo, bardzo spokojnie, boleśnie świadom tej pizmowej

woni unoszącej się w szopie. Celine od razu zasnęła i co jakiś czas pochrapywała. Była drobna niczym ptaszek. Jej pierś wznosiła się i opadała. Na dach z blachy falistej spadały uschnięte gałązki. Akacje drapały nagą szybę w oknie.

Któż zabija sen?

Mój ojciec nie mógł spać, nigdy, przenigdy. W środku nocy zastawałem go w pasiastej piżamie wpatzonego w parking i wszystkie niesprzedane fordy lśniące na kwarcowym, żwirowym podłożu niczym ryby ułożone na lodzie. Pożerał tabletki. Zapomniałem o tylu rzeczach z dzieciństwa, ale wciąż potrafię wyrecytować litanie jego leków, zawierającą, między innymi, kodeinę i valium, które łykał na końcu, bo trudno je było dostać. Nie spał, bo martwił się, że przeplacił, odkupując pick-upa marki Holden od Henry'ego Wilmota. Tymczasem ja martwiłem się, że moja śpiąca współtowarzyszka jest nie zrównowazona, a mój wielbiciel to postać dużo mroczniejsza, niż byłbym w stanie sobie wyobrazić.

Obróciłem się na drugi bok i zobaczyłem wpatrzona we mnie podbite oko – małe, poruszające nocne stworzenie.

– Co nam się może teraz przydarzyć? – szepnęła i uniosła rękę. Ruch był zamazany, jak machnięcie skrzydeł nietoperza w mroku.

– Co? – spytałem.

– Chodź do mnie.

Położyłem głowę na jej ramieniu. Gładziła mnie po włosach z tak smutną i kojącą zażyłością, jakbyśmy jednak byli kochankami.

– Jesteś niesamowity – powiedziała. W poświacie księżyca, po którym przemykały chmury, miała niemal granatowe usta.

Poczułem zapach jej pasty do zębów i jej feromonów. Nie miałem wątpliwości, że się boi. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi samochodu. Zesztywniała, ale nagle zaczął kropić drobny deszczyk, hałasy ustały, a dach z blachy falistej odgrywał piosenkę bezpiecznego dzieciństwa. Celine leżała spokojnie i pomyślałem o domu w Rozelle i o naszych córkach podczas nagłej burzy w Sydney. Nie do pomyślenia, że je porzuciłem. Zawsze byłem pewny jednej rzeczy: że nigdy tego nie zrobię.

Deszcz się wzmógł. Przez odgłos kropel przedarł się ciężki tupot nóg.

– To kangur – uspokoiła mnie Celine. – Nie martw się.

– Co powiedziałaś Woody’emu?

Celine wsparła się na łokciu.

– Że nie liczą się nawet z własnymi obywatelami.

– Tak mu powiedziałaś?

– Że mordują ich jedynie na podstawie podejrzeń. Nie ma żadnych granic. Bez przerwy łamią własne prawo. Połowa z nich siedzi w więzieniach. I że moja córka myślała, że może im fiknąć, coś powiedzieć.

– Co?

– Twierdzą, że włamała się do systemu bazy w Pine Gap. Dajesz temu wiarę? Myślisz, że to możliwe? To jest ta jej zbrodnia?

– Zarzuciłaś Woody’emu, że jest szpiegiem? To dlatego cię uderzył?

– To by go usprawiedliwiało?

W ogóle go nie usprawiedliwiało, ale przynajmniej nadawało temu sens. Woody był porywczy. Przywiązywał dużą wagę do

lojalności.

Deszcz przestał padać. Nie dochodziły do nas żadne dźwięki, tylko od czasu do czasu z wielkiego eukaliptusa spadała seria kropeł. Chmury przesłoniły księżyc i nie byłem pewien, czy widzę jeszcze dach szopy czy tylko mi się wydaje.

– Siedziałam wczoraj na słońcu – powiedziała Celine, delikatnie zawieszając głos, jak hipiska, którą czasem udawała.

– Tak...

– I zobaczyłam małego ptaszka, takiego cętkowanego z Nowej Południowej Walii.

– Lamparcika?

– Tutaj ich nie ma.

– Myślę, że są.

– Nie. A gdybyś był w Pakistanie, co byś pomyślał, gdybyś zobaczył ślicznego ptaszka, którego nie powinno tam być?

– Że to nie jest Pakistan.

– Czy byłabym wariatką, gdybym pomyślała, że to dron, który ma mnie zabić?

– Urocza Celine!

– Nie obłapiaj mnie, Feliksie. Włącz światło.

– Nie przeszkadza ci, że ktoś może zajrzeć do środka?

– Ten, kto po mnie przyjdzie, od razu tu wejdzie. Włącz światło.

Otwórz szafkę. Wyjmij tamto pudełko.

– To?

– Otwórz je.

Usiadła na łóżku z włosami w nieładzie, skrzyżowanymi nogami, owinięta kocem w kolorze gliny jak szalem.

– Otwórz, proszę.

Otworzyłem pudełko i ujrzałem na ściółce z bezbarwnej waty krwawe resztki czegoś, co – na podstawie kolorowych piór – wziąłem za to samo co Celine. Zostało prawie całkiem rozszarpane.

Jakież to było niezwykle – ta akuratność, fizyczna stabilność pośród zamętu.

– Ty go zastrzeliłaś? – spytałem. Było już za późno na dyskusje o środowisku naturalnym cętkowanego lamparcika.

– Przecież wiesz, że tak. Zabiłam to śliczne stworzenie. – Roześmiała się, wykrzywiając duże, posiniaczone usta i mrużąc oczy sponiewierane niczym papier w koszu na śmieci. Cud, który rozpoczął ziemską wędrówkę pod pewnym domem w stanie Queensland.

Któż nas wywróży? Kto nas ograniczy? Jej snajperskie umiejętności, jak się wkrótce przekonałem, były wrodzonym darem dostrzeżonym i rozwijanym przez poprzedniego właściciela strzelby, człowieka, którego Celine niekiedy nazywała „ojcem”, czyli przez pana Neville’a.

Pan Neville był wyjątkowo nieprawdopodobną postacią, bliskim przyjacielem tego samego projektanta witryn, który wymalował szwy na wysmarowanych sosem nogach jej matki i który później, kiedy Doris została wyrzucona z domu, zaniósł jej tekturową walizkę do tramwaju. Dał jej też dwie koperty. Jedną zaadresowaną do „Mojego drogiego przyjaciela, Pana Neville’a Petersona” i drugą, zawierającą trzydzieści trzy funty i dziesięć szylingów.

– Bądź dzielna – powiedział i ucałował ją w oba policzki. Celine nie chciała takich informacji? Przecież ona też przebyła tysiąc mil

w macicy, nie wiedząc pewnie nic oprócz tego, że wody tego świata wywołują trwogę i zniszczenia, gdy jej matka dzielnie przemierzała ulice Melbourne ze świadomością, że bawełniana sukienka nie ukryje brzucha wydętego nad jej łonem, udami i nagimi nogami. Nie było nikogo, kto by jej wybaczył. Dźwigała swój tekturowy *port*, jak nazywają walizkę w Brissy od francuskiego *portmanteau*. W Melbourne *port* znaczyło tanie, mocne wino sprzedawane wraz z innymi podstawowymi produktami przy tylnej furtce domu pana Neville'a, a niekiedy także z jego furgonetki marki Bedford. Aż trudno było uwierzyć, ile papierosów, czekolad i nylonowych pończoch mieściło się na tak małej przestrzeni.

Jego dom stał przy Dorcas Street w Południowym Melbourne, które w 1943 roku było dzielnicą przemysłowo-robotniczą. Wciąż tam stoi, piętrowy, późnowiktoriański z elewacją o szerokości dwudziestu dwóch stóp, zaokrąglonym, żeliwnym podcieniem oraz ze zdobnym frontonem, na którym wyryto dumny napis „Balmoral”. Kwartal ciągnie się niemal na dwieście stóp, ale do domu można też wejść od strony szerokiego, biegnącego z tyłu zaułka.

W 1943 roku na podwórku zalegało drewno, ołów i miedź oraz inne cenne towary, którymi najlepiej handlowało się po zmroku. Towar zbywany za dnia stał na półkach bądź opierał się o ściany szopy jak patyki wokół ogniska. Nieco bliżej bramy parkowała wspomniana wcześniej furgonetka. Budzący grozę kierowca w okularach, z lewym szkłem zaklejonym szarym papierem, wyprawiał się nią po „węgiel po okazyjnej cenie”, „królicze tuszki”, „grzybki” i „jajca”. Między Dandenongs a Ballarat było wiele

farm, gdzie tego wysokiego i kościstego mężczyznę w obwisłych na tyłku, opiętych paskiem spodniach z radością witano tylko dlatego, że kłaniał się, palił ciasno zwinięte skręty i pokrzepiająco, tonem gawędziarza, mawiał „za moich czasów” (co obecnie go deprecjonuje, bo jest uznawane za śmieszne). Dziś stwierdza się autorytatywnie, że podczas wojny nie było czarnego rynku.

Doris dojrzała swoją przyszłość w bambusowym gaju za żeliwną furtką domu pana Neville’a.

Jako że wybiło południe, pan domu właśnie wstał z łóżka. Pojawił się w drzwiach wejściowych z pierwszym skrętem w kąciku ust, mrużąc oczy w kłębach dymu. Miał długi nos i szpiczasty podbródek. Zapadnięte policzki lśniły po goleniu.

Bez słowa przyjął od Doris wymiętą kopertę. Nie widział na jedno oko, więc przeczytał dwustronicowy list, przekrzywiając głowę, po czym zamyślił się nad jego treścią.

– Pewnie nie masz prawa jazdy?

– A napisał, że mam?

– Nie. – Pan Neville złożył kopertę na dwoje, a potem na czworo, czyniąc ją dużo mniejszą, niż było trzeba, by zmieściła się w kieszeni jego koszuli w kolorze khaki. – Nie, właściwie nie.

– To czemu pan pyta?

Nie odpowiedział.

– Jest szczęśliwy, twój pan Clive?

– A tak napisał?

– Jest samotny?

– Nic o tym nie wiem.

– Przecież musi mieć jakichś przyjaciół. Doris?

– Tak, mam na imię Doris. Co o mnie napisał?

– Głupi palant z tego naszego Clive’a. Mógłby się ubiegać tylko o jedną rolę, ale ma za dużą tremę.

– Powiedział, że jest pan miły.

– Tak powiedział, słonko?

– Tak.

– Masz kłopoty, laleczko?

– Pewnie jestem nagrodą pocieszenia – odpowiedziała Doris.

Kiedy pan Neville ściągnął usta, zrozumiała, że w jakiś sposób go ubodła.

– Spójrz na siebie – rzucił. – To chłopak?

– Jeszcze nie wiem.

– Mogę go zjeść, jak będzie gotowy?

Powiedział to, żeby się odgryźć. Czemu nie? Była wyrzutkiem, puszczałką z brzuchem i pośladkami, które rozsadały jej sukienkę.

– Bardzo mi przykro.

– Wejdz. Jasne, że wejdz – powiedział pan Neville, wycofując się w mrok.

– Bardzo mi przykro – powtórzyła Doris w korytarzu domu „Balmoral”, a po jej policzkach spływały łzy. – Przepraszam.

– Tutaj, skarbie. Pierwsze drzwi po lewej.

Doris poczuła bijący od ścian chłód jesieni w Melbourne.

– Proszę bardzo. Dokładnie taki, jak jaśnie pan go zostawił.

Wypowiedziawszy te słowa, ruszył w głąb pokoju, jakiego Doris nie spodziewała się ujrzeć. Była to sypialnia projektanta witryn z różową, jedwabną pościelą, różowymi poduszkami i kokardami

uwiązanymi do wyściełanego wezglowia łóżka. Pan Neville położył jej starą i sfatygowaną walizkę na pięknej narzucie.

– Pewnie się tu ciebie spodziewał – skomentował i skrzywił się, pociągając wonnego skręta, po czym wepchnął wielkie, żylaste dłonie do tylnych kieszeni spodni, co sprawiło, że się nad nią pochylił. Od razu się domyśliła, że to jego sposób na zawarcie pokoju.

– Nie mam pracy ani niczego – powiedziała.

– Nie szkodzi.

– Przecież nie chce pan, żeby dziecko płakało po nocach?

– Mogę być z tobą szczery, słonko?

– W końcu to pański dom.

– Jestem starą i głuchą ciotą.

W jego minie nie było nic, co mogłoby podsunąć jej właściwą reakcję. Pan Neville był jak patyczak. Sto procent kamuflażu, cały suchy i żylasty, jedno oko przesłaniał mu szary papier, drugie mrużył przed dymem.

– W porządku – powiedziała Doris.

– Rozumiesz?

– Chyba tak.

I stary piernik mrugnął do niej.

– Nie przejmuj się mną, Doris.

– Dobra.

Domyśliła się, że nie da jej powodów do zmartwień. Znowu mrugnął.

– Miło będzie mieć takie ładne towarzystwo. Masz prawo jazdy?

– Nie.

Potem sobie poszedł, a nawet jeśli wrócił, to go nie słyszała. Dopiero po kilku godzinach odkryła pod drzwiami pokoju dzbanek z herbatą.

Nawet gdyby była workiem kartofli, panu Neville'owi było bez różnicy. Ulga związana z jego brakiem zainteresowania jej ciałem chwilowo przesłoniła jego główną zaletę, którą z czasem bardzo doceniła – pan Neville działał wyjątkowo skutecznie.

Był właścicielem szesnastu budek z hot dogami. Prowadził interesy z przybyłymi wiele miesięcy wcześniej do Australii amerykańskimi żołnierzami, którym – mimo że zjawili się tu, by bronić tego kraju – odmówiono wstępu do portu w Melbourne, gdyż ciemny kolor ich skóry kłócił się z australijską polityką wspierania białej imigracji. Kiedy problem wreszcie rozwiązano, czarni okazali się dużym atutem. Pan Neville wkrótce wszedł w spółkę z krawcem. Szyli podróbki ich obszernych marynarek i luźnych spodni z wąskimi mankietami. Ich „ciuchy” odpowiadały cenie, a materiał nazywaliśmy „papuzim”, czyli tandetnym. Od tego słowa wzięły swą nazwę „papuzie” gangi.

Pan Neville odsprzedawał też wydawane przez Amerykanów dla podniesienia morale żołnierzy płyty z utworami takich artystów, jak Art Tatum, Louis Armstrong, Earl Hines, Coleman Hawkins, Lionel Hampton, Louis Jordan, Benny Carter i Fats Waller, który marzył o długim na pięć stóp skręcie. Miał też dojsie do masła w Bacchus Marsh, z którego korzystał do 1945 roku, kiedy to jego konkurenci z papuziego gangu puścili mleczarnię z dymem. Utrzymywał „owocne kontakty” z Czwartym Amerykańskim Szpitalem Ogólnym, a w szczególności – choć nie tylko – z jego oddziałem kwatermistrzowskim. Nazajutrz po tym,

jak załatwił jej wizytę u położnika (amerykańskiego kapitana) i ginekologa (amerykańskiego majora), Doris zrozumiała, że pan Neville może uratować jej życie.

W gmachu Royal Melbourne Hospital, który jankesi ukradli miejscowym, jej nienarodzone dziecko zostało uznane za zdrowe.

– Chciałabyś się nauczyć prowadzić?

Pragnęła tego jak latania, a może nawet bardziej.

Pan Neville zafundował jej pierwszą w życiu coca-colę. Później („nim zdążyła mrugnąć”, jak wyznała mi Doris) zyskała nazwisko Baillieux, w majestacie prawa i pisane dokładnie tak, jak chciała. Po tygodniu miała prawo jazdy, na którym było napisane „Pani Doris Baillieux”. Pan Neville kupił jej czarny kostium i czarną sukienkę i Doris od ręki została jego szoferem.

Ktoś taki jak on bez kłopotu zdobywał wszystko, choćby strzelbę marki Remington, wyprodukowaną w 1939 roku. Broń ta odegra rolę w wojnach papuzich gangów, lecz do tego czasu zawsze będzie z tyłu furgonetki, pod ręką, kiedy chcieli postrzelać do królików lub puszek po marmoladzie, ustawionych na płocie.

Gdy na świat przyszła Celine i nadano jej nazwisko Baillieux, szef obserwował, jak Doris wkłada rękawiczki, zanim dotknie małej. Nie zadając zbędnych pytań, stał się mistrzem karmienia butelką i zmiany pieluch w minutę. Niańczył Celine, kiedy jej matka była w trasie.

Dorastaniu Celine towarzyszyła jazda samochodem, biwaki przy ognisku nad rzeką Lerderderg, strzelanie do królików w Coimadai i do puszek po marmoladzie przy Darley Road. Poznała pełną kartoflisk wyżynę koło Bungaree i kopalnie złota w Anakie. Wszystko to można obejrzeć za darmo na pocztówkach,

ale należy jeszcze dorzucić wysokiego, żyłastego mężczyznę z dzieckiem na rękach oraz jego nieodłącznego szofera – kobietę w czarnej sukience z wymalowanymi ostrą czerwienią ustami.

Czy Celine kiedyś zrozumie, w jaki sposób jej matka dodała splendoru panu Neville'owi? Nie tylko prowadziła samochód „bez szarpania”, ale mogła też godzinami czekać, nie śpiąc, nie podśpiewując i nie czytając „Sporting Globe”. Zawsze była pod ręką, wesoła jak skowronek. Niezmiennie zachowywała spokój i nieważne, czy pan Neville bardzo się śpieszył czy był lekko zalany, czy też, jak wtedy, gdy wojny z papuzimi gangami weszły w końcową fazę, jednocześnie śpieszył się i był lekko zalany.

Dzieciństwo Celine miało szczególny charakter. Odebrała intensywne, acz niezwykle wychowanie. Co zaś się tyczy kwestii fizycznych, to jej ciało okazało się zadziwiająco spokojne, bardzo podobne do ciała matki, co będzie jedną z jej najbardziej interesujących cech, kiedy zostanie aktorką. Doris powiedziała mi, że właśnie to uczyniło z Celine „Ryśka-snajpera”.

– Wiesz, kto to?

– Wyborowy strzelec.

– Tylko tego nie pisz – dodała. – Jest naprawdę stuknięta. Łatwo wpada w złość.

22

Spałem z Celine Baillieux. Dobry Boże, jasne, że nie w tym sensie. W ogóle nie mogłem zasnąć.

Piętnaście miligramów temazepamu nie zadziało, wysuszyło mi jedynie usta. Ruszyłem więc bosy po zasypanej popiołem ceglanej podłodze, by znaleźć pocieszenie w winie. Celine schowała gdzieś butelkę Jacob's Creek. Moją uwagę przykuło buczenie lodówki i – Jezu Chryste! – leżała tam w słodkim śnie butelka Veuve Clicquot, złotawo pobłyskując z plastikowej szuflady. Przepraszam, przepraszam, bardzo przepraszam. Nigdy nie kradnę szampana. Znalazłem kieliszek. Poszukując samotności, wymknąłem się na dwór. Owionęło mnie chłodne i wilgotne powietrze stanu Victoria. Odezwała się sowa, puszczał. Wśród gałęzi akacji beztrosko buszował opos.

Zamknąłem drzwi delikatnie, jak złodziej obrabiający sejf. Miałem obolałe dłonie. Ból wzmógł się, gdy wyciągałem korek. Wreszcie urocze, ukradkowe pierdnięcie.

Stopy skostniały mi z zimna, ale miałem to gdzieś. Napełniłem kieliszek i poczułem, jak bąbelki opłukują pustynię w moim

gardle. Skoro dokonałem tego, mogłem dokonać wszystkiego. I wtedy jakaś potężna łapa zacisnęła się na moim barku.

Celine była później na tyle miła, że oświadczyła, iż nie słyszała mojego wrzasku. Ponoć obudziła ją bladziutka poświata przeświecająca przez korony drzew i brudne okna sypialni. Pomyślała: Jestem na ich liście ludzi do odstrzału, ta chwila wisiała nade mną przez całe życie. Naciągnęła koc na głowę, przemknęła po lodowatej podłodze, znalazła jakąś kryjówkę i położyła się tam z bijącym sercem. Gdzieś w oddali warczał silnik, po chwili umilkł. Celine przeczołgała się do mrocznego korytarza. Czuła chłód i popiół. Przez okna salonu widziała krzaki i mężczyzn z latarkami. Dwie postaci stanęły przy otwartych drzwiach. Jedną z nich był Wodonga Townes.

– Nie rób tego więcej – powiedział, objął mnie i przytulił do piersi jak kochanka. – Jezu, chłopie. Są ludzie, którym na tobie zależy. Nigdy mi więcej nie znikaj.

– Przepraszam.

Wziął ode mnie butelkę Veuve Clicquot i pociągnął łyk.

– Chryste, Feliksie. Myślałem, że już po tobie.

Za nim stali faceci z odblaskowym, trzydziestocentymetrowym napisem POLICJA na bluzach. Hałaśliwie tuptali po krzakach, jak wombaty.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

Ciężko oparł się na moim barku, w zamierzeniu zapewne troskliwie.

– Szukam mojej informatorki.

– To moje zadanie. Wpłaciłem za nią kaucję. Ty jesteś dziennikarzem, do cholery! Wszyscy tracimy czas.

– Mogłeś po prostu do mnie zadzwonić – odparłem. – Odebrałbym.

– Tak, tak – odpowiedział, jak to on, nagle pochłonięty inną myślą. – Macie czerwone wino?

– Niestety, nie.

Zwolnił uścisk.

– Dobbo! – zawołał. – Skocz do naszego koleśia, właściciela baru.

Wydawał polecenie policjantowi głosem ostrym jak brzytwa. Spostrzegłem, jak wyciąga ze zwitka pieniędzy parę banknotów. Byłem zagubiony, ale i wdzięczny.

– Kup karton Château Nasty – rzucił. – To powinno obudzić gnojka. I spytaj, może ma steki. Jestem głodny.

Próbowałem wrócić do domu, ale przejście było zablokowane.

– Zabierz ich z mojej działki – powiedziała Celine, nie do mnie, tylko do Woody’ego, który stał za mną jak skała. – Mają nakaz?

– Moja śliczna Celine – zagaił przy pochlebny tonem, który zabrzmiał okropnie w połączeniu z jej podbitym okiem. – To policja, skarbie.

Celine mocniej owinęła się kocem.

– Odstaw mojego szampana tam, skąd go wzięłeś.

– Bałem się, że przydarzyło ci się coś złego – Wodonga oddał mi butelkę i ujął jej dłoń. – Bóg jeden wie, kto mógłby cię dopaść.

Celine skrzyżowała ręce na piersi.

– Kochanie – ciągnął Woody. – Twoja sytuacja jest delikatna.

– Wyjaśniłeś mi to już wczoraj.

Zapadła cisza. Co się między nimi działo? Celine spojrzała mu prosto w oczy, obolała i wściekła.

– Dobrze – powiedział w końcu Woody. – Zatem tu mamy jasność.

Znowu cisza. Celine zamrugła i odwróciła wzrok.

– Wybacz mi, Woody.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że jej córka jest bardzo blisko.

– Wejdz – powiedziała Celine.

W dostatniej kuchni Woody obrał sobie banana, napił się wody z kranu i wytarł czerwone usta papierowym ręcznikiem, który zgniótł i porzucił na ociekaczu. Celine przypatrywała się temu otulona kokonem z koca.

– Kochanie, pozwoliłaś zarosnąć publicznej drodze przed domem.

Wrzuciła zmięty przez niego ręcznik do kosza.

– Mieszkam na samym końcu – odpowiedziała ostrożnie. – Nikt oprócz mnie tędy nie chodzi.

– Tu często zdarzają się pożary. A nie ma bezpośredniego dostępu do domu.

– Nie powinieneś ich tu sprowadzać.

– Dlaczego tak cię to wkurza? Przyjechali, bo martwiłem się o twoje bezpieczeństwo.

Celine wyszarpnęła mi butelkę z szampanem.

– Jesteś żaloszny – rzuciła mimochodem. Patrzyłem z zainteresowaniem, jak bez powodzenia próbuje wcisnąć butelkę na półkę w drzwiach lodówki. Woody puścił do mnie oko.

– Odziedziczyłaś tę posiadłość po Lionelu Patricku? – spytał.

– To nie jest posiadłość – odparła i zrozumiałem, że była związana z dawno zapomnianym Lionelem Patrickiem,

konserwatywnym prokuratorem generalnym. Była jedną z dziewczyn Lionela.

Woody zaczął oświetlać latarką jej dzieła sztuki, wędrując wzdłuż ścian salonu.

– Lionel miał niezłą kolekcję – ocenił.

Usłyszałem, jak otwiera drzwi, a później je za sobą zamyka.

Celine rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

– Tylko ani słowa!

Woody wrócił z jakimś niewielkim płótnem.

– Cliff Pugh. To namalował Cliff Pugh – powiedział.

– Na litość boską! – Celine wylała szampana do zlewu. – Możecie nie dotykać moich rzeczy?!

– Świetny malarz, ten Cliff, ale dla Lionela trochę za bardzo lewacki. Czy Cliff nie mieszkał tu niedaleko, w Cottles Bridge?

– Owszem. Za chwilę powiesz, że też masz jego obraz. Portret Jima Cairnsa, zgadza się?

– Cliff był wielkim fanem wicepremiera. Stary, możesz go z powrotem powiesić? Wybacz – zwrócił się do mnie Woody.

Kiedy wróciłem, Celine gdzieś przepadła, a Woody udawał, że czyta książkę. Podszedłem z butami do stołu w jadalni, gdzie mogłem usiąść, by zawiązać sznurówki.

– Wiesz, że jest nie zrównoważona – powiedział Woody.

Chciał się usprawiedliwić, bo ją uderzył? Spojrzałem na niego.

– Nic dziwnego, że się wkurwiasz i robisz się sarkastyczny – dodał, nie podnosząc wzroku.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak. Ale nigdy nie poznałeś jej tak dobrze, jak ja.

– Czyli jak?

Jego książka upadła z hukiem na podłogę.

– Nie rób ze mnie wała. Chyba nie jesteś aż tak głupi?

– Przecież wiesz, że jestem tchórzem, Woody.

Wbił we mnie krokodyli wzrok, westchnął i wziął do ręki egzemplarz „Age”.

– Na Boga, chciałbym, żebyś był taki prosty.

Czekałem, aż zroluje kartki i zwiąże je babskimi węzłami, jak je nazywają. Obserwowałem, jak układa papiery na palenisku, podgarnia żar i dorzuca więcej drewna. Stałem tyłem do kominka, ogrzewając nogi, kiedy wrócili gliniarze z kartonem wina i niedużą miękką paczką, w której – jak się okazało – były kiełbaski.

Woody natychmiast się ożywił. Zachowywał się jak Rupert Murdoch, który zawsze przygotowywał „chłopcom” śniadanie na swojej farmie w Yass. Zrobił się jowialny, wspaniałomyślny i łagodny. Przygotował kiełbaski, wbił mnóstwo jaj do miski i obsługiwał kuchenkę gazową, oparłszy drugą rękę o wydatne biodro. W końcu zjawiła się Celine, w dzinsach i kraciastej koszuli, i z niezadowoleniem przyjęła fakt, że na jej stół trafiło jakieś obce jedzenie. Stała nad nim z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Jezu, odpuść mi trochę – powiedział Woody.

– Nie przechodzi ci to przez gardło?

– Chcesz, żebym cię przeprosił?

– Zabieraj te swoje pieprzone talerze na dwór!

– Ci panowie z twojego powodu byli na nogach przez całą noc.

– Raczej z twojego.

Poczułem, jak Woody sztywnieje. Zawisł nad Celine całą masą swojego ciała. Później prychnął, wziął kiełbaski oraz jajecznicę i poprowadził policjantów na zewnątrz. Skrzeczały sroki, a niebo było zimne i żółte. Intruzi stanęli na tarasie, pobrzękując talerzami i kieliszkami niczym futboliści podczas grilla.

Udało mi się napić trochę czerwonego wina, ale Celine zaraz przechwyciła butelkę.

– Później – powiedziała. – Masz być tym dobrym, więc bądź. Błagam, nie nawal.

– A co mam zrobić? Przecież ja nic nie wiem.

Zastanawiałem się, co Celine robiła z Woodym. W jaki sposób odziedziczyła dom po pieprzonym Lionel Patricku?

– Wiesz, że lepiej nie wkurzać policji? – powiedziałem.

– Dobra, idź tam, zjedz z nimi. Powiedz im, jaką jestem suką. Ale jeśli zaczną tu węszyć, postaraj się, żeby nie poszli na wschód.

– Czyli gdzie?

Zamknęła oczy, a potem jeszcze zacisnęła powieki. Muszę jej oddać, że uśmiechała się, kiedy je otworzyła.

– Tam, gdzie wschodzi słońce, głupku.

Detektyw sierżant Dobbo chwycił garść plastikowych toreb – nie wiadomo, z jakiego powodu – oraz czarny matowy sprzęt, który pozostali przewiesili sobie przez szyję. Woody Townes niósł latarkę i świeżo okorowany, wciąż lepki od soku kij, którym z entuzjazmem wymachiwał, kierując się w stronę obłożonej kamieniem szopy pokrytej blachą falistą. W promieniach wschodzącego słońca jego obcasy lśniły odblaskowym oranżem.

– Martwię się o nią, Feliksie. – Zamachnął się na krzak akacji, przepoławiając go na dwoje. – Gdyby się tak zastanowić, to nigdy nie radziła sobie ze stresem.

Na jego drodze stanęła inna mała, bladoniebieska akacja, ledwie dwudziestopięciocentymetrowa, zasadzona poprzedniej wiosny. Tej też przyłożył.

– Jezu, przestań.

– Uważasz, że powinna zasadzić jeszcze więcej drzew? Tu ludzie płoną żywcem. Wydawało mi się, że znam Celine i to bardzo dobrze. Ale ona zawsze miała wielki talent do zaskakiwania. Wiedziałeś, że dawała dupy Lionelowi Patrickowi?

– Nie.

– Jak ją odbierasz? W jakim jest stanie?

– Na pewno jest zaniepokojona.

– Nie rzuciła się na ciebie z nożem?

– A na ciebie tak? Kiedy?

Zamilkł, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Kiedy byliśmy młodzi, Celine była, kurwa, niesamowita. Te numery, które wycinała! Ale teraz... Myślisz, że wszystko jest z nią OK? Jest roztrzęsiona.

– Powiedziałbym, że raczej niespokojna.

– Czy to nie jest, kurwa, przedziwne, że niespokojna kobieta ma dom w takim miejscu? Jej sąsiadami są zawodowi złodzieje samochodów. Widziałeś te używane auta pochowane w krzakach? To się kiedyś nazywało „dziupła”. Ta droga jest cała zarośnięta. Musiałem zostawić swojego merca u podnóża góry.

– Na pewno nic mu się nie stanie.

– To mercedes-benz S500. Masz pojęcie, co to za fura?

Mercedes-benz S500 to czterodrzwiowa limuzyna, ulubione auto chińskich biznesmenów, bogatych Amerykanów i dyktatorów państw Trzeciego Świata.

– Nie – odpowiedziałem. – Co to za fura?

– Nie prowadzisz samochodu? Ten prowadzi się sam. Ma trzy komputery pokładowe. To merc w sam raz dla ciebie. Ma „asystenta jazdy na wprost”. Na pewno by ci się przydał.

Położył mi dłoń na ramieniu i przeszliśmy tak spory kawałek. Trudno było nam się powstrzymać od zwyczajowych, dobrotliwych szyderstw.

– Ma też bluetooth, Siriusa, radio HD oraz gniazdka USB i SD – ciągnął Woody. – Widzę, że mnie nie słuchasz. Dobra,

rozumiem. Jeśli się da, uratujemy jej córkę-idiotkę, chociaż bardziej martwię się o mamusię. Zdemaskowała się? Naraziła się na jakieś niebezpieczeństwo? Wiesz coś o tym?

– Ma podbite oko.

Rzecz jasna wtedy zamilkł, a jego usta osiągnęły nerwowy stan, w którym nie sposób przewidzieć, co się z nich wyleje. Tym razem odzyskały spokój, kiedy Woody przyjaźnie chwycił mnie za rękę.

– Musi z nami współpracować, rozumiesz? Udzielanie schronienia to przestępstwo.

– Gubię się.

Zaczął mrugać oczami, jakby analizował moje „zagubienie”, przyjmując różne punkty widzenia. I nagle ruszył zdecydowanym krokiem na wschód. Parł przed siebie i z pasją rozdeptywał derenie. Nie wiedziałem, jak go zawrócić.

– Skąd bierze jedzenie? – zaczął dociekać Woody. – Zwróciłeś uwagę na jej skrzynkę na listy? – Pociągnął nosem. – Dlaczego jest taka duża? A kiedy korony drzew ogarnia wściekły pożar, co robi? Dlaczego zamieszkała na tak trudnym terenie?

Nagle – choć, rzecz jasna tego nie planowałem, ba, nawet nie wiedziałem o jej istnieniu – dotarliśmy do wykopanej w lesie ziemianki. Nie ma lepszej ochrony przed pożarem niż ziemianka. Tę wbudowano w zbocze wzgórza niczym kopalniany szyb. Wejście obramowano grubymi belkami. Tony ziemi podtrzymywał niedbale ociosany pień. W głębi wisiała brudna, płócienna zasłona.

Stanęliśmy przed nią i nagle poczułem jego ogromny spokój.

– Jesteś chłopakiem ze wsi – powiedział Woody. – Wyjaśnij mi więc: dlaczego podczas wielkiego pożaru w środku pozostaje tlen?

– Dzięki tej zasłonie. Nasącza się ją wodą. Tunel musi mieć kształt litery L.

– Czyli już tam byłeś?

Rozpoznałem u niego tę specyficzną minę pokerzysty, którą znałem z dawnych czasów, kiedy przeżywałem katusze związane z planami dotyczącymi akcji w „Radiu dla kierowców”, graliśmy w karty i piliśmy po nocach.

– Niby po co?

Uśmiechnął się, ujął mnie pod ramię i mocno ścisnął. Pomyślałem: Anioł jest w środku. Wreszcie udzieli mi wywiadu.

– Powinienem ci współczuć – powiedział Woody, ciągnąc mnie ku wejściu. Nagle poczułem strach. Kopnąłem go w kolano tak, że omal nie wypadł mi dysk i właśnie w tym momencie, gdy błydy snop światła latarki Woody’ego padł na zakurzoną zasłonę, sroka przypuściła atak. Zrobiła to w sposób typowy dla samców o białych piórach na grzbiecie. Zatrzepotała skrzydłami, głośno zaskrzeczała i uderzyła z całej siły w głowę Woody’ego, która odskoczyła do przodu o dobre osiem centymetrów. Po chwili napastnik siedział już na drzewie, nie do odróżnienia od swoich sióstr i braci i w bezpiecznej odległości od emocji, które rozpętał na dole.

Przez całe życie cierpię z powodu agresji tych ptaków. Podobno ich angielscy kuzyni to łagodne stworzenia. Za to w Bacchus March, podczas sezonu, dzieci wracały z wychodka na dworze zalane krwią i przeważnie zapłakane, a te bojaźliwsze pozostawały w klasie i wołały narobić w majtki, niż narazić się na taki atak.

Ale, dobry Boże, czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Woody Townes, sto trzydzieści kilogramów żywej wagi, opadł na kolana. Krew leciała mu po czole i ściekała do oczu, a ten darł się jak jałówka, która wlaźła na drut kolczasty.

Niesamowite. Wielki, silny facet, bestia napędzana własną, ledwie tłumioną, agresją, a tak mało odporny na ból. Klęczał jak oślepiiony cyklop, w pokrytych kurzem odblaskowych butach, i wymachiwał tłustą pięścią najwyraźniej w kierunku mojego cienia.

Rzecz jasna natychmiast przybiegła Celine, w stu procentach wczuwając się w rolę – z podbitym okiem, bosa i wymachująca podręczną apteczką.

– Nie ruszaj się – rzuciła do klęczącego Woody’ego.

Tymczasem nad naszymi głowami rozgorzała wojna między kukaburami a srokami. Słyszałem stukot dziobów. Celine włożyła gumowe rękawiczki do zmywania i rozsunęła kosmyki włosów Woody’ego.

Zawył. Celine uniosła ręce.

Dostrzegłem głęboką, mięsistą ranę biegnącą od czubka głowy do brwi.

– Mam tylko alkohol metylowy – oznajmiła Celine i nim zdołał ją powstrzymać, prosto z butelki polała głowę Woody’ego.

– Kurwa, przestań!

– Trzeba to zaszyć.

– Odwal się. – Woody przetarł oczy. Jego rękę pokrył krwawy szlam. – To tylko sroka.

– Posłuchaj, kochany – odezwała się Celine, zdecydowanie zbyt czule. – Tracisz mnóstwo krwi.

– Gównu tam.

– Idziemy do samochodu.

Te wymianę zdań przerwali Dobbo i jego ekipa – ich niecierpliwe buciory, długie wężące nosy i profesjonalne oceny: „To nie jest rana po ataku sroki”.

– Z całym szacunkiem, sierżancie, ale chyba ja wiem najlepiej, kto mnie zaatakował. To była cholerna sroka. Opadła na mnie.

– Z młotkiem i dłutem? – spytał Dobbo. – Musiała je mieć.

– Niech pan da spokój, sierżancie – wtrąciła nerwowo Celine. – Proszę mi pomóc.

Chwyła Woody’ego pod pachy, starając się postawić go na nogi.

– Sam sobie poradzę! – zawołał pacjent. – Nogi wciąż mam zdrowe!

Wypowiedziawszy te słowa, wywrócił oczami i zwałił się nieprzytomny na ziemię.

– Sierżancie! – krzyknęła Celine i to był pierwszy moment, kiedy pomyślałem o siewce matce, która pociąga skrzydłami, udając ranną.

Dobbo stał z rękami wspartymi na biodrach i patrzył na Celine z pozbawionym sympatii rozbawieniem.

– Pani wie, dlaczego nie możemy podjechać tu samochodem. Bo narusza pani przepisy.

Później uzmysłowiłem sobie, że w tym momencie Celine wpadła w kompletny szal.

– Musicie mi pomóc! – wrzasnęła.

Zastanowiło mnie, dlaczego robi sobie z niego wroga. Znowu wcisnęła ręce pod pachy Woody’ego i ponownie udowodniła, jak bardzo jest nieskuteczna.

– W porządku, skarbie – ustąpił wreszcie Dobbo. – Odsuń się.

– Nie.

– No, już. Zmykaj.

Nie pomyślałem ani przez chwilę, że mam do czynienia z aktorką, więc zaniepokoiłem się, widząc, jak wpada w panikę, gdy między klonami strzępiastokorymi i krzakami jeżyn sunąłem za tą ponurą procesją przez strumień do skomputeryzowanego mercedesa Woody’ego. Wodonga odzyskał przytomność na tak długo, by nie zgodzić się, żeby auto poprowadził ktoś inny, ale kiedy już tkwił bezpiecznie na tylnej kanapie, Celine otarła jego przepelnione oburzeniem oczy i przytknęła zwitek czerwonego materiału do jego rany. Nie było miło patrzeć na czułość okazywaną człowiekowi, który ją skrzywdził. Silnik odpalił i czarny potwór potoczył się z wolna po wyboistej drodze. Celine pomachała im, ale nie sądzę, by ktokolwiek zwrócił na to uwagę.

– Jezu Chryste – powiedziała.

24

Latarka Woody'ego za sto dolarów leżała porzucona na słońcu. Nieco dalej spoczywała dolna część opalizującego dzioba jego napastnika, a jeszcze dalej – mała, sześciokątna nakrętka. Naplułem na palec, żeby do niego przywarła. I dopiero wtedy dostrzegłem w mrocznym wejściu do tunelu moją informatorkę. Odcinała się na tle ciemności – miała lśniąca, wilgotną skórę i potargane, pszeniczne włosy. Była ubrana w nieświeżą podkoszulkę. Od obojczyka w dół tonęła w mroku. Nagie ramiona skrzyżowała na piersi.

Nikt mi jej nie przedstawił. Wkroczyła w krąg światła i wtedy zauważyłem, że nie jest tak symetrycznie piękna, jak mi się zdawało. Była też niższa, szersza w talii i bardziej krępa niż na zdjęciach w CNN. Patrzyła mi prosto w oczy.

Skinąłem głową, ale najwyraźniej była odarta z wszelkich uprzejmości, zasad dobrego wychowania i z wszystkiego, co powierzchowne. Pozostał jedynie dystans, jakby przebywała w szklanej gablocie, blask i rezerwa, które zwykle towarzyszą władzy.

– Kochanie, musiałaś tego użyć akurat teraz? – spytała Celine.

– Kto to?

– Jeśli przedtem coś podejrzewali, to teraz już mają pewność.

– Dobrze. Kto to jest?

– Felix Moore.

Obróciłem się w stronę Celine i pojąłem, że jest tu tylko asystentką, która już została odprawiona i zmierzała z powrotem do domu. Nie było czasu na jakiegokolwiek refleksje oprócz jednej – miałem wywiad. Dobrze się spiszę. Moja informatorka poszła przodem, a ja notowałem w myślach: taneczny chód, łopatki ściągnięte. Oberwana kieszeń spodni. Podążyłem za nią w ponurą szarość do tylnej ściany wspartej na nierówno ociosanych deskach, choć z pewnością solidnej – spomiędzy drewna wystawała glina. Przepierzenie ustąpiło bez oporu i znalazłem się – przynajmniej z punktu widzenia Langley – w zapewne najniebezpieczniejszym miejscu na Ziemi. Wspominam to wejście jak wypadek samochodowy – przyływ adrenaliny, wszystko dzieje się bardzo wolno i jednocześnie bardzo szybko. Ten tajemny świat pachniał jak warsztat garncarski i pokój nastolatki. Rozświetlały go monitory komputerów, małe ekrany wideo zawieszane pod sufitem, których tak naprawdę nie zarejestrowałem, dopóki znów nie trafiłem na dwór: straszne białe-czarne obrazy, chwiejące się eukaliptusy, samochód jadący polną drogą, tuman białego kurzu, jaki zostawiła za sobą policja. Potknąłem się o pomarańczowy przewód zasilania. Była tam z pewnością toaleta, dużo małych zielonych światełek i młodzieniec o posturze osobistego goryla. Miał gęste, ciężkie brwi i burzę kręconych, czarnych włosów. Był trochę przygarbiony, jakby nie mieścił się w pomieszczeniu, do

którego trafił. Stał sztywno, z rękami dociśniętymi do tułowia, niczym uczeń w spodenkach gimnastycznych.

– To Paypal – przedstawiła go.

Wyciągnąłem na powitanie rękę, ale jej nie przyjął.

– Paypal. To on. Jest sławny.

Jeśli chodziło o hakerów, to byłem niedorzecznie kiepsko przygotowany. Nigdy nie słyszałem o Paypalu. Nigdy nie słyszałem o Krypto-Anarchistycznym Manifeście ani nawet o prostackim „cardingu”, nielegalnej praktyce wykorzystywania bądź weryfikacji skradzionych numerów kart kredytowych.

Gdy Paypal usadowił się przy zawalonym rupieciami karcianym stoliku i przytknął do włochatego oka jubilerską lupę, nie wydało mi się to już specjalnie dziwne.

– To matka przygotowała ci tę ziemiankę? – spytałem Gabrielle Baillieux.

Zasłoniła oczy kapturem.

– O matce musisz wiedzieć jedno. Ma mieć prawa do tego artykułu. Nawet jeśli jestem w niebezpieczeństwie, to jej grozi dużo większe.

Między nami stały dwie plastikowe skrzynki na mleko. Jedną z nich kopnęła w moją stronę.

– Nie możesz przyćmić mojej matki, to wszystko.

Kiedy usiadła, jej dzinsy podjechały do góry. Na nodze nie było śladu kontrowersyjnej, elektronicznej obrączki będącej warunkiem zwolnienia za kaucją.

Gabrielle ustawiła na skrzynce mały, czarny dyktafon. Jasne. Była sławna. Przywykła do tego, że panuje nad sytuacją.

– Nie będziesz robił notatek? – spytała.

– Nie.

Włączyła dyktafon. Pomyślałem, że później będę musiał jej uświadomić zagrożenia związane z tą grą, której zasad nie znała. Jeszcze nikt nie wyprodukował takiego dyktafonu, który uchroniłby ją przed dziennikarzem, choć ona najwyraźniej miała inne zdanie. Jej szerokie czoło było napięte i nierówne niczym plaża po odpływie.

– Spytałeś moją matkę, kim jestem, ale przecież wiedziałeś.

– Tak. Że jesteś kimś, kto pracuje dla kogoś, kto chce coś sprzedać.

– To nie fair.

– To normalne.

– Ale nie dla ciebie.

– Nie. Ja jestem żołnierzem.

– Ale też osobą, która ma swoje życie.

– Ba!

Oczywiście przeprowadzałem wywiady z dużo większymi gburami, ale żadnemu z nich nie groziło aż takie niebezpieczeństwo. Wcześniej Gabrielle postanowiła, że mi zaufa, ale kiedy już się zjawilem, stanęła okoniem. Wyraziła głośno obawę, że ewentualna książka wystawi ją na jeszcze większe zagrożenie.

– Chciałbym, żebyś przeczytała coś z mojego dorobku. Przekonałabyś się, że nie jestem jakimś draniem, który będzie udawał, że jest po twojej stronie, a później cię zadźga. Nie będę epatował tandetą ani cię deprecjonował. Nie będę pytał o politykę i nie pominę później wszystkiego, co chciałaś powiedzieć.

Zmarszczka na czole pozostała ta sama, ale Gabrielle zmrużyła oczy.

– Oto, co myślę – ciągnąłem. – Zależy ci, żeby ludzie naprawdę cię zrozumieli. Ryzykujesz życie, ale z racjonalnych powodów. Jesteś niczym równanie – dodałem. Nie, żeby nieszczercze, ale właściwie nie wiedziałem, co mam na myśli. Zamilkłem.

– Nie, mów dalej.

– Każde życie rządzi się własną logiką. Jeśli za nią podążamy, możemy przekonać innych. Nie wolałabyś, żeby ludzie zrozumieli cię na twoich warunkach?

Gdy rozważała moje słowa, jej twarz pozostała całkowicie bez wyrazu, ale zaufałem intuicji.

– Próbujesz podejrzeć, czy noszę elektroniczną obrączkę?

Tak naprawdę zaintrygowała mnie jej drobna, szczupła stopa i odprysnięty lakier; wszystkie palce miała równej długości.

– Departament Sprawiedliwości tnie koszty – wyjaśniła. – Dlatego kupują obrączki w firmie K5C, która sprowadza je z Chin. – Udała, że jest znużona, jakby nikt nie był w stanie zrozumieć niczego, o czym mówi. – Oczywiście są gówniane. Wciąż pękają. K5C wynajęła hordy hakerów-amatorów i recydywistów, żeby obserwowali monitory. Płacą do dupy, smarkacze są napruci, a monitory niemal codziennie nawalają. Kiedy ekran pada, uznają, że to fałszywy alarm. A jak alarm jest fałszywy, to czekasz, aż monitor sam się naprawi. Podać ci dane techniczne? Zrozumiesz je? Wiesz, co to klatka Faradaya?

– Jeszcze nie.

– Może to jednak nie jest dobry pomysł.

– Jestem tu, żeby ci pomóc.

– Powinieneś pogadać z Paypalem. Przerzucił moją obrączkę na psa. Monitorują jego ruchy. Myślą, że ten pies to ja.

Woody Townes nie przyjechał tu za psem.

– Ktoś straci masę forsy, którą wyłożył na kaucję.

– Ten tłuścioch mnie nie kupił, jeśli do tego pijesz.

– Wiesz, kim on jest?

– Zboczeńcem. Znam go od urodzenia.

W kącie ziemianki Paypal chyba lutował jakiś obwód. Był tak wielki i sztywny, że nie mieściło mi się w głowie, iż wykonuje zadanie wymagające precyzji.

– Podaj mi dziób – rzucił, nie patrząc w moją stronę.

Gaby wzięła dziób i podała mu go w sposób tak familiarny, że nie miałem wątpliwości, iż są kochankami. Paypal podniósł martwą srokę z blatu, po czym wyjął jej coś z brzucha, czarny metalowy akumulator albo silniczek.

– Sami go zrobiliście? – spytałem Paypala.

– Jest nasz – odpowiedziała Gaby. – Oni go zrobili.

Zrozumiałem, że „nasz” oznacza „kradziony”. Ale „oni” to jakaś korporacja czy nasze ulubione państwo? Spojrzałem na Paypala, ale odwrócił się do mnie plecami. Gaby też najwyraźniej unikała mojego wzroku.

– Wynajęli cię, żebyś właściwie co napisał?

– Gabrielle, przecież już się na to zgodziłaś. Dlatego tu jestem.

Wzruszyła ramionami.

– Mam sprawić, żeby ludzie cię polubili. Muszę ich przekonać, że masz dobry charakter.

Prawie się uśmiechnęła.

– Twoja matka stara się zapobiec ekstradycji. Mogę w tym pomóc.

– Strach nikomu nie pomaga.

– Myślisz, że się boję?

– Celine sra ze strachu.

– A gdybym zwyczajnie napisał prawdę?

– Ludziom nie spodobałoby się moje równanie. Tobie też.

Pomyślałem, że jest koszmarna. Nikt nad nią nie zapanuje. Mam umowę, ale nie z nią.

– Wydaje ci się, że mnie polubisz, ale tak się nie stanie. – Uśmiechnęła się i przez chwilę nie docierało do mnie, że ta czułość jest przeznaczona dla idioty, nad którego biurkiem zawisł dron w postaci ptaka. Uniósł się do góry pionowo, jak żadna sroka przed nim. Tracę tylko nadzieję i czas, pomyślałem.

– Moja matka to kiepski początek dla naszej relacji – powiedziała Gaby. – Pokonali ją, jeszcze zanim rozpoczęła walkę. Nie mieści jej się w głowie, że to my możemy pokonać ich.

Pomyślałem, że mówi jak paranoiczka i megalomanka, ale najwyraźniej miała w dupie moje przemyślenia. Uśmiechała się do Piotrusia Pana o kręconych włosach, kiedy ten windował drona niemal pod sam sufit. Słyszałem ostry jazgot silniczka, ale kiedy poczułem, jak falują mi włosy, nie śmiałem podnieść oczu.

– Oni? – spytałem. – Kim są ci „oni”?

Dron opadł na moją głowę. Może krzyknąłem. Kto by nie krzyknął? Ale nieważne, bo tamta dwójka zwijała się ze śmiechu na podłodze jak para pajaców. Nie wkurzyło mnie moje przerażenie, lecz ich lekceważenie tego, kim są. Miałem o nich lepsze zdanie niż oni sami.

– To był tylko żart.

Wielu dziennikarzy – wręcz większość – wzięłoby udział w takim castingu i pozwoliło z siebie szydzić, a później lepiej niż dobrze wykonało swoje zadanie. Dla nich to niepoważne zachowanie byłoby prezentem, ale nie dla mnie. Bolała mnie głowa. Czuję pulsowanie w dłoniach. Pierdolę to. Wstałem.

– Nic z tego nie wyjdzie, jeśli będziesz przeciwko mnie.

– To tylko żart! – powtórzyła, ale byłem naprawdę wkurzony. Nasz wielki historyk nazwałby to rysą na mojej ludzkiej powłoce.

– Masz masę wrogów – powiedziałem. – To z nimi walczyć albo dowiedź się, kim jestem, i wtedy się do mnie odezwij.

Taki właśnie byłem, w taki sposób zwykle paprałem sobie życie.

Wtedy się do mnie uśmiechnęła i dotknęła mojej ręki. Słyszałem, że ze swobodą podchodzi do kwestii higieny, ale nikt nawet nie wspomniał, że jest urocza.

– Moore, nie jestem miła, ale dobrze wiem, kim jesteś. Naprawdę. Pierwszy raz czytałam twoje teksty jeszcze w ogólniaku.

Usilnie próbowałem ukryć zadowolenie, choć wiedziałem, że uśmiezek, który zagościł na moich ustach, na pewno mnie zdradzi.

– Prześpij się z tym – powiedziałem.

– Dobrze, chociaż nie muszę.

Złożyła ciepłą rączkę w mojej dłoni. Uścisnąłem ją i pomyślałem: „Dobry Boże, ona czyta książki. Jestem uratowany”. Pożegnałem się. Wykonałem niezłą robotę. Gdy wynurzyłem się z ziemianki, alisterusy przemykały niskim lotem nad krzakami, błyskając ślicznym, kolorowym upierzeniem pośród

mrocznych wzgórz. Odetchnąłem czystym i świeżym powietrzem. Rozprostowałem kręgosłup. Nad wejściem do ziemianki, w rozkołysanych koronach eukaliptusów, nagle dostrzegłem dziesiątki furkoczących wentylatorków zakamuflowanych zieloną farbą i przyczepionych do gałęzi. Czy były tam kable zasilające? Tak. Sunęły ku ziemi jak ostrożne jaszczurki, po ocienionej stronie konarów drzew, wprost do wywiadu na wyłączność autorstwa Feliksa Moore'a.

Przedtem nikt nie postrzegał mnie jako dziennikarza, który potrafi sprawić, by obdarzono sympatią kogoś nielubianego. Moja najbardziej znana powieść *Barbie i zakute pały* była satyrą. Jako dziennikarz miałem dar do grzebania w brudach; potrafiłem wywąchać kanciarzy i oszustów z klas rządzących niczym świnia trufle. Taka zadziorność dobrze mi służyła przez całą karierę zawodową, lecz historia tej młodej kobiety wymagała, bym wniósł się wyżej i stał się kimś, kto kocha naszą cuchnącą, ludzką powłokę.

Gdybym był Tolstojem, nie mógłbym dostać nic lepszego niż tę niemal dożylnie podaną opowieść i jej bohaterów. W tej uprzywilejowanej roli mogłem być jednocześnie świadkiem i uczestnikiem nowego typu wojny, na której broń jednostek równała się arsenałowi państw. Byłem powieściopisarzem-nieudacznikiem, lecz rozumiałem, że otrzymałem wszystkie niezbędne atrybuty (od gówna po lutownicę), pikselowe oświetlenie, kobiety o podobnych kościach policzkowych, wspaniały australijski busz, ciągnący się aż za Kingslake, pasma górskie, przypominające pradawne, śpiące bestie, i delikatne,

górne gałęzie drzew, przybierające po południu piękny odcień różu.

Całe życie harowałem na techniczną sprawność, ale czy starczy mi serca? Czy potrafię przezwyciężyć własne początki, jak to żądłace, małe stworzenie, będące obiektem współczucia Sandy'ego Quinna? Czy mam dość odwagi, by opisać coś większego niż włamanie na kilka szpalt? Czy – wraz z rozwojem wypadków – naprawdę chciałem stać się przekaźnikiem bolesnych prawd o krzywdach i zdradach matki i przepełnionego poczuciem winy gniewnego dziecka? Moje własne córki uznałyby, że miałbym większe szanse na ścięcie drzewa.

Gdy dotarłem na szczyt schodów domu Celine, wysoko ponad granią spostrzegłem srokę szybującą dokładnie jak jastrząb. Można by to opisać zdaniem: „Nowe wyklute w żałosnych czasach” albo jakoś podobnie.

Później usiadłem przy długim stole Celine i piłem Jacob's Creek przez słomkę, gdy ona bardzo delikatnie zmieniała bandażę na moich obolałych dłoniach.

Na jednej miałem duży pęcherz, a na drugiej – paskudną ranę ciętą. Palce były szkarłatne. Moja pielęgniarka słusznie zauważyła, że przez jakiś czas nie będę mógł stukać w klawiaturę. Nie skomentowałem. Przygotowała wczesną kolację. Zjedliśmy ją, gdy pracownicy biur z Melbourne przemierzali most przy Swanston Street w drodze do domu. Potem siedzieliśmy przy żarzącym się kominku, opiekaliśmy chleb i smarowaliśmy go masłem i dżemem.

Celine nie wspomniała o córce. Napomknęła jedynie, że to paskudne czasy na młodość.

Na młodość zawsze jest paskudny czas. To powiedziałem ja.

Tymczasem Celine najwyraźniej się rozkleiła na wspomnienie naszej przeszłości. „Przypomniała” mi taktownie, że na ulice Melbourne wyszło sto tysięcy ludzi, by zaprotestować przeciwko wojnie w Wietnamie. Jej zdaniem „wygraliśmy”. Później zagłosowaliśmy na rząd laborzystów. Jim Cairns najpierw był łobuzem, który przewodził manifestacji, nagle został wicepremierem, a niedługo potem – ministrem skarbu. Przekonaliśmy się, że możemy zmieniać świat.

Celine miała całkowitą rację, choć zmieniliśmy go jedynie na krótką metę.

Pragnęliśmy zmiany. Nowy premier Gough Whitlam nie kazał nam długo czekać. W ciągu pierwszych dwóch tygodni, jeszcze zanim powołał gabinet, ściągnął do domu australijskich żołnierzy walczących w amerykańskiej wojnie w Wietnamie. Czy to wtedy Waszyngton uznał nas wszystkich za komunistów? Dla tych, którzy znali Gougha Whitlana, był to niezły żart.

O zwycięstwie jego partii zdecydował program Gougha, a on – jak mu Bóg miły – zamierzał go pilnie realizować. Zniósł obowiązkową służbę wojskową. Wypuścił z więzień unikających poboru, wprowadził darmowe studia, przyznał prawo własności ziemi Aborygenom wszędzie tam, gdzie leżało to w gestii władz federalnych. Whitlam, premier kraju, który dotąd wiernie służył Stanom Zjednoczonym, potępił zarządzone przez Nixona naloty na północny Wietnam. Rozsierdził tym naszych sojuszników, ale właśnie po to go wybraliśmy. Po niemal dwustu latach czołgania się wreszcie mieliśmy jaja. Na forum ONZ ujmowaliśmy się za prawami Palestyńczyków. Z radością przyjęliśmy wiadomość

o nieudanym, inspirowanym przez CIA, zamachu stanu w Chile. Potępiliśmy magazynowanie broni jądrowej na południowym Pacyfiku.

Dla Celine ta lista była dowodem na to, że wygraliśmy.

Odparłem, że nasze zwycięstwo zasadzało się na niedorzecznym założeniu, iż nie spotka nas kara. A właśnie przez te „dowody” Nixona nakazał CIA, by ta zrewidowała amerykańską politykę wobec Australii. W naszym początku krył się nasz koniec. Nasze zwycięstwo zapoczątkowało tajną operację, która ostatecznie odsunęła ten rząd od władzy.

Później twierdzono, że to światowa recesja doprowadziła do upadku gabinetu Whitlama. Rzecz jasna – nie pomogła, ale Nixon mianował ambasadorem Marshalla Greena, jeszcze zanim się zaczął kryzys. A Marshall Green to facet, który nadzorował zamachy stanu w Indonezji w 1965 i w Kambodży w 1970.

Dlaczego nie przewidzieliśmy, co będzie dla nas oznaczać wyznaczenie tego spiskowca na ambasadora? Bo rybie przewodnikowi wydaje się, że bezpiecznie jest płynąć obok rekina? Bo my to nie Chile? Bo myśleliśmy, że to nasz kraj i możemy w nim robić, co nam się podoba? Nasi nowo wybrani przedstawiciele mogli zrobić nalot służbom specjalnym i w ich tajnych aktach przeczytać o kłamstwach. Tylko czyje były te służby? Amerykanie uważali, że ich. My wiedzieliśmy, że są nasze. Byliśmy zachwyceni, gdy otwierano na oścież sejfy ASIO.

Oczywiście, byliśmy naiwni. Nadal traktowaliśmy Amerykanów jak przyjaciół i sojuszników. Naturalnie krytykowaliśmy ich. Dlaczego nie? Przecież ich uwielbialiśmy. Śpiewaliśmy ich piosenki. Uratowali nas przed Japończykami. Nasi ukochani

synowie poświęcali życie w Korei, a potem w Wietnamie. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że Amerykanie zamordują naszą demokrację. A kiedy to się stało, w biały dzień, natychmiast o tym zapomnieliśmy.

Kiedy nadszedł czas, żaden bombowiec nie zbombardował australijskiego Ministerstwa Skarbu, ale za to ze wszystkich stron i na wszelkie sposoby zaczęto bezustannie i bezwzględnie atakować nasz rząd. Pismacy tworzyli wyssane z palca skandale puszczane w obieg przez Packera, Fairfaksa, a zwłaszcza przez Murdocha. Dezinformacja wystrzeliła nad Canberrą niczym rakietą, która rozbłyskuje i znika. Zasnuła nasze oczy kłamstwem i widzieliśmy to, co nie było prawdą.

Ministrowie Gougha postanowili wziąć pożyczkę, żeby „odkupić farmę”. Szkoda, że nie podeszli do tego w bardziej cywilizowany sposób, że musieli działać bez wsparcia wrogiego Ministerstwa Skarbu, i że dopuścili, by minister odpowiadający za sprawy górnictwa nawiązał kontakt z brokerem o nazwisku Khemlani, pozostającym na usługach CIA. Zadaniem Khemlaniego nie było odkupienie farmy, tylko obalenie rządu. Rzecz jasna nie pozyskał ani pensa z czteromiliardowej pożyczki zatwierdzonej przez rząd.

W końcu Khemlani wrócił do Australii z opasłą aktówką pełną „dowodów” na to, że laborzystowscy ministrowie brali dole od pożyczek. Przeszedł przed kamerami pod obstawą goryli. Zeznał pod przysięgą, że dowody są prawdziwe. Opierając się na jego oświadczeniu, wolne media radośnie doniosły, że rząd składa się z oszustów.

Było to niczym kara tysiąca cięć. Skandal gonił skandal. Pojawiły się doniesienia, że pewien bank z Bahamów wystawił

australijskiemu rządowi akredytywę na sumę 4 267 365 000 dolarów. Astronomiczna prowizja miała wynieść dwieście sześćdziesiąt siedem milionów. Nieważne, że rząd nie wystąpił o taką pożyczkę. Nagłówki w gazetach były wielkości cegły.

Następnie pieniądze zaoferował Cairnsowi także pewien dentysta i deweloper z Melbourne, niejaki Harris. Przyszedł do jego biura i zaproponował, że zbierze dla niego trzysta milionów dolarów za „jednorazową prowizję” w wysokości dwóch i pół procent tej sumy. Przyniósł ze sobą pismo i nalegał, by Jim je podpisał. Jim, który wcześniej nie wziął pożyczki od Khelmaniego, teraz również odmówił.

Tymczasem opozycja zarzuciła mu, że ją przyjął.

Jim, rzecz jasna, zaprzeczył.

Wtedy opozycja pokazała pismo, które czyniło Jima Cairnsa kłamcą. Pod dokumentem, w którym wyraża zgodę na zaciągnięcie pożyczki na przedstawionych warunkach, widniał jego podpis. I tak oto Jima wykończyło pismo, którego nigdy świadomie nie podpisał. Dziś rodzi się pytanie: Kto podsunął je do podpisu wraz ze stertą innych dokumentów? Kim był ten sługus? I kto przekazał „dowody” prasie i opozycji? Kto zniszczył ministra skarbu? Kto zabił Jima Cairnsa?

Ale to nie wszystko.

Gough Whitlam oświadczył amerykańskiemu ambasadorowi, że Australia najprawdopodobniej, choć nie na pewno, przedłuży umowę dzierżawy tzw. amerykańskiej stacji sygnalizacyjnej w Alice Springs. Chodziło – i wciąż chodzi – o Pine Gap, tę samą bazę, która pozwala dziś naprowadzać na cel amerykańskie drony.

Wtedy nie mieliśmy jednak pojęcia, co się tam dzieje, nikt nic nie wiedział, nawet premier. Na groźbę jej zamknięcia Amerykanie zareagowali wyjątkowo ostro. Stąd wniosek, że baza w Pine Gap była (i wciąż jest) czymś o wiele więcej niż tylko „stacją sygnalizacyjną”.

Traumę Amerykanów i jej skalę potwierdza telegram nadany wiele dni przed upadkiem rządu Whitlama przez CIA do ściśle z nią współpracującej ASIO. W trosce o dobro czytelnika jego treść została przeredagowana i skrócona. SHACKLEY SZEF REJONU AZJI WSCHODNIEJ POPROSIŁ MNIE O PRZEKAZANIE NASTĘPUJĄCEJ WIADOMOŚCI DYREKTOROWI GENERALNEMU ASIO.

W telegramie zaznaczono, że CIA ma poważne powody, żeby się skarżyć. Australijski premier oświadczył, że CIA finansuje konserwatywną opozycję w jego kraju. Oczywiście była to prawda, choć telegram niczego takiego nie potwierdzał. Ambasada USA nawiązała kontakt z „najwyższymi gremiami” władz Australii. Podczas spotkania Amerykanie „kategorycznie zaprzeczyli”, jakoby CIA wręczyła lub przekazała fundusze jakiegokolwiek organizacji lub kandydatowi, który miałby objąć urząd polityczny w Australii.

Nazajutrz amerykański departament stanu przesłał identyczną wiadomość do ambasady Australii w Waszyngtonie. CIA nie finansuje żadnej australijskiej partii politycznej.

Jak wynika z treści telegramu, efekt tego oświadczenia był zaskakujący.

PREMIER GOUGH WHITLAM PUBLICZNIE POWTÓRZYŁ ZARZUTY, ŻE ZNANE MU SĄ DWA PRZYPADKI

WYKORZYSTANIA PIENIĘDZY PRZEKAZANYCH PRZEZ CIA NA WYWARCIE WPLYWU NA POLITYKĘ WEWNĘTRZNĄ AUSTRALII.

Później Australijczycy ujawnili nazwiska agentów CIA działających na terenie ich kraju w charakterze pracowników amerykańskiego departamentu stanu i departamentu obrony. Jakby tego było mało, australijski premier oświadczył, że Richard Stallings, szef bazy w Pine Gap, też jest agentem CIA.

CIA JEST SKONSTERNOWANA. CZY OZNACZA TO ZMIANĘ W DWUSTRONNYCH RELACJACH NASZYCH SŁUŻB WYWIADOWCZYCH?

CIA musiała skonsultować się z instytucjami dającymi jej sposobność kamuflażu. Instytucje te (departament stanu i departament obrony) obstawały przy swojej wersji, utrzymując, że szef bazy w Pine Gap, Richard Stallings, jest „emerytowanym pracownikiem departamentu obrony”.

Czyżby?

CIA STOI NA STANOWISKU, ŻE DOPROWADZI TO [publiczna dyskusja] JEDYNIE DO ZDEMASKOWANIA DZIAŁAŃ PLACÓWEK, W KTÓRYCH WZMIANKOWANE OSOBY SĄ ZATRUDNIONE, MAJĄCYCH PODSTAWOWE ZNACZENIE DLA OBYDWU PAŃSTW ORAZ ICH SŁUŻB, ZWŁASZCZA BAZY W ALICE SPRINGS... CIA UZNAJE ZA KONIECZNE PODJĘCIE BEZPOŚREDNICH ROZMÓW Z ASIO Z UWAGI NA ZŁOŻONOŚĆ PROBLEMU.

Krótko mówiąc, amerykańskie służby specjalne nie mogły rozmawiać z demokratycznie wybranym przywódcą Australii. Nie zapomniały o wyrażonej przez Gougha groźbie rozwiązania

umowy dzierżawy bazy w Pine Gap, która – w miarę rozwoju wypadków – miała wygasnąć w ciągu zaledwie kilku dni. Whitlam odpowiedział amerykańskiemu ambasadorowi: „Jeśli dojdzie do jakiegokolwiek próby – że użyję familiarnego określenia – «dociskania śruby lub potrząśnięcia nami», w sposób nieunikniony wywoła to spór”.

CZY PREMIER WHITLAM ZMIENIŁ SWOJE PODEJŚCIE DO POLITYKI AUSTRALII W TYM ZAKRESIE?... CIA MA POCZUCIE, ŻE UCZYNIŁA WSZYSTKO, CO MOŻLIWE NA GRUNCIE DYPLOMATYCZNYM.

Jeśli ASIO nie zdoła okiełznać tego krnąbrnego rządu, CIA nie widzi możliwości **KONTYNUOWANIA WZAJEMNIE KORZYSTNEJ WSPÓŁPRACY... CIA JEST MOCNO ZANIEPOKOJONA TYM, DO CZEGO MOŻE DOPROWADZIĆ TAKA PUBLICZNA DYSKUSJA... WIADOMOŚĆ TĘ NALEŻY TRAKTOWAĆ JAKO OFICJALNY PROTEST... ZAPEWNIAMY DYREKTORA GENERALNEGO ASIO, ŻE CIA NIE BYŁO ŁATWO PRZYJĄĆ TAKIE STANOWISKO.**

Dwa dni po wysłaniu telegramu australijski rząd został nielegalnie zdymisjonowany.

Oczywiście, że był to spisek. Jesteśmy wystarczająco dorośli, by to wiedzieć. Są takie instytucje, których zadaniem jest ciągle spiskowanie. Szpiegują wszystkie sfery naszego życia. Zatrudniają setki tysięcy pracowników i budują dla nich hektary parkingów. Nawet jeśli te instytucje są niewydajne, nie zawsze bywają nieskuteczne.

Rzecz jasna CIA nie mogłaby zrobić tego sama. Przypominało to brutalny atak na korporacyjną stronę internetową. Wymagało

siły, determinacji, a nawet szczęścia. Konserwatywny senat musiał zablokować rządowe finanse, co było działaniem niekonstytucyjnym. By wydawało się to w porządku, pan Murdoch i jego współpracownicy musieli wykreować bzdetny kryzys, który mógł rozwiązać jedynie gubernator generalny, przedstawiciel królowej Anglii, zdolny odwołać rząd. Prasa musiała podtrzymywać histerię, rzucać na władzę oszczerstwa i podejrzenia, nazwać proces bezprawnego odwołania rządu „Zamachem stanu”, jednocześnie dowodząc, że wcale do niego nie doszło.

Wydarzenia te zatarły się w pamięci, ale nie do końca. Wydawany przez Murdocha „Australian” upamiętnił je ostatnio artykułem DYMISJA, TRZYDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ:

„Na ulicach nie połała się krew. Hawke nie wezwał do strajku generalnego. Królowa spała w swoim łóżu w pałacu Buckingham, gdy dokonano egzekucji premiera. Przedstawiciele mediów udali się do restauracji na największą biesiadę w historii Canberry... Nie zabijamy się za politykę. Nie wezwano na pomoc wojska. Gough Whitlam, zagorzały konstytucjonalista, pogodził się ze swoim losem i pojechał na wiec. W Dżakarcie jego gorący wielbiciel, prezydent Suharto, wezwał australijskiego ambasadora Dicka Woolcotta i spytał: „Dlaczego premier nie aresztował gubernatora generalnego?”. Dobre pytanie. Przecież spiskowcy grasowali od lat, stawiając idiotyczne zarzuty pod adresem CIA”.

Wydarzenia z 1975 roku stały się obsesją mojego pełnego błędów i niezbyt udanego życia, dlatego trudno, bym nie zauważył, że Gabrielle Baillieux przyszła na świat w laborzystowskim domu w trakcie tego dramatycznego

Zamachu. Zatem nie będzie od rzeczy, jeśli opiszę jej życie i działalność, nawiązując do tej dawno zapomnianej historii.

26

Nazajutrz rano w Smiths Gully rozpocząłem przygotowania do mej misji. Umyłem i wyszorowałem swą cielesną powłokę i trzykrotnie się ogoliłem. Gdy poranne słońce rozświetlało leżące naprzeciwko wzgórze, tworzyłem w myślach początkowe akapity. Pragnąłem zawrzeć w tej opowieści barwy moich rodzinnych okolic – ciepły róż, kość słoniową i jasne upierzenie spodu skrzydeł papug. Postawiłem sfatygowany czajnik na kuchence, wcisnąłem dwie grube kromki chleba do tosterka, gdy nagle – łup, łup, łup – wielkodzioba kukabura o kwadratowej głowie spuściła łomot młodemu wężowi na pergoli tuż za oknem.

Posmarowałem tost masłem. Zagotowała się woda. Zalałem kawę.

Łup, łup, łup. Natura jest taka brutalna. Podniosłem wzrok i ze zdziwieniem odkryłem, że kukabura przemieniła się w Wodongę Townesa, który walił w szybę otwartą dłonią z drugą obrączką. Gdyby miał kiełbaski, mógłby się wcielić w rolę Puncha. Kukabura, która upuściła węża, opadła ku ziemi, żeby go zgarnąć.

Celine pośpieszyła z holu, by powitać gościa, lecz nagle, jakiś metr przed szklanymi drzwiami, przystanęła i owinęła mokre

włosy ręcznikiem. Czyżby wyczuła, co się za chwilę wydarzy? Pomyślałem, że z mojego pierwszego wywiadu z Gaby wyjdą nici.

– Hej! Wpuść mnie. – Wielki Wodonga rozpostarł ramiona i chwycił się drzwi. Kiedy przekręcałem zasuwę, kukabura przysiadła na grzędzie, by dokończyć mordy.

Nasz gość ubrał się w idealnie biały dres ze złotymi obszyciami. Na głowie wygolono mu pasek szerokości jednego cala i założono sześć szwów.

– Co wy, kurwa, wyprawiacie? – spytał.

– Nic, Woody – odrzekła Celine. – Co ty wyprawiasz?

W odpowiedzi wypił całą moją kawę i zjadł pół tosta.

– Nie fikaj mi! – rzucił do Celine. – Za ukrywanie zbiega możesz trafić do pudła. Ty też, kolego.

– Przecież mnie wynająłeś, zapomniałeś?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Mamy umowę?

– Wyluzuj, Feels. Jestem twoim największym fanem. Powiedz tylko, gdzie ukrywa się nasza informatorka.

Celine obróciła się w moją stronę i zmrużyła oczy, ale Woody chwycił ją za rękę i gwałtownie pociągnął ku sobie.

– Pewnie masz mnie za idiotę, mamuśka.

– Wyglądało na to, że nie zawaha się użyć siły, więc Celine przestała się opierać. Była drobna, ale jej policzki płonęły z gniewu.

Powiedziałem Woody'emu, żeby dał spokój.

– Stary – uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę. Odpowiedziałem mu nieszczerym uśmiechem, a wtedy ten podstępny sukinsyn złapał mój nadgarstek swoją wielką,

czerwoną łapą. Następnie pociągnął nas oboje za sobą przez drzwi, a później po schodach w stronę ziemianki, gdzie zamierzał (było to dla mnie oczywiste) wykazać nam, że kłamiemy. Kukabura przeleciała nad naszymi głowami i wylądowała na drzewie ponad ziemianką wśród wirujących wiatraczków. Jakbym miał mało zmartwień, przyszło mi do głowy, że na pewno upuści węża.

Kiedy nasz oprawca wyjmował kolejną latarkę za sto dolców, Celine postanowiła skorzystać z okazji, żeby go dwukrotnie spoliczkować. Naprawdę ją opluł? Osobiście tego nie widziałem, choć z pewnością wykrzywił twarz. Później zastanawiałem się, kto bardziej się bał: on jej czy ona jego.

Kiedy wreszcie wciągnął nas do ziemianki, było po wszystkim. Na próżno próbowałem zapalić światło. Wewnątrz panowała kompletna cisza, nie było ani miliwata prądu i okropnie cuchnęło. Snop światła latarki Woody'ego podążał za rozwalonymi akumulatorami i przewodami wyprutymi ze ścian niczym żyłka z krewetki. Ani śladu komputerów. Koce i śpiwory były mokre. Z początku pomyślałem, że od krwi, ale okazało się, że to zawartość przenośnej toalety. Gdy Woody puścił moją rękę, drżąc, umknąłem na słońce.

Tymczasem w mrocznym przedsionku Celine okładała pięściami pierś Woody'ego. Nie protestował, co potwierdziło moje obawy. Zamordowali ją.

– Co zrobiłeś z moją córką?

– Co zrobiłem? Wpłaciłem za nią pół miliona dolarów kaucji. Nie ma wyjścia. Musi stanąć przed sądem. Gdzie ona jest?

– Woody – wtrąciłem się. – Ona nie wie.

– Frajer z ciebie, Feels. Nie można jej ufać – skinął głową ku Celine.

– Mnie?! – oburzyła się Celine. – Błagam.

– Dawno się o tym przekonałem, ale wciąż zapominam. Jesteś kretynką. Najlepiej, żeby stanęła przed sądem – rzucił i ruszył w stronę buszu.

Kiedy się tak przedzierał, objął Celine i poczułem, że jest dziwnie spokojna. Pomyślałem, że gdyby spotkał mnie ten zaszczyt i Gaby była moją córką, odchodziłbym od zmysłów, rzucił się do metaforycznej mogiły, bił się po głowie i wcierał sobie popiół we włosy. Tymczasem Celine niepewnym krokiem podążyła do domu i włączyła komputer. Cholera, sprawdza pocztę.

– Chodź tutaj – powiedziała i wskazała palcem. Kursor poruszał się jakby z własnej woli, otwierając pliki i je zamykając. Ktoś, kogo nie znaliśmy, włamał się do komputera. Staliśmy się jego własnością. Celine przytknęła palec do ust i chwyciła laptop kciukiem i palcem wskazującym. Ruszyłem za nią do łazienki. Położyła go w wannie.

Po paru minutach, zatopiwszy nasze iPhone'y i komputer, maszerowaliśmy przez busz: Celine z plecakiem i kartonowym pudełkiem, a ja – z dwiema butelkami i korkociągiem. Podążałem za rozwojem wypadków, a może salwowałem się ucieczką, by ocalić życie. Dotarliśmy do ohydneho holdena mojego porywacza, zaparkowanego w chaosie wysypiska gruzu.

Celine otworzyła drzwi od strony kierowcy i wcisnęła klakson. I oto zameldował się w pracy – jej sługus, a mój kat.

Zaczęła z nim rozmawiać. Oczywiście wiedziałem, co się zaraz stanie. Stałem z tyłu samochodu i czekałem, jak dobrze

wyszkolony pies.

Pasowali do siebie. Zachowywali się tak, jakby usłyszeli jakiś pieprzny żart. Celine szturchnęła mnie i ni stąd, ni zowąd pierdnęła, gdy ruszyliśmy pokrytą koleinami drogą. Nie zareagowałem najlepiej, kiedy podsunęła mi kartonowe pudełko.

– Uspokój się.

Nie lubię, kiedy każą mi się uspokoić. Wszyscy wiemy, co to oznacza.

– Zajrzyj do środka.

Nie było tam wina, na co liczyłem, była za to sterta papierów i mnóstwo drobnych przedmiotów. Te mniejsze przypominały płytki do gry w madzonga. Podpora leniwych reporterów – mikrokaseta. Były też większe kasety, stodwudziestki, jak się później okazało.

– Potrzebuję bezpośredniego dostępu – powiedziałem.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez przepust, uderzyłem się w głowę. Rozczarowanie i klaustrofobia sprawiły, że o mało się nie rozplakałem.

– To właśnie jest twój dostęp – odparła Celine. – Wiele godzin dostępu w tym pudełku. Zapomnij o Woodym. Woody nigdy nie usłyszy tego, co jest na tych kasetach. Możesz napisać tę książkę dla przyjemności.

C
Z
E_r
Š
Ć

D
R
U
G
A

1

Był niepięknym starym piernikiem o szerokich, zgarbionych ramionach i długich rękach. Tamtego ranka szedł do portu, niosąc kartonowe pudełko. Miał gęste, sztywne, nie całkiem jeszcze siwe włosy, zaczesane w stylu sprzed czterdziestu lat. I nawet jeśli w jakimś niewielkim stopniu dodawało mu to nimbu tajemniczości, to jednak należy podkreślić, że niemodna fryzura nie była wynikiem jego obecnej sytuacji. Już przed tymi ostatnimi wydarzeniami znany był jako „Mrugający Moore” i Felix „Mniej-więcej-akuratny”.

Ów znany dziennikarz przyjrzał się bez entuzjazmu miejscu, w które zaprowadził go los, czyli brzegom rzeki Hawkesbury. Podwiozła go tam tęga, młoda kobieta, której biała i zakurzona toyota corolla cuchnęła wymiocinami dzieci. Nie przeprosiła go za to, nawet gdy opuścił szybę. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem przez dwanaście godzin, które przemierzili razem, jadąc z Melbourne na północ. Przemówiła do niego dopiero, gdy dotarli do niewielkiej osady Brooklyn i gdy tarמושzone przez wiatr pasy bezpieczeństwa wychłostały ich za całe życie.

– Gratuluję – rzuciła.

Zdążył odnotować ładunek emocji towarzyszący tej wypowiedzi, tyle że już z niepokojem wypatrywał tego, co czekało na niego w cieniu betonowego mostu: cienkiego jak ołówek pontonowego mostu i postaci z aluminiową łódką, zwaną w tutejszych stronach blaszanką. Corolla odjechała i podróżnik zrozumiał, że na tym etapie jego wyprawy nawigatorem, z którym przeprawi się przez wodę, będzie młodzieniec, przytrzymujący ową kruchą łupinę jedynie swoją owłosioną i opaloną nogą.

„Potokiem Gówna pod prąd, bez wiosła” – pomyślał.

Mieszkańcy osady Brooklyn widywali już takich zasiedziałych tatusiów, których zmuszono, by zabrali nastoletnich synów na ryby. Synowie byli naburmuszeni, znudzeni, uzależnieni od Game Boya lub zawstydzeni, że ich stary nie czuje łódki, brakuje mu smykałki, przynęty albo takielunku. Zdarzali się też – jak w tym przypadku – chętni na taką wyprawę.

– No, chodź, tato! – zawołał chłopiec.

Ktoś, kto obserwowałby ich z nieoznakowanego samochodu, zrozumiałby, że syn jest zupełnie inny niż ojciec. Taka nutria z Broken Bay albo z Dangar Island. Od razu wszystko było wiadomo. Matka odeszła od ojca wiele lat temu. Zamieszkała z jakimś beztroskim, bosym garncarzem, malarzem albo wyłudzaczem zasiłków, który – co trzeba mu zapisać na plus – zdołał wychować pasierba tak, by czuł się nad wodą jak w domu. Nasz wątpliwy bohater chciał, by właśnie tak postrzegano jego sytuację, gdyż kiedy zmierzał ku nieznanemu młodzieńcowi, był przestępcą. Nigdy wcześniej nie znalazł się w tym miejscu i nie wiedział, dokąd trafi, tak jak i nie miał pojęcia, co dokładnie znajduje się na kasetach, które mu wciśnięto. Najwyraźniej

zawartość pudełka trafiła tam w momencie paniki – luźne kartki, baterie oraz dwa dyktafony na mikrokasety i na te zwykłe. Ten bezpłciowy „dostęp” nie wzbudzał w nim entuzjazmu, podobnie jak spięte metalową spiralą notatniki, jakie kupuje się w kioskach. Jego tak zwanym informatorom w ich naiwności wydawało się, że zawierają dowody, które mogą się być mu przydatne.

Dotarłszy do łódki, przekazał swoje rzeczy chłopcu, który czułby się zawstydzony, gdyby usłyszał, że porusza się z wdziękiem i gracją tancerza. Mógł mieć szesnaście lat, w każdym razie był nieletni, wysoki i opalony. Jego jasne, kręcone włosy rozwiewał południowo-wschodni wiatr, wzniesający białe fale na zimnej, przejrzystej wodzie. Wiatr północno-wschodni przeszedł już nad Pacyfikiem, minął przyczajoną bestię Lion Island i teraz hulał po czymś, co nazywają Pittwater, dotarł do Brooklynu, przemknął nad i pod mostem, nawiedzając po drodze wszystkie zalesione zatoki, i zagarnąwszy tę długą i rozległą przestrzeń, podążył do Berowra Waters i Pumpkin Point. Któż wie, dokąd wieje wiatr? Jakiś złośliwy obserwator (gdyby taki się znalazł) ujrzałby niewiele wodnych przesmyków i mangrowych namorzyn, gdzie wiatr nie wzburzyłby powierzchni wody na płytkim akwenu o pomarszczonym, piaszczystym dnie.

Chłopak miał ostrzejsze rysy twarzy, niż mogłyby to sugerować jego loki. Wąskie usta wykrzywił lekki uśmiech.

– Tato – powtórzył.

Mężczyzna zawahał się. Nie był urodzonym przestępcą. Jego niezdarne i nerwowe zachowanie nad wodą mogło wywołać politowanie.

Chłopak umieścił pudełko z dokumentami i kasetami w łódce i wciąż ją przytrzymując, chwycił swojego pasażera za rękę i bark. Gdy mężczyzna zapoznał się już z ręką chłopca, uświadomił sobie własną starość, kruchość i delikatność. Ciężko opadł na ławkę. Chłopak podał mu stary kapelusz. Przybysz natychmiast nasunął go na głowę i się przygarbił. Silnik ożył i przepłynęli pod niskim mostem będącym częścią drogi ekspresowej numer 1, którą auta pełne wolnych obywateli ciągnęły na północne wybrzeże albo na południe, do Sydney, gdzie ludzie pewnie wciąż siedzieli w hotelu Wentworth, popijali szampana, pogryzali przekąski i rozprawiali o wszystkich tych bredniach przefiltrowanych przez media Murdocha. Było mało prawdopodobne, że „Australian” już zamieścił jego zdjęcie, ale mieli w archiwach prawdziwe cuda – Feliksa zdrajcę, Feliksa wtyczkę, Feliksa zboczeńca w brudnym płaszczu.

– Feels, Feels! – tak krzyczał reporter od Murdocha. – Spójrz w tę stronę!

„Pierdol się” – pomyślał.

Wiatr o tej porze był chłodny i pasażer szczerze owinał się ubraniem ze sklepu fundacji charytatywnej, na które składały się stare, szare spodnie, czerwona, kraciasta koszula i zielona, tweedowa marynarka, zbyt cienka, by go ogrzać. Lekko kołysało, łódka wznosiła się i opadała. Moore bał się, że fale urosną. Prawdę powiedziawszy, wolałby smród wymiocin od tej czystej i świeżej, rzecznej bryzy, która zapowiadała niewygodę i samotność. Oczywiście było tam pięknie. Wokół surowy busz w kolorze khaki, poprzecinany różem, bielą, szarością, a gdzieś tam także pastelową żółcią piaskowca lśniącego

ekstacycznie w porannym słońcu. Zupełnie jak na pocztówce, ale to nie była pocztówka. Łódka wznosiła się i opadała, woda była twarda niczym beton, a wielka, nieludzka rzeka otwierała przed nim paszczę. Gdzieś po lewej leżała miejscowość Berowra Waters, gdzie jadł kiedyś lunch w słynnej restauracji o tej samej nazwie. Zawiózł go tam w rewanżu za jakąś przysługę jego kumpel sybaryta. Zaczął od ostryg, później były klopsiki, delikatny mus czekoladowy, a do tego złociste Château Climens, którym wznosił swój zwyczajowy toast: Za żadne skarby nie chciałbym być martwy, co z grubsza oznaczało, że żadne pieniądze nie skłoniłyby go do tego, żeby umrzeć. Tymczasem wystarczyła jedna koperta z gotówką od Woody'ego Townesa, żeby pokazać mu, jak bardzo się mylił.

Z pewnym zdziwieniem zauważył, że w łódce nie ma wina. Nic, tylko on, ten chłopak i kartonowe pudełko, które zaczęło przemiękać. „Pierdolę to” – pomyślał. Naprawdę liczą, że to napisze, nie dość, że bez informatorki, to jeszcze bez wspomagania w płynie? Poza tym było mało prawdopodobne, że dostanie jeszcze jakieś pieniądze. Dlaczego miałyby napisać książkę, która w sensie prawnym należała do Woody'ego Townesa?

Realizował jednak plan anonimowych fanów Gaby, bo miał wrażliwe ego, a oni najwyraźniej go szanowali. Poza tym udzielił pomocy zbiegowi, został przestępcą i bał się aresztowania, a wyglądało na to, że mogą temu zapobiec. Co więcej, miał świadomość, że australijskie władze nie uchronią go od ekstradycji i najróżniejszych tortur, jakie postanowią mu zaaplikować Amerykanie. Czy reagował histerycznie? Możliwe.

Z całą pewnością nie był odważnym czy choćby dobrym człowiekiem. W gruncie rzeczy sam siebie uważał za zdrajcę, żalosne, skulone stworzenie transportowane przez bezkres wody, która pewnie zaraz wleje mu się do spanikowanego gardła i przeniknie do płuc. Siedział zbyt wyprzedzony do przodu i był przemoczony. Wydawało mu się, że przeprawa ciągnie się w nieskończoność. Czuł się jak w koszmarnej śnie. Miał wrażenie, że mimo warkotu silnika nie posuwają się naprzód. W innych okolicznościach od razu sięgnąłby po xanax, ale tu nie było xanaksu i nigdy nie będzie.

Kiedy przyszło mu do głowy, by zacząć przyglądać się zatoczkom i wysepkom, wpłynęli już do jakiegoś dopływu i zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak wrócić do Brooklynu i na drogę ekspresową numer 1. Pięć milionów miasto leżało ledwie o godzinę jazdy samochodem. Kto by się tego domyślił? Płynęli teraz wzdłuż południowego brzegu jakiegoś strumienia, a może wschodniego. Wszystko wokół skrywał głęboki cień. Woda była bardzo spokojna i przezroczyście zielona. Chłopak zmniejszył obroty silnika i powoli wprowadził łódź między mangrowce.

– Przyływ – oznajmił. Felix zrozumie to później, ale wtedy wydawało mu się, że chłopak się myli.

Jego przewoźnik już sobie pewnie wyobrażał kraby i ryby, które tu złowią i zjedzą, ale dziennikarz widział jedynie komary i zastanawiał się, czym przekupić chłopaka, żeby ten przywiózł wino. Woda była płytka i miała kolor miedzi. Prześlizgiwali się pod mangrowcami, pokładając się w łódce, aż Felix ujrzał przed sobą nagą, żółtą, gliniastą łachę. Chłopak przyspieszył i łódź zaryła dziobem w piach.

Chłopiec wyjął silnik i coś, co było pewnie zbiornikiem paliwa, i wyniósł je na ścieżkę. Później wrócił, chwycił łódź za dziób i wyciągnął na brzeg blaszankę wraz z pasażerem, który siedział w niej jak jakiś wielki bonzo.

Zerkający spode łba Felix wysiadł, trzymając kurczowo kartonowe pudełko. Pozbywszy się balastu, chłopak mógł teraz przepchnąć łódkę po podmokłej trawie. Na koniec obrócił ją do góry dnem. Później ruszyli wąską ścieżką – chłopak z silnikiem i zbiornikiem paliwa. Felix nieco się rozchmurzył na myśl, że może jego towarzysz się zlituje i zostanie z nim dzień albo dwa.

2

Ścieżka zawiodła ich po grani do zniszczonych, drewnianych schodów. Nawet kiedy jego towarzysz stanął z boku i zachęcił zbiega, by ten poszedł przodem, Felix nie miał poczucia, że naprawdę dotarł „na miejsce”. Schody w dużej części obrosły dziką lantaną, podobnie jak potężne słupy wykorzystywane do podtrzymywania zbiorników na deszczówkę, te jednak stały w głębokim cieniu, a Felix był zbyt zaniepokojony gąszczem, by zwrócić na nie uwagę. Podejrzewał, że te ładne czerwone kwiaty z żółtymi słupkami są wylęgarnią kleszczy.

Przy balustradzie rosło wysokie, porowate drzewo, na tyle blisko, że mógł go dotknąć i zauważyć – bez entuzjazmu – kolumnę mrówek ciągnących w górę przez wijące się zagłębienia w korze. Doszedł do wniosku, że to *eukaliptus sideroxylon*. A jeśli nie, to w takim razie *colymbia dallachiana* lub *eukaliptus viminalis*. Innych gatunków drzew nie odróżniał.

Czuł zmęczenie i gorąco. Jego ciężkie powieki i mięsisty nos lśniły od potu, ale kiedy stanął w progu domu, nie miał zawrotów głowy. Ta jednoizbowa chata, która będzie się później trząść i wyginać w podmuchach zachodniego wiatru niczym żaglowiec,

była tamtego słonecznego poranka wystawiona na działanie łagodnej południowo-wschodniej bryzy. Gdy nasz utrudzony zbieg dotarł na szczyt schodów, stwierdził ze zdziwieniem, że jest to całkiem znośne lokum.

Wśród wielu przedmiotów, na które mógł paść jego wzrok, Felix dojrzał wiszącą na drzwiach łopatę, ale nie dostrzegł słów „Gównno, Koń”, wypalonych na drewnianym trzonku. Tyle było do oglądania. Pozbawione szyby „okno” nad starym porcelanowym zlewem przesłaniała wielka *angophora* o korze podobnej do skóry słonia (*Corymbia dallachiana*, pomyślał Felix). Jej gładki, szaroróżowy pień lśnił w słońcu, a charakterystyczny rdzawy liszaj tak pięknie współgrał z poplamionym zlewem, że wydawało się, iż ktoś dobrał go celowo.

Felix kurczowo przyciskał pudełko do miękkiego brzucha, wpatrując się w drzewo, które później pozna z całkiem innej strony.

– Wezmę je – zaproponował chłopak. Miał na myśli rzeczy swojego gościa.

Gniewne zainteresowanie Feliksa skupiło się teraz na paru półkach przytwierdzonych do ściany obok okna. Na jednej z nich, na dole, w sąsiedztwie puszek z fasolką i zupą Campbell's, stało kilka czterolitrowych beczulek z naklejką „Hunter Valley Red”. Opis ten nie dawał pewności, że wino, które było w środku, nie zostało pożenione z wiórami i wymieszane grabiami, by trafić do „niszy rynkowej”, którą obecnie zajmowało. Gość wydał z siebie dźwięk przypominający gruchanie. Jego policzki zapadły się (na krótko), a usta wydeły (w myślach). Położył pudełko na grubo

ciosanym blacie obok zlewu i nieświadom tego, że wzdycha, zanurzył dłoń w kieszeni.

– Proszę nie myć jajek – odezwał się chłopak. – Chyba że chce je pan zjeść.

Co?

Jajka.

Obok pudełka z dowodami Felix dostrzegł granatowy, plastikowy pojemnik po lodach z całą kolekcją jaj – małych, dużych, brązowych i białych, z lekka obsranych. Z powagą spojrział na swojego przewodnika i skinął głową, by pokazać, że rozumie. Wkrótce będzie kiwał głową, kiedy zobaczy jabłka i dynie.

– Maszyna do pisania – rzucił chłopak, drapiąc się w łydkę i pozostawiając blade ślady na opalonej skórze.

Jak mógł tego nie dostrzec? Ten, kto przygotował mu to mieszkanie, rozmyślnie ustawił maszynę pośrodku składanego stolika, który kupowało się kiedyś za dziesięć dolarów w sklepach z rzeczami z demobilu. Wiedzieli, że to dla niego? Czy „fani” czytali jego książki? Co tak naprawdę myśleli o swoich działaniach?

Kurwa, Olivetti Valentine, identyczny model jak ten, który rozwalił w 1975.

Oczywiście w jasnoczerwonej walizeczce. Felix wyjął maszynę z solidnego, plastikowego opakowania i delikatnie dotknął szpulki z taśmą.

Spojrział na chłopca. Ten się uśmiechał.

„Jasne – pomyślał zbieg. – Przecież nie ma tu prądu”. Usiadł na okropnym, płóciennym krześle i wybrał pojedynczy klawisz z literą L. Wcisnął go lekko i zaczął przyglądać się literze tak

uważnie, że chłopakowi mogło się to skojarzyć z przyrodnikiem z czułością znakującym cienkie nóżki i długie, smukłe palce czapli białolicej.

Uszkodziwszy – w czasach, kiedy jeszcze tłukł w klawiaturę – wiele liter niezliczonych maszyn do pisania firmy Olivetti, zbieg był zaskoczony, że takie urządzenia wciąż istnieją. Wzruszała go jej kruchość i przerażała oczywista niezdolność do wytrzymania tego, co musiał z nią zrobić.

Obrócił się szerokimi plecami mola książkowego do zaciekawionego chłopca, zanurzył w kieszeni prawą rękę i wyciągnął z niej plik śliskich australijskich banknotów, których przeznaczeniem w oczywisty sposób były lewe interesy.

Tymczasem chłopak ułożył na stole ryzy papieru, znalazł kadzidelka odstraszające komary i wybrał pomarańczową dynię ze sterty piętrzącej się w kącie pokoju. Najwyraźniej zajadały się nią wcześniej oposy, więc zrobił to, co zrobiliby każdy na jego miejscu, czyli wyrzucił ją przez okno. Jako że nie było w nim szyby ani żadnej przesłony, dynia poszybowała w krzaki niczym rozpędzony wombat.

Oczywiście, że zbieg się zaniepokoił, ale na krótko. Jego największym zmartwieniem było to, że będzie musiał pić kiepskie wino. Gdy dynia roztrzaskała się o skały, wyciągnął dłoń.

Kiedy chłopak zobaczył pieniądze, wpadł w popłoch i chciał jak najszybciej uciekać.

– Ona zaraz będzie – powiedział. – Lodówka, kuchenka, zapalki, butla – ciągnął.

Starszy mężczyzna zbliżył się do niego z banknotem, czerwono-pomarańczowym niczym strelicja.

– Woda! – krzyknął chłopak i odkręcił i zakręcił kran.

– Mógłbyś coś dla mnie zrobić – powiedział zbieg, może trochę zbyt desperackim tonem.

Chłopak uniósł ręce, jakby odpychał dzielące ich powietrze.

– W porządku.

– Kupisz skrzynkę McLaren Vale shiraz i mi ją podrzucisz?

– Przykro mi.

– Opłaci ci się.

– Mam tylko szesnaście lat.

– To poproś brata, kogokolwiek.

– Nie mogę tu wrócić.

– Już cię nie zobaczę?

– W zasadzie nie.

– Ale przyjedzie ktoś inny?

– Nie mogę panu powiedzieć.

– Jezu, dlaczego?!

– Nie mogę.

Nie mógł powiedzieć?

– Nafta do lamp – rzucił. – Przyplłynęli po mnie. Muszę iść.

– Tak czy siak, weź tego dwudziestaka.

– Dzięki. Powodzenia.

I wyszedł. Lekko zbiegł po schodach i pognął ścieżką niczym kozica. Mknął tak szybko, że nowy lokator chaty, który dzielnie, choć nieelegancko, podążył za nim, zdążył jedynie zobaczyć, jak łódka wypływa spod mangrowców.

– Ratunku! – zawołał.

Słońce błysnęło na jej aluminiowym poszyciu, po czym napotkało cień. Felix zdjął buty i spodnie. Długa, obwisła

marynarka sprawiała, że jego krępe, blade nogi – powód największego fizycznego kompleksu – wydawały się jeszcze krótsze. Ruszył pod mangrowcami, a błoto nieprzyzwoicie rozbryzgiwało się wokół jego miejskich palców.

I tak oto pozbawiony spodni „najbardziej kontrowersyjny dziennikarz swojego pokolenia” został porzucony niczym postać z obrazu Sidneya Nolana („Starszy mężczyzna kąpiący się pod tamą”). Wkrótce jednak dojrzał przez liście mangrowców drugą aluminiową łódkę, a w niej długowłosą blondynkę. „W stylu Julie Christie” – pomyślał. A przynajmniej Celine z czasów, gdy przewodziła rewolucji, maszerując w pierwszym rzędzie podczas demonstracji z 1972 przeciwko wojnie w Wietnamie. Kiedy przykucnął, widział ją wyraźnie – opaleniznę i powiewające na wietrze włosy.

Kurwa, kurwa, kurwa. Ruszył wąską ścieżką w górę, niosąc spodnie, skarpetki i buty. Nagle zdał sobie sprawę, jaki się zrobił delikatny. Kruchy stary facet, którego kłuły patyki, kamienie i te małe, ostre *soliva sessilis*, które – jak mu się zdawało – rosną wyłącznie na podmiejskich trawnikach.

Gdy w końcu stanął przy otwartym oknie ze spodniami wciąż przerzuconymi przez ramię, zdołał podciągnąć nogi, by umyć stopy w zlewie. Udało mu się też znaleźć kieliszek, otworzyć beczkę wina i wyciągnąć na wierzch jej zmięte w harmonijkę genitalia. Trzęsąc się, wypełnił kieliszek fioletem, a później znalazł w małej lodówce kawał cheddara wielkości cegły. Ukroił plasterek i już miał go spróbować, gdy nagle, trzepocząc skrzydłami, nadleciała znikąd pierdolona kukabura, wielkim dziobem pochwyciła ser i umknęła przez drzwi.

Długo stał przy zlewie, złowrogo wpatrując się przez listowie w połyskliwy błękit wody. Przemógł się do wina. „Jestem wysoce wyspecjalizowaną istotą – pomyślał. – Czasami, jak mam dobry dzień, mogę zrobić jedną rzecz i niewiele więcej”.

Wytarł stopy spodniami, które później starannie ułożył w słonecznym równoległoboku obok biurka. Następnie wkręcił do maszyny kartkę papieru i stwierdził, że nie jest niezapisana.

Widniał na niej nagłówek: „Do pana Feliksa Moore’a pozującego na radykała”. Niżej napisano: „Wiemy dokładnie, co zrobiłeś i czego nie zrobiłeś w 1975. Twoi fani i czytelnicy byliby zszokowani, gdyby odkryli, że ich wielki radykał to facet bez jaj. Byłeś taki, jak nasi rodzice: Leżałeś i krzyczałeś, że to takie niesprawiedliwe”.

Obrót wałka maszyny ukazał dalszy tekst:

„Ujawnienie twojej żalösnej moralnej porażki nic nam nie da, za to ty możesz pomóc sobie, doceniając dar, który otrzymałeś. Ta kobieta to istota ludzka i będzie dla ciebie zaszczytem uczcić jej prawdziwe życie bez hysterii”.

„Uczcić jej prawdziwe życie bez hysterii”. Celine Baillieux użyła tych słów w Moroni’s.

„Wystarczy, że wykażesz się pokorą – ciągnęli autorzy listu. – Jeśli cię na to stać, my, jej przyjaciele, mamy możliwość opublikowania twojego tekstu w formie cyfrowej na całym świecie. Tworzymy legion. Masz teraz w zasięgu dziesięć milionów czytelników”.

Akurat. Wykrzywił kącik poplamionych winem warg i zaczął tłuc w klawisze. Palce bolały go jak cholera, ale nie splamił jej honoru, zostając hagiografem. Będzie pisał i zmieniał to, co

napisze, póki się nie wykrwawi. „Czujcie własne dupy – pomyślał. – Dziesięć milionów czytelników. Gówno prawda”.

3

Minęło już sporo poranków nad rzeką Hawkesbury. Gdy wstawał akurat ten, szara jaszczurka, scynka, członek rodziny *Scincidae*, nerwowe stworzenie bez szyi, z maleńkimi łapkami, sunęła ostrożnie w górę pożłobionego pnia angofory, po czym przystanąła, w połowie tkwiąc jeszcze w nocy. Srokacz zaćwierkał jak Ornette Coleman, nastroszył zmierzwioną pierś i zrobił kupę. Okna przesłaniał mglisty świt, lecz słyhać było głosy dwóch kobiet mówiących czasami unisono, a innym razem jedna przez drugą. Później następował pojedynczy monolog. Różnorodność tę podkreślał lub tonował mężczyzna w obwisłym kombinezonie, który siedział na brzegu biurka czy też kuchennego stołu, i dużym, odbarwionym paluchem ściszał lub pogłasniał dwa dyktafony.

Rzeka miała mętny, zielonkawoszary kolor. Wrzask oliwnika przedarł się przez głosy ludzi. Sroki, loriini i alisterusy dorzuciły swoje nawoływania i wczesne różowawe słońce wreszcie odsłoniło straszną, krzaczastą urodę zbiega.

„Najbardziej kontrowersyjny dziennikarz swojej epoki” uznałby rozmyślne zapuszczenie brody za rzecz żalną, lecz zostawił

maszynkę na belce nad łóżkiem i odkrył to dopiero teraz... Czyli za późno. Wyrosło mu „coś na kształt” brody i przeżył szok, widząc jej odbicie w łyżce. Całkowicie skryła jego zmysłowe usta, pozostawiając na wierzchu jedynie mięsisty nos oraz pomarszczoną i pobrużdżoną szyję. Wyglądał, jakby miał sto lat.

Kobiety wciąż mówiły, i to od wielu dni. Pozwolił, żeby robiły to jednocześnie i czekał... Sam nie wiedział na co. O 1975 ani słowa, żadnej wściekłości, żalu czy wzmianki o zemście. Było mu już wszystko jedno. Dostał tyle instrukcji na temat tego, jak ma pisać, że jedyną rozsądną rzeczą było czekanie, aż samo się to objawi, aż samo wypełźnie z nory. Czasami wykazywał wielką cierpliwość, czasami nienawidził tych kobiet, a czasami bawiło go, że zgadzają się z osobą, na którą psioczyły. Gdyby były srokaczami, można by je zakwalifikować jako „stałą parę”, mimo że często miały odmienne zdanie.

Czasami spisywał ich komentarze. Niemal zawsze je „podrasowywał”, nierzadko przemieniając żargon Gaby w coś bardziej godnego myśli, które wyrażała. Bo czy zaufałyby kobiecie, która mówi o „utratności”?

W sądzie najwyższego stanu Nowa Południowa Walia sędzia spytał go, czy zmyślał cytaty.

Przyznał otwarcie, że nie tylko je zmyślał, ale też był już oskarżany o zmyślanie, „ale nigdy tych, które naprawdę zmyślił”.

Kiedy nikt się nie roześmiał, zrobił im krótki wykład o istocie dialogu, tłumacząc, że same słowa są zdecydowanie mniej ważne, niż sądzą laicy. Powiedział, że właściwszym jest pojmowanie słowa mówionego jako wytworu ruchów tektonicznych, jakie mają miejsce pod powierzchnią ludzkiego dramatu. To one (ludzka

chciwość, miłość, ambicja itp.) są ważne i właśnie te ruchy dziennikarz musi poznać. W wyniku ich wzajemnego ścierania się rodzi się dialog.

Prokurator spytał, czy jest w stanie przytoczyć całą rozmowę, której nie był świadkiem. Odpowiedział, że nigdy nie przypisywał sobie takiej umiejętności.

– Zatem jaką ma pan umiejętność?

Przyrównał siebie do paleontologa-kryminologa, co wywołało wybuch nieprzyjaznego śmiechu. A jednak się przy tym upierał. Jego zadaniem było odkopanie kości, poskładanie ich i, na podstawie wszystkich uzyskanych informacji na temat diety i środowiska, zrekonstruowanie postaci.

– Ma pan na myśli – ciągnął prokurator – giętkie stworzenie z ogromnym, wysklepionym dziobem? Zmyślił pan wypowiedź i wetknął ją w usta mojego klienta.

Odpowiedział, że z radością wiernie zacytowałby słowa jego klienta, gdyby ów klient – mimo edukacji u Chrześcijańskich Braci – nie miał nieszczęsnej skłonności do mieszania czasów, wplatania „mmm” i „eee” w zdania oraz używania zbyt potocznych wyrażeń.

– Gdyby podmiot zgadzał się u pańskiego klienta z orzeczeniem – dodał Felix Moore – nie pojawiałaby się pokusa – czy też konieczność – czyszczenia jego wypowiedzi.

I właśnie to robił nad rzeką Hawkesbury – czyścił wypowiedzi i układał je pod ręką jak świeżo złowione płaskogłowowate w skrzynce z lodem.

Gdy pracował, w stronę przystani promowej Wisemans Ferry zmierzała łódka, a Felix usłyszał dobiegający sprzed chaty

pierwszy plusk wzburzonej przezeń fali. Boże, jakże czuł się samotny. Gdyby istniało jakieś bezpieczne miejsce, do którego mógłby się udać, na pewno odnalazłby drogę.

Z wyjątkiem kaset, rozpakował pudełko dopiero po pięciu długich dniach po przyjeździe, kiedy to, mimo depresji i lęku, że będzie kontrolowany albo że go aresztują, ułożył wszystkie dowody na podłodze i napisał, co następuje:

4

W świadectwie urodzenia figurowała jako Gabrielle Angela Quinn Baillieux. Przyszła na świat w Royal Melbourne Hospital 11 listopada 1975 roku. Możemy określić dokładną godzinę narodzin na podstawie transmisji obrad parlamentu, którą – wedle słów Celine – nadawano w sali porodowej. Gdy niemowlę wślizgnęło się w brązowe dłonie akuszerki, oboje rodzice słyszeli słowa sekretarza gubernatora generalnego. Powiedział: „Boże, chroń królową”, lizus jeden.

Była godzina 16.40.

Dziecko zakwiliło. Odcięto pulsującą pępowinę. Nagie niemowlę ułożono na piersi matki. W takich chwilach świeżo upieczeni rodzice często płaczą, ale ta para nie zaszlochała na widok cudu życia, lecz dlatego, że obalono demokratycznie wybrany australijski rząd.

– Pieprzyć ich! – krzyknęła Celine. – Boże, pierdol gubernatora generalnego.

– Ciii... – uciszył ją położnik. – Dziś nie ma polityki. Macie dziecko.

Celine objęła dłońmi świat córki i wciągnęła w nozdrza piżmowy i lubieżny zapach jej włosów.

– Polityka jest codziennie – odparła. – Tylko głupiec o tym zapomina.

Wszyscy będą mówili o podobieństwie dziecka do pięknej matki. Córka zacznie przekonywać, że podkreślano je sztucznie z powodu próżności Celine – bo jak można traktować serio wypowiedzi takich rozemocjonowanych świadków? Choć to podobieństwo – kości policzkowych, wydatnych ust, gęstych, niemal sztywnych, jasnych włosów – rzeczywiście istniało. Podobnie było w przypadku żywych, jasnoszarych oczu, identycznych jak u jej zuchwałej matki. I jeszcze ten płatający figle mięsień, który widać dzisiaj u Gaby, łączący zadziorny nos z ruchliwą górną wargą. To uderzające podobieństwo wywoływało uśmiech na twarzach obcych ludzi. Nawet osoby rozczarowane Celine były nim zauroczone. Reżyserka teatralna Betty Burstall była „oszołomiona” faktem, że włosy matki tak bardzo przypominały loczki jej czteroletniego urwisa.

Gabrielle Baillieux urodziła się w środowisku cyganerii, w zamożnej rodzinie zamieszkałej w Carlton na przedmieściu Melbourne. Dorastała pośród aktorów, pisarzy oraz radykałów i, jak można się było spodziewać, przedwcześnie dojrzała. W czasach, gdy nie istniał Bóg, jej matką chrzestną była Betty Burstall. „Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo” – wyznała na kasecie, co sprawiło, że Felix jeszcze bardziej żałował, że nie ugrzązł z nią w tej cuchnącej ziemiance i nie patrzył, jak – powiedzmy – obsesyjnie smaruje usta błyszczkiem. Takie tam rzeczy.

Domniemana terrorystka była złotym dzieckiem. Poznała premierów, ćpunów, adwokatów i alkoholików. Często zasypiała w oparach marihuany, ale przez długich dwanaście lat była otoczona miłością i bezpiecznie przekazywana z rąk do rąk: w domu, w akademii tańca oraz w Women's Action Theatre przy Nicholson Street. W dzieciństwie miała około dwudziestu domów, do których mogła wchodzić bez pukania i spotkać tam dorosłych, którzy ją nakarmią czy będą podziwiali jej szkolne rysunki. Chodziła do podstawówki w Carlton i miała greckich, włoskich i libańskich kolegów, którzy głaskali ją po blond włosach i nigdy nie nazywali jej kangurkiem.

Działo się to w czasach, kiedy po raz kolejny Australią rządzą konserwatyści, gdy Woody Townes, który zawsze wszędzie wsadzał nos albo fiuta, wykupywał stare segmenty w Carlton, przemalowywał fasady na kolor ultramaryny, a framugi okienne – na bordowo, tak, że przypominały perskie dywany, i kiedy nikt sobie nie wyobrażał, że kiedyś będą wyglądały tak beznadziejnie, jak teraz. Później okaże się, że Woody był właścicielem firmy, do której należał dom dzieciństwa Gaby przy Macarthur Place. Był to najwęższy dom w Carlton, szerokości podjazdu do garażu, gołębio-łososiowy, z wysoką, żeliwną werandą, gdzie o każdej porze można było zobaczyć śmietankę australijskich artystów i polityków. Bywał tam Gough Whitlam, Clifton Pugh i wielmożny pan Felix Moore. Dom ten słynął z tego, że najwyższy australijski dramaturg przeszedł od wejścia do lodówki w kuchni, robiąc jedynie dwa susy. Był to mały budynek, którego zazdrozczono i którym pogardzano, bo jak to możliwe, żeby taką

artystowską parę było stać na najładniejszy dom w Carlton z oknami wychodzącymi na park?

Celine mówiła o tej dzielnicy „mój Carlton”, co przyprawiało o mdłości w mniejszym stopniu, niż mogłoby się wydawać. Naprawdę należała do niej przez rok czy dwa – nie tylko dlatego, że Celine była piękną, młodą kobietą z cudownymi nogami i nepalskim kaftanem z maleńkimi, wszytymi w haft lusterkami. W tamtych czasach, jeszcze zanim wystąpiła w reklamie zupy, Celine Baillieux była znaną aktorką-aktywistką. Nawet jeśli czasami z niej drwiono, miała też wielbicieli i potrafiła ich wykorzystywać, nie zawsze z pożytkiem dla swego męża. Bóg jeden wie, co czuł Sandy, gdy co rano otwierał gazetę. Jego żona nie zrobiła sobie zdjęcia z Jaserem Arafatem tylko dlatego, że nie miała ku temu okazji. Lubiano ją, bo była piękna i „nie zadzierała nosa”. Podejmowała ryzyko. Nieraz została pobita. Stała w deszczu przed delikatesami King&Godree i sprzedawała magazyn „Akcja bezpośrednia” wraz z aktorem Mattym Matkovicem, zanim ten został więźniem sumienia. Była nieustraszona, zawsze w pierwszym szeregu.

Jeździła na rowerze od domu do domu i z próby na próbę, mijając po drodze włoskie sklepy i komunalne domy z otwartymi oknami, z których rozbrzmiewały piosenki Van Morrisona, rzucała pieniądze z mostów, podjeżdżała pod górę do kompleksu basenów i siłowni w Brunswick, zjeżdżała do hali targowej Królowej Wiktorii po świeżą włoską cykorię, z siatką dyndającą między kierownicą a Gaby, która na siodełku jadła ciekące lody.

Pewnie, że uwielbiała Carlton (w swoim rozumieniu) za jego niezamknięte drzwi i otwarte okna, za Macarthur Place, Lygon

Street, libański haszysz w Johnny's Green Room, melinę z alkoholem przy Chummie Place, serdeczne, włoskie rodziny, gwałtownych, zamkniętych w klanach Greków, puby dla intelektualistów, radykalną politykę, bajeczne cappuccino, książki w księgarni „Readings” i jeszcze za „Professor Longhair's”, ukochany sklep z płytami.

Twardziele z partyjnej siedziby przy King Street schodzili się do jej domku dla lalek i w niewielkim salonie od frontu przesiadywali z butelkami zimnego piwa, które z gracją trzymali kciukiem i palcem wskazującym. Sandy był ich wschodzącą gwiazdą. Obserwowali go, odkąd rzucił posadę magazyniera u Dunlopa, żeby podjąć studia na Monash University. Przyglądali się, kiedy działał w Klubie Laborzystów w Monash. W 1970 wcisnęli go do Komitetu Przeciwników Wojny w Wietnamie, gdzie nawiązał współpracę z Samem Goldbloomem i Jimem Cairnsem. Bardzo się ucieszyli, kiedy założył rodzinę i nawet jeśli Celine nie do końca spełniała ich oczekiwania, to kiedy przebywali w jej towarzystwie, umiała sprawić, że o tym zapominali. Czy z nimi flirtowała? Czy kładła im ręce na ramionach? Pozwalali na to? Nie ma na to żadnego dowodu ani na kasecie, ani w notesie, ani namazanego na kartce papieru maszynowego, ale oczywiście, że flirtowała. Cóż innego miała robić?

Sandy cieszył się mocnym poparciem lewego skrzydła socjalistów i – co niezwykle w przypadku Melbourne – także ich frakcji prawicowej. Dla ludzi z King Street był naturalnym kandydatem do parlamentu stanowego z okręgu Coburg i nie zaszkodziło mu w tym poparcie Woody'ego Townesa. Tymczasem działacze z Coburg – jak to w strukturach terenowych – byli

ograniczeni i małostkowi. Uznali, że Sandy Queen to klasa robotnicza, autentyczny i w ogóle, no ale z Williamstown. O pani Queen (choć nie nosiła tego nazwiska) się nie wypowiedzieli, ale pewnie mieli na myśli właśnie ją, kiedy stwierdzili, że Sandy nie jest od nich i że nie chcą „spadochroniarza”.

Celine nigdy nie zrozumiałaby, że kazano jej zamieszkać w Coburg tylko po to, by – wedle opinii miejscowej komórki partyjnej – poznała „prawdziwych ludzi pracy”. Prawdziwych? Partia gównem o niej wiedziała. A jeśli Sandy myślał, że zmusi ją do zamieszkania w Coburg, to też jej nie znał. Wolałaby umrzeć, niż mieć podwórko, sznur do suszenia prania, grilla albo żywoptłot z ligustru, które pojawiły się w jej życiu po śmierci pana Neville’a, kiedy Doris „likwidowała” dom, który jej córka tak kochała. Nazajutrz po aukcji jej matka kupiła przedsiębiorstwo taksówkowe po drugiej stronie Melbourne, w Springvale, zaczęła wyciągać zdjęcia „taty” i przestała wspominać pana Neville’a.

Celine pojęła to szaleństwo dopiero później. Wtedy wyczuwała to jak ulatniający się gaz, tę samotność i nicość Springvale. Nie miała dokąd uciec przed lękiem. W Springvale nie było księgarni, żadnego Bacha ani Botticellego, jedynie nienawidząca kultury, ksenofobiczna przeciętność.

Celine wyznała, że mieszkanie w Springvale oznaczało dla niej samotne, długie, gorące popołudnia, duszne noce oraz pięciokilometrowe wędrówki na basen z chlorowaną wodą, rozgrzaną, betonową patelnią i głupimi chłopakami, którzy podglądali ją przez szpary w ścianach przebieralni.

„Umarłabym w Coburg” – oznajmiła mężowi. Ulice Springvale były puste, jeśli nie liczyć biednej i samotnej „gospodyni

domowej”, wlokącej się do sklepu obok na głucho zamkniętych domów; w jednym z nich Celine czytała *Skowyt*. Doris nie musiała mieszkać w Springvale. Stać by ją było na Carlton. Na ten sam dom, na ten śliczny segment przy Macarthur Square – ale dla Doris to byłby slums.

Celine nie zamierzała porzucić go dla Coburg. Coburg było rozgrzaną, bazaltową równiną. Drogą dojazdową do Sydney. Coburg było miejscem, gdzie wytwarzano kapelusze, koszule, klisze Kodaka i herbicydy. Coburg to był biedny, pieprzony strumień Merri Creek, biegnący przez miejskie wysypisko, obok więzienia Pentridge aż do kamieniołomu.

– Byłoby dobrze – stwierdził niejaki George Papadopoulos z partyjnej komórki w Coburg – żeby twoja żona wiedziała, że w Coburg jest miejsce na porządny sznur do suszenia prania.

Sandy przekazał jej tę wiadomość ze śmiechem. Pocałował ją. Rozśmieszył tekstem o sznurze do suszenia prania. Wyznał, że nie mógłby kochać żony, która ma sznur do suszenia prania. Że nie będzie jej namawiał do złagodzenia poglądów, noszenia stateczniejszych ubrań, wkładania stanika ani do konsultowania się z programem partii, zanim złoży oświadczenie na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie. Powiedział, że to jego wybiorą, a nie jego żonę. Jest aktorką. Powinna grać – powiedział.

Sandy był jedynym „dobrym” człowiekiem, jakiego Celine kiedykolwiek spotkała. Otworzył biuro w klitce nieopodal Sydney Road w Coburg. Była z niego dumna. Każdego wieczoru, kiedy w szkole, w której uczył, kończyły się lekcje, oraz w weekendy i dni wolne, wypełniał tam formularze i pisał pisma dla różnych grup imigrantów, początkowo dla Greków i Włochów, a później też

dla Libańczyków z Denbo, którzy potrzebowali więcej wsparcia niż Turcy.

Co wieczór wracał do niej do Carlton, do czarnych pni więzów i do ptaków kłócących się w koronach drzew rosnących przy Macarthur Square. Tam, na poddaszu ich wąziutkiego domku, Celine patrzyła, jak wdycha zapach umytych szamponem włosów ich córki i słuchała, jak czyta jej bajkę o kocie. Czasami była zazdrosna, ale nie trwało to długo. Każde dziecko powinno być tak kochane.

5

„Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne; każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój własny sposób”.

Czy istnieje w literaturze słynniejszy cytat? Czy istnieje większy pisarz niż Tołstoj? Jedynie w jakimś zapomnianym zakątku świata, na przykład, w chacie nad rzeką Hawesbury, można znaleźć opitego winem głupca, który myśli sobie: „Chwila, Tołstoj. Nie tak gładko. Może to wcale nie jest takie proste”.

Rodzina Quinna i Baillieux była zdecydowanie szczęśliwą rodziną.

Przez lata czytali razem, jeździli na plażę, na premiery i na wieczory wyborcze. Tulili się do siebie w łóżku w niedzielne poranki. Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne w tym sensie, że wszyscy mają je w dupie. Wpływowi znajomi Feliksa Moore’a ostrzegali go, że tego rodzaju język nie przysłuży się jego wiarygodności.

Otrzymałszy zadanie polegające na wyjaśnieniu czyjegoś życia za pomocą jedynie skwaśniałego wina i kaset z nagraniami, Feliks nie spierał się z Tołstojem. Pomyślał za to, że będzie to rodzina nieszczęśliwa. Nawet w szczęśliwych czasach na

horyzoncie zbierały się czarne chmury, na przykład straszliwe kłamstwo – że babcia umarła i że jej nie było. Mimo że cały czas mieszkała w Springvale jako ofiara traumy, porzucona przez córkę.

I nagle pojawiła się żywa przy Macarthur Place.

Gaby dokładnie to zapamiętała: stała w pokoju od frontu i czytała przy stojaku do nut książkę Luciena Malsona *Les enfants sauvages*. (Kolejne zdanie na początek: „Idea, że człowiek nie ma żadnej natury, pozostaje obecnie poza wszelką dyskusją”).

Unosząc wzrok, by przemyśleć tę wesołą marksistowską fantazję, Gaby ujrzała w oknie swoją babcię.

Wzięła ją za starą pijaczkę z przytułku Armii Zbawienia. Babcia miała wtedy mniej więcej sześćdziesiąt lat. Nosiła etolę z lisa. Jej fryzura skojarzyła się Gaby z Edo Japan, choć efekt nie był w tym przypadku artystyczny ani wyrafinowany. Wielki szylkretowy grzebień utrzymywał tę konstrukcję na miejscu. Twarz była bardzo blada, a usta bardzo czerwone. Nawet jeśli ta twarz była baśniowo pomarszczona, kości pod spodem były całkiem ładne.

Kiedy staruszka zastukała w szybę, dziewczynce zjeżył się włos na karku.

Nie miała nic, co mogłaby jej dać, oprócz żelków. Ułożyła je sobie wcześniej na stojaku do nut. Wyciągnęła rękę z czarnym. Wiedźma pokiwała głową z entuzjazmem i wskazała na drzwi, przy których dziewczynka znalazła się w tym samym czasie, co jej gość.

Czarny, rzuciła stara świergotliwie. Dziękuję.

Najwyraźniej nie była pijaczką. Miała długi, znoszony, czarny płaszcz z podwiniętymi rękawami i srebrne bransoletki na rękach.

Przykro mi, powiedziała dziewczynka, oszołomiona tą biżuterią. To wszystko, co mam. Potem się przeraziła, bo zobaczyła, że starszka rozpakowuje jakiś podłużny przedmiot zawinięty w białą bibułę. Bała się, że to rodzinna pamiątka oferowana na sprzedaż.

– Nie mam pieniędzy – powiedziała. – Naprawdę.

Dobrze, dobrze, skarbie. Kobieta śmierdziała rybą, jak kot. Spójrz tylko.

Gaby zobaczyła małe zdjęcie w srebrnej ramie. Szkło było pęknięte. Starsza pani skaleczyła się w palec i wycierała go w bibułę.

Pani krwawi.

Spójrz.

Na zdjęciu była kobieta z małą dziewczynką. Zrobiono je dawno temu. W tle stała czarna furgonetka, choć nazwanie tego auta furgonetką było zdecydowanie na wyrost. Mimo że kobieta na zdjęciu była dużo młodsza od stojącej w drzwiach, miała usta umalowane równie mocno i też zdradzała słabość do czerni. Gaby wyczuła, że była ekscentryczna, ale miała w sobie coś artystycznego i bardzo pięknego. Z niewiadomych powodów przyjęła, że dziewczynka zmarła.

Prowadzili „dom otwarty”, więc Gaby zaprowadziła krwawiącego gościa do kuchni, gdzie znalazła plaster. Posadziła kobietę przy stole i z pewną dozą przyjemności zdezynfekowała jej ranę dettolem i zakleiła plastrem.

Może filiżankę herbaty?

Staruszka postawiła fotografię na stole. Boże, naprawdę chce mi ją sprzedać, pomyślała Gaby. Herbaty?

Bardzo chętnie, skarbie.

Ciasteczko?

Pewnie nie macie sardynek? Zdjęła etolę i płaszcz, odsłaniając kolejną warstwę czerni, całkiem ładnie skrojony kostium. Takich szczegółów się nie zapomina.

Na toście?

Wystarczy widelec.

Gaby znalazła sardynki i wstawiła wodę.

Mam na imię Doris, powiedziała staruszka.

A ja Gaby. Gabrielle.

Bardzo ładnie. Ćwiczyłaś?

Czytałam.

Lubisz czytać?

Tak, chociaż ta książka jest trochę trudna.

Staruszka miała głęboko osadzone oczy i proste niczym kreska usta, które czasami wykonywały nieznaczny ruch, jakby chciały się uśmiechnąć. – Twoja matka uwielbiała czytać.

Cóż, wszyscy znali jej matkę albo twierdzili, że ją znają, nawet jeśli tak nie było.

Staruszka zjadła sardynki z miseczki na płatki śniadaniowe. Przesunęła fotografię po blacie stołu. – Wiesz, kto to?

Bardzo ładnie pani wygląda.

Nie, ta dziewczynka.

To pani córka?

Zgadza się. A kim ona jest?

Nie rozumiem?

Jestem twoją babcią, oznajmiła staruszka, wycierając olej maleńką chusteczką tak delikatnie, że szminka pozostała niemal nienaruszona.

Jak to?

Jestem twoją babcią. Śliczną, starą babunią, kochanie.

Gaby nagle usiadła i spojrzała na zdjęcie swojej matki za popękany szkłem. W ogóle nie była do siebie podobna. Miała okropne ubranie, jak uchodźca, jakby dostała te ciuchy z biura rzeczy znalezionych. Nosila długie podkolanówki, a spod wyświechtanego, obcisłego sweterka wystawał pępek.

Jestem Doris, powtórzyła kobieta.

Sięgnęła tłustą od oleju ręką, żeby pogłaskać wnuczkę po włosach. Gaby wzdrygnęła się.

A ty jesteś najpiękniejsza z nas wszystkich, dorzuciła staruszka.

Gaby uległa i pozwoliła, by cuchnąca rybą dłoń pogładziła jej włosy. Poczula niepokojący stan zahipnotyzowania, którego doświadczała czasami u fryzjera. Nie wiadomo, ile trwałby ten trans, gdyby nagle nie otworzyły się drzwi wejściowe.

Proszę, powiedziała pośpiesznie kobieta. (Wyciągnęła trochę zatłuszczoną wizytówkę z napisem SPRINGVALE TAXIS). To ja, skarbie. Zawiozę cię, dokąd tylko zechcesz. Do zoo, w góry Dandenong, gdzie sobie zażyczysz. Gdy weszła Celine, Doris chwyciła płaszcz.

Witaj, powiedziała.

Czy Celine ją rozpoznała?

Odwiedzam krewnych, dodała staruszka. Przyniosłam ci prezent.

Gaby obserwowała, jak matka przygląda się fotografii z pękniętym szkłem.

Zatrzymaj ją, powiedziała Doris.

Dziękuję, odparła Celine i szybko schowała zdjęcie za plecami.

Do widzenia, powiedziała Doris do Gaby, która ze zdziwieniem zauważyła, że babcia pokazuje Celine język. Później Doris wyszła, bez słowa wyjaśnienia, cicho jak kot. Zniknęła za drzwiami i znikła im z oczu.

Myślałam, że ona umarła, powiedziała Gaby.

Nie. Oczywiście, że nie. Jak mogła umrzeć?

To nie kłamstwo matki zaszokowało Gaby, lecz etola babci, zapach sardynek i wysunięty język. Pobieгла na górę, żeby umyć włosy, świadoma, że została uratowana, by wieść szczęśliwe życie.

A jednak nieszczęście przyszło zaraz potem.

Gaby wróciła do domu z treningu piłkarskiego i zobaczyła, że ojciec ustawia na kominku zdjęcia z polaroida. Zamknęła drzwi i przeciąg zdmuchnął fotografie na podłogę. Ojciec wrzasnął na nią.

Była ukochanym dzieckiem, więc nie mogła tego przeboleć. Pobieгла do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Czekala na przeprosiny. Nie doczekała się.

Usłyszała szcęk furtki. Wiedziała, że to mama wróciła po biegu. Otworzyła drzwi swojego pokoju i z mroku korytarza, stojąc u szczytu schodów, wypatrywała, co też dzieje się na dole. Fotografie znów trafiły na kominek. Na co liczył ojciec? Drzwi wejściowe otworzyły się i zdjęcia znów pofrunęły na podłogę.

Jednak tym razem ojciec nie krzyknął, tylko patrzył, jak Celine klęka, żeby podnieść fotografie. Na chwilę zaległa cisza.

Niespodziewanie ciska mu je w twarz. Gaby truchleje z przerażenia. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Sandy opada na kolana i z czułością zbiera zdjęcia, jak chłopak karty z piłkarzami na wymianę. Kiedy się wreszcie odzywa, mówi bardzo powoli i racjonalnie. Dla wszystkich jest jasne, że ogarnia go wściekła furia. Twarz ma nieogoloną i dziką. Przypomina coś, co morze wyrzuciło na brzeg.

Nie będziemy o tym więcej rozmawiać, ucina stanowczo matka.

Po latach, w kartonowym pudełku, Gaby znajdzie wyblakłe zdjęcie z polaroida, przedstawiające zniszczoną, drewnianą chatkę, wyschnięty trawnik i wysoki, martwy, ceglany mur przypominający opaskę na oczach ślepego. Kto trzymałby taką fotografię i po co?

Już nigdy nie będziemy mieli szansy na kupienie domu, mówi Sandy.

Czy to wszystko naprawdę kiedyś się zdarzyło? Oczywiście. Celine, piękna, młoda kobieta z rękami wspartymi na biodrach, mówi: – Co powiedziałaś, Jack? (Nazywa go „Jackiem”, żeby zrobić z niego kogoś obcego).

Sando powtarza, że mają szansę kupić dom.

Celine zdejmuje z głowy opaskę i odrzuca włosy na ramiona. – Przecież powiedziałaś, że to było ohydne – mówi. Chodzi jej o sobotni cyrk agentów nieruchomości. Japiszony jeżdżą z licytacji na licytację w Carlton, zastawiają Canning Street samochodami, i pożądliwie oglądają stare, robotnicze domki.

Tak czy siak, mówi Celine, nie możemy kupić domu, nawet gdybyśmy chcieli, nawet w Coburg.

Mężczyzna podchodzi do kuchennego krzesła. Kobieta odrzuca sugestię, że powinna przysiąc się do niego, ale on najwyraźniej ma dla niej jeszcze jakąś nowinę. No, mów, rzuca od drzwi Celine. O co chodzi?

Zaproponowali nam pożyczkę, oznajmia Sandy.

Chryste, wykrzykuje Celine. (Chryste, słyszy Gaby). Nie mogą zostawić nas w spokoju? Wygrasz te wybory czy nie? Jesteś najlepszym, co przytrafiło się Coburg? Czy ci miejscowi partyjni idioci rozumieją, że mają u siebie przyszłego ministra? Powiedz im, żeby spierdalali. Nie chcemy pożyczać ich brudnej forsy.

Sandy się uśmiecha. Gaby z ulgą obserwuje uśmiech na twarzy taty.

To nie pożyczka, mówi Sandy. Tacy jedni...

Jacy „jedni”?

Zrobią nam prezent.

Ten Grek?

Nie, nie on.

Byłaby wściekła, gdyby wiedziała, że pieniądze wyłoży Woody Townes. Ten szczegół Sandy wyjawia jej dopiero przy rozwodzie, kiedy ich tzw. majątek wspólny nie będzie już należał do nich, lecz stanie się składnikiem majątku jednej ze „spółek-krzaków” Woody’ego.

Bądź bardzo ostrożny, Jack. Uczciwi ludzie nie mają takich pieniędzy.

Są tam piękne domy z dużymi ogrodami.

Mam na cały czynsz na przyszły miesiąc. Poszukam dodatkowej pracy.

Sandy wzrusza ramionami i wpatruje się w lodówkę.

Chcą, żebym przeniosła się do Coburg? Dlaczego? Wybrali cię, chociaż mieszkasz tutaj. Nie odwracaj się do mnie tyłem. Myślisz, że mnie zmusisz? Jeszcze mnie nie znasz?

Dziewczynka nie może zrobić nic, żeby zażegnać ten konflikt, o czym opowie wiele lat później. Każdy, kto wysłucha jej dorosłej relacji, zrozumie, jak niewiele dzieliło ją od tego wydarzenia. Może i jest „notoryczną przestępczynią”, ale wciąż pamięta, jak to jest, kiedy uciekasz do swojego zimnego pokoju i włączasz dmuchawę. Może opowiedzieć, jak zamyka drzwi na zamek i czeka. Ten jej pokój jest okropny i pusty. Gaby marzy o kocie. Gdyby umarła, nawet by się nie zorientowali.

Mija cała wieczność, nim do rodziców dociera, jaką krzywdę jej wyrządzili. Wtedy skradają się cicho po schodach. Wtedy już ją kochają. Dziewczynka zwiija się na kolanach matki. Dla innych jest jej kopia, ale w skrytości ducha czuje się zwykłą, małą dziewczynką. Wodzi palcem po pięknej twarzy matki i zbiera w sobie całą wolę, cały ogrom lęku, żeby przywrócić im uśmiech i żeby znowu się kochali. Potrafi to robić. Robi to bez przerwy. Staje na głowie, czyta im wiersze, bez przypominania sprzęta ze stołu, a kiedy trafia na stertę zdjęć, chowa je do szuflady, w której trzymają sznurek i gumki. Wie, że ma w sobie moc, która sprawia, że jej rodzice znów się kochają. Jest krążącą między nimi siłą. Jest ciepłem i elektrycznością i wyłączy je na zawsze, jeśli będą ją straszyć krzykiem.

Sandy i Celine przepraszają, że mają takie „okropne charaktery”. W trosce o Gaby kłócą się jedynie późnym wieczorem (jakgdyby mogła zasnąć, kiedy ma świadomość, że stawką jest tu jej życie). Zauważa, że matka zaczyna używać zwrotów „machina Partii Pracy” i „polityka maszyny”, a ojciec napomyka o jej „radikalnych przyjaciółach”. „Twoje plemię z Carlton”, mówi sarkastycznie Sandy. Mówi, że „Partia Pracy zginie, kiedy stanie się partią «twojego plemienia», a nie partią mieszkańców Coburg”.

Gaby coraz częściej „nocuje u koleżanek”, coraz później wraca z treningów piłkarskich, zamyka się w swoim pokoju i słucha Midnight Oil. „Nie było snu. Łóżka płonęły”. Zapamięta słowa ich piosenki na całe życie. Tak mocno podkreśla muzykę, że aż szyby drżały od basów, a oni nie robili nic, żeby się uspokoiła. Ona też nie mogła uczynić nic, żeby ich powstrzymać, choćby ugryźć w nogę.

Łapią ją na kradzieży płyt w HMV, ale rodzice nawet nie robią jej wyrzutów. Pali papierosy, ale nie wyczuwają ich zapachu. Zapominają o jej trzynastych urodzinach i przypominają sobie o nich dopiero nazajutrz. Gaby idzie do garderoby matki i odrywa rękawy od dwóch sukienek. Nie spotyka jej za to żadna kara.

W pewną ciepłą i wietrzną noc Celine i Sandy kłócą się aż do rana, latają w tę i z powrotem po schodach, do łazienki, do lodówki, na dwór i znów do domu. O świcie padają, są pijani, chrapią. Dziewczynka bierze plecak, tornister oraz piłkę i wychodzi kuchennymi drzwiami na wąski, wybrukowany szarym kamieniem zaułek.

Później dowie się, że można się pociąć, żeby poprawić samopoczucie. Nie ma jednak żadnego powiernika, więc tamtego ranka nie wie, czym ukoić ból. Drybluje z piłką na środek Macarthur Square i pędem przecina pustą Rathdowne Street, jakby szła na trening. Może sprawić, że gorzko tego pożałują, nawet nie wiedzą, jak bardzo. Łapie zielone światło na Swanston Street i drybluje z piłką przez puste tory tramwajowe. Słońce świeci jej w plecy, kiedy wchodzi na opustoszałe ulice przebiegające przez teren uniwersytetu i dociera do Queen's College. Utrzymuje piłkę między dwiema liniami, popychając ją sznurówkami, nie zwalniając, a przewidując, że zaraz będzie College Crescent, gdzie zatrzymują ją jadące w obydwu kierunkach auta. Czeka na krawężniku w świetle żółtych, sodowych latarni i przerzuca piłkę z nogi na nogę. Widzi zaskoczone, blade twarze kierowców. Gdzie jest matka tej dziewczynki? Dlaczego ją porzuciła? Później rusza między samochodami, wprost przed siebie, pośród histerycznych pisków hamulców.

Pierwszy raz sama wchodzi w długą, budzącą strach alejkę, która przecina cmentarz Melbourne General. Jakby widziała siebie z wysoka – rozświetlone włosy w kolorze słomy, martwa dziewczynka powstała z grobu, dryblująca, skręcająca w lewo na otwartą, zieloną przestrzeń, całkowicie, kompletnie samotna. Kładzie się na twardej, wysuszonej ziemi i udaje, że nie żyje. Co innego może zrobić?

Słyszy porykiwania lwów i hien z pobliskiego zoo. Od czasu do czasu otwiera oczy, by sprawdzić, czy nikt się nie podkrada. Wiatr nanosi kurz. Żółte światła ulicznych latarni wyglądają

złowieszczo. Leży tam długo, dopóki słońce nie rozświetli fasad domów przy Royal Parade. Żadnej wzmianki o 1975.

6

To ważne, że nie chciała uderzyć foksteriera ani zranić go w głowę, ale obudził ją lizaniem. Uderzyła go ze strachu. W odwecie ugryzł ją w nogę. Były tam jeszcze cztery inne psy, może pięć. Po latach, mówiąc o tym podczas nagrania, pomyślała, że może tylko chciały się bawić. Wtedy była przerażona. Skoczył na nią nakrapiany mieszaniec i ją podrapał. Zaczęła krzyczeć, chwyciła piłkę i w panice uciekła z tornistrem, który objął jej plecy.

Psy zagroziły jej drogę do Carlton, więc pobiegła na zachód, w stronę Royal Parade. Najbardziej bała się tego małego foksteriera z łatką na oku, który złośliwie szczypał ją w pięty, pędziła przez Royal Parade, za tramwajem, tuż przed maską ciężarowki. Słyszała przeciągły pisk, okropne wycie, ale już wbiegała w Aleję za starymi domami z werandami przy Royal Parade. Nagle rozpoznała zardzewiały płot z blachy falistej na tyłach domu Frederica Matovica.

Nie znała go zbyt dobrze.

Kiedy wchodziła do ogrodu, z nogi ciekła jej krew, a skarpetka zrobiła się różowa. Frederic nigdy jej nie zaprosił, ale wiedziała,

że to tam, na wprost: szokująca, sklecona byle jak szopa o skorodowanych ścianach z blachy falistej, jak płot od zaplecza. Jego szemrana matka mieszkała w domu od frontu, w pokoju na piętrze, wypełnionym używanymi sukienkami, którymi handlowała i z furgonetki, i w niewielkim sklepie.

Parkville to elegancka dzielnica, choć jej struktura społeczna, od Royal Parade po Nicholson Street, zawsze była rozmazana i rozwarstwiona. Włosi, Żydzi, biali robotnicy, prawnicy, akademicy, dziaciaki z domów komunalnych, dramaturdzy, ćpuni, właściciele domów, odnajmujący pokoje, i paserzy. Nieczęsto zdarzało się, by jakaś rodzina prześlizgiwała się z jednej grupy do drugiej, ale w przypadku Frederica właśnie do tego doszło. Jego ojciec był kiedyś sławny, pojawił się na okładce „TV Week”.

Frederic, zawołała Gaby. Kiedy usłyszała za drzwiami jego oddech, włosy zjeżyły się jej na karku.

Kto tam?

Gaby, ze szkoły.

Czego chcesz?

Wpuść mnie, zażądała i czekała.

Zapukała jeszcze raz. Przepraszam.

Czekaj, do cholery.

Jestem ranna.

Zaczekaj.

Łańcuch szcęknał i zazgrzytał, przeciągany przez wyszczerbiony otwór. Drzwi uchyliły się i zobaczyła mrugającego powiekami, ślicznego chłopca z długimi, czarnymi włosami, czarnymi paznokciami i zaczerwienioną, jakby mocno obtartą, twarzą. Spojrzał na nią z góry.

Co?

Muszę gdzieś przenocować, wyjaśniła dziewczynka.

Drzwi wreszcie otworzyły się na oścież i Gaby zobaczyła, że Frederic ma na sobie dziwny, niebieski płaszcz przeciwdeszczowy. Trzeba było zapukać od frontu, powiedział.

Okropnie wyglądam.

Cofnął się, weszła za nim. Ze zdziwieniem dostrzegła, że bierze z biurka pudełko papierowych chusteczek. Najwyraźniej jego matka zmywała tutaj makijaż. Gaby zauważyła, że matczyne rzeczy są wszędzie, nie tylko zmięte chusteczki, ale też jej rupiecie i skarby, wieszaki na kółkach z sukienkami, które mogła wtoczyć do furgonetki i przewieźć do Footscray albo do swojego zatęchłego sklepiku przy Faraday Street, gdzie wszyscy chodzili po futra, wariackie suknie ślubne i po filizanki z trójkątnymi uszkami.

W szopie cuchnęło starym życiem, nieboszczykami i kotami, które kiedyś tu z nimi żyły. Zdejmij buty, przykazał jej. Usiądź tutaj.

Gaby położyła pudełko z chusteczkami na kolanach. Frederic wyciągał po jednej, moczył je w szklance i obmywał jej poranione kostki.

Dostanę wścieklizny.

Nie, uspokoił ją. Nie spytała, skąd to wie.

Przepraszam, że cię obudziłam.

Co ci się stało?

Psy, odpowiedziała.

Chce ci się spać?

A jeśli zacznę się ślinić i gryźć?

Odciągnął narzutę na łóżku. Kiedy się położyła, tak troskliwie ją opatulił, że aż poczuła na szyi dziwne ciarki. Nie mów nikomu, że tu byłaś, poprosił.

Na jego biurku stał komputer. Widziała kiedyś komputer w telewizji i w komiksie, ale nigdy na żywo. Mały ekran połączony z klawiaturą w kolorze starych kości.

Co na nim robisz?

Nie zrozumiesz.

To twojej mamy?

Z irytacją pokręcił głową.

Jestem głupia, bo jestem dziewczyną? To w Hamburgu, powiedziała, przeczytawszy napis na ekranie.

Nie.

Witaj na czacie Altos Hamburg.

Pilnuj swojego nosa.

Ładnie pachnie to łóżko.

Lawendą.

Twoja mama wpadnie w szal, jak dostanie rachunek za telefon.

Śpij. Nie masz o tym pojęcia.

Nie wścieknie się?

Śpij.

Jesteś bardzo bystry, prawda?

Jeśli nie przestaniesz mnie wkurzać, będziesz musiała wyjść.

Położyła się na plecach i zamknęła oczy. W jakiś sposób był teraz w Niemczech. Wciąż ciekła jej krew. Wszystko dziwnie tu pachniało, czymś pożyczonym, ukradzionym, używanym, dawnym dziwactwem i nieszczęściem, staruszkami popijającymi porto z karafek, wiejskimi dziewczynami, pielęgniarkami, matronami

i kotami liżącymi swoje odmrożone opuszki. Na ścianie ktoś nabazgrał: PRZESTĘPSTWO #1 W MELBOURNE: Noszenie różowych spodni po lunchu w niedzielę.

Było za gorąco na ten płaszcz. Tak mocno pocierał twarz, że na rozognionych policzkach pojawiły się zadrapania. Na ścianie nad biurkiem wisiała wielka mapa, siatka tuneli i jaskiń z małym napisem, ciasnym niczym pajęcza nitka. Gaby nie domyśliła się, że tam zamieszka. Przeczytała napis: „Wschodni Pokój Świątynny”. Nagle Frederic wstał, dopisał coś i wrócił do klawiatury. Jego trzepoczące, motyle palce tańczyły na klawiszach, a skórki wokół paznokci były niczym skrzydełka czarnych chrząszczy gnieźdzących się w ścianach szopy.

Słońce świeciło już wyżej i gorąca blacha falista wydawała z siebie głośne trzaski, szarpiąc niczym Chrystus łączące ją gwoździe. Było za gorąco, żeby leżeć w łóżku w ubraniu. Gaby nie mogła stamtąd wyjść ani zasnąć. Wcześniej nie myślała o Fredericu w taki sposób. Na lekcjach nigdy się nie odzywał, chyba że zmuszony do przeczytania pracy domowej na głos. Trzymał się na uboczu, zawsze był samotny. Wysoki i wyprostowany, zbyt silny, żeby go zaczepiali albo się z niego nabijali. Nie interesował go styl „gotycki”, chociaż miał bardzo bladą cerę, a włosy opadały mu na ramiona jak skrzydła kruka. Chodził, przekrzywiając głowę na jedną stronę i Gaby domyślała się, że dzięki temu fryzura nie ogranicza jego pola widzenia. Mierzył już ponad metr osiemdziesiąt i raz w tygodniu musiał się golić, ale bardzo delikatnie seplenił, co teraz – gdy Gaby poznała jego mieszkanie – według niej dobrze pasowało do atmosfery tego pokoju.

Poznała go na obozie dla dzieci socjalistów w Healesville, gdzie wygłosił pogadankę na temat wykorzystywania dzieci do pracy w krajach Trzeciego Świata. Potem Gaby widziała, jak całkiem samotny rzuca kamieniami w krzaki. Niedługo potem jego ojciec został wyrzucony z partii. Później, kiedy jego rodzice się rozeszli, czasami można było zobaczyć, jak stoi ze swoim przystojnym ojcem o mocnej szczęce, sprzedającym gazetę „Trot”. Ten jego ojciec nie był miły: „Zgadzasz się czy nie, że kapitalizm przeżywa kryzys?”. Należał do tego samego plemienia co Celine. Sandy twierdził, że jest przestępcą.

Kiedy matka Frederica otworzyła w końcu sklep, stać ją też było na wynajęcie synowi tej naprędce skleconej szopy. Z początku miała obsesję, że go tam zamordują i pilnowała go jak owczarek, w nocy zbiegając bosą po schodach, a potem kawałek betonową ścieżką. Jeśli pominąć tę niedogodność, nic lepszego niż ta szopa nie przytrafiło się Fredericowi. No i jeszcze Mac Iix, który ojciec przyniósł któregoś wieczoru wraz z inną „lewizną”. Komputer również łączył się z pewną niedogodnością: matka Frederica mogła pójść do więzienia za to, że go „przyjęła”.

W szopie panował nieznośny upał. Słońce obudziło zapachy, które drzemały niczym moskity wśród wiszących sukienek, w zakurzonej dywanie. Gaby włożyła nasiąknięte skarpetki.

Dziękuję, powiedziała.

Pierwszy raz się uśmiechnął. Miło.

Nie ma sprawy, odpowiedział. To była spora przyjemność (tak się właśnie wysławiał).

Coś jej też dał, monetę, nie taką normalną, tylko ciężki medal z lampą sztormową na awersie z brązu i srebra. Spytała, co to

takiego.

Sama zobacz.

Tu jest kompletnie ciemno. Nic nie widać.

Skąd to jest? Miała na myśli kraj.

Zacisnął jej dłoń na krążku. Z przeszłości, odpowiedział.

Mówiąc to, uniósł jej rękę i delikatnie ją pocałował, zupełnie nie jak chłopiec. Ogarnięta radością i przerażona wybiegłaby stamtąd natychmiast, tyle że najpierw musiał otworzyć kłódkę, by ją wypuścić.

7

Royal Park to znaczące miejsce w historii Australii. To stamtąd Burke i Wills wyruszyli na śmierć. To tam stacjonowały wojska generała MacArthura. Od 1942 roku drzewa znacznie urosły, lecz Royal Park pozostał płaski jak plac apelowy. Leżał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko brzydkiego płotu za szopą Frederica. Gaby zdjęła tam poplamione krwią skarpetki i stwierdziła, że cuchnie jak zdechły królik albo jak papier od rzeźnika na drugi dzień. Uklękła na wyschniętym trawniku i wygięła się, żeby przyjrzeć się obrażeniom, dwóm brązowo-różowym śladom po zębach w kształcie litery U, na których zaczęły się pojawiać zaczerwienienia. Czy tak wygląda wścieklizna?

Za drzewami stał żółty gmach szpitala dziecięcego, w którym tylko czekali, żeby napiętnować ją chorobą. Aleją sunęły na północ auta z super normalnymi rodzinami. Wyobraziła sobie panujący w nich intymny zaduch, zagubione miętówki, ślady po starych wymiocinach, nudny, bezpieczny, sobotni komfort. Dotknęła palcami śladów po ugryzieniach, naciskając, by sprawdzić, jak bardzo bołą. Gdy uniosła wzrok, ze zdziwieniem dostrzegła Frederica, teraz ubranego w staromodne rurki, buty na słoninie

i hawajską koszulę, który zamykał za sobą blaszaną furtkę. Ruszył Aleją w stronę centrum w słynny, charakterystyczny dla siebie sposób, wysoki, wyprostowany, z przekrzywioną głową i powiewającymi włosami. Miał fajny chód, typowy tylko dla niego, chodził jakby na palcach. Później (po wielu latach) Gaby zrozumie, że był przejawem jego cudownej nieśmiałości.

Zostawiła u niego piłkę, niechący. Pragnęła, żeby znów wpuścił ją do tego magicznego pokoju, ale była zbyt dumna, żeby wyciąć jakiś tandetny numer, by się tam dostać. Na przykład: zostawiłam u ciebie grzebień. Żałosne.

Przeszła przez Royal Parade i obeszła cmentarz. Kiedy dotarła do Carlton, poczuła, że się na nią gapią. Chciałaby, żeby rodzice myśleli, że umarła z ich winy, ale kiedy doszła do pasa trawy rozdzielającego Keppel Street, było jej już tylko głupio i wstyd. Gdy Katie Humis, Eve, Robo i reszta wyległy przed jasny biały dom, pięć piszczących dziewczynek ubranych jak wrony w czerń, musiała naprawdę zebrać się w sobie, żeby nie uciec.

O, mój Boże.

Zadzwoń do mamy.

Skorzystaj z naszego telefonu.

Katie i Eve miały szerokie, skórzane pasy na biodrach. Zdziwiłyby się, gdyby wiedziały, jak krytycznie ocenia je Gaby. Teraz nie była w stanie uwierzyć, że jeszcze kiedykolwiek będzie chciała się z nimi przyjaźnić.

Twoja mama odchodziła od zmysłów.

Pierwszy raz pojęła, tak do końca, że nie jest jedną z nich.

Z kim byłaś?

Z nikim.

Zrobiłaś to?

Co?

Zrobiła.

Co takiego zrobiłam?

Gziłaś się z nim, powiedziała Eve i była najwyraźniej zaszokowana tym, jak brzydko to zabrzmiało.

Z kim miałabym to zrobić?

Ich twarze zaczerwieniły się i rozplonily. Z Martinem Booseyem, odpowiedziały jednocześnie, idiotki, klony w czerni.

Niczego nie zauważały. Nie dostrzegły nawet śladów po ugryzieniach. Kiedy stamtąd wychodziła, specjalnie szła tyłem, machała do nich i trochę się wygłupiała, choć zniesmaczył ją ich pomysł, że się gziła.

Zniszczyła sobie życie w dużo większym stopniu.

Skręciła w Cardigan Street. Biegła, udawała, że wraca z treningu. Patrząc w dół szerokiej, prostej i płaskiej ulicy biegnącej w stronę centrum, dostrzegła Frederica, który właśnie przechodził przez Elgin Street. Kluczył między samochodami, niosąc duże, kartonowe pudło.

Na światłach przy Rathdowne Street przyjrzała się medalowi, który jej podarował: lampa sztormowa z brązu na srebrnym tle.
Tu jest kompletnie ciemno.

Właśnie przed chwilą jej życie bardzo się zmieniło, choć nie było jeszcze jakichś zewnętrznych oznak. Wchodząc na Macarthur Place, szła pod ścianami domów po północnej stronie placu, po czym skręciła w zaułek prowadzący do kuchennego wejścia do domu. Co się wydarzyło? Co się zmieniło? Wszystkie butelki po

piwie zostały wyniesione. W miejscu, gdzie przedtem stały, między ścianą a asfaltem, pozostał pas brzydkiej, pożółkłej trawy.

Jej radykalna matka stała umalowana w kuchni.

Wszystko w porządku?, spytała, wpatrując się w Gaby. Wyglądała dziwnie, jak wróg, jak ktoś z South Yarra. Miała na sobie wyprasowane, wyszywane dzinsy. Gdy Gaby przywoływała na taśmie skrajne emocje, które sprawiły, że się rozplakała, więcej niż raz wspomina właśnie te dzinsy. Celine włożyła do nich mieszczkański, czarny, lniany żakiet z wypchanymi ramionami. Jej córka zaginęła na parę godzin, więc Celine ubrała się na przyjazd policji i pracowników opieki społecznej. Wyprasowała dzinsy, żeby dać do zrozumienia, że to nie jej wina.

Gaby nie zdawała sobie sprawy, że potrzebuje ukojenia, dopóki nie zobaczyła przerażonego spojrzenia matki. Wtedy zrozumiała, że żadnego ukojenia nie znajdzie.

Wszystko w porządku?

Tak, wykrzyknęła dziewczynka, cudownie. Przemknęła obok matki i pobiegła na górę wziąć prysznic. Ani przez chwilę nie pomyślała, co może oznaczać ten prysznic dla Celine. Pragnęła jedynie zmyć z siebie zarazki wścieklizny. Zamknęła drzwi na zasuwkę, czego nie wolno było robić. Umyła nogi, zbyt mocno je szorując. Rany zaczęły krwawić. Pomyślała, że to dobrze. Wytarła się i poliała rany wodą po goleniu ojca. Piekło ją, tak jak tego chciała. Później zalepiła plastrami wszystkie ślady po zębach. Ubrała się w strój piłkarski. Włożyła nowe, czyste spodenki i długie, białe getry, które wciąż pachniały praniem. Wsunęła pod nie ochraniacze.

Później zeszła do kuchni i przeprosiła matkę. W rewanżu Celine przygotowała jej koktajl z jajkiem i czekoladą, pyszny napój, który ma przywracać siły i przynosić pociechę.

Wszystko dobrze, kochanie?

Nie przeszkadzaj sobie w leczeniu kaca.

Kochanie, wyszczotkuję ci włosy. Szczotka już czekała, jej narzędzie miłości. Gaby usiadła na stołku i wyprostowała szyję. Pochylała się do przodu, bo szczotka trochę ciągnęła, ale nie okazywała, jak wielką radość sprawiają jej te pociągnięcia, ten ból, ta walka z kołtunami i lokami.

Nie powinniście na siebie wrzeszczeć, powiedziała. Nie znoszę tego.

Wiem.

Kiedy wrócił Sandy, wreszcie się uściskali. Gdy przepraszająco głaskał ją po rękę, Gaby widziała, jak bardzo Celine pragnie jego czułego dotyku.

Byliśmy okropni, powiedział. Wstyd mi.

To Celine powinno być wstyd, a tymczasem równiutko odprasowała swoje dzinsy, w kant.

Ugryzł mnie pies, wyznała Gaby ojcu, nie matce. A jeśli mam wściekliznę?

Nigdy nie wybaczy Celine tej ulgi w zapuchniętych oczach, tego, że uspokoiła ją wzmianka o wściekliznie. Choć wszyscy wiedzieli, co się dzieje w przypadku wścieklizny – wbijali ci w brzuch wielką, grubą na centymetr igłę, trzydzieści trzy razy.

Lepsze to, niż się gzić, pomyślała pewnie Celine. Najwyraźniej była wdzięczna losowi.

8

Chata, w której obecnie przebywał Felix Moore, została wzniesiona na piaskowym występie, który w cieniu lantan, a także w sekretnych schowkach pod podłogą, przypominał oszlifowaną, wklęsłą soczewkę. Znać było na nim jedwabiste linie osadowe w kolorze musztardy i ochry, lecz gdy Felix potrzebował kamieni, żeby zabezpieczyć kartki przed wiatrem, nie znajdował tam piaskowca odpowiednich rozmiarów.

Kamienie, którymi docisnął furkoczące na wietrze papiery, miały ciemny, rudobrazowy odcień i były pochodzenia wulkanicznego; były też kwarcy, niekiedy białe, z czarnymi żyłkami. Spełniły swoje zadanie, przytrzymując zebrane przez niego dane podczas dwóch gwałtownych burz. Na deszcz, który w czasie drugiego z tych „zdarzeń pogodowych” lał się strumieniami do środka, nic nie mógł poradzić. Sam musiał salwować się ucieczką po drabinie na antresolę z łóżkiem, gdzie pocieszenie przyniósł mu pikowany kombinezon poprzedniego lokatora.

Musiał się także zmierzyć z oporną naturą informacji przekazanych mu w pudełku. W żadnym sensie nie był to

„materiał źródłowy”, tylko rupiecie, jakie zostawiają uczennice w zamieszkiwanych przez siebie pokojach – stare prace domowe, medale, wstążki, świadectwa szkolne, kasety VHS, płyty CD, błyszczki i trzydzieści rodzajów kaset z nagraniami zespołów, do których wstydziłyby się przyznać. Tutaj na kasetach nie było muzyki. Felix wiedział to od początku. Na mikrokasetach były nagrania Gaby, a na pozostałej zbieraninie – wynurzenia Celine. Gadały w nieskończoność, pierdoliły i pierdoliły, niewidzialne dla dziennikarza, bez redaktora, który by je okiełznał. Innych, zapewne ważnych dowodów, dostarczały spięte na grzbiecie metalową spiralą notesy z wklejonymi zdjęciami i kolażami przedstawiającymi dzieła sztuki oraz większe notatniki z kartkami z szarego papieru, przypominające „strzeżone teczki” przechowywane kiedyś w działach reklamowych gazet, z okropnymi starymi reklamami paskudnych garniturów klejonych na sztywnik. Płaska i sflaczała piłka mogłaby podnieść Feliksa na duchu, ale były tam tajemnicze przedmioty, które wymykały się wszelkiemu zrozumieniu, na przykład książka z tytułem napisanym odręcznie literami w stylu filmów o Flintstone’ach: WANK^[2]. Gdy nasz patolog ujrzał ten tytuł, zrezygnowany zaczął szarpać koniuszki swoich zmierzwionych wąsów. Czemu mogłoby służyć otworzenie tych podejrzanych drzwi?

W Świecie zwałki (jak głosił podtytuł) do każdej strony doklejono jeszcze jedną. Wyraźne oznaczenia na stronach sugerowały, że pochodziły z maili.

< PRZEDPOKÓJ

(SZATNIE)

(OPIS „Mały pokój”)

(NA WSCHÓD DO SALONU)

(WYJŚCIE PRZEZ KLAPEĘ W PODŁODZE)

(AKCJA PRZEDPOKÓJ–F)

(FLAGI RLANDBIT LOCKEDBIT)

(GLOBALNE SCHODY)>

RLANDBIT, pomyślał. LOCKEDBIT, pomyślał. AGENBITE OF INWIT. UP.:UP. PIERDOLCIE SIĘ.

Czas mijał. Zostały mu ledwie dwie beczułki z czerwonym winem Hunter Valley. Znalazł w kieszeni kombinezonu kawałek szarej kredy. Narysował nią na podłodze krąg i umieścił w nim książkę.

Woda chlupotała o brzeg. „Nie cierpię tego miejsca. Po całych dniach słyszę tylko te przeklęte fale tłukące o brzeg”. Miał w głowie kompletny śmietnik. Zawartość pudełka zdawała się nie mieć żadnej logiki ani sensu, ale dostał tylko to, tak jak zbyt długie ręce i za krótkie nogi. Wyłączył matkę i pogłodził córkę. Wziął łopatę z napisem „Gównno, Koń” oraz papier toaletowy i ruszył ku schodom za chatą, prowadzącym na pagórek nad dachem. Udało mu się wykopać płytki dołek. Słyszał, jak córka prawi mu morały, że musi się jeszcze dużo nauczyć. Bolały go kolana. Przypatrywał się pelikanowi, który nagle zmienił plany dotyczące lądowania i opadł do rzeki, głową w dół i z odciągniętymi łapami. Feliks wysrał się, mimo że zjadł mnóstwo sera, i zasypał dołek, nie przejmując się białym wstążkami papieru, powiewającymi ze swojej mogiły.

Miał łódkę, silnik i kanister paliwa, ale skorzystanie z nich to już była inna sprawa. Gdyby była tu jego żona, może wymyśliłaby jakiś sensowny plan, by znów uratować mu tyłek, ale teraz był dla niej martwy. Musiał całkowicie wymazać ją z pamięci. Wrócił do chaty i usiadł na biurku. Znowu włączył dyktafony i z rozbawieniem zauważył – jeszcze raz – że ich głosy wyrażały przeciwne opinie, ale krążyły obsesyjnie wokół tych samych tematów. Obie ominęły zakup domu w Coburg. Pieprzone nieruchomości, pomyślał Felix. Czy to sposób, żeby zmienić świat?

Później z rozdrażnieniem wysłuchał Gaby, przedstawiającej szczegółowy opis „procesu myślowego Frederica”. Uważała, że powinien być podstawą jego książki. Styl powinien być „eksperymentalny”. Felix przewijał taśmę, stopował ją i cofał. Było „ważne”, żeby zrozumiał. „Naprawdę niezwykły Frederic” prowadził w myślach bezustannych dialog z samym sobą. Operował słowami i symbolami nie tylko kiedy siedział przy swoim Mac IIx – co było jego życiem jawnym, ale i skrywanym – lecz nawet gdy chodził ulicami Carlton, ukazując samemu sobie własną orientację w terenie i pracę swoich kończyn w Języku Programowania Zork, z skrócie ZIL, wywodzącym się z obecnie już przestarzałego języka LISP. Felix Moore został poinstruowany, iż MUSI robić notatki. Frederic nie był autystyczny. Jego skóra pachniała kolendrą. Powtórzyła to spontanicznie trzy razy. Idąc do szkoły albo dostarczając „mocno przeceniony” sprzęt elektroniczny klientom swojego ojca, Frederic był w duchu maszyną, prowadzącą ze sobą następującą rozmowę:

>idź na północ.

>idź na wschód.

Kiedy podnosił piłkę Gaby, pomyślał pewnie >podnieś futbolówkę. Później trzymał ją przed sobą, a jego lakier do paznokci w kolorze palonej sjeny pozostawał w mroku. Niósł tę piłkę w akcie miłości przy świetle lamp sodowych, a potem przez cienisty park o barwie wodorostów. Idąc wzdłuż centralnej osi Macarthur Square, świat, w który wkroczył, opatrzył pewnie napisem „DOM GABY”. I dalej: <OKREŚL WSCHÓD–DOM.

A także:

Jest tam małe okno, czyli <OKNO [„OKNO”]; nazwa obiektu [„MAŁE” „PRZEZROCYSTE”]; przymiotniki dla okna < + OWIZJA, OTWÓRBIT, ZBIĆBIT>; rzeczy, które możesz zrobić z obiektem

[ODESC1 „Jest tam małe okno z czterema szybami”]

[ODESC0 „Okno jest tutaj”]

RACHUNKI–OBIEKT ()>

<OKREŚL OKNO–OBIEKT ()

<COND (<CZASOWNIK? „ZBIĆ”>

<MÓWIĆ „Uważaj na latające szkło!”>

<>); „Drukuje sarkazm ale nie radzi sobie z poleceniem

(<CZASOWNIK? „JEŚĆ”>

<MÓWIĆ „Nie, szkło wbija mi się w zęby”>; nie pozwala jeść okien

>>

Kto tak mówi?

Maszyna. Poza tym Frederic Matovic stał przed balustradą tego, co wkrótce stanie się zagubionym domem przy Macarthur Place. Zaglądał przez ciemny salon do kuchni, gdzie widział ich troje przy stole. Zapamiętał wtedy – później często będzie to

powtarzał Gaby – scenę mitycznej urody, złocistą: ojca o szerokich barkach i wąskich biodrach niczym surfer, niemal widział piasek, jego krótkie, zmierzwione włosy, matkę, ponętną niczym aktorka, którą w istocie była, i Gaby, eteryczną i z brudnymi paznokciami, którą będzie zapraszał do domu, żeby dotykała jego klawiatury.

Myślał w wielu językach, ale ZIL pochodził ze świata ZORK. *>połóż futbolówkę na wycieracze.* Położył futbolówkę na wycieracze, zapukał do drzwi i uciekł do parku. „Krople deszczu kleiły się do jego lśniącego karku” napisał Felix Mniej-więcej-akuratny, tłukąc w klawisze maszyny do pisania marki Olivetti.

Papugi królewskie biesiadowały i upuszczały łuski ziaren na brzęczący dach.

Felix Moore cofnął taśmę, odegrał ją i przepuścił na szybkich w tył i w przód po głowicach. Zapisał jedną kartkę formatu A4 i umieścił ją pod kamieniem. Wciągnął do maszyny nową, już napuchniętą od wilgoci.

Kuku.

To był ludzki głos, który sprawił, że sławny dziennikarz wsunął buty na pokryte odciskami stopy. Nie zawiązując sznurówek, pognął na górę po niebezpiecznych schodach na tyłach chaty. Przedarł się przez dzikie lantany, gdzie jakaś loreczka, śliczna niczym na perskiej miniaturze, mościła się w kwiatach. Znalazł się na dachu. Widział przed sobą pustą rzekę i zbiornik na deszczówkę, do połowy przykryty przez uschnięte liście. Nad brzegiem dostrzegł jedynie mangrowce.

Kuku.

Miał spochmurniałe i zapadnięte oczy.

Kuku.

Co się teraz z nim stanie? Zszedł z powrotem po schodach, przemierzył chatę i ruszył w stronę rzeki.

Halo!, zawołał. Jakiś silnik przebudził się do brudnego życia.

Kuku, zawył Felix. Bolały go kolana. Był jak artretyczny pies skaczący w turzycy. Dotarł do brzegu zasapany z jednym butem w ręku. Jego gość już odbił od brzegu, wypłynął spod mangrowców i rozpędził łódkę. Felix dopiero po chwili zobaczył, co mu zostawił. Na błotnistym brzegu leżały dwie lśniące, wypatroszone ryby i trzy butelki białego rumu.

Umęczone oczy Feliksa rozjaśniły się. Uśmiechnął się i tupnął. Sam nie wiedział, czy śmieje się, bo odczuwa ulgę czy też rozczarowanie. Musi się trzymać, ale nie ma już sił. Odkorkował rum, wypił trochę i zakasłał. Ciąg dalszy nastąpi.

[2] Masturbacja.

9

Frederic Matovic zostawił piłkę Gaby pod drzwiami, pozbawiając ją w ten sposób pretekstu, by jeszcze kiedyś go odwiedzić. Kiedy mijali się na szkolnym korytarzu, nawet na nią nie spojrzął. Cały tydzień padało i wiało i we wtorek jego oldskulowe buty na słoninie przemokły, a to oznaczało, że go słyszała, nawet kiedy nie widziała, bo chlupotał. Błagam, ciszej. Żałowała, że nie dostała wścieklizny. Wtedy wpadłaby w szal i pogryzła ich wszystkich. W środę wypadł z impetem po lekcji matematyki z panią Hanson i dźgnął Gaby w pierś kanciastymi książkami. Postanowiła wykorzystać ten moment: Zostawiła u niego piłkę przez przypadek.

W porządku, odpowiedział, nie słuchając.

Nie bawię się w takie rzeczy, dodała.

Dobra, rzucił i poszedł dalej. Miała posiniaczone piersi i była zła.

Czuła się nieszczęśliwa, wszyscy ją denerwowali, nawet Bree, która miała w niedzielę urodziny i której postanowiła uszyć draczone spodnie. Celine miała maszynę marki Singer, a matka Frederica materiał z lat 50. z Saturnem i Jowiszem na czarnym

tle, dziesięć metrów. Leżał na wystawie jej sklepu przy Faraday Street. Gaby chodziła tam codziennie po lekcjach, zawsze w deszczu. Przejeżdżające samochody obryzgiwały wodą z kałuż jej łydki. „Zaraz wrócę” głosiła wywieszka na drzwiach. Gaby wtuliła się w wejście, ale po dwóch godzinach tabliczka nadal wisiała. W czwartek, kiedy tam wróciła – też. Było wcześniej, jeszcze przed lekcjami, lecz w środku paliło się światło. Pukała bez większej nadziei, ale uparcie, aż wreszcie ujrzała Meg Matovic i jeszcze jakiegoś łysego mężczyznę w brudnym podkoszulku.

Tak?

Przepraszam. Mam pieniądze. Wiem, czego chcę. Słyszała, jak gość Meg sika na zapleczu. To było okropne, wciąż i wciąż, jak koń.

Pani Matovic nie zdążyła jeszcze wycenić materiału, a w ogóle to nie chciała go ciąć, ale w końcu dała jej dwa metry i wypchnęła na deszcz.

Wieczorem ojciec Gaby napalił w kominku, chociaż było tak ciepło, że musieli otworzyć okna. Mieli problem z wilgocią, która pełzała po murach od fundamentów. Tworzyła plamy białej, puchatej pleśni w korytarzu i – co gorsza – w garderobie Celine. Sando był „złotą rączką”. Rozciągnął sznury pod sufitem w saloniku i powiesił tam rzeczy Celine, które bezpieczne i suche powiewały niczym żagle nad ich głowami.

Pokój Gaby też był zawilgocony, ale przecież musiała uszyć te dracznne spodnie. Kiedy przeciągała w nich gumkę, zawołali ją, żeby nakryła do stołu. Celine ściągała skórę z kurzych udek, co

oznaczało, że po dwudziestu minutach będą jedli uproszczoną wersję *coq au vin*. Zapaliła świece.

Celine była w dobrym nastroju, czyli pewnie wcześniej wypaliła trawkę. ZGODZIŁA SIĘ obejrzeć dom w Coburg podczas następnego weekendu. Opowiadała o tym na taśmie. Ona i Sandy pili wino z wysokich kieliszków. Byli „kompletnie wyluzowani”. Sandy umościł się w fotelu. Miał dla nich wieści, ale czekał z ich przekazaniem. Zawsze tak robił, gromadził skarby na deszczowy dzień. Udało mu się zebrać fundusze na świetlicę dla robotników sezonowych.

Było widać, że jest w nich zakochany. W jego oczach odbijało się światło świec, a usta rozciągał niepewny uśmiech.

Celine nie lubiła rywalizować, ale ona też miała dobrą wiadomość. Ośrodek Footlights Collective uzyskał „stypendium na rozwój”.

Wypili butelkę wina, wspominała Gaby, a później otworzyli beczkę, więc nadszedł najwyższy czas, żeby zostawić ich w spokoju. Znowu zajęła się gumką w draczych spodniach. Na dole panował spokój. Słuchali „Astral Weeks” Van Morrisona. Na litość boską, znajdźcie sobie coś nowego! Gaby zaczęła czytać o etruskiej boginii Manii, po czym zasnęła.

W piątek rano nad Wielką Zatoką Australijską znowu przetaczały się potężne chmury, ale duży deszcz spadł dopiero wczesnym wieczorem. Ciężkie krople waliły w żelazny dach z takim łomotem, że musieli do siebie krzyczeć. Ucieszył ją ten deszcz, czuła się bezpieczna. Dom wypełniły smakowite zapachy, kiedy Celine odgrzewała kurczaka z poprzedniego dnia. Wydawało się, że wszystko jest już dobrze, póki Gaby nie

przyłapała Celine na tym, jak oszukuje z purée z ziemniaków. Zamiast mleka dołała wody. Tak jest zdrowiej, powiedziała Celine. W tłumaczeniu: Ja jestem piękna, a ty gruba.

Gaby poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na zamek, usiadła po turecku i zajęła się papierem do opakowania prezentu dla Bree. Napisała na nim grubym, złotym flamastrem:

jestem chuda, więc pewnie mam anoreksję.

jestem dziewczyną, która jada luncha, więc pewnie jestem gruba.

ubieram się na czarno, więc pewnie jestem gotycka.

lubię *death punk*, więc pewnie podcinam sobie żyły.

jestem irlandką, więc pewnie mam problem z piciem.

lubię brâncușiego, więc pewnie jestem szpanerką.

trzymam się z gejami, więc pewnie jestem lesbijką.

jestem dziewicą, więc pewnie jestem świętoszką.

jestem samotna, więc pewnie jestem brzydka.

jestem chrześcijanką, więc pewnie nienawidzę homoseksualistów.

jestem młoda, więc pewnie jestem naiwna.

nie lubię słońca, więc pewnie jestem albinoską.

jestem inteligentna, więc pewnie jestem słaba.

jestem z zachodniej części miasta, więc pewnie jestem tłusta.

lubię krew, więc pewnie jestem wampirem.

kocham kafkę, więc pewnie jestem samotnicą.

nie lubię mówić o moim prywatnym życiu,

więc pewnie mam problemy.

chodzę na terapię, więc pewnie jestem wariatką.

nie jestem taka, jak wszyscy, więc pewnie jestem zerem.
jestem nastolatką, więc pewnie nie mam o niczym pojęcia.

Wróciła do kuchni. Celine zbeształa ją za umazane złotym flamastrem ręce, po czym oznajmiła, że odwołuje wizytę w domu w Coburg. Tłumaczyła, że musi wydać na weekendowe warsztaty pieniądze z dofinansowania.

Ale kłamczucha.

Jeśli nie wydamy ich do poniedziałku, będziemy musieli je oddać.

Powiedziałas, że dostałaś je wczoraj.

Wczoraj się dowiedziałam, skarbie. Najwyraźniej były przyznane rok temu.

Tak, to było kłamstwo, wyznała na kasecie Celine, ale chodziło o to, że wiedziała, że Sando i tak kupił ten dom bez niej. Znalazła fakturę od prawnika. Przez lata o tym nie wspominała.

Cóż, powiedział cicho jej mąż, może mogłabyś wpaść do Coburg w porze lunchu i obejrzeć dom.

Ty podstępny, uparty draniu, pomyślała Celine. Problem polega na tym, kochanie, że nie mogę. Te warsztaty są pod miastem. Rzecz jasna nie było żadnych warsztatów, ale Celine miała już swój plan.

Sandy odłożył sztucce.

W Moggs Creek, wyjaśniła Celine, obeszła stół i pocałowała go w szyję.

Wstał, wyminął żonę i zeszkrobał purée do śmieci. Nieważne, rzucił, wpatrując się w kosz.

Nikt tego jeszcze nie wiedział, ale był to ostatni dzień w życiu ich rodziny. Dokładnie w tym momencie Frederic zawołał Gaby przez okno. Gaby z niedowierzaniem spojrzała na matkę. Jaka była nagle zadowolona, że do nich przyszedł. – Wejź. – Koniecznie musi wejść. Było to wyjątkowo obłudne, ale co tam. Oczy Gaby zasły mgiełką, gdy patrzyła, jak Frederic przechodzi pod wiszącymi ubraniami. Ojciec w końcu puścił pedał kosza na śmieci i pomógł chłopcu zdjąć przemoczony płaszcz.

Czarne włosy Frederica wyglądały jak wodorosty na skórze topielca. Zaproponowali poczęstunek. Przystał na to. Usiadł koło Gaby, nawet na nią nie patrząc.

Dziękuję, że odniosłeś jej piłkę, powiedział Sando. Gaby odetchnęła z ulgą. Prawda, kochanie?

Chodzimy do jednej szkoły, wyjaśnił Frederic. Oczy skrył za kleistymi rzęsami. W głębi jego głowy można było dojrzeć blask świec.

Celine nałożyła mu więcej purée, niż kiedykolwiek nałożyłaby dziewczynie.

Przyszedłeś w historycznym momencie, oznajmił Sando.

Dobry Boże, pomyślała Gaby, nie rób mi obciachu.

Znaleźliśmy dom do kupienia w Coburg. (Co on, kurwa, wyprawia?) Znasz Coburg?

Mój tata mieszkał tam przez jakiś czas.

Sandy'emu przemknęło przez głowę: O, cholera, co ja gadam? Przecież jego ojciec to Matty Matovic. Siedział w więzieniu w Coburg. Cholera.

I jak mu tam było?, spytała pogodnie Celine.

Przymknij się, pomyślała Gaby.

Tymczasem Frederic uśmiechnął się. Gdzie jest ten dom, który państwa interesuje?

Przy Patterson Street.

To fajna ulica.

Celine okazała „przesadny zachwyty”. Zna Patterson Street? Wpatrywała się w jego polakierowane paznokcie.

Zastrzelili tam Jimmy’ego Gifforda.

Zastrzelili?, zatrwożyła się Celine.

W filmie, wyjaśnił śpiesznie Sando. Frederic ma na myśli film.

Nigdy nie słyszałam o takim filmie, zdziwiła się Celine. Kto w nim grał?

Gary Waddell, odpowiedział Frederic i – mimo tego, co zrobił – zapewne dzięki temu jednemu błyskotliwemu kłamstwu zaskarbił sobie dożgonną wdzięczności Sandy’ego.

Frederic uśmiechnął się jak Anioł Zemsty.

Zamierzaliśmy obejrzeć ten dom jutro rano, powiedział Sando.

Frederic bezczelnie się uśmiechał.

Smutno nam, bo właśnie się dowiedzieliśmy, że mama Gaby nie może z nami pojechać.

Ja pojedę, zaproponował Frederic. Oczywiście, że tak.

Oczywiście? Nikt nie wiedział, jak na to zareagować.

Przygotowałam prezent dla Bree, powiedziała Gaby. Też była uśmiechnięta, nie mogła się powstrzymać.

Jesteś taka towarzyska, skomentował Frederic.

Draczne spodnie.

Pokaż, pokaż. Rozcapierzył palce na policzkach, czym wywołał uśmiech na twarzy Celine, nie dlatego, że jej się spodobał, ale

najwyraźniej dlatego, że uznała, iż jest gejem, czyli nie przysporzy im kłopotów.

Mogę pokazać Fredericowi mój prezent?

Frederic był geniuszem. Ruszył tanecznym krokiem do pokoju Gaby i nikt nie pomyślał, żeby go powstrzymać. Zamknęli za sobą drzwi. Klęcząc obok siebie, przeczytali napis na opakowaniu prezentu.

Nienawidzą się?

Okropnie.

Czy ona ma romans?

Nie, nie sędzę.

Ma, przekonywał Frederic. Wierz mi.

Wtuliła się w jego pierś. Pocałował ją w policzek, a potem, bardzo delikatnie w ucho.

Chcę cię nauczyć fajnych rzeczy, powiedział.

Nie rozumiała go, ale czy to ważne? Ujęła jego dłoń i, poszukując jakiegoś nieznanego występkę, wsunęła dwa palce do ust.

10

Całą noc wiał wiatr. Rodzice wymknęli się do parku, żeby się kłócić. Wyciągali słowa i ciskali nimi jak puszkami i gazetami, które furkotały w zaułku. Gaby słuchała na cały regulator płyty Tracy Chapman.

Obudziła się, kiedy było już widno, z przewodem od walkmana oplecionym wokół szyi. Drzwi do pokoju rodziców były zamknięte. Na schodach panował zaduch, pachniało rozlanym alkoholem i dymem papierosowym. W rozedrganej kuchni kwaśny zapach wczorajszego kurczaka mieszał się z ostrą wonią świeżo użytych przez Celine perfum. Nie mogła się poperfumować w samochodzie, który oczywiście wzięła? Dzięki, mamó. Nie martw się o nas. Pojedziemy do Coburg tramwajem.

Dotarłszy z saloniku na szczyt zimnych schodów, Gaby dostrzegła Sandy'ego śpiącego w poprzek łóżka. Kiedy się do niego odezwała, obrócił ku niej twarz poprzecinaną liniami odcisniętymi przez zagniecioną pościel. Miał przekrwione oczy i był smutny. Jego ładne usta były spierzchnięte. Tak mi przykro, Gaby. Nie zasłużyłaś na to. I tak dalej.

Pójdę po Frederica, a później pojedziemy?

Już nie musimy, skarbie.

Jak to? Do Coburg.

Naprawdę chcesz tam jechać bez mamy?

Tak.

Spuścił duże nogi z łóżka i przyciągnął ją do siebie. Pachniał jak ktoś inny – nieupranymi rzeczami i nieumytymi zębami. Przyciskał ją i miażdżył. Przestraszyła się. Zrozumiała, że stało się to, czego nigdy się spodziewała – przeszła na jego stronę.

Naprawdę do tego doszło?, spytał, ale nie była pewna, czy dobrze się domyśla intencji tego pytania.

I z Fredericem, dodała.

Oczywiście.

Mogę ci przygotować śniadanie.

Skoczę do Johnny's Green Room.

To ja pójdę po Frederica.

Dziewczynka w lustrze w łazience miała zapuchnięte oczy i zgaszony uśmiech. Zaczęła rozczesywać włosy, ale nagle rzuciła szczotkę. Wzięła prysznic, umyła głowę i nałożyła odżywkę. Wtarła w wysuszone ręcznikiem włosy odżywkę i żel. Wklepała je porządnie podkoszulką. Odczekała, aż żel wyschnie i znów wysmarowała włosy żelem i znów go wtarła. Kiedy to robiła, słuchała Tracy Chapman. Jej jasne włosy wyglądały teraz jak owocostan mniszka i nie było ważne, że jej uśmiech był obolały i zraniony. Obrysowała oczy kohlem.

Sando poszedł już do Johnny's Green Room. Gaby podeszła do zwisającej z sufitu garderoby matki. Wybrała starą, niebieską, rozpinaną sukienkę Marimekko ze stójką. Celine i tak jej nie

nosiła, więc co z tego? Na rękawie widać było ślady po odplamiaczu.

Sukienka była za duża, ale dzięki temu fajna. Włożyła jeszcze syfiaste białe skarpetki i brudne trampki. Przewięzała włosy czerwoną opaską, ale wyglądała w niej głupio. Później przymierzyła stary męski kapelusz, który kupiła w hali targowej w Footscray. To też było głupie, bo psuło jej fryzurę, ale nie będzie głupie, jeśli nie zdejmie kapelusza.

Wiało cały czas, kiedy szła do Parkville, więc niosła kapelusz w rękę, póki nie stanęła przed furtką na tyłach domu Frederica. Nigdy w życiu jeszcze tak się nie ubrała, ale przecież nie zapuka do niego, wyglądając jak sklonowana licealistka. Zamknęła za sobą furtkę z blachy falistej i właśnie mijając stertę nasiąkniętych, kartonowych pudeł i styropianu piętrzącą się na spękany beton, gdy przyskoczyła do niej szczupła brunetka w różowym kimonie.

Pani Matovic chwyciła ją od tyłu za piersi. Blade koła nadrukowane na jej rękawach były bardzo piękne i dziwne, niczym przyssawki ośmiornicy. Nie nosiła butów ani kapci, a stopy miała wyjątkowe – bez żadnych żył i z idealnie prostymi, bladymi palcami.

Przypatrywała się sukience firmy Marimekko, jakby była jej znajomą albo kimś, kogo pragnie poznać.

Mogę ci jakoś pomóc? spytała bez cienia serdeczności.

Szukam Frederica.

Niby po co?

Jestem córką Celine. Zna mnie pani. Chodzę z nim do szkoły.

Pani Matovic zapaliła marlboro, stukając palcem w biały filtr, żeby popiół nie opadł. W końcu powiedziała: Nasza rodzina bardzo ceni prywatność.

Wydawało mi się, że ma pani sublokatorów.

Tak, ale nie lubimy, jak ktoś tu się zakrada. Córka Celine powinna podejść od frontu i zapukać.

Mogę z nim porozmawiać, skoro już tu weszłam?

Zapukaj od frontu.

Teraz?

Tak, skarbie. Niestety.

Mam wyjść na Aleję i podejść od frontu na Royal Park?

Tak, potwierdziła.

Wcześniej Gaby wydawało się, że lubi Meg Matovic, jej ciekawy, artystyczny gust i odważnego, wyrazistego syna, ale w rzeczywistości Meg była okropną babą, zawsze gotową strzyknąć komuś atramentem w oko.

Dziękuję, powiedziała Gaby i zawróciła do furtki na tyłach domu w kapeluszu na głowie, jak dziewczynka ze szkoły niedzielnej. Bardzo dokładnie dotknęła furtkę i zasunęła zameczek. Ruszyła Aleją, po czym przerażona jak niegrzeczna dziewczyna wysłana do dyrektora szkoły, skręciła w Royal Parade. Nie знаła numeru domu Frederica, ale tylko jeden z tych budynków nie przeszedł generalnego remontu. Gaby zapukała do drzwi ze złuszczoną farbą.

Frederic otworzył jej ubrany w biały, hinduski strój – spodnie od pizamy i coś w rodzaju koszuli. Wyglądał jak figura z wosku.

Lepiej tu nie przychodź, rzucił.

Gaby wyczuła zapach dymu papierosowego i już wiedziała, że matka kałamarnica czyha gdzieś w ciemnościach. Słucham?

Mógł przynajmniej zrobić jakąś śmieszoną minę – ale nie. Najpierw musisz zadzwonić. Najpierw telefon.

Nie znam numeru.

Moja mama ci da, jeśli będzie chciała, żebyś dzwoniła. Cenimy sobie prywatność.

Gaby zrobiła wściekłą minę, ale nie dał jej żadnego znaku, tylko stał nieruchomy jak budyń.

W porządku, odpowiedziała. I tak go nie chcę.

Wróciła na Royal Parade, już zapłakana i z ciekącym nosem. Na jej pięknym kapeluszu pojawiły się ślady smarków. Głupie sroki wciąż wrzeszczały, głupie niebo pozostało bezchmurne, a głupią Sydney Road sunęły na północ ciężarówka i samochody przez okropne kamienne równiny powstałe w czasach, gdy wulkany rzygały na przyszłe przedmieścia i strumienie lawy wlewały się jak toffi w zagłębienia mające do sześćdziesięciu metrów głębokości. Płynny bazalt wylewał się z piersi Gaby i opadał do Merri Creek, gotując węgorze. Wyskakiwały z niego płonące walabie i roznosiły ogień po buszu.

Przy Macarthur Placez takim impetem rzuciła się na łóżko, że aż pękło. Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, z jej oczu płynęły czarne łzy i rozmazywały się na policzkach, ale nawet nie próbowała tego ukryć.

To był Frederic, okrutny, ubrany w rurki. Rzuciła się z pięściami, żeby połamać mu zębra.

Musiałem to zrobić, powiedział, gdy wreszcie zdołał chwycić ją za rękę.

Puść. Twoja matka jest zwyczajnie niegrzeczna.

Kiedy ją puścił, uderzyła go w brzuch.

Jezu, wyluzuj.

Będzie decydować, czy dać mi numer? Chryste Panie!

Przestań. Nie bij mnie.

A nawet gdybym zapukała od frontu? Przecież byś mnie nie usłyszał.

Mógł jej powiedzieć, że jego ojciec jest złodziejem, a matka paserką, ale nie powiedział i Gaby się rozplakała.

Uniósł jej mokrą dłoń i muskał wargami jej palce.

Co zrobiłam nie tak?, spytała. Powiedz, co takiego zrobiłam.

Jego ciemne oczy były nienaturalnie spokojne, bardziej jak oczy pielęgniarki niż nastolatka.

Dorobię ci klucz, powiedział i wyrysował palcem wskazującym linię biegnącą przez czarny kohl na jej policzku. Przeraził ją ten klucz. Był sobotni poranek, jeszcze przed dziesiątą.

11

Pisząc na czerwonej maszynie Olivetti, człowiek znany jako Feliks Mniej-więcej-akuratny odnotował, że Gaby, Sandy i Frederic pojechali tramwajem na północ, wzdłuż Lygon Street do Brunswick, mijając zakłady odzieżowe, ogrodzenia z metalowej siatki i wyblakłe reklamy kursów języka angielskiego. Dotarli do Holmes Street. Tramwaj trząsł się i kolebał, aż w końcu Gaby wpadła na Frederica, który pachniał miodem z *Eucryphia lucida*.

Było słonecznie i ładnie, chmurki miały wielkość małych pierdnięć. Tramwaj toczył się na północ, mijając żeliwne werandy, które przetrwały plany samorządowców, zmierzające do zniszczenia wszelkich pamiątek przeszłości. Wysiedli przy ulicy, która z założenia miała być elegancka, ale jako że trafili do Coburg, chodnik był wąski. Sandy był nieogolony i miał przekrwione oczy, jakby całą noc grał w polo.

Ulica miała snobistyczną nazwę, ale tutejsze drzewa przypominały zielsko, głodnych miłości, poranionych niedobitków. Gaby zszokował popękany beton, samotna cisza, pokurczone domki, wszystkie osobne, oddzielne. Dostrzegli grupkę niechętnych chłopaków w datsunie 240Z, wyglądających jak

szczury z plerezami z tyłu głowy. Chłopaki paliły gumy na skrzyżowaniu i piłowali silnik w kłębach gęstego dymu. Jeden leżał na masce. Wyłazący ze spodni tyłek lśnił w słońcu.

Frederic zbyt szeroko się uśmiechał, czym wkurzył chłopaków z plerezami, bo uznali go za pedalską cipę. Drażnił ich czymś, czego nie znali, a co mogło sprawić, że pobiją ojca Gaby. Szczęśliwie udało im się umknąć w jakąś ślepią podmiejską uliczkę i Gaby od razu zrozumiała, że rudera z bordowej cegły, przed którą stanęli, będzie odtąd już zawsze Tym Domem w Coburg.

Połamane sztachety. Dziwne stare kwiaty. Rozgrzane do czerwoności trytomy groniaste. Kaktusy z ostrymi kolcami rosnące pod ścianami. Dom miał co najmniej sto lat. Obumierał, pogrążony w głębokim cieniu. Pokrywał go szeroki, nisko zwieszony łupkowy dach. Na werandzie kafle, jak w rezydencji, którą zwiedza się w nudne niedziele. Błękity i terakota, tutaj ze śladami gwałtownego hamowania. Ogród cuchnął benzyną i kocimi sikami. Rosła tam wysoka palma z obumarłą koroną. Poczucie kompletnego opuszczenia. Gaby chciało się płakać.

Kurczę, powiedział Frederic. O, kurczę! Ma pan klucze, panie Quinn?

Sandy kopnął drzwi wejściowe, które otwarły się na oścież, ukazując obraz nędzy i rozpacz. Poprzedni lokatorzy rozpalili ognisko na środku saloniku, wypalając w nim dziurę prowadzącą do wnętrza ziemi. Zniszczone deski podłogowe były szerokie, wywoskowane i widniały na nich ślady opon motocyklowych.

Urządzili tu sobie klub?, spytał Frederic. Biali Rycerze z gangu? Fajnie.

Sandy obydwoma rękami ujął dłoń Gaby i prowadził ją z jednego pomieszczenia do drugiego przez sterty śmieci, których nikt nie spodziewa się ujrzeć, chyba że – z jakiegoś nieoczekiwanego powodu – ucieka w obawie o życie.

Dużo tu miejsca, oceniła Gaby.

Fajowo, skomentował Frederic i już naprawdę nie wiedziała, co ma o nim myśleć.

Kawały tynku zwisały ze ścian, przytrzymywane przez używane kiedyś w murarce końskie włosie, powiewając lekko na wietrze.

Sando wyciągnął ręce. Może być?, spytał córkę.

Dostrzegła to w jego oczach: Kogoś tu zamordowali, ale kupił ten dom, bo był bardzo tani. Celine wpadnie w szal. Gaby będzie musiała ją przekonać. Frederic wyczuł to bez słów. Rozumiał swoją rolę. Był synem Matty'ego Matovica i znał ceny złomu. Bywał na aukcjach w całym Melbourne. Znał wartość tych kamiennych ścian. Wiedział, co to szemrane puby w centrum i nocne wyprawy po alkohol. W nagrodę będzie miał ją koło siebie w tunelach świata Zork.

Bez strachu wspiął się na narożny słupek ogrodzenia i dojrzał to, czego nie widział nikt inny – że za zaciek w jednej z sypialni odpowiada uszkodzona dachówka i że „to musi być pokój Gaby”.

W „pokoju Gaby” było wąskie okno wychodzące na pustą uliczkę. Jest cichy, powiedział, a tembr jego głosu sprawił, że jej kość ogonowa aż zamruczała. Był silny jak prądnicą.

Możemy poprosić kolegów ze szkoły, żeby nam pomogli, zaproponował.

Nie, odpowiedziała ostro.

Dlaczego?

To nie twój dom.

Ale wam pomagam.

Gaby, kochanie, wtrącił się Sando.

Nie będzie mi pomagał, uparła się. Boję się go. Nawet go nie znam.

Przez mgiełkę gorących łez dostrzegła urażoną minę Frederica. Ojciec próbował ją okiełznać, przytrzymać, wydusić z niej cały oddech. A ona chciała wrócić do swojego domu, który jej odbierano. Matka odeszła, a ojciec był pognieciony jak papier w koszu na śmieci.

12

Frederic postanowił się nie obrażać, bez względu na to, co usłyszy od Gaby. Już wiedział, jaka jest. Powiedział to. Może nawet miał rację. Ale później obiecał, że nauczy ją kodować, przekonany, że to wyjątkowo atrakcyjna propozycja. Ależ był zadufany w sobie. Jest dziewczyną, więc na pewno jej na nim zależy.

W poniedziałek, po tym wszystkim, co powiedziała mu w Coburg, próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Mimo że go zignorowała, napisała w zeszycie „Frederic”, po czym zamazała napis, usuwając go na zawsze z pamięci. Poszła do toalety, wyrwała kartkę i podarła ją na tak drobniutkie kawałeczki, że nikt się nie dowie, co zrobiła.

Kiedy wróciła do domu, nadszedł telegram – pierwszy, jaki zobaczyła w życiu, a nie w filmie. Pokwitowała odbiór i zostawiła go na stole ojcu, który przeczytał go i wyrzucił do śmieci. Wkrótce na telegram spadło spaghetti bolognese, więc było oczywiste, że to od Celine.

Chodzi o Frederica?, spytał Sandy. Dlatego jesteś taka smutna?

On? Mówi, że ona jest smutna? Co było w tym telegramie?

Uczę się o Cynceronie, jeśli chcesz wiedzieć.

Gaby, nie jestem pewien, czy Frederic lubi dziewczyny.

Naprawdę?! wykrzyknęła nieoczekiwanie, nawet dla siebie. Serio?! wrzasnęła. Cisnęła książkę na podłogę. Kto mu dał prawo tak mówić? Mięczak. Celine robiła z nim, co chciała.

Potaął wielkie dłonie. To tylko przecucie, powiedział.

Jesteś homofobem?

Jakby uderzyła go w twarz. Boże, pomyślała, tato, tylko się nie upij.

Idź i przyprowadź ją tu, powiedziała. Znajdź ją i przywieź do domu.

Wtedy się obraził i potrząsnął głową, jak jakiś marny telewizyjny aktor, próbujący wyrazić rozczarowanie. Później wypadł z domu. Oczywiście poszedł do pubu „Albion”.

Był to jeden z licznych takich incydentów, które zdarzyły się w ciągu dwóch tygodni, kiedy Celine przysyłała im telegramy z Moggs Creek. Innego wieczoru Gaby przeglądała kartonowe pudełko z płytami Dylana, Neila Younga, Jefferson Airplane i Beatlesów. Była tam też Rickie Lee Jones i jej piosenka *Chuck E.'s in Love*. Tańczyła do tego kawałka z matką, kiedy była mała. Celine śpiewała: „He learn all of the lines, and every time he/don't stutter when he talk”^[3].

Tamtego wieczoru Gaby pomyślała: Frederic! („And it's true! It's true!”)^[4]. Nagle igła zatrzeszczała na winylu. Ojciec wrócił do domu i płyta poszybowała przez otwarte drzwi na brudną ulicę. Gaby czuła, jak jej żołądek zamienia się w zimne spaghetti. Ojciec oszalał. Jak można zrobić coś takiego?

Bo... eee... to piosenka o aktorze. A Celine była z aktorem. Posuwał ją. Gaby zrobiło się niedobrze. Sandy nawet nie był chrześcijaninem. Tolerował wybryki Celine dla dobra rodziny? Nadstawiał drugi policzek? Jeśli tak, to niech tego nie robi ze względu na nią. Gaby stanęła na kuchennym krześle i zaczęła ciągnąć i szarpać sukienki matki, aż haczyki z klekotem wyskoczyły ze ściany. Następnie pogięła wieszaki i w pokoju zrobiło się jaśniej i weselej. W końcu odsłoniła cały sufit. Właściwie nie wiedziała, na kogo jest zła, ale przyniosła z kuchni czarne torby na śmieci i wypchała je strojami Celine. Pięć pełnych toreb przewiązanych żółtą taśmą. Gaby zamieniła się w kota skaczącego po liściach lilii wodnej. Nic jej nie podtrzymywało. Liście zanurzały się pod jej ciężarem. Wyczekiwała, ale ojciec wciąż był na górze. W końcu zamknęła drzwi frontowe i kuchenne oraz okno wychodzące na ulicę.

Stanęła w progu pokoju ojca i zawołała:

– Wszystko w porządku?

Światło ulicznych latarni padało na jego granatowe buty wystające spod burych koców. Umościła się obok niego w tym zatęchłym bałaganie.

Czy mamusia wróci?

Tak, kochanie. Opatulił ją narzutą. Obudziła się w środku nocy, kiedy niósł ją do łóżka. Rano zastała go w kuchni nad kubkiem rozpuszczalnej kawy. Czarne torby na śmieci stały równiutko pod ścianą. Gaby zrozumiała, że atak na rzeczy Celine nie zostanie powstrzymany. Kiedy matka wreszcie wróci do domu, te torby na zwłoki wciąż będą tam stały niczym obciążające ją dowody.

Po lekcjach cztery dziewczyny, Kwartet z Keppel Street, jak się zwały, szły Rathdowne Street na północ. Tak naprawdę nie tworzyły żadnego kwartetu. Były to: Gaby, Katie i Nina, tyle że zawsze musiały zabierać ze sobą młodszą siostrę Katie. Miała na imię Jenna i przydałoby się jej dobre lanie.

Przechodząc przez Elgin Street, zobaczyły Frederica niosącego na swojej ślicznej głowie kolejne kartonowe pudło. Gaby wyznała, że przeżyła szok, ujrzawszy jego wystawioną na widok publiczny urodę. Przypomniała sobie, jak krwawiła w jego pościeli i słuchała lekko klikających w klawiaturę, czarnych jak pancerz chrząszcza paznokci.

Cześć, Frederic, rzuciła zaczepnie Jenna.

Frederic postawił pakunek na chodniku. Wszyscy widzieli, że w kartonie jest nowiutkie krzesło biurowe firmy Knoll, ale Jenna spytała: – Co jest w tym pudle, Fredericu? – Beznadziejna smarkula, w ogóle nie powinna się odzywać.

Odpowiedział, że krzesło. Wyglupiał się. Nie wyczuły tego. Był sto razy bystrzejszy od nich.

Fajnie, skomentowała Jenna. Wypadło komuś z ciężarówki?

Przymknij się, Jenna, upomniała ją Gaby i lekko kiwnęła głową do Frederica.

Tamta-ramta, odpowiedziała Jenna, pozostałe dziewczyny milczały. Katie pogroziła Jennie palcem, a ta pokazała jej język. Frederic podniósł ciężkie pudło i ruszył dalej Elgin Street, bez wysiłku. Szedł tym swoim pięknym, skocznym krokiem, zapewne do domu.

Silny jest, oceniła Nina. Wytrzymały.

Na co Katie i Jenna wybuchnęły śmiechem.

Jesteś bardzo niegrzeczna, powiedziała Gaby do Jenny, ale najwyraźniej kierowała te słowa także do Katie.

Jaka jestem?

Twoja siostrzyczka powiedziała mu, że jego ojciec jest złodziejem.

Ocknij się, Gaby. Jego ojciec jest złodziejem. Wszyscy to wiedzą. Jest anarchista, odparła Gaby. Wiedziałaś o tym?

Gaby, skarbie, choć sprzedaje lewicowe gazetki, nie przestaje być złodziejem.

A słyszałaś kiedyś o Proudhonie, Katie? Nie słyszałaś. Nie uśmiechaj się, Jenna. Nawet nie wiesz, jak to się pisze. Sprawdź w encyklopedii, Katie. Zobacz, co powiedział Proudhon. I odczep się od Frederica.

Tamta-ramta.

Malutka, złamie ci serce, wtrąciła się Nina. Moja koleżanka zakochała się w takim jednym. Zmarnowała sobie życie.

Ja nie mam takich problemów, odparła Gaby, zaskoczona zmyśloną przez siebie opowieścią o Proudhonie.

Jakiś problem masz.

Nie ja, ty.

Niby jaki?

Taki!, wykrzyknęła Gaby, wywijając torbą, która, mało brakowało, a zawadziłaby o piegowaty nos Katie. W ten oto sposób na jakiś czas załatwiły sprawę. Śmiały się i piszczały przez całą drogę aż do Keppel Street. ob-la-di, ob-la-da, w kółko, jak na płycie.

[3] Uczy się wszystkich kwestii i mówi bez zająknięcia.

[4] I to prawda! Prawda!

13

Celine wracała do domu Great Ocean Road, podczas huraganu, z uszkodzonym, brzęczącym i pulsującym bębenkiem usznym. Kiedy mijała niewielki kościół w Mount Daneed, wycieraczka od strony kierowcy przestała działać. Jechała, niedowidząc, w gradzie, przez Geelong i niekończącą się, okropną drogą do Melbourne. Jak wyznała na kasecie, będzie to najgłupsza rzecz, jaką zrobiła w życiu. Nie, nie to, że uciekła z Fergussem do Moggs Creek. To, że pozwoliła Sandy'emu wmówić sobie winę.

Dobra, przespała się z innym. Za to Sandy kupił dom bez niej, nie wpisując jej nazwiska do aktu notarialnego. I kto był tu większym kłamcą i oszustem? Nawet nie lubiła Fergusa, ale znalazł się pod ręką, wyczekujący, chętny i gotowy. W dodatku był intelektualistą z klasy robotniczej i mógłby sprać Sandy'ego na kwaśne jabłko.

Sandy był dla Labor Party kimś w rodzaju świętego. Nadstawiał drugi policzek. Nie krzyczał podczas tortur. Fergus z tymi krnąbrnymi, przebiegłymi oczami był jego przeciwieństwem. Milion mil dzieliło go od tych wszystkich gładkich istot tworzących Footlights Collective, od aktorów na

nowo opanowujących australijski akcent, który stracili, biorąc udział w castingach w Londynie – ci mogli jedynie odgrywać Fergusa. Tak samo dyskutował, grał i walczył. Tańczył jak motyl, żądlił jak pszczoła. Przeskakiwał z Nietzschego na Solona i z powrotem na ryzykowne tematy dotyczące Douglas Credit Party. Kiedy ktoś zdobył się wreszcie na ripostę, Fergus był już gdzie indziej. Przy Žižku, zanim jeszcze o nim usłyszeliśmy, opowiadała Celine na kasecie odtwarzanej tysiące kilometrów dalej i dwadzieścia pięć lat później. Pasował do tej roli idealnie – ta cała popieprzona energia, surowość wypowiedzi. W łóżku był jak wściekły – mocny, z potężną klatą pokrytą kręconymi włosami, jak u zwierza, i z wyraźnie zadartym do góry penisem, pewnie takim, jak u satyra albo wieprza.

Celine zawsze szybko się zapalała i łatwo ulegała fascynacjom. Wiedziała, że nie było to miłe, ale jak to się ma do pominięcia nazwiska żony w akcie notarialnym?

Wszystkie dowody wskazywały na to, że Sandy ją oszukał. Tymczasem Fergus pragnął jej, schlebiał jej i słuchał każdego wypowiedzianego przez nią słowa. Wiedziała, o co mu chodzi, bo zawsze wiedziała, o co chodzi, kiedy mężczyźni jej przytakiwali. Dlatego nie zdziwiła się ani trochę, że jak już posiadał ją w Moggs Creek, to później nigdy się z nią nie zgadzał. Zresztą, nie pojechała tam, żeby rozmawiać. Kiedy ją przeleciał, już niczego nie mogła przed nim ukryć. Ale ona też miała na to ochotę, choć było to niebezpieczne. Z nim nie dało się blefować. Był gotów na każde wyzwanie. Celine musiała wypłynąć dalej, poza przybrzeżną kipieli w Moggs Creek, jeśli miała być z Fergussem tak, jak przez te wszystkie tygodnie.

Później, kiedy pili whisky, nazwał ją japiszońską suką.

Była upojona, nierozważna, bez busoli. Powiedziała mu, że jest zwierzęcy. Powiedziała też parę innych, osobistych rzeczy.

Drań, prawie ją za to zabił.

Deszcz przestał padać w Werribee. Wjechała do Melbourne od Dynon Road, gdzie jej matka nauczyła się unikać ciężarówek z jankesami, i przejechała obok szpitala, gdzie się urodziła. W końcu dotarła do Carlton. Wydmuchwała nos. Słyszała, jak przez uszkodzony bębenek wylatuje świszczące powietrze. Przybyła do domu w niesłusznej aurze pohańbienia. Niewprawnie zaparkowała samochód przy Macarthur Place. Nie była bardziej winna od niego.

To ona!, wykrzyknęła Gaby, ale się nie ruszyła. Pozostała w połowie schodów.

Celine usłyszała skrzypienie i zobaczyła nogi, a potem twarz męża, spoglądającego z piętra na dół. Nie odezwał się.

Zauważyła, że wszystkie jej ubrania zniknęły. Nie skojarzyła tego z obecnością czarnych toreb na śmieci.

Cicho zamknęła drzwi i usiadła na sofie, jakby to był środek spektaklu. Publiczność doskonale wiedziała, kim jest.

W porządku, powiedziała i uniosła ręce w geście kapitulacji.

Jakie to głupie.

Gaby wycofała się na górę. Sandy zszedł do saloniku i kiedy ją mijał, Celine poczuła, że podczas jej nieobecności wytworzyła się tu irytująca bliskość. Gdy wychynał z cienia, był starszy. Dwie nowe bruzdy biegły od jego nosa do kącików pięknych ust. Zatem on też cierpiał. Pomyślała, że są kwita i że przysiądzie się do niej na sofie, ale stanął nad nią jak wieża z miną, którą odebrała jako

szydrczy uśmiech. Później, kiedy pokręcił głową, światło wydobyło z mroku łzę. Celine najpierw poczuła przerażenie, a potem satysfakcję. Przesunęła się na sofie i wtedy skapitulował. Podała mu chusteczkę i chwyciła jego rękę. Jeszcze nie wiedziała, co zrobiła.

14

Kakadu zdzierały korę z angofory, gdy zbieg z przetłuszczonymi włosami wkładał cztery nowe baterie Duracell i odtwarzał kasetę, którą oznaczył jako „Celine 4”. Miał mroczne spojrzenie, zapadnięte oczy i wpatrywał się w dyktafon, przekrzywiając głowę.

Tak was to rozgrzało, chłopcy?, spytała.

Pauza. Przewiń. Łyk. Odtwórz.

Tak was to rozgrzało, chłopcy? Że się napalę? Że zrobię wszystko? Wiedzieliście, że odstawiłam matkę. Musiałam się wam wydawać okropna, ale kiedy Doris odpuściła, kiedy zaczęłam sypiać w samochodzie Sandy’ego, co noc zasypiałam zapłakana.

Przewiń.

Tak samo było z tą głupią sprawą z Fergusem, wyznała do dyktafonu. Sandy pewnie słyszał powietrze świszczące w moim uszkodzonym uchu, ale nie dostrzegał moich ran. Nie wiedział, jak bardzo zależy mi na przebaczeniu.

Szpieg nigdy nie dostrzegłby piękna osoby rozmawiającej z dziennikarzem, ale mógłby usłyszeć smutek, pewne stłumienie

uczuciu, a może nawet zastanowiłby się, dlaczego tak wielu z nas mówi w ten sposób.

Zatem wróciłam z Moggs Creek, ciągnęła – i wiesz co? Jakby mnie nie było. Gaby mnie nie dostrzegała. Sandy pisał te swoje cholerne pisma albo czytał o świątobliwych Samończykach przebywających na wygraniu w podłej, materialistycznej Australii. Był jak ze stali. Ludzie go tak nie postrzegają, ale potrafił być bardzo nieustępliwy. Oczywiście, nie chciał się ze mną kochać – dodała. – Bywał bardzo okrutny.

Pauza.

Odtwórz.

Przedtem myślałam, że dzielimy się winą po połowie, a teraz chciałam, żeby kochał mnie tak, jak wcześniej. Oszukał mnie w sprawach związanych z zakupem domu, a tylko ja przeprosiłam. Byłam słaba. Polazłam za nim do Coburg i liczyłam, że mi wybaczy. Odbyłam pokutę. Zerwałam linoleum, zabijałam stonogi i karaluchy i bieliłam wapnem, tak jak mi kazał. Rzecz jasna pobielenie tylko uwydatniło ciemne szpary w miejscach, gdzie podłoga łączyła się ze ścianami. Wszyscy byli zgodni, że dom ma dobry kościec – duże, kwadratowe pokoje i wielkie, pionowo otwierane okna. Po oskrobaniu albo zamalowaniu brudu powinno to wyglądać wspaniale. A jednak, nawet gdy poranne słońce zalewało hol, było oczywiste, że wydarzyło się tam coś strasznego. I nie chodziło o mieszkającego w tej okolicy „elektorat”. Było to miejsce traumy z niebezpieczną podłogą, gdzie doszło do rozerwania tkanki społecznej. To tam świątobliwy Sandy ściągnął żonę i córkę, żeby uciec od tego „jej plemienia z Carlton”. Mimo że on i Gaby postawili na swoim,

wiedziałam, że czują to samo, co ja. Mojego dialektycznego materialistę zirytowały opowieści o duchach. Zrobił się sarkastyczny, kiedy zasugerowałam, że w tych pokojach pobrzmiewają echa przeszłości. A jednak dostał gęsiej skórki. Kazał mi kupić kotary i zasłaniał nocą okna. Narkomani parkowali samochód w uliczce tak blisko kuchennego okna, że widzieliśmy płomień zapałki ogrzewający srebrną folię.

Powinnam była ich porzucić. Ale zostałam.

Sandy był zły, że mało zarabiam, ale przecież byłam dokładnie taka, jak chciał. Kiedyś miałam uczyć w szkole, tak jak on, ale chciał, żebym została aktorką. Kochał mnie, siedząc w teatrze i oglądając mnie na scenie. To oczywiste, że kiepsko zarabiałam – a czego się spodziewał? Po Moggs Creek zgodziłam się wystąpić w reklamie zupy, co sprawiło, że wyrzucili mnie z Footlights Collective.

Gaby upajała się tym, że straciłam Macarthur Place. Natychmiast przemieniła się w dziewczynę z Coburg przesadnie wymawiającą samogłoski. Codziennie szła wąskim chodnikiem do liceum przy Bell Street. Ciągnąc za sobą plecak, mijała wrak samochodu, zgniecioną strzykawkę i klinkierowy kościół św. Bernarda z przygnębiającą figurą z brązu z lat 50. przedstawiającą patrona. Nie dopuszczała mnie do wiedzy o tym, jak upływały jej dni. Mówiła, że wszystko tu jest doskonałe. Upierała się, że jej liceum to „naprawdę, pod względem poziomu, najlepsza szkoła, do jakiej mogła trafić”. Krótko mówiąc, stanęła po stronie ojca.

Tymczasem liceum przy Bell Street było zaniedbane, podzielone konfliktami i kompletnie się sypało. Podczas obfitych opadów

deszczu włączniki światła i kontakty eksplodowały, a nad głowami uczniów tańczyły niezwykle, niebieskawe ogniki, jak przy zesłaniu Ducha Świętego. Dzieci Anglosasów nazywano kangurami albo białasami. Tureccy koledzy Gaby przechwalali się, jakby osobiście pozabijali Australijczyków pod Gallipoli. Byli tam oczywiście także potomkowie Greków i Włochów w drugim i trzecim pokoleniu, którzy nie przeżywali szoku kulturowego jak dzieci Turków i Libańczyków, lecz gdy moja córka zjawiała się w Coburg, roiło się tam od zagubionych muzułmańskich rodzin, których członkowie przyszli na świat w biednej i odciętej od świata wiosce Denbo w Libanie. Był tam chłopiec, którego trzymali w więzieniu obok rozkładających się zwłok. Była też dziewczynka, która rysowała flamastrem odcięte głowy.

Gaby przebywała w holu w dniu, gdy się zawalił. Rany odniósł nauczyciel wuefu. Gdzie się podziały państwowe fundusze? Spytajcie jej ojca. Piętnastoletni kolega Gaby został głową rodziny po tym, gdy jego ojciec wrócił do Denbo, żeby wziąć sobie drugą żonę i tym sposobem zabezpieczyć rodzinny majątek. Szkoła zatrudniła arabskiego nauczyciela, ale okazał się Koptem i muzułmanie mu nie ufali. Nauczyciele bez wątpienia robili, co mogli, ale wciąż dochodziło do nieporozumień i konfliktów kulturowych. Gaby była świadkiem, jak nauczyciel matematyki nalegał, by muzułmański chłopiec patrzył mu w oczy, a ten nie mógł spełnić jego polecenia, gdyż oznaczałoby to brak szacunku. Nawet ona to wiedziała.

Była w świetlicy, kiedy spokojny i grzeczny Turek wysusiał się do plastikowego pojemnika na klocki lego.

Mocz utworzył wyraźnie widoczną kałużę na dnie pojemnika.

Co to jest, Feyyas?, spytała nauczycielka. Płyn miał bladożółty kolor.

Woda, proszę pani.

Nauczycielka też była spokojną i miłą osobą, w każdym razie do tej pory. Była ładna – miała duży biust i długie ciemne włosy. Przynieś kubek, powiedziała.

Chłopiec wykonał polecenie i dotąd spokojna nauczycielka próbowała skłonić go, żeby wypił własny mocz. Dotąd spokojny uczeń uderzył ją w klatkę piersiową.

Nie dziwiłam się więc, że Gaby wymykała się do Carlton, żeby odwiedzić dawnych kolegów. Byłam złą matką, że jej na to pozwalałam? Czasami zostawałam na Patterson Street sama i nienawidziłam tego, ale zawsze z radością myślałam o tym, że Gaby jest teraz w jakimś miłszym miejscu. Nie byłam beztroska. Przeciwnie, byłam czujna. Kiedy Gaby zostawała w Carlton na noc, zawsze dzwoniłam do niej o dziesiątej i – jeśli udawało mi się przebić przez automatyczną sekretarkę – rozmawialiśmy ze sobą szeptem.

Na Patterson Street w zasadzie panowała dobrosąsiedzka atmosfera. Grecy byli uprzejmi, ale pełni rezerwy. Za to Włosi okazali się rozmowni i zjednoczeni w nienawiści do platanów oraz rady miejskiej, która nie zajmowała się usuwaniem opadłych liści.

Wkrótce Gaby zaprzyjaźniła się z nimi wszystkimi. Do mnie odnosiła się inaczej. Okazywała coś w rodzaju moralnej próżności. W efekty jej rozgrywek aż trudno było uwierzyć. Chowala się przede mną albo niszczyła szczotkę, co sprawiało, że nie mogłam rozczesywać jej włosów. Oczywiście miałam własną szczotkę, ale ta też zniknęła.

Nie było mowy, żeby o tym rozmawiać albo jakoś bezpośrednio się do tego odnieść.

Byłam histeryczką i oszustką, ale kochałam moją córkę, rozpieszczałam ją, gotowałam jej ulubione potrawy, pomagałam odrabiać lekcje i rezerwowałam dla niej czas podczas długiego i zmiennego lata w Melbourne, żeby wiedziała, że ją kocham.

Nie porzuciłabym jej. Gdy Sydney Theatre Company obsadziło mnie w roli Jeleny Andriejewnej w *Wujaszku Wani*, wolałam zostać w Melbourne, niż ją zostawić.

Oprócz lokalnych członków partii, którzy wkurzali mnie na potęgę, jedyną osobą, która nas odwiedziła, była matka Frederica. Otarła swoją brudną furgonetką nasz płot, a od strony pasażera wyskoczyła moja zaczerwieniona córka. Meg Matovic zażądała, żeby Gaby trzymała się od nich z daleka.

Pani córka ma klucz do mojego domu!, wykrzyknęła, ale bardziej przestraszyło mnie to, że może ją usłyszeć sąsiadka. Pani Messite akurat podmiatała liście platanów na moją stronę. Nie chciałam też zapraszać Meg Matovic do domu. Machała do mnie czymś srebrnym. To był klucz.

Proszę przeczytać.

Wygrawerowano na nim napis: „Weź klucz. Skręć na zachód”.

Meg oznajmiła, że klucz pasował do drzwi wejściowych jej domu. Jeśli kiedykolwiek zobaczy tam moją córkę, oskarży ją o włamanie. Chciała mnie tylko uprzedzić.

Czy naprawdę sądzi, że moja heteroseksualna córka ma jakieś plany wobec jej ewidentnie homoseksualnego syna?, pomyślałam. Spytałam, czego tak bardzo mamy się bać.

Zerwała z głowy swój niedorzeczny, kloszowaty kapelusz. Zobaczyłam jej brudne, oklapnięte włosy. Bardzo cenimy sobie prywatność!, wrzasnęła do pani Messite, która wycofała się w głąb ulicy.

My się tylko bawimy, powiedziała Gaby. Pani Matovic, to tylko zabawa.

Gdzie ona sypia? No, gdzie? Przecież jest pani jej matką.

Nie miałam wyjścia, musiałam zaprosić ją do środka i posadzić przy moim stole. Wyjaśniłam, że Gaby zostaje na noc u koleżanek przy Keppel Street.

Zna pani ich rodziców?

Nie obrażaj mnie, Meg.

Myszkowała wzrokiem po naszej jadalni. Sądzę, że zerkała pożądliwie na mój wazon projektu Clarice Cliff.

Zadzwoń do nich, zażądała Meg, podając mi mój własny telefon. Spytaj, czy twój aniołek spał w ich domu.

Gaby siedziała z założonymi rękami, odmawiając współpracy z którąkolwiek z nas.

Wybrałam numer. Ktoś odebrał.

Gaby zgubiła pracę domową, powiedziałam. Może zostawiła ją u was?

Meg Matovic uśmiechnęła się ironicznie, gdy słuchałam odpowiedzi, jakiej oczekiwała.

Spytaj tę kobietę, kiedy ostatni raz widziała twoją córkę, poinstruowała mnie.

Przecież dzwoniłam pod ten numer trzy albo cztery razy w tygodniu. Przecież zawsze rozmawiałam z córką. Pewna odpowiedzi, zadałam to pytanie.

Gaby wytrzymała moje spojrzenie. Wiedziała, co usłyszałam i nie okazała strachu.

Spajęczarzył telefon, powiedziała Meg Matovic, kiedy odkładałam słuchawkę.

Gaby przewróciła oczami. Utworzenie czasownika od słowa „pajęczarz” najwyraźniej było dla niej zbrodnią. Ja sama nie wiedziałam, o co chodzi, bo nie rozumiałam, że można przerzucić moją rozmowę z Keppel Street do Parkville. Zawsze odbierała Gaby. Wyobrażałam ją sobie w ładnie urządzonej i wyremontowanej segmencie przy Keppel Street. Skąd miało mi przyjść do głowy, że leży w łóżku z chłopakiem przy Royal Parade?

Teraz dotarło?

Dotarło, tak jak dociera to, że mdlejesz na ulicy.

Dlatego musiałam skasować mu telefon, rzuciła nieznośnym, śpiewnym głosem Meg. Już nie wykręcą nam tego numeru.

Tak.

Świetnie, powiedziała Meg Matovic. A ta twoja smarkula przestanie myszkować po moim domu.

Nie odprowadziłam jej. Zostałam przy stole i wpatrywałam się w moją córkę. Miała obrzmiałe usta i podkrążone oczy. Pamiętałam te objawy u siebie. Zatem moja córka sypiała z chłopakiem. Nie byłam aż tak głupia, żeby pomyśleć, że zdołam ją powstrzymać.

Frederic musi być bardzo bystry, powiedziałam.

To geniusz.

Nie przypuszczałam, że akurat to może być problemem. Dostrzegłam jedynie pilną potrzebę załatwienia jej pigułki. Nie powiedziałam tego od razu. Zaparzyłam herbatę i wyłożyłam na

talerz parę ciasteczek. Próbowałam przejść od tematu domniemanej bystrości Frederica do kwestii antykoncepcji, ale kiedy Gaby się w tym połapała, wpadła w szal.

Jesteś żaloszna, oświadczyła. Myślisz tylko o seksie.

Przecież z nim sypiasz?

Jesteście takimi hipisami.

Gaby, sypiasz z nim, czy nie?

Nie jesteśmy psami, jeśli to masz na myśli.

Oczywiście, jest biseksualny, pomyślałam. Jak oni wszyscy.

To strasznie głupie i ohydne. Fredric ma komputer. Nie wyobrażasz sobie, co robimy.

Nikt z moich znajomych nie miał komputera, więc wyobraziłam sobie jakąś ogromną maszynę. Faceci w białych kitlach. *Odyseja kosmiczna 2001*.

Co takiego robicie, kochanie?

Nawet nie pytaj. To się nazywa Zork, mamó. Odsunęła ciasteczka i ujęła moją dłoń. Naprawdę, nie zrozumiesz.

Jak to się nazywa?

To tylko jeden z elementów.

Oczywiście, że nie rozumiałam, nawet nie próbowałam. Przynajmniej dotknęła mojej ręki, pomyślałam.

Cofnij. Pauza. Odtwórz.

15

Frederic stracił linię telefoniczną, ale nigdy nie winił za to Gaby. A to oznacza, że ją kochał. Meg schowała mu też modem. Gaby wyjaśniła dokładnie, czym jest modem: to takie coś, co łączy komputer z linią telefoniczną. Bez linii telefonicznej i modemu Freddo pozostawał kompletnie odcięty od tajemnego, wirtualnego świata, który wcześniej wypełniał całe jego życie.

Gaby wiedziała jedynie, że nie trzeba mieć modemu, żeby odkrywać Zork, który tkwił wewnątrz komputera. A Zork całkowicie jej wystarczał i – co niemal niewiarygodne – całkowicie wystarczał Fredericowi, przynajmniej na razie.

Czuli się tak, jakby byli jedynymi ludźmi w swoim świecie, pierwszymi badaczami rozrysowującymi mapy jego tuneli. Na tym etapie te mapy były wszystkim. Bez mapy można było zmarnować cały weekend, poszukując lokalizacji, którą znało się już wcześniej. Jeden problem: Frederic miał okropny charakter pisma. Jego litery były niczym ślady zamoczonego w atramencie pająka.

Była to szansa dla Gaby. Została kartografem. Śniła o mapach Zork. Gdy przeczytała wyrażenie „święta kopuła rozkoszy”,

natychmiast jawił jej się przed oczami świat Zork. Było jej wszystko jedno, że gra pochodziła z czasów przed Nintendo, czyli niemal prehistorycznych. Wolała ten świat od wszystkich innych miejsc, które odwiedziła.

U szczytu ERY MAPOWEJ DEMENCJI w pokoju Frederica wisiało ponad dwadzieścia tekturowych tablic. Większość była przymocowana do wyłożonych panelami ścian, ale jedną, wielką, przyczepił na suficie. Nie były to zwykłe mapy, tylko listy wskazówek i forteli, na przykład: jak obejść ograniczenie liczby przedmiotów, które możesz nieść. (Należało napompować ponton, włożyć do niego wszystkie rzeczy, a potem spuścić powietrze).

Za drzwiami widniał wielki napis „Spoczywaj w pokoju”. Meg Matovic musiała nań patrzeć za każdym razem, kiedy dokonywała inspekcji pokoju syna. Była to pamiątka po tym, jak Gaby trafiła do ukrytego lochu, z którego mogła uciec tylko po śmierci. Waliła głową, traciła przytomność, po czym, gdy się ocknęła, musiała zaczynać od nowa. Umieranie trwało pięć godzin, ale Gaby za nic nie zrezygnowałaby z tej gry.

I nagle Frederic złamał kod Zork. Teraz mogli dokonać inwazji i rządzić, wpisywać nowe tunele i jaskinie. Mogli wprowadzać nowe postaci i zmieniać imiona już istniejącym. Pierwszy raz doświadczyli praw pełnej własności. Właśnie wkroczyłeś do Pokręconego Świata Zork.

Gaby wykradła z domu na Patterson Street wiertarkę i piłę otwornicę. Usunęła cztery deski pod łóżkiem Frederica i za każdym razem gdy Meg szarpała łańcuch, wpełzała pod podłogę i leżała na cuchnącej benzynie i kocimi szczynami ziemi, póki tamta nie wyszła.

Oczywiście część czasu spędzała w liceum przy Bell Street, gdzie zakolegowała się z ciemnoskórą olbrzymką Solosolo, a przez nią – także z jej braćmi. Aleki i Peli pokazali jej lepsze „tereny rekreacyjne” niż te, na które mogła liczyć w Carlton, czyli pełen kamieni i ostów ugór nieopodal starej fabryki Kodaka między Newlands Road a Elizabeth Street, gdzie banda żylastych białych żuli urządziła złomowisko. Za dwadzieścia dolców można było od nich kupić jakiś „szmelc”, na przykład wrak datsuna. Peli był starszym z braci, miał dziewiętnaście lat. Młodszy, Aleki, szalał wyklepanym datsunem po pastwiskach nad strumieniem naprzeciwko fabryki Agrikem. Peli kładł się na masce i lał ropę wprost do gaźnika, osmalając sobie włosy i brwi od buchających płomieni. Tymczasem potężny Aleki rysował autem trójwymiarowe ósemki, a silnik wył między dziobatymi, szarymi głazami, kolcowojami i kwitnącymi na fioletowo ostami.

To było pojebane Samoa, nie Fa’a Samoa, „samoński sposób bycia”. Chłopcy porzucili maskę datsuna na pastwisku, więc dziewczyny przejęły ją i ciągnęły w dół Merri Creek, między akacjami oblepionymi kwieciami plastikowych torebek, aż dotarły do przerdzewiałego, ogołoczonego z części i porzuconego w wodzie FJ holdena. Solosolo mierzyła sto osiemdziesiąt centymetrów i grała w licealnej reprezentacji piłkarskiej na pozycji defensywnego pomocnika, ale bała się pajaków. Przysiadła z małą, białą dziewczyną na oślizłej kanapie holdena i pischiała, kiedy zimna woda obmywała jej plecy.

Frederic czekał na Gaby w samotności i pisał nowy program dla Zork. Był w nim tasiemcem. Wczołgał się do jego brzucha i został bogiem.

Przewiń.

Czasami Gaby bywała samotna. Czasami kręciła się z chłopakiem o imieniu Troy, którego wyrzucili z Clifton Hill. Troy utrzymywał, że ma dziewczynę w Northcote, ale bez wątpienia była wytworem jego wyobraźni. Miał ładne usta, gęstwinę kręconych, czarnych włosów i łagodne, piwne oczy, których delikatność skrywał pod kapturem. Jego jedyną prawdziwą miłością była *Cannabis indica*. Gaby pomagała mu jej szukać wśród krzewów *Melicytus dentatus* i fenkułu, rosnących nad Merri Creek. To dzikie zioło było jednak równie wyimaginowane, jak jego dziewczyna. Kiedy wreszcie znaleźli przydomową hodowlę w zaułku na tyłach Service Street, jakiś łysy żul ruszył na nich z bronią. – Spierdalać, cipki, bo porozwalam wam łby! Widziałam prawdziwą broń, pomyślała Gaby.

Po lekcjach biegła i ścigała się z Solosolo. Piszcząc wśród dzikich, mierzących dwa metry fenkułów, tarzały się po utworzonej przez buldożery skarpie przy wysypisku, póki nie pokaleczyły się o jakąś cegłę albo wystającą sprężynę.

Moje życie wreszcie się zaczyna, myślała biała dziewczynka. Żyła dniem i nocą. Najlepiej było wtedy, gdy Meg wyjeżdżała, żeby sprzedawać towar na targach. Gaby i Frederic mogli wtedy robić w Zork najdziwniejsze rzeczy. W swojej ignorancji Gaby ani trochę nie żałowała, że nie są on-line.

Którejś niedzieli wybrała się do *lotu*, czyli na modły w samońskiej świątyni. Świątynia!, wykrzyknęła jej matka. Nic z tego. Powstałaby z tego niezła rodzinna dykteryjka, gdyby wciąż byli normalną rodziną.

Frederic obmyślił plan kradzieży nowego modemu i podłączenia się do linii telefonicznej sąsiada. Nie chciał jej powiedzieć, jak to zrobi, ale nie miała wątpliwości, że mu się to uda i że będzie to nielegalne. Siedząc ramię w ramię, odrabiali lekcje i krytykowali swoich popieprzonych rodziców. Jedli pizzę, poszukując złota i klejnotów w tunelach świata Zork. Na tym etapie Gaby komenderowała nim z tylnego siedzenia. Idź tam. Zrób to. Weź. Frederic pachniał lawendą i miał gładkie policzki.

Ślepe auta osobowe i dzikie ciężarówki przejeżdżały z warkotem po Royal Parade. Dzwoniły dzwonki tramwajów. Nikt nie miał pojęcia, że za drzwiami z obłazącą bladoniebieską farbą żyją potwory, zorkmidy i karły. Frederic wprowadził do gry nowych aktorów i zmienił imiona istniejącej obsady. Najpierw zmienił tożsamość Złodziejowi.

„Złodziej” z Zork stał się w wersji Frederica „Tatą”. Różnice nie były aż tak wielkie.

Tak jak Złodziej, Tata nosi dużą torbę. Nikt nie widuje go za dnia. Lubi przechadzać się po lochach i zabierać ludziom różne rzeczy. Kradnie bardziej dla przyjemności niż dla zysku, więc zabiera ci tylko to, co już widziałeś. Oczywiście woli kosztowności, ale często bywa pijany (patrz „moczymorda”) i przez pomyłkę bierze rzeczy bezwartościowe. Od czasu do czasu przegląda łup i wyrzuca zdobycz, która mu się nie podoba. Niekiedy zostaje z tobą w tym samym pomieszczeniu, lecz zwykle snuje się i obrabia innych. Przez długi czas Gaby myślała, że to fikcja.

„Dobądź miecza” i „Zabij karła” dobrze obrazują dialogi ze świata Zork. Komputer zrozumie cię jednak, jeśli wpiszesz „Włóż lampę i miecz do skrzynki”.

– Opowiedziałabym panu więcej, ale i tak pan nie zrozumie, panie Moore – rzuciła Gaby do niedomytego zbiega, którego nie widziała. Kto by przewidział, że będzie miał zmierzwiony zarost nad górną wargą? Zork rozpoczyna się w całkowitych ciemnościach, powiedziała. Musisz „zdobyć lampę” i dopiero wtedy możesz „brać”, „zostawiać”, „badać”, „atakować” i „wspinać się”.

Wynurzyła się ze swojej sekretnej, letniej bladości jako wampir wprost z łodzi.

Stop, wysuń, odtwórz.

Celine stwierdziła, że Gaby zmieniła się w grubą w talii chłopczycę. Winiła za to McDonalda.

Stop, wysuń, odtwórz. Wróciła do liceum przy Bell Street i wprawiała w zdumienie dziewczyny z bujnymi fryzurami i chłopaków w białych adidasach. Tyle dzieciaków miało konsole NES. Grali w Super Mario, grę, której Gaby nigdy nie widziała. Trzymała się z Samończykami, którzy też gry nie widzieli.

Zimą Samończycy szaleli za futbolem, a Frederic wciąż nie miał podłączenia do linii telefonicznej. I oni, i on żyli zamknięci we własnym świecie.

Przewiń.

Słyszeli zwierzęta w zoo i tłumy w Carlton Football Club. Nie lubili ani jednych, ani drugich.

Meg obiecała im konsolę NES, żeby mogli grać w Ninja Gaiden.

Zork znalazł się pod nowym zarządem. Jego nazwa została zmieniona na Wank.

Wszystkie segmenty zostały wyremontowane przez Trolla, oprócz tego jednego z brudnymi, niebieskimi drzwiami.

>zachód

Dom ma dwa okna.

>otwórz okno

Okno jest zamknięte.

>zbij szybę

Okno jest zakratowane.

>obróć gałkę

Zamek jest zepsuty. Drzwi uchylają się do wewnątrz i trafiasz do korytarza zawalonego starymi rowerami i ulotkami z hipermarketu Safeway. Na podłodze leży jakaś paczka.

>weź paczkę

Jest zaadresowana do Frederica Matovica. Frederic Matovic to ty.

>otwórz paczkę

Trzymasz w rękach niebieski fenicki strój obsyty na dole złotem.

>zdejmij ubranie

W tej grze ubrania nie mają wartości.

>włóż tunikę

Masz na sobie tunikę. Jest taka lekka i prześwitująca. Stałeś się dziewczyną.

>jesteś zboczeńcem. Idź na zachód

Jesteś w kuchni. Na stole leży torebka z ziołem z Sumatry.

>weź zioło

Korytarz wiedzie na zachód. W mroku widać prowadzące na górę schody. Od południa jest niewielkie otwarte okno.

>idź na południe

Pewnie zje cię Meg.

>idź na południe

Ostatnie ostrzeżenie przed gwałtowną i chaotyczną Meg. Znajdujesz się w wąskiej dolinie prowadzącej ze wschodu na zachód.

>idź na wschód

Stajesz przed ceglana ścianą.

>idź na zachód

W oddali widzisz zarośnięty ogród, a w nim zawilgłe paczki z kradzionymi towarami. Po prawej masz czerwoną ścianę z blachy falistej. W drzwiach i w ścianie są dziury. Przez dziurę w drzwiach przechodzi zamknięty na kłódkę łańcuch.

>unieś wycieraczkę

Pod wycieraczką leży klucz.

>weź klucz

Jest niebieski i lekko świeci.

>otwórz

>przewlecz łańcuch

Jesteś w zatęchłym pokoju, gdzie spędzały życie dawno padłe koty. Ich duchy pływają w środku dezynfekcyjnym. Czuć tam też naftalinowymi kulkami na mole. Po wschodniej stronie stoją wieszaki z ubraniami – z futrami i sukniami ślubnymi z dawnych czasów. Po zachodniej stoi niezasałane łóżko. Po północnej biurko. Na biurku stoi komputer.

>włącz komputer

Na ekranie pojawia się napis: Stoisz w parku na wschód od rzędu starych białych segmentów.

>zdejmij tunikę

Jak możesz być dziewczyną, skoro masz penisa? Widzisz przed sobą cherubina z piersiami i o mocnych nogach. Ukazują się

sutki, lewy i prawy.

>idź w dół

Dołu nie ma.

>idź w górę

Nie ma góry. To jedna z lokalizacji, do której trafiasz przypadkowo, gdy najmniej się tego spodziewasz. Chłopiec ma piersi, a dziewczyna paciorecznik, trujący kwiat, jeśli go połkniesz, będziesz wymiotował. W twoim życiu wszystko jest możliwe.

Przewiń. Odtwórz. Gaby była bez pamięci zakochana w jego lakierowanych na czarno paznokciach, długich włosach i szeleszczącym głósie. Zrobię to dla ciebie, powiedziała. Nie ma sprawy.

Głos na mikrokasecie był wyzuty z jakichkolwiek zabezpieczeń. Była sama? Powiedziała, że przyprawiła go o drzenie. Wyczuła w jego włosach zapach szamponu Selsun. Zbieg żywił się serem i jabłkami. Wyobraził sobie Frederica, znów odłączonego od sieci, tęskniącego za modemem, sprzedającego używane ubrania na bazarach we Flemington. Czuł smród garbarni, rzeźni i przesyconego metalami ciężkimi błota, widział Footscray Park, okropne palmy, nienaturalne w trującym, żółtym świetle.

Przewiń. Odtwórz. Smród mi nie przeszkadzał, wyznała Gaby. Pomalowałam mu paznokcie. I ogoliłam mu nogi.

16

To, co straszło w domu przy Patterson Street, nie miało nic wspólnego z jakimiś morderstwami albo złą aurą pozostawioną przez gang motocyklowy White Knights. Wszystkie tropy prowadziły do smutnych rodziców Gaby, którzy przychodzili albo wychodzili bez słowa wyjaśnienia. Jedno sypiało w biurze w skarpetkach i majtkach, a drugie próbowało sadzić kwiaty, przeklinając i ciskając łopatką w płot. Przewiń. Gaby starała się trzymać z daleka. W soboty Frederic musiał pomagać matce w jej sklepie „Śmieci i skarby”. Przewiń. Gaby szła gdzieś wtedy z Troyem. Troy zawsze wędrował bocznymi uliczkami i nauczył ją, jak to robić. Gdzieniegdzie stały bliźniaki. Wspinali się na płoty z blachy falistej, przeskakiwali przez rabatki włoskiej cykorii i uganiali się za jaszczurkami w odległości ledwie stu metrów od Sydney Road.

Troy i Gaby palili w tych uliczkach, ale prawdziwe uliczki istniały tylko w komputerze Mac IIx Frederica.

W sobotę Gaby dwukrotnie pojechała na rowerze do domu Solosolo w Thomastown, ale Solosolo powiedziała, że matka kazała jej sprzątać przed wizytą *palagi*, gościa-cudzoziemca, więc

nic z tego nie wyszło. Za to Peli został monterem kabli w firmie Telecom i przysługiwała mu furgonetka, toyota HiAce, którą we wszystkie weekendy mógł jeździć po ulicach i autostradach.

Peli miał metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył ponad sto kilogramów. Na plecach wytatuował sobie napis „Fa’ a Samoa”, żeby pokazać, że nie boi się bólu. Był silny. Lubił mocne zioło – dzięki ci, Troy – co sprawiło, że trafił do Frederica w pewne deszczowe popołudnie, tuż po tym, jak ten dostał konsolę NES. Któż inny, jak nie nawalony Troy mógł ich ze sobą spiknąć? Peli wyglądał jak lodówka w szortach, a Frederic miał satanistyczny lakier do paznokci, obrysowane czarną kredką oczy, przylizane, opadające włosy i poważny, szepczący głos. Peli był jak wielki pies, który obwąchuje charcika, szturchając go łapą.

Zapalili i przykleili się do komputera. Grali w Wizard’s Crown, używając magicznej broni: Mrozu, Płomieni, Błyskawic i Nawałnicy. Frederic był uprzejmy. Skorzystał z broni kategorii Plus, żeby jego gość tylko stracił przytomność („Przeciwnik leży bez ruchu”), a nie od razu zginął. Samończycy nie mieli gier wideo, ale Peli poczuł się jak ryba w wodzie. Wybrał następującą broń: Mrok, Zagłada, Dusza, Demon i Śmierć. Powodowała zgon, ale dawała możliwość zmartwychwstania.

Potem Peli namierzył Nintendo. No, jego gra! Musi w to zagrać natychmiast. Przemienił się w Małego Maria, przemierzał Królestwo Grzybów z lewa na prawo, zbierał złote monety i unikał armii Bowsera. Uzależnił się. Może tu wrócić? Frederic uznał, że to super pomysł.

I tak, przypadkowo, powstał niecodzienny gang, podsumowała Gaby. Tylko dzięki trawce i grom komputerowym, a przynajmniej

tak się wydawało. Frederic, Gaby, gadatliwy Troy, Solosolo i Peli z zaczerwienionymi oczami wczesnym rankiem wyruszyli na przejażdżkę toyotą HiAce. Gnali Bulwarem, trójka pasażerów na podłodze z tyłu furgonetki. Turlali się, objęli i kaleczyli o półki i kable. Toyota miała aerodynamikę szopy, co frustrowało kierowcę, który był „człowiekiem z duszą”. Peli wciąż powtarzał, że chciałby wymienić silnik toyoty na ten z chevroleta V8. Leżąc na worku w domku Frederica, głębokim, wesołym głosem obwieszczał niczym prezenter telewizyjnych wiadomości: „Toyota HiAce z logo firmy Telecom umknęła przed policyjnym radiowozem jadącym z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę”.

Frederic od razu zakochał się w Pelim. Za to Peli przekonywał się do niego powoli, ale przychodził do niego, żeby przebywać w towarzystwie Gaby. Było to oczywiste dla wszystkich oprócz niej. Była taka głupia.

Kiedy wybrali się na przejażdżkę toyotą, musiała siedzieć z przodu, obok kierowcy.

Powinniśmy się zmieniać, powiedziała.

Nic nie rozumiesz.

Czego nie rozumiem?

Cappuccino, odparł, mając na myśli drogą czarną kawę z białą pianką. Doprowadza rasistów do szału, wyjaśnił.

Niech Frederic tu usiądzie, zaproponowała Gaby.

Tego akurat nie pijam, odparł Peli.

Chłopcy grali w Wizard's Crown i Mario Bros.

Frederic nie zająknął się ani słowem na temat pracy Pelego, lecz z pewnością pierwszą rzeczą, która przyszła mu do głowy,

było to, że Bóg zesłał mu furgonetkę firmy Telecom. Peli mógł go podłączyć do darmowych linii telefonicznych. Po paru dniach Frederic „namierzył” USRobotics Courier, dużo lepszy modem niż ten, który stracił. Gaby niczego się nie domyśliła.

Frederic w żaden sposób nie manipulował Pelim. Tak powiedziała Gaby. Krewni Pelego stwierdzą później, że został oszukany przez dzieciaki *palagi*. Co absolutnie nie było prawdą. To Peli załadował sprzęt do furgonetki i to Peli tak ostrożnie jechał mrocznymi ulicami. Przewiń. Odtwórz. Gaby siedziała obok, jasne. Miała wypatrywać skrzynek, elementów miejskiej infrastruktury, których zwykle się nie zauważa, mierzących parędziesiąt centymetrów metalowych grzybów jak z gry Mario, które wszędzie na przedmieściach widać gołym okiem – melancholijnie fioletowe w żółtym świetle lamp, tak powszechnych w nocnym Melbourne. Wypełniały je przypominające spaghetti kable telefoniczne, które tylko czekały, by podłączyć je do nowego modemu i wystrzelić cię w nastoletnie światy niewyobrażalnych cudów przy Patterson Street w Coburg lub gdziekolwiek indziej na kuli ziemskiej.

Później Gaby dała się przekonać, że – być może – Peli znalazł się w sytuacji konfliktu interesów. Nie nienawidził Telecomu, jak wszyscy. Dostał od nich dobrą pracę i samochód. Nikomu nie przyszło do głowy, iż to, że obsmarowywali tę firmę, mogło być dla niego obraźliwe. Absolutnie. Z jakiegoś tam powodu. Peli nie chciał dotknąć skrzynki. Tymczasem Troy wepchnął do środka haczykowaty nos. Wybrał kabel, ściągnął z niego izolację, podłączył krokodylki i pociągnął sto metrów przewodu, niczym pępowinę czy ogrodowy szlauch, wzdłuż płotów podmiejskich

domów i za róg – do furgonetki. Tymczasem kierowca grał w Tetris. Superfajowe.

Później Gaby ujrzała cudowną, ciemną stronę Frederica, dzieciaka, który już od dwóch lat hulał samotnie w sieci, bawiąc się dwoma komputerami, ucząc się pisać programy, łącząc się z różnymi serwisami i rozrabiając na własny rachunek. Był wyobcowanym chłopakiem, który mógłby palić ogniska nad Merri Creek, ale zdecydowanie bardziej bawiło go włamywanie się do lokalnego serwisu komputerowego (Pacific Fire), który zabronił mu dostępu, i podkładanie w nim ognia. Wprowadzanie zmian w Zork było fajne i miało klasę, ale kiedy Frederic dostał nowy modem i Gaby uzyskała wgląd w wirtualny świat, Zork wydał się grą dla przedszkolaków. Frederic wymienił zestaw haseł na połączenie z Minervą, systemem trzech serwerów firmy Prime w Sydney.

Z całą pewnością logowanie przez stumetrowy kabel okazało się mniej wygodne, ale fajnie było działać szybciej i sprytniej od innych, robić żarty na niedbale chronionych stronach rządów i korporacji, zarządzanych przez zadowolonych z siebie administratorów usług internetowych. A znajdował je wszędzie. Z toyoty Pelego mógł bez trudu wejść do wielkiego serwera o nazwie Altos. „Patrz, patrz” – powtarzał i nawet, jeśli Gaby nie wiedziała na co, on jej to wyjaśniał. Przesłał do Altosa cyfrową wersję masońskiego uścisku dłoni. Altos uznał, że Frederic to jakaś pieprzona korporacja.

Tłocząc się z chłopakami w dusznej furgonetce, Gaby przestała być cherubinem z burzą włosów, dryblującym z futbolówką po trawnikach Parkville. Przytyła pięć kilogramów. Jej piersi

ocierały się o plecy Frederica. Policzek był przy jego policzku i podobało jej się, że ukradł modem. Gdy jego piękne palce trzepotały niczym skrzydła ćmy po klawiaturze, wędrowała od planety do planety we wszechświecie, o którego istnieniu nie miała wcześniej pojęcia.

Teraz rozumiała, czym była dla niego utrata linii telefonicznej. Być TAK NAPRAWDĘ on-line to jak gra w Zork do milionowej potęgi. Z ciemnej uliczki w sennym Moonee Ponds została teleportowana do NASA. Frederic podał jej klawiaturę i mogła na niej wpisać choćby BYŁ TU GŁUPEK. Żenujące, skomentowała na kasecie, proszę o tym nie pisać. Zresztą i tak nikt w to nie uwierzy.

Gaby powiedziała: Musimy zająć się Tata vel Złodziejem vel Mattym Matovicem. Miał oczy jak wąż, był szczupły i przygarbiony, jakby cały czas pochylał się nad wymaginowanym stołem bilardowym. Wydawał się piekielnie przystojny, póki nie pokazał dziur w uzębieniu. Był też zgorzkniały. Lubił białe podkoszulki i swetry z owczej wełny, nawet w deszczowe wieczory. Miał je na sobie, kiedy nas wezwał, ciągnęła Gaby, do swojego stolika w rogu w głębi sali w Toto's, gdzie siedział z niesprzedanymi, poszarzałymi i nasiąkniętymi wodą egzemplarzami „Direct Action”. Wyglądał bardziej jak hazardzista, ale był paserem. Gaby powiedziała: Wydawało mi się, że widzę broń. Na pewno widziałam pasera. Moje życie układało się całkiem nieźle.

Ojciec Frederica nie spojrział na mnie, za to ja nie mogłam się powstrzymać, żeby nie patrzeć na niego. Szemrany, ale też pełen wdzięku. Skręcał papierosa długimi, poźółkłymi palcami. Czuł, że się w niego wpatruję. Obrócił się z ironią – a w tym był naprawdę dobry – i rzucił synowi kartę dań.

Widziałem się z twoim kumplem, Pelim, powiedział do Frederica. Czekaliśmy. Jego spojrzenie osiągnęło fazę, którą nazwaliśmy UCNRW (Urażony czeka na rozwój wypadków). Frederic schował się za swoimi włosami i studiował jadłospis.

Hej. Tata zastukał palcami w blat.

Chętnie uderzyłabym go w twarz.

Frederic zdecydował się na lasagnę i puszkę coli.

Hej.

Frederic odrzucił włosy do tyłu. Co?

Ty, powiedział jego ojciec, nie mając pojęcia, że zwraca się do geniusza.

Twój koleś, ciągnął Złodziej. Peli. Nie wspomniałeś, że pracuje w Telecomie. Kiedyś przewiózł mi swoją furgonetką towar do wynajętej komórki w Melton.

Jestem głodny, odparł Frederic.

Wiedziałałam, że Złodziej niczego mi nie postawi, więc powiedziałam, że jestem na diecie.

Zakrył usta poplamioną dłonią, jak szepcząca na lekcji uczennica. Wicie, co to zwijanie gratów?, syknął. Jasne, że wiedzieliśmy. Na przykład, z pokoju w hotelu, rzuciłam tylko po to, żeby zobaczyć, jak porusza górną wargą. Nie, skarbie, na przykład, zwijanie gratów z Telecomu.

Odparłam, że nie sądzę, żeby go to bawiło. Spojrzał na mnie. Z góry na dół, jakby się dziwił, że umiem mówić. Dzisiaj, nie zorientowałabyś się, co mnie bawi, nawet gdyby ugryzło cię to w tyłek.

Wiedziałałam, czym jest kradzież z włamaniem. Spytałam, czy to ma na myśli, ale już nie zwracał na mnie uwagi.

Zwijałbyś tylko makulaturę tym pieprzonym władzom, wyjaśnił Fredericowi. Gdyby im zależało, to by jej nie wyrzucali.

Frederic odpowiedział, że się zastanowi.

A jeśli pogadam z mamą, żeby znów zamontowała ci telefon?

Nie zgodzi się, odparł Frederic, ale spojrzał na mnie, dając do zrozumienia, że właśnie o to nam chodziło.

Więc nie jesteś zainteresowany, synku?

Frederic oblizwał usta. Czy to się skończy tak, jak przypuszczam?, pomyślałam.

Ty i Peli. On ma auto, a ty wiesz, co warto zwinąć. Spróbował – bez rezultatu – zmierzwić Fredericowi włosy. Potem zawołał kelnerkę, otaksował ją wzrokiem i zamówił lasagnę i szklanę wody.

Powiedział, iż wie od znajomego, że w tych papierach z Telecomu piszą o ciekawych urządzeniach. Warto byłoby się przyjrzeć. Temu znajomemu przydałby się sprzęt, ale zdaniem Złodzieja więcej forsy kryło się w dokumentach, tysiące numerów kart kredytowych należących do Saudyjczyków, którzy bez mrugnięcia płacą nimi za bmw.

Tato, ten twój znajomy to palant.

Ale tata chciał tylko, żeby Frederic i Peli pojechali po makulaturę. Nie musieli z nim siedzieć i się w nią wczytywać. Przywiozą i spierdolą do domu. Poczytają w wolnym czasie. Jeśli znajdą coś ciekawego, to skopiują. Mogą to zatrzymać. Albo pokazać tej tu, piczce zasadniczce. Później Peli przywiezie mu torbę do Brunny.

Okantują cię, tato. Nie będziesz wiedział, co sprzedajesz.

Czyli nie chcesz mieć telefonu?

Najwyraźniej Gaby i Fredericowi zależało na telefonie bardziej niż na czymkolwiek, co ja, Felix Moore, mógłbym sobie wyobrazić. Kiedy Frederic wstał i ruszył do wyjścia, Gaby powinna odetchnąć z ulgą, a tymczasem była – jak mi wyznała – rozczarowana.

Frederic powiedział, że nie ma już ochoty na lasagnę i że przemyśli tę propozycję.

Nie chrzań, rzucił Matty Matovic. To pieprzony tusz spływa ci po twarzy?

Gaby musiała podbiec, żeby złapać go przy drzwiach. Potem, w światłach reflektorów samochodów skręcających w prawo z Queensberry Street, Frederic ją pocałował. Przytuliła go. Wyznał, że bardzo ją kocha i że tylko to się dla niego liczy. Chciał się ze mną ożenić, powiedziała. Chyba się popłakałam. Wróciliśmy pieszo do Parkville. Byłam zakochana i to chyba wtedy, tamtej nocy, dowiedziałam się, że gdzieś głęboko w labiryncie Telecomu technicy gryzmołą nazwy użytkowników i hasła, zastrzeżone numery zaczynające się na 800 i inne „bezpieczne” informacje, które później wyrzucają do śmieci. Na skrawkach papieru, na pudełkach po papierosach, na odwrocie kopert i na żółtych pokwitowaniach odbioru. Tam gromadził się miód, w grubych, czarnych, plastikowych torbach, w śmietnikach, łup wart lochu i zatrutej fosy. Weź klucz.

W „krętych małych korytarzykach” komputerowego podziemia, mówiła Gaby, żyły istoty, których zadaniem było zbieranie porzuconych informacji, tajni uczeni, żartownisie, błazny, hakerzy, pajęczarze, adepci mrocznej sztuki recyklingu, którzy otwierali zabezpieczenia poczty Telecomu i, niczym żuki-gnojkarze uwijające się przy swoim pradawnym zajęciu, babrali się nocą w gównie.

Hasła i nazwy użytkowników można było wykorzystać na wiele sposobów, na przykład jeśli miałeś linię telefoniczną, mogłeś łączyć się za darmo z Internetem. Klik klik i gotowe: leżysz sobie w łóżku ze swoim najlepszym przyjacielem, skaczesz z trampoliny w Hamburgu, gadasz o niczym, siedzisz na moście i nikt nie wie, czy jesteś dziewczyną czy chłopakiem.

Tata był złodziejem, tymczasem dla Upadłego Anioła i Undertoda (to ich przyszłe pseudonimy) największą wartością tej informacji polegała na tym, iż mogli uczynić z niej podarunek.

Przekazaliśmy ją innym hakerom z serwisu komputerowego, ciągnęła Gaby, a w tle szumiała puszczone z kranu woda. Ktoś dysponujący trudno dostępnym numerem zaczynającym się na 800 zaprosił nas do prywatnego serwisu, a potem do serwisu dla wtajemniczonych, którego istnienia nawet nie podejrzewaliśmy. Upadły Anioł i Undertoad stali się wkrótce popularni. Rozmawiali z Justumem. Poznali Quarka. Wskoczyli na wyższy szczebel drabiny.

Peli nie był złodziejem. Nikt go nie prosił, żeby nim został. Frederic też nigdy wcześniej nie otworzył zamka wytrychem, ale gdy ten pierwszy ustąpił, był wniebowzięty. Weszliśmy DO ŚRODKA. Wbiegliśmy w jaskrawym świetle jarzeniówki. Centrala telefoniczna przy Flinders Lane, trzecia nad ranem w niedzielę, o, kurczę, niemożliwe, WESZLIŚMY, czarne worki na śmieci, skrzydła nietoperza, niewiarygodne, to znaczy dla nas. Byliśmy tacy szybcy, tacy super. Wypadliśmy stamtąd, zanim Peli wskoczył na drugi poziom w Tetris. Kto by przypuszczał, że uzależni się od Tetris? Wiejemy!, krzyknęłam. Ruszaj! Przyczepił się do ekranu jak mucha do lepu, cały jaśniał, gdy tuż obok

przejeżdżały pieprzone gliny. Ale nic się nie stało, bo nigdy nic się nie działo, a jedyna konsekwencja była następująca: Meg w końcu złożyła wniosek o ponowną instalację telefonu. Wtedy mieliśmy wszystko, co potrzebne, żeby nocą latać po świecie, tak jak ponoć robi Szatan. Wchodziliśmy przez słabo zabezpieczone drzwi wejściowe systemów, budowaliśmy własne wyjścia ewakuacyjne, by zagwarantować sobie powrót, nawet gdy durni administratorzy stron ruszą tyłki i naprawią wyrwę. Nie masz pojęcia, jakie to wtedy było proste, wyznała Gaby. Ludzie używali jako haseł własnych imion. Zacieraliśmy ślady, wracaliśmy przez wyjście ewakuacyjne i czytaliśmy maile wkurzonych administratorów sieci, przepytywanych, grillowanych i wysyłanych na stos, gdzie czekała ich śmierć. Porzuciliśmy Zork na zawsze.

Oczywiście Undertoad i Upadły Anioł musieli chodzić do szkoły. W związku z tym łykali ritalin i był to dla nich rozchichotany czas pobudzenia, mniej więcej taki, jak w wigilię Bożego Narodzenia. Byli niewinni i jednocześnie winni, leżąc nago i robiąc rzeczy, które – jak się im zdawało – sami wymyślili. Wiedzieli, że ich życiowe szanse staną się dziwniejsze i bardziej szalone niż te, o których marzyli ich rodzice-hipisi. Byli ze sobą złączeni, zrośnięci, opleceni wokół siebie nawzajem niczym pnie fikusów, nierozłączni, wyczekujący na sygnał połączenia z siecią.

18

Matka Frederica poprawiła sobie humor dużym telewizorem, odtwarzaczem wideo, lodówką i dwoma klimatyzatorami. Wtedy wszyscy stali się idealnie spokojni i grali w Mario Bros. Meg nagle mnie polubiła, wspominała Gaby. Był to niespodziewany efekt uboczny.

Żyłasta Meg Matovic podkurczyła czarne nogi baletnicy i umościła się obok blond dziewczynki. Strząsnąwszy na podłogę popiół z papierosa, zaczęła błagać, żeby nauczyć ją grać w Mario Bros. Meg nie dało się nauczyć. Była najgorszym graczem z możliwych, wrzeszczała, piszczała, wpadała w czarne dziury, nadziewała się na niewidzialne ściany i pręty, nigdy nie trafiała w Bloobersy, chichocząca idiotka, która cieszyła się, że ginie z rąk Goombasów, Koopasów i Bzyczących Żuków, pokrzykując jak matka wioząca pociechy na trening piłkarski. Zapewne cierpiała na chorobę dwubiegunową, a z całą pewnością była pierwszym znanym Gaby rodzicem, który jawnie palił trawę. Rozbiła swoją furgonetkę na Eastern Driveway. W ciągu tygodnia siedziała w domu, jarała skręty i czekała na montera Telecomu.

Telezysk, Teleprzekręt, tak szeptał o tym Frederic, mrużąc obrysowane kohlem, tajemnicze oczy. Hakerzy nienawidzą Telecomu, powiedział. Telecom to debile, którzy nie potrafią korzystać z własnych technologii. Zakłócenia na linii były tak duże, że bez przerwy nas rozłączało, a im szybszy modem, tym większy problem. Niedługo potem wypuścili na rynek urządzenie z korektorem błędów, ale jeszcze nie w tamtym roku. Stosowali brutalne metody. Potrafili zrobić ci nalot, zamontować podsłuch i w każdej chwili zająć twój sprzęt. Serwis? Bywało, że nie mogli cię podłączyć. Nie, trzeba czekać trzy pieprzone tygodnie.

Pani Matovic dała za wygraną z Mario Bros. Przerzuciła się na Wizard's Crown i tak się do tego przyszpiliła, że kiedy Peli wracał o szóstej z pracy, musiał z nią grać. Jak na swój wiek, Meg dużo flirtowała. Jęk. Dotąd nie знаła żadnego czarnoskórego. Krzyk. Absolutnie ich uwielbia. Poetycko opisywała posturę Samończyków, kolor ich skóry i kręcone włosy. Zawsze chciała zamieszkać w tropikach. Zamierzała czmychnąć z Fredericem do Nimbin, żyć ze sprzedaży papai i „być naprawdę zdrowa, jak Samończycy”.

Peli odwiedził Samoa tylko raz i nieznośnie wkurzały go tam domy bez okien.

Gaby zauważyła, że Meg kładzie Pelemu dłoń na kolanie. Kiedy Solosolo wybiegła na dwór i trzasnęła drzwiami, wiedziała, że mają problem. Przecież Meg miała ze sto lat, a Peli – dziewiętnaście. Pobiegnęła za najlepszą przyjaciółką przez Aleję, w tamto miejsce, gdzie zaraziła się kiedyś wścieklizną.

Ona jest okropna. Przykro mi.

Solosolo obróciła się ku niej. Jej twarz była zaciśnięta jak pięść.

Nie obsrywaj mojego brata, powiedziała.

Nikogo nie obsrywam.

Teleprzekręt. Telezysk. Nigdy nie macie dość.

I co?

To nie wiesz? Mój brat pracuje w Telecomie.

To Peli. Nie jest z Telecomu.

Uważaj, bo zaraz cię walnę, suko.

Soley, jestem twoją przyjaciółką. Nie nazywaj mnie tak.

To powiedz Fredericowi, żeby go szanował.

Szanujemy go.

Chcecie puścić 240 wolt po instalacji telefonicznej? Taki macie plan? Zabić pracowników Telecomu?

To był żart.

Jak myślisz, po co ojciec przywiózł nas do tego okropnego *palagi* kraju?

Gaby wiedziała, o co jej chodzi. Wiedziała też, jak bardzo jej samoaniecy przyjaciele nie lubili Samoa. Ale tutaj też im się nie podobało. Nie cierpieli tego kraju. Kobiety cały dzień gotowały, cały pieprzony dzień, przy gorącym ruszcie, przy ogniu, a ilu Samoanek potrzeba, żeby kupić pizzę?

Dobra, powiedz mi: Po co ojciec was tu przywiózł?

Przymknij się. Peli zrobił to, czego oczekiwano. Wykształcił się. Dostał pracę. Kiedy nazywasz to „Teleprzekrętem”, srasz na całą moją rodzinę.

Nie.

A później każesz mu okradać Telecom.

Ja mu każę?

Myślisz, że on lubi Frederica? Chyba żartujesz. Frederic to tylko twój alfons. W furgonetce siedzisz obok Pelego. A potem go obsrywasz. Masz szczęście, że jestem chrześcijanką. Jej oczy były czarne, nieprzeniknione. Masz szczęście, że jestem chrześcijanką, bo pogryzłabym ci tę piękną buzię.

Wkurzyła się, pomyślała Gaby. Przejdzie jej. Ale kiedy wróciła do szopy, dojrzała wszystkie te brednie w oczach Pelego. Nim wyszła, siedziała obok niego na podłodze, ale teraz przeniosła się gdzie indziej. Spojrzał na nią jak muł z ciężkim podbródkiem i rozmruganymi oczami. Czy kiedykolwiek zrobiła albo powiedziała coś, co dało mu podstawy, żeby tak się zachowywać?

Odtąd przestała zajmować przednie siedzenie, a potem, bez jednego słowa, już prowadzili wojnę. Dlaczego? Jakim prawem? Szarpał, kiedy prowadził samochód, jeździł za szybko, przytarł lakier o tramwaj na Swanston Street.

Wszyscy byli zgodni, że już nie będą zwijać towaru, więc to, co stało się później, nigdy nie powinno było się zdarzyć. Tata zwrócił się bezpośrednio do Pelego. Jeśli Peli się zdecyduje, zrobi to na własny rachunek, ale przecież Frederic nie mógł go puścić samego. Więc i Gaby musiała pojechać. Solosolo też się przyłączyła i zachowywała się tak, jakby Gaby była wszystkiemu winna. Halo? Kto płacił Pelemu?

Frederic usiadł z przodu. Solo i Gaby, chociaż się do siebie nie odzywały, musiały jechać razem, między regałami z kablami i sprzętem, owinięte płachtami i pasami. Peli prowadził auto wyjątkowo złośliwie, biorąc zakręty tak, że aż robiło się im niedobrze. Na koniec najechał z impetem na próg spowalniający i znaleźli się w uliczce na tyłach centrali telefonicznej w East

Kew. Gaby miała duże, czarne, ogrodowe worki na śmieci. Gdy Frederic otwierał zamek, twarz Pelego już rozświetlał obraz z Tetris.

Zwinięcie towaru w East Kew było proste i szybkie, tyle że – jak później wyszło na jaw – kiedy pozostali byli w środku, Pelemu przytrafiła się przygoda. Nieopodal przejeżdżał policyjny radiowóz, zobaczyli furgonetkę i rozjaśnioną czarną twarz, więc zatrzymali się na „pogawędkę”. Byli uprzejmi, chcieli go tylko „przepytać”. Powiedział im, że „czeka, żeby odwieźć do domu swojego szefa”. Była trzecia w nocy, ale Peli był pracownikiem Telecomu, miał na sobie uniform i siedział w służbowym samochodzie. Policja uznała, że „nie zachowuje się podejrzanie”. Nawet jeśli się zatrzymali, to tylko po to, żeby kupić colę i zapiekanki Chiko Rolls. Właśnie je jedli, gdy usłyszeli warkot silnika i dostrzegli „pojazd”, który wyjechał z bocznej uliczki z większą prędkością, niż mogli się spodziewać, zważywszy na wysokość progu spowalniającego na jezdni. „Ciemnoskóry mężczyzna” pomachał do nich, kiedy zauważył radiowóz.

Na fotelu pasażera nie było nikogo. Policjanci wysnuli stąd wniosek, że opowieść o szefie to kit. Obserwowali, jak „furgonetka przemieszcza się w kierunku południowym” z szacunkową prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i zastanawiali się – jak później przyznali – co mają myśleć o nieobecności szefa, gdy nagle pojazd skręcił w prawo i kiedy zniknął za zakrętem, kierowca tak mocno wcisnął pedał gazu, że pisk opon słychać było wiele przecznic dalej.

Funkcjonariusze włączyli wszystkie syreny i gwizdki i ruszyli w pościg, co wywołało komiczną reakcję kierowcy furgonetki,

który jeszcze bardziej przyśpieszył. Najwyraźniej niezbyt rozumnie założył, że jego japońska landara ucieknie holdenowi Commodore VN SS. A jednak właśnie taki miał plan, bo pomknął Studley Park Road i później w lewo w Walmer Street. Wtedy stało się jasne, że jest niezrównoważony, ponieważ wybrał – a dokładniej: wytypował – Yarra Boulevard, pełną serpentyn drogę, na której ledwie dwa tygodnie wcześniej rozbiło się już jedno porsche.

Sędzia spytał, czy nie zamierzali zwolnić.

Nie, bo chcieli zatrzymać podejrzanych.

Podejznanego, sprostował sędzia.

Tak, wysoki sędzie.

Gaby czuła szalony pęd i widziała błyskające światła, gdy furgonetka mknęła drogą w dół. Od stóp do głów owinęła się kocem. Później leżeli we trójkę uczepieni metalowych siatkowych drzwi przestrzeni bagażowej.

Teraz, rzucił Frederic.

Przez chwilę czuli, jak przewraca się im w żołądkach. Później ich ciała stały się wrogie wobec siebie nawzajem, a potem był już tylko bezruch i głośnie syczenie.

Pierwsza podniosła się Solosolo, kopnęła tylne drzwi i stanęła twarzą w twarz z jasno oświetloną sceną.

Miała zwichniętą nogę. Gaby wiedziała, że Solosolo będzie ją za to winić. Frederic zobaczył Pelego nad brzegiem rzeki. Pele zamknął oczy, chroniąc wzrok przed rażącym, kwarcowym światłem. Ręce trzymał w górze i obracał się z wolna, jakby chciał pokazać, że nie ma broni. Zrobił pełny obrót, ale obracał się dalej.

Nagle, stanąwszy pięknymi, szerokimi plecami do policjantów, podbiegł dwadzieścia kroków i wskoczył do rzeki Yarra.

Frederic, na którego wysokim czole pojawiła się pojedyncza strużka jasnoczerwonej krwi, splótł błyszczące palce za swoimi wampirzymi plecami i ruszył powoli nad brzeg. Nie był jeszcze „więźniem”, więc mógł wpatrywać się w czarną jak antracyt rzekę. Zabójcze wiry pod połyskliwym lustrem wody pozostawały niewidoczne niczym prąd.

19

Pisarz-rezydent znad rzeki Hawkesbury zadomowił się tam, co nie znaczy, że czuł się komfortowo, a jedynie, że miał składane krzesło i że zaznajomił się z panującymi warunkami, które wymagały, by suszył spodnie, rozkładając je na skale, gdy sam pozostawał w nietwarzowych bokserkach i wyświechtanym swetrze z postrzępionymi rękawami. W jego brodzie nie było już prawie braków, a fryzura osiągnęła stan, w którym musiał przytrzymywać ją majtkami, by nie opadała mu na wodniste oczy. Miał też psa, co sprawiało, że mógłby zdać się komuś kimś miejscowym (gdyby miał pecha i ktoś by go obserwował). Pies był odpowiedni – krótkonoga suka rasy blue heeler. Rzecz jasna, to w ogóle nie była jego suka, tylko oportunistka mająca na tyle przyzwoitości, że kiedy ją nakarmił, zostawała, żeby trochę u niego pospać. Nazwał ją Lizzie.

Nasz zbieg już dawno wyrzekł się wszelkiej próżności, a jednak przyznałby – gdyby nakryć go na tej czynności – że rzeczywiście chciał opalić sobie miejskie nogi. Nie wynikało to z próżności, lecz z chęci wtopienia się w otoczenie. Z czasem jego kolana nabrały

smagłej, brązowej barwy, jakiej można by się spodziewać u starego, mieszkającego nad rzeką wygi.

Trzymał na tych kolanach większy z dwóch dyktafonów i przewijał do tyłu i do przodu coś, co było kiedyś osiemdziesięcioma pięcioma metrami skrzeczącej taśmy, poszukując paru centymetrów, na których Celine nie opowiada o swoim małżeństwie. Kasetą trafiła przez przypadek na zalany słońcem parapet, zatem jej obecnej długości trudno było się domyślić. Felix liczył jednak, że gdzieś tam (przewiń, pauza, cofnij, odtwórz) znajdzie opowieść o utonięciu młodego Samończyka. Oczami wyobraźni widział policyjny radiowóz z niebieskim kogutem, jak w dyskotecie, którego światła odbijają się od czarnej powierzchni rzeki Yarra. Wsłuchiwał się w nagranie, przekrzywiając głowę, a jednocześnie wpatrywał się w rzekę Hawkesbury, w niebo o barwie ultramaryny, w twardą, niebieską taflę wody, drobne fale i liczne anonimowe łódki. W każdej z nich mogli być jego wrogowie. Pojawiła się też jednostka policji wodnej i samotny jacht popierdujący za mangrowcami.

Nie tak to sobie wyobrażał. Przerazająca prawda była mianowicie (jak się zdawało) taka, że nienawykły do samotności, niemal z radością powitałby jakiegoś gościa. Widząc mocno zbudowanego, ciemnowłosego mężczyznę przemierzającego pokład jachtu i jaskrawopomarańczowe podeszwy jego adidasów, odczuł gwałtowny przypływ ryzykownej nadziei, że to Woody Townes.

Celine opowiadała o swoim małżeństwie i o szkolnych kłopotach Gaby. Felix mógł uznać to za narcyzm lub pomyśleć, że była lepszym człowiekiem niż on. Bo czy on, choć raz, wspomniał

nieobecną żonę i dzieci? Nie robił tego, bo był dupkiem? Czy też nie mieściły się w konwencji reportażu? A może, kiedy rodzina wyrzuciła go za drzwi, zamknął je i zapieczętował? Nie znosił cierpienia.

W górze przeleciał jakiś lekki samolot, zbyt wysoko, żeby Felix się nim zainteresował. Tymczasem Celine opowiadała o swoich występach w reklamach i o tym, jaką przyniosły jej ulgę.

Mężczyzna na jachcie był sobowtórem Woody'ego Townesa.

Czyżby liczył, że Woody go uratuje, choć wiedział, że to wróg? Felix Moore zakładał, że amerykańskie władze już o nim wiedzą i – chociaż takie podejście wydawało się nieco histeryczne – jeśli nie wyda Gaby, grozi mu zatrzymanie i uwięzienie, i nieważne, że nie znalazł u niej śladu wrogości wobec tego państwa, które w wyniku jej działań poniosło, nazwijmy to, straty uboczne. Nie było przesadą wyobrażenie sobie, że płatni najemnicy rozbiorą go do naga i będą na okrągło obserwować, żeby przypadkiem nie popełnił samobójstwa. Parę dni wcześniej próbował złowić rybę na sznurek. Był w tym, jak we wszystkim, niewprawny, a reakcja robaka na haczyk przepełniła go lękiem przed cierpieniem. Sponiewierał tego robaka, wrzucił go do wody, ale niczego nie złowił.

Miał nadzieję, że skończą mu się baterie i będzie miał wymówkę, żeby zawołać kogoś na ratunek albo że uratuje go Woody, jak robił to już nieraz, gdy odwoził go od lekkomyślnej pogoni za zasadami i pomagał uniknąć autodestrukcji, wyciągając z opresji, ku którym popychało sumienie.

Przewiń. Odtwórz. Gdzież by indziej (jęknięła niskim głosem)? Gdzież by indziej, jak nie w Carlton, wystąpienie w reklamie

mogło wywołać skandal? Przewiń. Jej plemię usiadło kręgiem na zakurzonej podłodze i ekskomunikowało ją ze wspólnoty. Tylko jeden ćpun nie podniósł potępieńczo ręki. Stop. Przewiń. Odtwórz. Tymczasem w normalnym świecie reklama ta odniosła duży sukces. Przewiń (piskliwe dźwięki). Odtwórz. Celine potajemnie (potajemnie) wpłaciła połowę wynagrodzenia na własne konto bankowe. Bo niby jak inaczej mogłaby sobie pozwolić na ucieczkę? Przewiń. Odtwórz. Ale Sandy ją nakrył. Zatem on był ten dobry, a ona – ta zła. Utknęła w Coburg. Kurwa. Przewiń. Odtwórz. Musiała odgrywać rolę przykładnej małżonki przy lokalnych partyjnych działaczach, którzy jakoś nigdy nie mogli się spotykać w swoim lokalu, tylko koniecznie u nich w domu. Woody zasiadał w komisji finansowej. Dupek – wiedziała, że to on stał za ich przeprowadzką do Coburg.

Nie wyłączając dyktafonu, zbieg uniósł się z krzesła. Gdy się obrócił, by sprawdzić, jak schnie jego pranie, zauważył, że tył jego opalonych nóg jest blady jak brzuch flądry. Wystawił wilgotną część spodni na działanie popołudniowego słońca.

Peli miał się za chwilę utopić. Felix trafiał wcześniej na ten moment, ale później go gubił.

Problemy małżeńskie skłoniły Celine do podwojenia dawki środków nasennych, po których czuła się przez cały dzień przymulona, jednak nie spała, gdy o drugiej w nocy zadzwoniła policja. Jak to możliwe, że Sandy nawet nie drgnął? Bardzo chciałaby to wiedzieć. Głos w telefonie spytał, czy rozmawia z Celine Baillieux. Tak, to ja. Tu sierżant jakiś tam z policji stanu Victoria. Czy wie, gdzie obecnie przebywa jej córka?

Pomyślała o gwałcie. Nie mogła wypowiedzieć tego słowa. Miała ściśnięte gardło. Była otumaniona lekami, zagubiona i zła, że Sandy leży sobie nagi, niewinny i nagi, z poduszką na głowie. Powiedziała, że już jedzie na komisariat. Później będzie miał pretensje, że go nie obudziła. – To przejaw agresji – oświadczył.

Ruszyła sprzed furtki z myślą, że nie wpoila córce wystarczającego strachu przed życiem. Pojechała Moreland Road, skręciła na południe w High Street, a potem w szeroką i pustą Hoddle Street, biegnącą wzdłuż torów kolejowych pod zabójczą plątaniną trakcji elektrycznej. Trawa rozdzielająca pasy ruchu była zmechacona jak sierść psa. Pamiętała, jak minęła Ramsden Street, gdzie rozpoznała miejsce, w którym doszło do masakry na Hoddle Street – banalny, podmiejski przejazd kolejowy, tandetny, niski bilbord, za którym ukrył się zabójca i zastrzelił trzydzieści osób, jedną po drugiej. Celine wystraszyły niskie ciemne dachy pod zatrutym niebem i nieładny park; wszystko to stopiło się z losem jej córki.

W ciągu dwudziestu minut, jakich potrzebowała, by stanąć u boku córki, przez głowę przeleciały jej różne nieprzyjemne wspomnienia. Przypomniła sobie wieczór, kiedy zamordowano Dominicka Swayne'a, zadźgano go nożem na tylnym siedzeniu samochodu. Nie znała go, za to znała tę biedną ciężarną dziewczynę, która go zabiła. Kiedy dziewczynę aresztowano, Celine została przewieziona do komendy głównej policji przy Russell Street i do tego szpitala przy Commercial Road, gdzie wstrzyknęli jej w tyłek 10 mililitrów valium. Zdarzyło się to ledwie dwa kilometry od nowoczesnego i połyskliwego niczym

bank gmachu komendy, pomalowanego w granatowo-białe kwadraty, jak na otoku policyjnej czapki.

Występy w reklamach stały się dla niej przekleństwem, bo uczyniły ją sławną. Bała się, że któryś z policjantów ją rozpozna. Żona posła. Córka posła. Tymczasem z ulgą, a jednocześnie z rozczarowaniem, stwierdziła, że jest dla nich nikim. Musiała czekać w jednym z długich rzędów plastikowych krzeseł, oparta o chaotyczną tablicę ogłoszeń ze zdjęciami dwudziestu zaginionych, w tym – jak policzyła – trzech Aborygenów. Przypomniała sobie gwałtowne sceny pełne przemocy i pijaństwa oraz kampanie rekrutacyjne prowadzone przez policję. Wszystko to pozostawało w całkowitej sprzeczności z nijakim korporacyjnym ładem panującym w poczekalni. Znajdowała się tam recepcja i pięcioro wysokich drzwi z ciemnego drewna. Wszystkie były zamknięte. W innych okolicznościach Celine mogłaby pomyśleć, że to scenografia jakiejś farsy. Nagle z tych drzwi wysypali się pogodni graficyarze w towarzystwie wściekłych rodziców. Nazwisko Celine przeczytano jako „Baily”. Do wejścia poprowadziła ją speszona i zaczerwieniona funkcjonariuszka. Aktorka złapała się na tym, że w swoisty sposób wciela się w rolę policjantki, mówiąc bardzo powoli i bardzo niskim głosem. Korytarz zalewała szarawa poświata. Funkcjonariuszka nie była przygotowana, by odpowiadać na pytania Celine. Wszystkiego dowiedzieć się bezpośrednio od sierżanta. Celine minęła stojącą za szybą młodą, posągową Samoankę wpatrzoną w odległy ocean. Na jej pięknej twarzy nie pojawił się choćby grymas, który zdradziłby, że rozpoznała Celine.

W tak zwanym pokoju przesłuchań pachniało jak na wyścigach w Melbourne – ketchupem. Pani Baily miała tam poczekać na sierżanta. Celine zanotowała, że nie ma biurka i że krzesła ustawiono chaotycznie. Zauważyła też na podłodze pudełko po hamburgerze, nim spostrzegła, wyglądające jak koc porzucony na krzesło, dziecko, które wydała na ten świat. Twarz Gaby połyskiwała i była nieprzenikniona. Dziewczyna miała zadrapanie pod okiem.

Co się stało, kochanie?

Gdzie jest Frederic?

Czy ktoś cię skrzywdził, kochanie?

A co ci powiedzieli?

Gabrielle, czy ktoś zrobił ci krzywdę?

Krzywdę? Mnie?, odparła z oburzeniem. Nie wiesz, o czym mówisz. Zatrzymali Frederica.

Dobrze, kochanie. Zaraz kogoś tu ściągnę.

Gaby opatulila się kocem i pozwoliła, by matka przekonała się, że drzwi są zamknięte.

Mieliśmy wypadek, w porządku? Furgonetka dachowała.

Jaka furgonetka?

Brat Solosolo uciekł.

I gdzie ta furgonetka?

Myślę, że nie żyje.

Pauza. Przewiń. Odtwórz. Myślę, że nie żyje.

Nikt nie powiedział Celine, że chłopak, który zginął, kochał się w jej córce.

Niech nie próbuje przytulać córki. Dała jej małe opakowanie chusteczek i ucieszyła się, że Gaby je przyjęła. Powiedziała córce,

że ją kocha, co było jak wrzucenie mokrego ziemniaka do wrzącego oleju.

Tu nie chodzi o ciebie. Daj mi spokój.

Ów sierżant zdobył rozgłos w brukowcach, lecz w dniu śmierci Pelego nie wyglądał na przyszłego skazańca. Był przystojnym mężczyzną ze szpakowatymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Jego uroda pasowałaby jak ulał pilotowi linii lotniczych Ansett lub kapitanom statków, którzy kiedyś reklamowali papierosy Ardath. Celine Baillieux mu się nie spodobała.

To niebezpieczne miasto.

Wiem.

Tak? Na pewno?

Nie czekał na odpowiedź. Za to palnął jej wykład o dzieciakach, które znał i które nie miały najmniejszych szans. Ich rodzice byli biedni, niewykształceni i pili. I co będzie z jej córeczką? Brała udział w kradzieży z włamaniem. A może nie zdążyła jeszcze o tym powiedzieć? Był pewien, że Celine zna jakiegoś świetnego adwokata. Frank Galbally to pewnie jej kolega? Czy Frank to jej kolega?

Celine nie myślała o adwokacie. Sądziła, że ściągnęli ją, żeby była świadkiem przesłuchania córki, ale najwyraźniej nie to powinna teraz powiedzieć.

Czy mogę dla mamusi zrobić coś jeszcze? Wywiad? A może zaparkować samochód?

Powiedziała, że nie to miała na myśli.

A co?

No i zaczęła się płaszczyć.

Już dobrze. To była trudna noc dla nas wszystkich.

Ta „trudność”, powiedziała Celine, zapewne polegała też na wydobyciu zwłok Pelego spod mostu Hoddle oraz na rozmowie z Mattym Matovicem, którego wezwano tam jako ojca Frederica. Matty Matovic najpierw dał autograf jakiejś podstarzałej fance, po czym wciągnięto go w dochodzenie, gdyż jego syn przypadkowo „wspomógł policję” w większej liczbie spraw, niż byłaby w stanie wyjaśnić bez jego udziału. Sierżant nie przekazał Celine żadnej z tych informacji. Nie zrobił także tego, co powinien był zrobić, czyli nie przesłuchał Gaby w obecności rodzica.

Może chciał się napić, może właśnie rzuciła go żona albo może zwyczajnie nie życzył sobie, żeby pomiatała nim jakaś aktorka. A może już zebrał dość dowodów, żeby posłać Tatę na dwa lata do Pentridge, więc po co marnować czas i spisywać jakieś bezsensowne wyjaśnienia?

Może pomyślał: „Ostrzegę ją, a resztę pieprzyć?”.

W każdym razie ostrzegł Gaby tak, że aż się popłakała, dał jej chusteczkę i otworzył drzwi. Tak dosłownie to nie powiedział im, żeby spierdalały.

Może ją pani zabrać do domu.

Ale przecież pan jej nie przesłuchał.

Najwyraźniej sierżant był zbyt zmęczony, żeby się roześmiać. Chce pani wyjść, czy tu zostać? To nie najlepszy sposób na spędzenie nocy.

Gaby oznajmiła, że nie wyjdzie, póki nie porozmawia z kimś, z kim się przyjaźni.

Ona jest ze swoją rodziną, skarbie.

Mówię o Fredericu Matovicu.

Wszyscy są ze swoimi krewnymi, odparł policjant. Fred jest z tatą. Teraz zajmie się tobą mama. Zrobi ci kakao albo co tam chcesz. Wtedy już je wyganiał (wypychał) na korytarz, a potem z poczekalni, w której roiło się od niemieckich turystów z plecakami.

Dlaczego tak bardzo nie spodobała mu się Celine? Czyżby wiedział, że rzucała kulki pod nogi policyjnych koni? Czy to dlatego odprowadził je aż do samochodu i tak starannie złożył policyjny koc, którym okrywała się Gaby?

Proszę na nią uważać.

Gaby nie chciała usiąść z przodu. Usiadła z tyłu.

Sierżant nerwowo zastukał w szybę i odczekał, aż Gaby zapnie pas.

Odjeżdżając stamtąd, Celine nadal nie wiedziała, co się właściwie wydarzyło. Spojrzała w lusterko, ale córka przesunęła się na bok, odpięła pas i położyła się na siedzeniu zawalonym twardymi książkami i dokumentami. Celine nie wyznawała żadnej religii, wierzyła jedynie w to, że porosty na nagrobkach żyją wiecznie. Boże, daj mi jeszcze jedną szansę na pokochanie mojego dziecka, pomyślała.

20

Właśnie świtało, kiedy wróciły do domu, ciągnęła Celine. Gaby poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Sandy wynurzył się z gabinetu ubrany jak do pracy. Gdy kochał bądź wpadał w furję, jego oczy zawsze bladły, ale tamtego ranka były jak szkło.

Od razu na mnie naskoczył, Celine snuła opowieść na rozciągniętej taśmie. Zażądał, żebym powiedziała mu, kto prowadził furgonetkę. Ile mają lat? Kogo oskarżyli? O co? Jak Celine mogła wyjść z komisariatu, nie poznawszy okoliczności zatrzymania córki?

Sierżant powiedział, żeby wróciły do domu.

Robi to, co każe jej policja? Od kiedy?

I tak w kółko.

Po latach ten sam sierżant stanął przed sądem. Sędzia spytał go, dlaczego wypuszczał więźniów z celi, jeździł z nimi do restauracji i odwiedzał „znanych przestępców”.

Robię z moimi więźniami, co chcę, usłyszał.

Celine pozmywała zaschnięte talerze upačkane jajkiem przez jej męża podczas śniadania. W radiu nic nie powiedzieli. Sandy

poszedł do gabinetu, żeby porozmawiać przez telefon – bez świadków. Kiedy stamtąd wyszedł, oznajmił, że Matty Matovic (którego kiedyś nazywał towarzyszem) został zatrzymany za paserstwo. Oczekiwał procesu w areszcie, za to nikt nie potrafił ustalić miejsca pobytu jego żony. Frederic zaś – jeśli Celine to w ogóle interesuje – trafił do Turany, czyli do aresztu dla nieletnich w Parkville.

Celine wzruszyła ramionami.

Potępił ją za to, ale niby dlaczego miałyby się interesować tymi kryminalistami Matovicami?

Później Sandy skupił uwagę na pokoju ich córki. Kucnął przy drzwiach i zaczął szeptać jak mnich.

Celine nawet po latach wciąż nie umiała wyjaśnić, dlaczego było to dla niej tak bardzo nie do zniesienia. Nie umiała też sobie wybaczyć własnego zachowania, tego, że poszła do swojego pokoju i też zamknęła drzwi na klucz. Zachowała się jak dziecko, czyli popełniła podwójny błąd.

Nie wiedzieli, jak bardzo potrzebuje ich obojga. Nawet teraz nie umiałyby im tego powiedzieć. Usiadła na łóżku i wsłuchiwała się we wszystkie dobiegające ją dźwięki. Słyszała, jak jej córka otwiera drzwi i wpuszcza do pokoju jej kajającego się męża. Później oboje zamknęli się tam przed nią.

Ta porażka była nie do udźwignięcia. Ku własnemu zawstydzeniu Celine łyknęła trzy tabletki nasenne, które zapewniły jej wilgotny, narkotyczny kokon. Ziemia krążyła wokół Słońca. Satelity utrzymały się na swoich orbitach. Słyszała dzwonek telefonu, jeden, dwa, sto, któż to wie. Gdy już wydobyła się na powierzchnię, ze zdziwieniem stwierdziła, że jej mąż

jeszcze jest w domu. Powiedział, że Peli Tuputala utopił się w rzece Yarra. Czy go znała?

Nie.

Żadne z nich nie wiedziało nic o tym chłopcu, ale to Sandy westchnął, jakby poznawanie przyjaciół ich córki było wyłącznym obowiązkiem Celine.

Dlaczego próbuję wywierać takie paskudne wrażenie?, dociekała podczas nagrania Celine.

Pisarzowi przyszło do głowy, że jemu nigdy nie wydawała się paskudna, tylko uduchowiona i wrażliwa. Zawsze była taka piękna i tak brutalnie samokrytyczna, że wybaczyłby jej nawet morderstwo.

Sandy wyszedł na spotkanie z wyborcami. Celine usiadła przy stole w jadalni i starała się nie potrzebować niczego od swojej córki. Kiedy w końcu zapukała do drzwi jej pokoju, ze zdumieniem stwierdziła, że córka jej wyczekuje. W jeszcze większe zdziwienie wprowadził ją fakt, że Gaby siedziała przy swoim małym biurku ubrana w czarną bluzkę i sukienkę i właśnie zapinała sandały na wysokim obcasie. Miała poobcierane kolana, zapuchnięte oczy i skrzywione usta. Zgodziła się, żeby Celine przygotowała jej tosty z pomidorem i herbatę Earl Grey.

Choć Celine od samego początku nie lubiła Frederica, to jednak domyślała się, że Gaby wystroiła się tak, żeby odwiedzić go w areszcie. Spytała, czy ma ją gdzieś podwieźć.

– Owszem, do domu Pelego w Thomastown.

Pojechały tam około czwartej, czyli w porze największego ruchu ekip remontowo-budowlanych. Sunęły na północ ulicami, wzdłuż których ciągnęły się magazyny, blaszane szopy, składy części

zamiennych i sprzętu ogrodowego. Lokalne i międzystanowe firmy spedycyjne. Za tymi bastionami przemysłu lekkiego Celine dostrzegła grupki pozornie jasnych i optymistycznych domów z usychającymi trawnikami. Nigdy przedtem nie była w Thomastown. Nie zdziwił jej sznur aut zaparkowanych wzdłuż ulicy, przy której mieszkał Peli. Wskazywały, że okrytą żałobą rodzinę odwiedzają krewni. Niektórzy z nich przybywali na pokładzie boeinga 727, który właśnie odlatywał, pozostawiając na niebie białą smugę.

Gaby kazała jej czekać. Celine zaparkowała, blokując inny samochód, i patrzyła, jak jej biedna, nieprzywykła do obcasów córka kuśtyka w tych sandałach. Nie miała pojęcia, co ją tu czeka. Do drzwi prowadziły trzy schodki bez balustrady. Gaby wdrapała się na najwyższy i przycisnęła dzwonek. Na ulicy panowały cisza i spokój, wszystkie domy przypominały mauzolea. W domu państwa Tuputala odsunięto zasłonę. Gaby wróciła przez trawnik do wysokiej bocznej furtki. Weszła do środka.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i pojawił się w nich postawny, siwowłosy mężczyzna. Zszedł po schodach i ruszył betonową ścieżką na ulicę. Dla Celine mógłby być choćby sikhiem z Kuala Lumpur. Kroczył powoli, szeroko stawiając nogi, miał potężne uda i szpotawe stopy. Przeciął ulicę i wszedł do jakiegoś domu. Celine nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i co się tu dzieje. Nie wiedziała nawet tego, że wszystkie osoby przebywające w tych domach są przekonane, że chłopak, który się utopił, padł ofiarą miłości do Gaby Baillieux.

Kiedy Gaby wyszła boczną furtką, matka rozpoznała idącą za nią z tyłu o kulach Solosolo. Gaby wskazała ręką samochód

Celine. Nagle Solosolo odrzuciła kule. Usiadła i z płaczem cisnęła przed siebie garść ziemi. Celine włączyła silnik i odblokowała drzwi. Kiedy Gaby dotarła do samochodu, na ulicy znów zrobiło się pusto.

Celine spytała, co się stało.

Możemy jechać?

Silnik zgasł. Celine znów go uruchomiła, wjechała w podjazd i cofnęła auto, jednocześnie podając Gaby chusteczkę.

Może pojedziemy do Frederica?, rzuciła pogodnie.

Jestem taka cholernie słaba, pomyślała. Zrobiła z siebie wycieraczkę, gdy powinna zapanować nad sytuacją.

Możesz mnie tam podrzucić.

A wiesz, gdzie to jest?

Ty wiesz, odparła Gaby.

Kiedy podwiozła córkę na parking przed zakładem dla nieletnich – wygląda, jak podmiejski oddział banku, pomyślała – Gaby odprawiła ją do domu.

A jak wrócisz?

Nie jestem dzieckiem, zachnęła się Gaby. Podążyła za volvem Celine, póki ta nie wyjechała na Park Street, a później jeszcze odczekała, aż skręci za róg.

Celine zatrzymała się przy kiosku w Brunswick i zobaczyła zdjęcia Pelego i Matty’ego Matovica w „Herald”. Dowiedziała się też, że Tuputala to ród o jakoby królewskim rodowodzie. Kiedy wróciła do domu, zadzwoniła asystentka Woody’ego. Celine czekała bez końca, aż Woody wreszcie się odezwie. Kiedy go usłyszała, nie był tak przymilny i kadzący dla „pani Quinn” jak zwykle. „Poinformował” ją, że musiał roztrwonić mnóstwo swojego

„towarzyskiego kapitału”, żeby nazwisko Sandy’ego nie trafiło do mediów.

Kłamał. Gaby była nieletnia. Nikt nie mógł ujawnić jej nazwiska i jej ojciec musiał pozostać anonimowy.

W poniedziałek rano Gaby, jak zawsze, poszła do szkoły. Oczywiście, zapewniała na kasecie Celine, oczywiście, że namawiałam ją, żeby z kimś „porozmawiała”. Niech pan nie myśli, że nie. Wiedziałam, że potrzebuje terapii, ale przecież nie mogłam jej do tego zmusić. Nie namówiłabym jej choćby na zdjęcie buta, gdyby tego nie chciała.

Tymczasem Sandy’ego najwyraźniej chronił pancierz poczucia winy. W porządku, pomyślała Celine. Ostro zasuwał w kampanii na rzecz reelekcji Boba Hawke’a. Celine była okropną żoną, ale przygotowała mu pożywne śniadanie i patrzyła, jak wyruszał do biura w deszczu.

Jak mogłabym go wtedy zostawić, nawet gdybym miała pieniądze?

Dopiero po trzech, czy czterech dniach odebrała telefon od kobiety, która przedstawiła się jako „pani Aisen, nauczycielka rachunkowości pani córki”. Powiedziała, że właśnie miała gości i że ma nadzieję, iż ją też odwiedzą.

Kto?

Właśnie do pani jadą.

Okazało się, że dwaj młodzieńcy w „przygnębiających dresiarskich bluzach” w „martwych kolorach” smutnego kasztana i ponurej zieleni. Jeden albo obaj pracowali w ośrodku dla nieletnich w Parkville.

Położyli zniszczoną piłkę tenisową na jej wypucowanym stole z litego drewna i pokazali, że jest rozcięta. Powiedzieli, żeby ją ścisnęła i zajrzała do środka. Celine znalazła tam napisany przez jej córkę list.

Gaby nocą wrzucała takie piłki na dziedziniec zakładu w Parkville. Zwykle tego typu piłki zawierały marihuanę, lecz w jej przypadku były to listy do chłopaka, który spędził w Turanie tylko jedną noc. Został zwolniony z zakładu, nim się tam pojawiły, ale personel był zaniepokojony rodzajem użytego „atramentu”.

Otóż, pani Baillieux, jest to krew.

Czyja?

Spojrzeli na nią z politowaniem.

Celine przeczytał nagłówek: NPZ.

Inicjały Frederica to FM, a nie NPZ.

Poinformowali ją, że NPZ to „Najlepszy Przyjaciel na Zawsze” i że zwykle nastolatki stosowały to określenie wobec osób własnej płci. „Cześć, NPZ, bez Ciebie umrę, błagam, wpuść mnie, błagam, pozwól mi być ze sobą. Czuję się całkiem samotna na lekcjach pani Aisen w tym Gównianym Liceum. Nie cierpię samej siebie. Nie zniosę życia bez Ciebie. Możemy się pobrać. Oświadczyć mi się jeszcze raz. Upaja mnie wydechane przez ciebie powietrze. XXXXXXXXXX”.

Celine nie przejęła się krwią. On wcale nie jest gejem, to była pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy. Powiedziała pracownikom opieki społecznej, że to romantyczne. Czy sami nigdy nie robili podobnych rzeczy?

Nie, to wcale nie jest romantyczne. To autodestrukcyjne. Jej córka przeżywa ostrą depresję.

Czym się to dokładnie objawia?

Tnie się.

Celine uznała, że to niedorzeczne. Zostawili jej swoje wizytówki i ulotkę o dziewczętach, które się tną. Byłam idiotką, pozwoliłam im zabrać jej list miłosny, pomstowała na kasecie.

Później znów zadzwoniła pani Aisen, polecając, żeby stawiała się w szkole.

Kolejny raz przypomnieli mi, ciągnęła, że liceum przy Bell Street to nędzna buda. I jeszcze jedno: Nigdy nie posłałabym tam mojej córki, gdybym wiedziała, jak duzi byli tamtejsi chłopcy, jak bardzo wypełniali całą przestrzeń, jak byli próżni i pewni siebie w swoich drogich adidasach i spodniach w stylu M.C. Hammera. Nic dziwnego, że oceny Gaby były takie przygnębiające.

Weszłam do jakiejś rupieciarni, w której ujrzałam panią Aisen i komputer firmy Apple. Okazało się, że był jej własnością. Była kobietą jeszcze nie do końca w średnim wieku, żyłastą, niewątpliwie pływaczką, o krótkich siwych włosach, głębokich piwnych oczach, bez makijażu, ubraną w bawełnianą szmatkę zapewne własnej roboty. Miała irytujące spojrzenie wyrażające pozbawioną zahamowania ciekawość.

Wiem, że pewnie bez przerwy to przerabiasz, rzuciła.

Co znowu spierdoliłam?, pomyślałam.

Okazało się, że wraz z ojcem widywali mnie w Footlights Collective. Znała na pamięć wszystkie spektakle. Autentycznie się zmartwiła, że mnie wyrzucili. Boże, była moją wielbicielek! Spytała, czy znam Solosolo.

Tak.

Czy wiem, że się pokłóciły i, zanim odpowiedziałam, już mnie poprawiła. Pobiły się, dodała.

Rozumiem.

Na parkingu, publicznym, na uliczce prowadzącej do pubu tego staruszka, gdzie rośnie to wielkie drzewo, a pod nim leżą bazaltowe głazy. Tam, gdzie biją się chłopcy. Bardzo ją to zaniepokoiło. Nigdy nie wiadomo, o co oni się biją, może o złe spojrzenie z wczoraj, albo o jakąś masakrę sprzed wieków. Od razu wiadomo, że się biją, bo słyhać, jak gromadzą się gapie. A jak im się przyjrzeć, od razu można wskazać słabszego chłopaka, tego, który wie, że dostanie lanie.

Za dużo tych informacji, pomyślała Celine.

Najpierw pojawiał się chłopak i stawał pod drzewem. Duma nie pozwalała mu prosić o litość. Później przychodził jego prześladowca, trzepał go, okładał pięściami i kopał w głowę, a dziewczyny krzyczały: Jesteście jak zwierzęta, jesteście chorzy! Wtedy ten silniejszy odchodził i między głazy wchodziły dziewczyny.

No i o co chodzi?

O to, że córka Celine była pierwszą dziewczyną, która stanęła i czekała w cieniu drzewa koło tych głazów o postrzępionych krawędziach. Wszyscy wiedzieli, że chce się bić z Solosolo. Tymczasem personel szkoły każdego dnia po lekcjach z ulgą patrzył, jak Solosolo mija Gaby.

Gdy Solosolo odrzuciła kule, Gaby ją opluła, siostrę chłopaka, którego rodzice musieli mu sprawić prawdziwy pogrzeb *Fa'a Samoa*, kupić bilety lotnicze dla licznych krewnych i przybyłych wykarmić, a ledwie ich było stać na jedzenie dla nich

samych. Solosolo uderzyła Gaby w twarz tak mocno, że plaśnięcie było słychać nawet w pokoju nauczycielskim. Gaby była niższa, ale krępa i silna. Unikając ciosów Solosolo, walnęła ją tak, że tamta straciła równowagę i opadła rękami na żwir. Chłopcy zachowywali się paskudnie, jak stado hien. Tańczyli i rozdziawiali usta i dopiero nauczyciel od zajęć praktyczno-technicznych, pan Junor, i pani Aisen je rozdzielili.

Byłam załamana, wyznała Celine. Skłamałam, że zauważyłam jej rany, ale wyjaśniłam, że Gaby nie chce rozmawiać z psychologiem ani z nikim innym.

Proszę posłuchać, przerwała mi pani Aisen. Była dla mnie miła. Proszę posłuchać, powtórzyła. Położyła dłoń na mojej ręce i powiedziała, że moja córka jest bystrzejsza niż jej rówieśnicy. Interesowała się najtrudniejszymi najciekawszymi zagadnieniami dotyczącymi komputerów. Ma też bardzo silne poczucie dobra i zła, ale przecież na pewno o tym wszystkim wiem.

Jesteś socjalistką, to oczywiste, pomyślałam. Zamknij się, to była kolejna myśl. Nie mów mi, jaka jest moja córka.

A skoro jestem szczęściarą i mam taką córkę, ciągnęła pani Aisen, to na pewno chciałabym wiedzieć, że Gaby spędziła cały dzień, ukrywając się w kanale przed więzieniem w Pentridge. Jedna nauczycielka z podstawówki widziała, jak się tam kręciła. Stop. Zmiana kasety. Odtwórz.

Po śmierci Pelego, powiedziała Gaby.

Cofnij.

Po śmierci Pelego śledzili mnie. Interesowało ich wszystko, co robię. Kiedy chłopak bije się z chłopakiem, nikogo to nie obchodzi, za to dziewczyna, która bije się z dziewczyną, musi mieć

zaburzoną psychikę. Moi nauczyciele byli tacy mądrzy. Nie mieli wątpliwości, że uwięziłam sama siebie, żeby ukarać się za śmierć Pelego. Zadawałam sobie tortury, gnieźdząc się pod oknem celi ojca Frederica. Wyobrażałam sobie, że Frederic jest w więzieniu, więc ja też powinnam tam trafić. Skoro nikt nie chce mnie ukarać, zrobię to sama.

Jestem chuda, więc pewnie cierpię na anoreksję.

Jadam lunche, więc pewnie jestem gruba.

Ubieram się na czarno, więc pewnie lubię *gothic rock* albo *death punk*.

Jestem death punkówką, więc pewnie tnę się dla zabawy.

Gdyby zadali sobie trud, żeby mnie o to spytać, może nawet bym im powiedziała, że zaczęłam zaszywać się w kanale z powodu małego Troya, mojego jedyne go żyjącego przyjaciela. Kiedy Samończycy odwrócili się od nas, Troy stracił obstawę. Był wystawiony na zaczepki, na przykład ze strony Jasima, potężnie zbudowanego libańskiego chłopaka, który groził, że go rozwali za handel prochami.

Nikt nigdy nie ujmował się za Troyem. Teraz staliśmy obok siebie pośrodku kanału czy też tunelu w miejscu, w którym widzieliśmy światło na obydwu jego końcach. Troy powiedział, że jego ojciec jest lekarzem. Powiedział, że skrzyknie gang i stłucze Jasmina. Ja powiedziałam Jasminowi, że Troy wycofał się ze sprzedaży narkotyków. Odtąd handlował tylko po lekcjach, na ulicy koło mojego domu. Już ani razu nie przyszedł do kanału.

Zainteresowała się mną policja, więc poszłam tam, gdzie nikt nie udzielał mi dobrych rad i nie „wspierał mnie w żałobie” (proszę paść trupem). Nikt nie potrafił sobie wyobrazić, co

straciłam, ale gdybym wiedziała, że przypatruje mi się pani Aisen, dopuściłabym ją do siebie. Miała jedyna rzecz, na której mi zależało – komputer Mac IIx z 1988 roku, który raz w tygodniu taszczyła w górę i w dół po schodach. Miała też okrutne, sroczce oczy i miękkie, wróble serce. Nie wiedziałam, że przepełnia ją miłość, tęsknota i plany, by odmienić świat, więc nie pozwoliłam, żeby się domyśliła, jak bardzo zależało mi na tym, na czym mi zależało.

Ten Mac IIx był moim jedynym planem na życie. I jeszcze to, jak zdobyć telefon i modem. A później odnaleźć Frederica. Pewnie będzie na Altosie w Hamburgu. Nawet gdyby zmienił swój nick, zawsze rozpoznam swojego NPZ.

Się ma, to ty?

Tak.

To by mi wystarczyło.

Padalo tamtego dnia, kiedy pani Aisen nagadała na mnie mamie. Byłam sama w kanale. Rozmawiałam z Fredericem w myślach, na moim monitorze. Pięciocentymetrowy szlam obmywał moje pomarszczone stopy.

Wymyśliłam, mniej więcej, coś takiego:

Widać ciemne schody prowadzące z kanału na górę. Po zachodniej stronie jest małe otwarte okno.

>skręć na zachód

Dalej znajduje się czyste białe pomieszczenie. Frederic nie nosi już płaszcza. Jego skóra ma kolor kości słoniowej. On jest w transie.

Celine ruszyła w moją stronę, światło rozmywało zarysy jej sylwetki i nie wiedziałam, czy jest kobietą czy mężczyzną, czy jest

wysoka czy niska, młoda czy stara. Pomyślałam, że jest mężczyzną, czyli INTRUZEM. Światło latarki jeszcze bardziej ją deformowało.

Przyłgnęłam do ściany w cieniu przystani, słysząc odgłos pluszczących w wodzie stóp.

Jesteś w pieczarze karaluchów.

Kiedy snop światła przemknął ku mojej twarzy, krzyknęłam i odwróciłam głowę. Byłam wściekła, niemila, wrzeszczałam: Odejdź! Nie podchodź! Później prawie się przebudziłam i zobaczyłam, że matce leci krew w miejscu, gdzie zraniłam ją w ramię. Drżała, trzęsła się. Objęłam ją i pokuśtykałyśmy w stronę światła, jak szczury z kanałów. Koło podstawówki na Elm Grove poczułyśmy się skrępowane. Po powrocie do domu przygotowałam jej kąpiel, zrobiłam kanapki z masłem i z cukrem i namoczyłam je w gorącym mleku. Czego chciałam? Patrzyłam, jak je to jedzenie dla małych dzieci i powiedziałam, że się nie tnę. Wyjawiała mi, że matka Frederica zabrała go do Nowej Południowej Walii. Teraz przynajmniej wiedziałam, że mnie nie rzucił.

Spytała, czy byłabym szczęśliwsza w szkole w Carlton. Odpowiedziałam, że muszę się nauczyć programowania. Nie było to całkowite kłamstwo, ale tak naprawdę zależało mi na nawiązywaniu kontaktów w sieci. Wyobraziłam sobie palce Frederica całą noc przemykające po klawiaturze jak skrzydła ciem. Nawet teraz, kiedy z płaczem zasypiałam, wiedziałam, że kombinuje z kontem *root*, hasłami i wyjściami ewakuacyjnymi. Rodzice musieli mi kupić komputer i modem. Wtedy odnajdę Frederica na Altosie. Stworzymy s3kr4tny czat, na przykład tylko

dla dwójki użytkowników, gdzie będziemy mogli wymyślać, tworzyć, łagodnie do siebie przemawiać i świntuszyć.

Powiedziałam mamie, że muszę się nauczyć programować bez względu na to, jakie to trudne. Zamienię się w kujona, jakiego jeszcze nie spotkała. Wpatrywałam się w nią z takim promiennym, szalonym skupieniem, że miałam poczucie, iż mogłabym wyciągnąć ją z wody jak raka, wrzucić do garnka i zjeść na kolację. Byłam małą, samolubną krową.

Celine kazał mi się rozebrać, żeby sprawdzić, czy się nie tnę. Było to okropne, ale co mi tam. Stałam na łóżku, a ona poświeciła latarką na moje nie do końca dziewicze uda. Żeby zrekompensować mi to ponizenie, zafundowała mi lekcje obsługi komputera z panią Aisen. Czułam się winna, że ją na to naciągnęłam, więc dałam jej coś w zamian, choć niewiele – pokazałam jej flakonik z brązowym tuszem, który ci idioci wzięli za krew. Zaklinała się, że nie czytała moich listów, co było kłamstwem. Przeprosiła, że uwierzyła tym głupim pracownikom opieki społecznej. Mogłam poprosić, żeby kupiła mi komputer, ale nie miałam pojęcia, czy zdołam dopiąć swego. Tymczasem pani Aisen oznajmiła moim zdumionym rodzicom, że byłoby „zbrodnią”, gdyby hamowali moje zapędy do nauki.

21

Gaby zaniosiła pani Aisen pierwsze dziesięć dolarów. Po pół godzinie wróciła do domu spocona i zdyszana, dociskając do swoich małych piersi słoik z węzem tygrysim. Można się przerazić, powiedziała Celine, na widok jadowego stworzenia z łbem zmiażdżonym jak ząbek czosnku. A moja córka jaśniała, jakby ktoś ją pocałował.

A lekcja?

Muszę coś wziąć.

Co takiego musisz wziąć?

Dziewczyna uśmiechnęła się i postawiła słoik na półce między grochem a soczewicą.

Czego nie wzięłaś na lekcję?

Nie przejmuj się, uspokoiła ją Gaby. Jutro pouczymy się dłużej.

Pauza.

Odtwórz.

Gaby powiedziała mi o robotniczym domku z gliniastym ogródkiem warzywnym przy Darlington Grove, o jedną przecznicę od Patterson Street. Tam przyszła na świat Aisen, w łóżku swojej mamy. To właśnie jej matka użyźniła glebę kurzym łajnem

i wodorostami z jeziora. Jej ojciec też urodził się w Coburg. Miał na imię Mervyn. Dorastał w czasach, kiedy były tam tylko „skały i królicze nory” oraz pastwiska zarośnięte kolcowojami i *Genista monspessulana*. Zawsze znalazł się jakiś palant, który „rzucił zapalną” i wtedy płonęło wszystko, od McMahons Road aż do jeziora. Miliony wróbli i szpaków wlatywały w powietrze, przesłaniając słońce.

Pani Aisen uczyła się u św. Bernarda i w liceum przy Bell Street. Potem poszła do szkoły dla sekretarek, a jeszcze później – dla księgowych, gdzie zetknęła się z maszynami liczącymi firmy IBM, które już wtedy traktowano jak dinozaury. Potem uczyła rachunkowości w liceum przy Bell Street. Nigdy nie wyszła za mąż. Oszczędnie wydawała pieniądze. Kiedy na rynku pojawił się Mac IIx, stać ją było, żeby go kupić. I tak oto została „najstarszą hakerką w Melbourne”. Przewiń. Odtwórz. Nie była przestępczynią. Stop. Przewiń. Odtwórz. Zobaczyła Celine i Gaby, które wyłoniły się w parnej mżawce spod murów więzienia Pentridge. To ta śliczna aktorka, pomyślała, taka utalentowana, i jej gniewna, brzydka córka koczująca w kanale. Ale pani Aisen przyszła na świat właśnie po to, żeby rozwiązywać takie problemy. Każdemu według potrzeb, itd. Przewiń. Zjawiwszy się u niej pierwszy raz w tamten sobotni poranek, Gaby odkryła, że pani Aisen mieszka na wyspie białych ludzi. Jej sąsiadem z jednej strony był pan Howard, który szkolił pracowników Państwowych Zakładów Lotniczych. Po drugiej stronie mieszkali Alice i Bob McNaughtonowie. On „robił” w tartaku przy Gaffney Street i hodował gołębie, do których, zdaniem taty pani Aisen, można się było przyzwycząić. Najstarsza hakerka w Melbourne miała kiedyś

ogródek od frontu, ale teraz stały tam taczka, zardzewiałe subaru i skuter z koszykiem na zakupy z tyłu.

Gaby pojawiła się tam w szortach i boso. Przecisnęła się obok stojaka na rowery i dotarła na werandę wyłożoną ładnymi, chłodnymi deskami. Kiedy zapukała, drzwi otworzył tata pani Aisen. Mervyn był niski i żylasty. Miał na sobie granatowy podkoszulek i plastikowe klapki. Wyglądał jak „gość z charakterem”; owszem, emeryt, ale dziarski, taki, który lubi się zabawić. Przez jedno opalone ramię przewiesił sobie ścierkę, a w prawej ręce trzymał martwego węża tygrysięgo.

Gaby dorastała pośród „osobowości” z Labor Party. Była też obeznana z wężami znad Merri Creek – *Pseudonaja textilis*, wężami tygrysimi i *Pseudechis porphyriacus*. Z uniesionymi łbami krążyły wokół wraku samochodu, w którego wnętrzu Gaby paliła papierosy z Solosolo.

Ma pan tygrycha, rzuciła.

Zgadza się, tygrych. Miał orzechową czaszkę, pełną cętek i przebarwień. Uśmiechnął się, ukazując błyszczący złoty ząb.

Ja do pani Aisen, wyjaśniła Gaby. (Po tym, jak czaszka węża została zmiażdżona).

Spotkał go pan nad strumieniem?

Liczył na tête-à-tête. Wiesz, co to znaczy, spytał.

Tak.

Pewnie, że wiesz.

Miał komiczne brwi i krzywe nogi, całe ogorzałe od słońca.

Kiedyś dziabnął mnie tajpan, dodał, otwierając przed nią drzwi.

Nie wątpię. (Nauczyła się takich odzywek, słuchając ojca).

Klapki Mervyna plaskały o zalaną porannym słońcem podłogę. Dziewczyna wyczuła zapach przypalonych tostów, świeżo skoszonej trawy i wody zraszającej rozgrzaną ziemię.

Myślałam, że ukąszenie tajpana to pewna śmierć.

Babskie gadanie.

I co – opaska zaciskowa?

Piwo i valium.

Kiedy dotarła do kuchni, już się uśmiechała. Pomieszczenie było niewielkie, pomalowane na jaskrawożółty kolor, wypełnione słońcem, obwieszone czosnkiem i ziołami. Sterty gazet pod ścianami, tablica z nazwiskami i datami, stół z laminowanym blatem i trzy różne krzesła.

Mervyn wyszedł przez siatkowe drzwi na tyły domu.

Masz gościa.

Ujrzała przed sobą znajomy komputer, IIx, który znała ze szkoły.

Wynieś go nad strumień, zawołała pani Aisen, zanim zacnie cuchnąć.

Obok komputera stał modem, jasnoczerwone widełki. Był to zapewne jedyny taki modem akustyczny, który przetrwał w Melbourne, ale nie miałam o tym pojęcia. Jak rozumiałam, należało zdjąć słuchawkę telefonu pani Aisen i tam go umieścić. Gdybym się tylko ośmieliła, gdybym tylko miała jakąś ukradkową okazję, mogłabym dzięki niemu wejść na Altos.

Pani Aisen miała na sobie szorty, podkoszulek bez rękawów i rękawice ogrodowe. Jej twarz lśniła od potu.

Czyli chcesz się nauczyć kodować, zagadnęła.

Marzyłam wyłącznie o tym, żeby znaleźć się w trybie online. Ale uparłam się przy kodowaniu. Nie jakiś język dla maluchów, powiedziałam.

BASIC to właściwy język. Od bitów zabawy do bitów trudnych.

Będę mogła napisać program w BASIC?

A czemu ma służyć?

Zabawie, odparłam, tęskniąc do tych jasnoczerwonych widełek.

Wiesz, co to jest?

Co?

To, w co się wpatrujesz.

Modem?, spytałam.

Widziałaś już kiedyś coś takiego?

Naucz mnie pani?

W wypowiedziach zarejestrowanych na kasecie Gaby w komiczny sposób podkreślała własną dwulicowość. W końcu była córką swojej matki-aktorki.

Nauczę cię programować, powiedziała pani Aisen. Potraktujemy to jako dodatkowy projekt, ale nie zrezygnujemy z nauki języka BASIC.

Na tym mi raczej nie zależy.

Jeśli podchodzisz to tego poważnie, to potrzebujesz właśnie BASIC.

To może jednak nie.

Czy panią Aisen zaintrygował jej opór? Z pewnością, przecież była nauczycielką, ale nagle jej ojciec zażądał słoika, w którym chciał umieścić węże. Miał już trzydzieści cztery węże w słojach, które zamierzał przekazać muzeum w Melbourne. Pani Aisen rozwiązała problem i wróciła do swojej uczennicy.

Gaby, o co ci tak naprawdę chodzi?

Dobra, dobra.

Słucham?

Zaczyna pani zrzędzić.

Myślę, że powinniśmy trochę bardziej sobie zaufać.

Kiedy mogę znowu przyjść?

Nie chcesz mieć teraz lekcji?

Nie.

Jutro rano. Dlaczego?

Muszę po coś pójść.

Po co?

Naprawdę mogę przyjść jutro rano?

Nagle Mervyn zaczął się dopominać o uwagę.

Oczywiście pani Aisen jak zwykle się nim zajęła, bo – jak mu powiedziała – była jego wycieraczką. Dała mu wek. Zwinął w nim węza, zalał zabronionym do użytku domowego formaldehydem i poprawił zwoje. Kiedy skończył, pani Aisen wróciła do swojej uczennicy, ale już w towarzystwie ojca, który, stanąwszy tuż za nią, polerował ten okropny słój czystą, białą ścierką.

Jak ci się podoba, młoda damo?

Dziecko wypiękniało.

Mam dla ciebie prezent.

Dziewczynka wyciągnęła rękę i pogłaskała palcem wskazującym miejsce, w którym zmiądzona głowa węza dotykała szkła.

Śliczny, powiedziała.

Dam trochę superkleju, żeby się nie otworzył.

Patrząc, jak ojciec dokleja pokrywkę, pani Aisen zauważyła rozjaśnioną twarz dziewczynki. Obserwowała, jak mała idzie z węzem w słoju, podskakując i tańcząc na żwirze, jak to latem, na parkingu. Kto nie pragnąłby całym sercem być nauczycielem?

Rzecz jasna zbieg był nad rzeką Hawkesbury i jego wzrok ani razu nie spoczął na cierpkiej, małej pani Aisen. Nie poczuł też zapachu holu jej domu, pasty do podłogi w kuchni, kuchenki ani grzejących się w słońcu plastikowych krzeseł z lat pięćdziesiątych. Mimo to nie ulegało dla niego wątpliwości, że jego informatorka znalazła tam nie tylko przestarzały modem, ale też przybranych dziadków. Każde z nich – na swój sposób – było gotowe bezwarunkowo ją pokochać i tym samym dostarczyć jej historii. Gaby nie zdawała sobie sprawy, że brakowało jej tej historii.

Jej pierwsze wspomnienia z Darlington Grove dotyczą ilasto-gliniastej, suchej albo mokrej ziemi i są interesujące wyłącznie dlatego, że pozostają tak wyraźnie oderwane od wszystkich dotychczasowych doświadczeń Gaby.

Jej określenia opisujące Mervyna Aisena (np. „stary piernik”) wskazują na swobodę, której nie odczuwała w trakcie ich pierwszego spotkania. W rzeczywistości, gdy pojawiła się w ich kuchni, miała zamiar oszukać oboje, o czym mówiła nie raz (przewiń), lecz wielokrotnie. Czmychnęła z pierwszej lekcji, żeby zebrać kolekcję zgromadzonych haseł i kodów dostępu. – Nie

rozumiesz – powiedziała. – Nie możesz zrozumieć, co wtedy czułam. Już nie musiałam umierać. MOĞŁAM UŻYWAĆ MODEMU PANI AISEN. Zupełnie jakby Frederic przewidział ten moment i zebrał wszystko, czego będę potrzebowała, kiedy go przy mnie zabraknie.

Już wcześniej dostrzegł czekające nas problemy. Na wypadek, gdyby nasze pliki zostały skasowane albo zarekwirowane, schowaliśmy je w miejscu, w którym nikt by ich nie szukał. Na papierze. Widuje się, jak policja federalna wychodzi z podmiejskich domów z kartonowymi pudłami pełnymi dyskietek, twardech dysków, kabli i modemów. A czy widzieliście ich z *Władcą pierścieni*?

Frederic ukradł dwa egzemplarze z księgarni przy Lygon Street i przemieniliśmy je w papierowe mózgi. Przyporządkowaliśmy numery do dziesięciu najczęściej występujących liter: a, e, i, o, u, h, n, r, s, t. (a=1, t=10). Myślicie, że australijscy policjanci z wydziału do walki z przestępczością komputerową zajrzeliby do *Władcy pierścieni*? Czy zauważyliby dziurki po szpilce? Czy wpadliby na to teraz, choć minęło już tyle lat? W jednym tomie było tyle numerów 800, ile jeżyn rosnących przy drodze do Eildon. W każdym razie był tam dwunastocyfrowy NUA Altosa: tom trzeci, rozdział trzeci: „Przegląd Sił Rohanu”.

Gaby wróciła w niedzielę do domu przy Darlington Grove, ale zabrakło jej zimnej krwi. Wybłągała kolejną lekcję, za którą znowu z poczuciem winy zapłaciła dziesięć dolarów, ale i tym razem puściły jej nerwy. – Był cholerny upał – tłumaczyła się – letnie wakacje. Matka dostała rolę w filmie i wyjechała na zdjęcia do Mount Macedon. Oczekałam trzy dni w pustym domu, po

czym zjawiłam się u Aisenów tak wczesnym rankiem, że obarczyli mnie obowiązkiem zebrania drew do bojlera podgrzewającego wodę na kąpiel. Wciąż miałam na twarzy siniaki po wypadku, ale uznali, że jestem grzeczną dziewczynką, choć w istocie byłam złodziejką i włamywaczką. Zaparzyłam im bardzo mocnej herbaty, jak lubili, i przygotowałam dwie kanapki z serem na ciepło. Mervyn poszedł do jakiegoś faceta w sprawie psa, a ja siedziałam, czekałam i patrzyłam, jak pani Aisen połyka ciemnobrązowy napar. Kiedy zaczęło grzmieć, wyszła, żeby zaciągnąć zasłonę nad grządkami sałaty. Miałam prawie wystarczająco dużo czasu, ale nie dość. Te stare Maki długo się ładowały.

Musiałam zatem znieść jeszcze jedną lekcję pisania programów w języku BASIC. Miałam na jego temat jedynie opinie z drugiej ręki – że ma tłusty tyłek i zajmuje zbyt dużo miejsca. Aisen nie mogła pojąć, dlaczego jestem jednocześnie tak zdesperowana i tak znudzona.

Uczy poprzez gry, wyjaśniła i kazała mi wybrać jakąś dla siebie.

Doktor Who na Marsie, palnęłam, bo lubiłam się popisywać. Kazała mi dzielić różne rzeczy na kategorie. Wymyśliłam „kategorię Świat” i „kategorię Aktor”. Byłam zniecierpliwiona. Mars należał do kategorii „Świat”, a Doktor Who do „Aktor”. Musiałam sprawić, żeby Doktor Who mógł się przemieszczać. Nie wszyscy aktorzy będą mieli potrzebę przemieszczania się, więc kazała mi utworzyć podkategorię „Przemieszczaczy”. I tak dalej, bez końca. Byłam kompletnie znudzona.

Próbowałam ją zmanipulować, żeby zostawiła mnie samą. Powiedziałam, że popracuję nad tym samodzielnie, a później

pokażę jej efekt.

A ona na to: „Dobrze, kontynuuj” i nie wychodziła.

W końcu „wezwała ją natura” i poszła do „biblioteki”, czyli do wychodka w ogródku. Kiedy tylko trzasnęły siatkowe drzwi, rozległ się grzmot. Telefon stał na biurku, tuż obok mnie. Wystarczyło tylko położyć go na modemie, z którym idealnie się zespalał, niczym z kochankiem w łóżku. 800. Pamiętacie ten stary sygnał połączenia? Nagle byłam W ŚRODKU Minerva. Wyjęłam z kieszeni NUA Altosa. Wchodzę dalej. Strona intro Altosa, którą zobaczyłam pierwszy raz w pokoju mojego ukochanego, wydała mi się teraz taka słodka i znajoma. Miałam nadzieję, że Frederic czeka na mnie na moście.

WITAJ NA CZACIE ALTOS HAMBURG!

Jaki jest twój nick?

Upadły Anioł

Skąd jesteś?

Undertoad, gdzie jesteś? Muszę porozmawiać.

Cwana z ciebie smarkula, powiedziała pani Aisen.

A ja jej na to: Nie rozumiem. O co pani chodzi?

Ale ona dobrze wiedziała, co zrobiłam. Spytała, jak się tam dostałam. Wybuchnęłam płaczem. Zapłacę pani. To lokalne połączenie.

Do kogo?

W końcu powiedziałam jej, że ta strona nazywa się Minerva.

Chwyła mnie za barki silnymi, małymi dłońmi, ale kiedy powiedziałam „Minerva”, puściła mnie. Dobrze, wyloguj się. Patrzyła na mnie z rękami skrzyżowanymi na piersi, odchylając głowę.

Teraz się zaloguj.

Pomyślałam, że nie ma do tego prawa. I że Frederic mnie zabije. Patrzyła, jak wchodzę w Minervę i przedstawiam się na Altosie. Moje umiejętności były niemal na wyczerpaniu.

Speedball: Witaj ponownie, Upadły Aniele. Co tam? Co k... z tym Undertoadem?

Kim jest Undertoad?, spytała Aisen.

Nie odpowiedziałam.

To ten chłopak, który ma kłopoty?

Wbiłam w nią wzrok, a ona dotknęła mojej głowy jak ktoś, kto nigdy nie miał w domu zwierzaka. Pokaż, co jeszcze potrafisz, powiedziała.

Pozwoli mi pani korzystać z modemu?

Tak, jeśli to połączenie lokalne.

Pani Aisen przyglądała się ludziom w sposób, który trudno opisać. Jakby w twoim kodzie genetycznym był jakiś błąd, który starała się odkryć, przeszukując kawałek po kawałku.

Znajdziesz go, powiedziała. Miała blado piwne oczy, zbyt przejrzyste, by coś mogło im umknąć.

Skąd pani wie?

Znajdziesz.

Nie mogła tego wiedzieć. Frederic pojechał wtedy z hipisami do Nimbin i nie miał dostępu do Internetu – ale jej uwierzyłam.

Nad nami szalała burza, ale połączenie było znośne. Spróbowałam zabrać moją mierzącą metr pięćdziesiąt nauczycielkę w podróż. Chciałam pokazać, że potrafię to robić, ale nie zamierzałam niczego jej zdradzać.

Dobry Boże, westchnęła. Coś takiego!

Bóg jeden wie, co wtedy myślała. A potem, kurczę blade, suka mnie wylogowała. Tak właściwie to na nią krzyknęłam, zapominając, gdzie jestem. A ona na to: Naprawdę chcesz iść do więzienia?

To, co robiłam, nie było nielegalne. Ja tylko wybrałam numer. To nic złego.

Ale hasło wykradłaś?

Nawet dziecko by się domyśliło.

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Umiała przemienić się w groźną starszą panią. – Lepiej wracaj do domu, do matki, rzuciła. Nie pomogę ci łamać prawa.

Powiedziała pani, że odnajdę swojego znajomego.

Tak, ale teraz lepiej idź do domu.

Teraz już wiem, że mnie lubiła i po prostu jak wszyscy bała się policji, ale wtedy byłam wściekła, czułam się oszukana i zdradzona. I jeszcze kompletnie bezsilna.

Ale będzie mnie pani uczyć programowania w BASIC? Muszę poznać ten język, dodałam, co było oczywistym kłamstwem. Tylko że pani Aisen uwielbiała uczyć. Dlatego to powiedziałam, nie przypuszczając, że to kłamstwo może któregoś dnia stać się moim życiem.

Powtórzyła, że nie pomoże mi łamać prawa.

To co ja zrobię?, spytałam z płaczem, bo bez niej nie byłam w stanie odnaleźć Frederica. Muszę nauczyć się języka BASIC. Zawodziłam bez końca, żeby wzbudzić jej współczucie. Chciałam, żeby znowu mnie zaprosiła i dała jeszcze jedną szansę.

Dobrze, powiedziała. Przemyślę to. Ale teraz wracaj do domu.

Wróciłam. Pokoje były ciemne, puste i wypełnione odgłosem deszczu. Nie wiedziałam, co robić. Byłam zła i przerażona, że odkryłam przed nią tajemnice Frederica. Na lodówce stało wino w kartonie. Nalałam go do kieliszka. Było czerwone i gorzkie. Nie smakowało mi, ale później zasnęłam i śniłam. Pisałam program w jakimś niezwykłym języku, który był też muzyką i czymś w rodzaju wykresu. Zadanie polegało na tym, by wykres szedł w górę. Było to programowanie połączone z zabawą. Nagle dotarło do mnie, że to wszystko jest bardzo proste. Wykres szybował w górę, coraz wyżej i wyżej. Miałam poczucie kulminacji, elegancji, doskonałości. Może nawet przeżyłam orgazm. Wykres wyszedł poza monitor i usłyszałam słowa: „Przebiłaś się!”. Pomyślałam, odzyskałam go, odnalazłam mojego chłopca jeża. Wtedy się obudziłam. Byłam smutna i przygnębiona, bo dotarło do mnie, że zabiłam Pelego, a wszystko w tym pustym domu było pieprzoną bzdurą, gównem i ohydą.

23

W łazienkowym lustrze moje usta były spierzchnięte i czerwone od wina. Przemyślałam spuchnięte oczy i schłodziłam je przed otwartą lodówką. Była ósma wieczorem, ale zostawiłam żaluzje zaciągnięte jak za dnia, kiedy powstrzymywały upał. Przez sen słyszałam dzwonek telefonu. Teraz znów brzęczał. Tak jak wcześniej, nie było żadnych wiadomości – ani od matki kręcącej film w Mount Macedon, ani od Wielkiego Sandy’ego, który pojechał na konferencję pod hasłem „Socjalizm w szortach”. Pewnie chodziło o to, żeby brzmiało lekko. Tak czy siak, nie wróci na noc do domu. Zebrałam monety z podłogi w jego gabinecie. Wystarczy na pizzę.

I nagle bum, bum, bum do drzwi. Pani Aisen wołała moją mamę, a ja, niczym Gregor Samsa w ciemnościach, podglądałam ją przez szparę pod żaluzją. Stała tam, oświetlona sodowym blaskiem latarni – letnia sukienka, chude nogi i wykonana w domu fryzura. Zeszła z ganku i otworzyła piskliwą boczną furtkę. A później bum, bum do drzwi kuchennych.

Gaby, zawołała. Wiem, że tam jesteś. Drzwi trzęsły się we framudze.

Kiedy wreszcie dała za wygraną i odeszła, wiedziałam, że będę miała jeszcze większe kłopoty. Powie moim rodzicom, że jestem kryminalistką.

Podkradłam tacie koperty z nadrukiem parlamentu. Zamknęłam się w łazience i przy desce od sedesu napisałam do Frederica Matovica zwykły list do odbioru na poczcie w Nimbin, Uki, Murwillumbah, Byron Bay, i Bangalow, do wszystkich znanych mi hipisowskich miasteczek na północy Nowej Południowej Walii. Błagałam, żeby do mnie wrócił. Wypiłam jeszcze jeden kieliszek wina i wyobraziłam sobie, jak robię z nim różne rzeczy.

W końcu zasnęłam.

Rano miałam usta jak stary dywan, kwas w żołądku i przerąbane życie. Nie podniosłam żaluzji i nie otworzyłam okien z obawy przed panią Aisen. Usmażyłam jajka, po których zebrało mi się na wymioty. Wróciłam do swojego pokoju i wygładziłam koperty, które pogniotły się w nocy. Nagle usłyszałam trzy mocne puknięcia w szybę. Chwała Bogu, Troy. Zaniesie listy na pocztę.

Uniosłam żaluzję i zobaczyłam Aisen. Może powinnam była się rozplakać albo stanąć jak wryta, ale uciekłam do łazienki i zamknęłam drzwi. W końcu sobie poszła.

Później zajrzałam do szuflady Sandy'ego, żeby poszukać znaczków. Wypiłam kieliszek wina i umyłam zęby. Myślałam tylko o jednym: Undertoad, gdzie jesteś? Wydarłam najlepsze zdjęcia z miesięczników komputerowych „Macworld”. Zniosłam do kuchni kartony po winie, wyjęłam nóż introligatorski, flamaster i szpulkę srebrnej, wodoodpornej taśmy klejącej. Nim nadeszła pora lunchu – choć zabrzmiało to niedorzecznie – przygotowałam

pełnowymiarową makietę modelu Mac IIx. Wynikało to z desperacji, ale właśnie tak rozmawialiśmy z tatą, kiedy okazywaliśmy sobie miłość. W sobotnie popołudnia siadaliśmy na podłodze, jedliśmy pizzę, piliśmy colę i robiliśmy razem różne rzeczy. Nazywają to wołaniem o pomoc. Ale śmieszne!

Byłam piekielnie głodna i jednocześnie chciało mi się wymiotować, a jednak skonstruowałam kartonowy monitor, klawiaturę i podwójny napęd z logo firmy Apple. Wycięłam też trzy dyskietki przypominające te prawdziwe. Wszystko było gotowe po południu, na jego biurku, kiedy pojawił się w swoich socjalistycznych szortach i klapkach. Schowałam się w kącie za sofą, żeby popatrzeć, jak się uśmiecha. Przestraszyłam go. Wybuchnął śmiechem i mnie przytulił. Tak! Teraz na pewno kupi mi komputer, pomyślałam. Zamówił pizzę i colę. Wyciągnęłam wtyczkę telefoniczną, żeby Aisen nie mogła mu donieść, że złamałam prawo Związku Australijskiego.

Kiedy zaczął zmywać po mnie oblepione jajkiem talerze i patelnie, zrozumiałam, że nie kupi mi tego, czego tak potrzebowałam.

Powinnaś więcej przebywać na słońcu, powiedział, i wyszło na to samo, tyle że użył innych słów. Czemu tu się dziwić? Zawsze byliśmy spłukani, ale jako mała, uparta krowa zaczęłam nalegać. Kiedy przywieźli turecką pizzę, przeniosłam mój obiekt kultu na stół w kuchni. Sandy roześmiał się i znów wstąpiła we mnie nadzieja. Wciąż trzymałam się jej, mimo że mówił „nie” na najróżniejsze sposoby, np. zarzucając, że jestem bardzo blada. Musisz wychodzić na słońce, powtarzał, jakby złapanie raka skóry mogło mieć dobry wpływ na moją przyszłość. Powinnam chodzić

na basen w Coburg. Nie wspomniałam mu, że Samoanki tylko tam czekają, żeby mnie zlać.

Spytałam, czy mogę dostać kieliszek wina. Odpowiedział, że tak, ale tylko jeden. Sam wypił dwa albo trzy. Mówił do mnie „słonko”. Był zły, że mama nie może wziąć wolnego od zdjęć, żeby pójść z nim na jakąś imprezę. Zieloni zachowywali się nierozsądnie. Musiał im jeszcze raz pokazać, że opowiada się przeciwko planom wybetonowania Merri Creek. Gdyby zaprosili go Grecy albo Turcy, od razu by do nich pomknął, ale ci byli „obrońcami środowiska”, czyli w domyśle biali. Oczywiście głosowali na niego, więc skoro chcieli, żeby przyszedł z żoną i zasadził parę drzew, to będzie cholernie lepiej, jeśli tam pojedzie.

Byłam podstępna i zazdrosna smarkulą, dlatego skwitowałam śmiechem pomysł, że moja matka mogłaby sadzić drzewa. Zabronił mi tak mówić, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. Brnęłam dalej. Śmiałam się tak histerycznie, że aż cola wyleciała mi przez nos. Sandy powiedział „dość”, ale odparłam, żeby wyobraził sobie, jak Celine sadi drzewa, wściekła na wszystko, co stawia jej opór, nie tylko na łopatę, ale i na samą ziemię, którą będzie utożsamiać z siłami zła.

Uznał to za przezabawne. Jego górna warga wydłużyła się, a nozdrza zwężyły. Celine uwielbia wieś, ciągnęłam, ale w tej miłości jest dużo szkła – w kieliszkach na wino i w okiennych szybach, które zatrzymają na dworze te paskudne insekty.

Nie. Nie wolno ci tak mówić o swojej mamie.

Jak mogłam go nie kochać? Odnosił się w ten sposób do wszystkiego. Trzeba go było widzieć wśród wyborców – nieśmiałe uśmiechy, nosowe arabskie głoski, chropowate greckie. Był wysoki

i silny. Świetnie wyglądał w szortach, a kiedy kogoś słuchał, krzyżował ręce na piersi, pochylał się i wtapiał w jego życie.

Zaproponowałam, że pojedę z nim sadzić drzewa zamiast Celine. Kiedy to teraz wspominam, rozumiem, że był to początek mojego życia. Stało się to w czasie, kiedy Sandy wciąż był dla mnie bohaterem i zrobiłabym dla niego wszystko, nawet pozwoliła, żeby mnie zabił w wypadku samochodowym. Nazajutrz wczesnym rankiem pędziliśmy naszym volvem wzdłuż Carr Street na spotkanie z wolontariuszami, unikając zabójczych ciężarówek i furgonetek. Sandy był beznadziejnym kierowcą. Powinien był obserwować drogę zamiast pokazywać mi atrakcje w ogołoconym krajobrazie – koparki i dźwigi gotowe przemienić ten niekochany strumień w porządną ściek. Słońce dopiero co wstało. Padlinożerne mewy szybowały w ciepłych prądach powietrza wysoko nad cuchnącymi wysypiskami.

Biali wolontariusze czekali na nas w swojej flejowatej chwale nad zanieczyszczonym, śmierdzącym strumieniem, który miał mnie naprowadzić na właściwą ścieżkę. Tylko udawałam radość, kiedy niosłam skrzynkę z kępami trawy do zasadzenia. Jakiś chłopak z nieudaczną hipisowską fryzurą próbował zachować równowagę, targając jednocześnie trzy motyki i łom.

Właściwie nie zwracałam na to wszystko uwagi. Skarpę trudno było nazwać brzegiem strumienia; tworzyły ją zepchnięta przez buldożery ziemia i zalegające latami śmiecie. Widać było stamtąd biedny, popierdolony Merri Creek przecinający Coburg niczym żyłka ciało martwej krewetki. Zejście było strome i obrośnięte fenkułem, który sięgał mi do ramion. Wokół unosił się zapach pleśni. Teren nad wodą zajmowały fabryki, a poniżej stały słupy

trakcji elektrycznej. Bieg strumienia wyznaczały porzucone wraki samochodów i zepsutego sprzętu, a wśród nich uszkodzony żuraw z długim stalowym wysięgnikiem skręconym niczym łabędzia szyja.

Już panował zabójczy skwar i choć niebo miało brudnoszary kolor, czułam, jak upał przenika przez moją koszulę z długimi rękawami.

Kiedy dotarłam do naturalnego brzegu strumienia, tuż nad taflą wody zobaczyłam równo wkopane w ziemię jutowe płachty. Pośród smrodu i pokrzykiwań mew uwijali się kobieta i mężczyzna w rytmie pewnych siebie ogrodników przycinających byliny. Kopali dołki w ziemi pod moje trawy. Tego dnia byłam grzeczną dziewczynką, która chętnie pomoże im i tacie.

Gaby!, zawołała pani Aisen.

Byłam tak zawstydzona, że nawet nie mogłam na nich spojrzeć, ale zaczęli mnie pośpieszać, odłożyli narzędzia, przejęli skrzynkę z trawą i poprowadzili ze ściółki na mały, kraciasty kocyk. Pani Aisen dotknęła ręką mojego policzka i pogłaskała mnie, tak samo jak wcześniej, kiedy dotknęła mojej głowy.

Zjedz czekoladowe ciasteczko, zachęciła.

Odparłam, że dopiero co jadłam śniadanie. Mój święty ojciec stał niebezpiecznie blisko, przy brzegu strumienia. Nie miał pojęcia, co wtedy czułam.

Mervyn wyjął termos z herbatą. Wzięłam kubek i usiadłam na kocu. Aisenowie zachowywali się bardzo miło, co jeszcze bardziej mnie przeraziło. W końcu poczęstowałam się tym ciasteczkiem. Dlaczego tak się uparli, żeby ze mną rozmawiać? W ogóle tego nie

rozumiałam. Oczywiście ci mili ludzie lubili mnie, może nawet kochali, ale jeszcze to do mnie nie docierało.

Mervyn powiedział, że każda krzywda w Coburg bierze początek w więzieniu Pentridge. Szefowie budują więzienia, dodał. Pomyślałam, że pewnie chce mi powiedzieć, że ja też skończę w więzieniu.

Do budowy więzień potrzebny był kamień, wyjaśnił. Dlatego powstało wiele kamieniołomów, a później władze robią tam wysypiska i wyrzucają wszystko, czego nikt nie chce.

Pani Aisen wpatrywała się we mnie w taki sposób, że wiedziałam, iż muszę udawać, że słucham jej ojca.

Mervyn wychował się przy ulicy niedaleko miejskiego wysypiska i nawet przywykł do bijącego od niego smrodu. Przepływał przez nie strumień.

Mewy uwielbiają to miejsce, prawda?, zachęciła go do dalszych zwierzeń pani Aisen. Dopiero wieczorem przenoszą się nad ocean.

A ja wciąż czekałam na to, żeby przeszli do rzeczy, ciągnęła Gaby. Nie wiedziałam, że właśnie o to im chodziło, o rozmowę. Pojawił się fotograf z „Coburg Times” i mój ojciec zaczął grzebać łomem w ziemi na tym cmentarzysku przerdzewiałego metalu.

Kiedy kawałek ziemi spotka już jakaś krzywda, tłumaczył Mervyn, wszyscy chcą ją skrzywdzić jeszcze bardziej. Kiedy dokona się pierwsza dewastacja, będzie to idealne miejsce do wybudowania oczyszczalni ścieków. Później strumień się reguluje i przemienia w kanał. Można też poprowadzić tędy obwodnice i do woli dalej dewastować ten obszar.

Pani Aiden głaskała koc. Trochę się do niej przysunęłam. Zdałam sobie sprawę, że jej komputer może nie jest tak całkiem

poza moim zasięgiem.

Spece z miejskich wodociągów postanowili uczynić z tego strumienia jakiś cholerny kanał, perorował Mervyn. Wpatrywałam się w niego, jakby mnie to naprawdę interesowało.

– Już uregulowali jeden z odcinków, wyjaśniał. Tego, co wydobyli z dna, nie wywieźli, tylko zostawili jako wielkie, cuchnące, wilgotne hałdy. Ściągnęli tu tego żurawia. Wyrównali dno, wyrzucając na brzeg toksyczny muł, który został z powrotem zmyty do strumienia. Sadzawki, w których pływałam w dzieciństwie, mają teraz ledwie dwadzieścia pięć centymetrów głębokości. To przez tego kundla. Mervyn miał na myśli żurawia ze skreconą szyją.

Tymczasem tata i fotograf zaczęli do mnie machać.

To pan Quinn, powiedział Mervyn. Nasz poseł.

To mój tata, pochwaliłam się.

Quinn?, zdziwił się Mervyn. Kompletnie go zatkało. Przecież nie nazywasz się Quinn.

Pauza na mikrokasiecie. Odtwarzanie kaseta C120.

Aisenowie wiedzieli kto jest moim mężem, odezwała się Celine. Zawsze. Od naszego pierwszego spotkania pani Aisen wiedziała, że nazywam się Baillieux i że ojcem Gaby jest Sandy Quinn. I nagle zaczęli udawać, że nie mają o tym pojęcia. Byli parą cwanych ptaszków.

24

Gaby była dzieckiem Partii Pracy. Nawet gdy jej rodzina się rozpadła, podczas kampanii wciąż rozdawała partyjne ulotki, odbierała telefony w sztabie wyborczym i występowała w roli torebki Sandy'ego, kiedy Celine zerwała kontakty z lokalnym oddziałem partii. Sprawa Merri Creek stała się tu punktem zwrotnym.

Gaby przyszła do parlamentu, żeby wysłuchać przemówienia ojca. Nie pierwszy raz, ale pierwszy raz z własnej woli. Słyszała, jak opowiada o Koalicji Zielonych sojuszu Miejskich Wodociągów, trzech lokalnych samorządów i wszystkich lokalnych grup nacisku. Była bystra. Słuchała z uwagą. Dumę ojca wynikającą z jej zaangażowania politycznego przyćmiewały jedynie obawy związane z wpływem, jaki miał na nią Mervyn Aisen.

Sandy nie uczynił nic, by zniechęcić ją do działalności politycznej, lecz gdy zaczęła regularnie wspierać Aisenów, najpierw podczas akcji nad strumieniem, a potem w szkółce leśnej organizacji VINC, stał się może nie tyle zazdrosny, ile z pewnością zaniepokojony. A jednak nie okazywał jej tego. Demonstrował za to radość. Ani razu nie zaspął, żeby ucałować ją,

gdy bladym świtem wychodziła z domu. Witał ją też o zmierzchu, kiedy wracała cała rozploniona, spocona, podrapana i zakurzona. Schudła, lecz był na tyle mądry, by o tym nie napomykać. Z opalenizną było jej do twarzy.

Celine znów wyjechała na plan filmowy. I dobrze. Ojciec i córka byli do siebie podobni. Kiedy przebywali razem, byli jednocześnie gadatliwi i milczący, serdeczni i pełni rezerwy. Na przykład Gaby nie wspomniała ojcu, że codziennie spędza dziesięć minut w domu przy Darlington Grove, gdzie pozwalano jej logować się do Altosa. Nie powiedziała mu też, że odnalazła Frederica. Sandy nie mówił jej o układach i oszustwach w polityce i nie cytował zdania, którym dzielił się ze wszystkimi oprócz niej: „Nie wiem, dlaczego zrobił mnie w balona. Nigdy nie wyświadczyłem mu żadnej przysługi”. Sam nie wiedział, że kolacje przygotowuje mu „Upadły Anioł”. Otwarcie spierali się na temat Merri Creek i jego odwiecznych wrogów, miejskich planów urbanistycznych, obwodnic, przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjnego MetWat i Państwowej Komisji Energetyki. Sandy nie ryzykował i nie mówił jej, że Aisenowie to zbzikowana lewica, maleńka frakcja oddziału partii w Coburg, zwalczająca każdego laborzystę, który miałby szanse na wygraną wyborów i mógłby zostać premierem. Bezpieczniejszym tematem byłoby zasugerowanie, żeby goliła pachy, a i na to nie starczało mu odwagi.

Najwyraźniej to Aisenowie pożyczyci jej sfatygowany egzemplarz książki *Kiedy spaliśmy* tego cholernego Feliksa Moore'a. Sandy nie spytał jej o to, nie musiał, lecz dumę z córki tłumił lęk, że w końcu ją utraci.

Oznajmiła mu: Kapitalizm jest jak byk szarżujący na kurnik z okrzykiem „Każdy żyje dla siebie!”.

Sandy dobrze wiedział, od kogo to usłyszała.

Inne zwariowane opinie Mervyna również trafiały pod jego dach. Na przykład: Jim Cairns interesuje się jedynie kapitalistami czerpiącymi zyski. Albo: Bob Hawke wykorzystał swój autorytet moralny, by zapobiec strajkowi generalnemu w 1975. „Hawkie wciąż przesiadywał w ambasadzie amerykańskiej. Nie mów mi, że Amerykanie nie kazali mu odwołać swoich piesków”. Sando uznał tę opinię za niedorzeczną, za to Mervyn uważał za „skandal” fakt, że Gaby dorastała, nie wiedząc nic na temat Zamachu z 1975. To też przyniosła do domu, w jednej torbie z nagłym zamiłowaniem do ekologii. Mogłes ogłosić strajk generalny, oświadczyła.

Ja?

Partia Pracy.

Kto ci to powiedział?

Nie mogę mieć własnych poglądów? Co innego można zrobić, kiedy kradną ci rząd? To było nielegalne. Niekonstytucyjne. Nie wzdychaj, tato. Nie jestem idiotką.

Byłem przy tym.

Wiem. I nie zgadzasz się, że powinni byli ogłosić strajk generalny? Zgadzasz się czy nie?

On ci powiedział, że to robota CIA?

Mówisz o Mervynie? Wypowiedz to imię. Nieważne kto, tato. Stało się: wyborcom odebrano demokratyczny rząd. A gdzie były związki zawodowe?

Co ty wiesz o związkach zawodowych?

Daruj sobie ten protekcyjnalny ton. Wiem mnóstwo o związkach zawodowych.

Strajk generalny był krokiem w stronę konfliktu zbrojnego.

I co z tego?

Czy twój przyjaciel Mervyn wspomniał ci, że gubernator generalny zarządził stan gotowości w armii? Powiedział ci to? Przydupas królowej był w istocie naczelnym dowódcą australijskich sił zbrojnych.

Kerr. Wiem, o kim mówisz. Był gubernatorem generalnym.

Kerr wezwał do siebie szefów wszystkich rodzajów wojsk. Prowadził konsultacje z ambasadą amerykańską. Odebrał raporty od szefów agencji wywiadu. Zarządził „alarm czerwony” w armii. Wysłałabyś przeciwko nim związkowców?

Baleś się?

Pewnie.

A mama?

U niej też był „alarm czerwony”.

Cha! Cha! Co chciała zrobić?

Nie, nie była za strajkiem.

Dlaczego nigdy o tym ze mną nie rozmawialiście?

Patrzyła na niego z wyższością, wroga i rozpieszczona. Nie mógł znieść myśli, że będzie to z nim wałkować.

Nie wstyd wam?, spytała.

Wstyd?

Że okazaliście się tchórzami.

Wtedy powiedział jej, co naprawdę myśli o Aisenach. Że ich tak zwana „ekologia” to próba powrotu do idei białej Australii zasiedlonej przez porządnych gości i koleśków, w której wszystko

jest cacy i w której czarni mogą bez przeszkód pożywić się nad strumieniami w Coburg. Lubią znaczyć teren. Widziałaś tam jakichś Turków albo Libańczyków sadzących drzewa? Nie, jasne, że nie. Bo Aisenowie używają języka socjalizmu do zabezpieczenia przywilejów białych.

Czy ty siebie słyszysz?!, wykrzyknęła. Gadasz jak nienormalny. Walczą ze skurwielami, którzy zanieczyszczają środowisko, tak jak ty.

A Sandy miał dość dzwoniących do radia rasistów, spierających się o to, kogo można nazwać „prawdziwym Australijczykiem”. Tu już nawet nie pachnie jak w Australii, wiesz, o czym mówię. To ty słuchaj, powiedział.

Na co córka oświadczyła mu, że jej nowi przyjaciele to „prawdziwi radykałowie”.

Prawdziwi? W jakim sensie?

Wiesz, kto zepsuł tego żurawia?

Skrzywił się, że tak lekkomyślnie ujawnia tego typu informacje.

Mervyn?

Wytrzymała jego spojrzenie. Wyglądała na zadowoloną z siebie. Ktoś, odparła.

Nikt nie chce wspierać wandalii.

Tylko kto tu jest wandalą?!, wykrzyknęła jego pachnąca piżmem córka. Winisz za to zwykłych ludzi? Może powinieneś obarczyć winą za to gówno MetWat? Czy już im się „przyglądasz”?, dorzuciła, godząc go tym słowem niczym nożem.

Skąd wzięłaś to wyrażenie?

Nie odpowiedziała, ale widziała, że on wie, kogo cytowała.

Nie, odparł. Przygląda im się minister. Właśnie w tamtej chwili Sandy postanowił, że wyrwie córkę z liceum przy Bell Street. A z całą pewnością podjął tę decyzję przed powrotem Celine. Z nikim jej nie konsultował. Gabrielle Baillieux położyła się tamtego wieczoru do łóżka nieświadoma, że wkrótce zostanie zabrana z klasy pani Aisen i trafi do położonej pięć kilometrów na południe szkoły im. R.F. Mackenziego.

25

Celine właśnie skończyła kręcenie zdjęć do filmu *Pani Fischer*, który wywoła później tyle kontrowersji na festiwalu w Cannes. Wróciła na Patterson Street odświeżona i ożywiona krótkim i nieskomplikowanym romanssem. Zarobiła tysiące dolarów. Wreszcie była gotowa odejść i rozpocząć nowe życie.

Znowu zjednoczyli się przeciwko mnie, wyznała pisarzowi Feliksowi Moore'owi. Zasłużyłam sobie na to, fakt, ale bardzo mnie ranili, a ja marzyłam, by, w odwecie, równie mocno zranić ich. Kiedy jednak zrozumiałam, że sami są poranieni i źli na siebie nawzajem, wiedziałam, że muszę jakoś to naprawić. To ja wplątałam nas w znajomość z Aisenami.

Myślałam, że dobrze na tym wychodzę, bo lekcje u pani Aisen kosztowały taniej niż wymarzony komputer mojej córki. Byłam taka skąpa. Sandy też. A jednak pierwszego dnia po powrocie pojechałam do miasta i kupiłam Maca Iix. Znacznie uszczupliło to środki, które przeznaczyłam na swoją ucieczkę. Tylko bez psychoanaliz, powiedziała Celine. To było całkiem proste – nie odczuwałam już potrzeby kontaktu z Aisenami.

Wróciłam znad strumienia, ciągnęła Gaby, i na stole w jadalni stało duże, białe pudło. Dostrzegłam logo firmy Apple i zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, co zrobiłam. Dostałam wszystko, czego chciałam, wiedziałam dokładnie, ile to kosztuje i wiedziałam, że rodziców na to nie stać. Zawsze walczyli o pieniądze – na dom, remonty, kampanie, a nawet na moje lekcje komputerowe. Celine zrobiła coś, czemu była całkowicie przeciwna i w dodatku nie przedyskutowała tego z tatą, więc się wściekł i zarzucił jej, że samolubnie wydaje pieniądze.

Przedźwigałam pudło do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Próbowałam się cieszyć, bo powinnam się cieszyć. Czułam zapach nowiutkiego Maca IIx, takiego czyściutkiego i apple'owskiego. Usłyszałam pojedynczy, opadający dźwięk włączanego komputera. Zobaczyłam wesołą, autentyczną ikonkę Maca. Odreagowałam radość bez świadków. Byłam psycholką i oszustką. Napisałam coś w języku BASIC, bo co innego mogłam zrobić? Nie miałam linii telefonicznej ani modemu, a przecież nie mogłam ich poprosić o jeszcze więcej pieniędzy. Rzecz jasna nadal ich oszukiwałam, wymyślałam wymówki i wymykałam się do domu przy Darlington Grove, żeby rozmawiać w sieci z Undertoadem. Urządziliśmy sobie prywatny czat na Altosie. Napisał mi, że jego matka wraca do Melbourne „na leczenie” i że przeniosła go do innej szkoły.

Uważałam, że Frederic jest bardzo niebezpieczny, wyznała Celine, ale ukrywałam to przed Gaby. Okazywałam jej mnóstwo współczucia. Powiedziałam, że biedak musi nienawidzić życia bez elektryczności. (Gaby przytaknęła). Dodałam, że władze szkolne Nowej Południowej Walii pewnie nawet nie wiedzą o jego istnieniu. (Moja córka nie wyprowadziła mnie z błędu).

Domyślałam się, że Meg musiała przenieść swój interes. (Gaby tego nie wiedziała). Powiedziałam że północ Nowej Południowej Walii jest piękna. (Nie. Rosnące tam krzewy starca sprawiały, że wciąż ciekło mu z oczu i miał zapchane zatoki. Życie zawdzięczał olejkowi z eukaliptusa. Nawet jeśli wszyscy byli dla nich mili, udzielali im noclegu i co wieczór karmili za darmo smażonymi warzywami – zwykle dynią – z hipisowskich ogródków, Frederic miał świadomość, że jego głośny oddech czynił z niego niemile widzianego gościa). Z tego wszystkiego wysnułam wniosek, że Frederica dzieli od mojego dziecka osiemset kilometrów. Tymczasem furgonetka Meg już zmierzała do mnie na południe.

Rodzice zaczęli mnie szpiegować, wspominała Gaby, więc rzecz jasna oszukiwałam. W jakiś sposób dowiedzieli się, że wciąż odwiedzam dom przy Darlington Grove. Celine stanęła po stronie Sandy'ego: Mervyn jest „wrogiem twojego ojca”. To podżegacz i głupek. Bezustannie używał słowa „towarzysz”, ale czy zwróciłam uwagę, że nie ma towarzyszy? Nie umiał pracować z innymi. Jego specjalnością było wywoływanie kłopotliwych sytuacji i atakowanie ludzi. Matka wypomniała mi przy okazji, że wydała fortunę na komputer.

Tymczasem Mervyn już zdążył zabrać mnie z wizytą do – jak to nazwał – „klejnotu Merri Creek”, nijakiego budynku z żółtej cegły przy McBryde Street w Fawkner. Stał obok jakichś okropnych stajni z wygłodzonymi końmi. Naprzeciwko ciągnęły się niewielkie domki, jakie widuje się wszędzie na biedniejszych, północnych przedmieściach Melbourne.

Przy ulicy stał drewniany, ręcznie i niewprawnie wykonany znak z napisem „Agrikem”. Przed budynkiem fabryki mieścił się

zwirowy parking. Wyglądało to jak sklep z narzędziami i nic nie zapowiadało, że może tu być niebezpiecznie.

Dotarliśmy tam po piątej. Samochody robotników już zniknęły. Nikt nie widział, jak przeskoczyliśmy przez płot do stajni – dziewczyna i starszy facet, którzy zamierzają przemówić do samotnych koni. Mervyn miał ze sobą łom, ale często nosił jakieś narzędzia i zawsze miał ku temu powód. Tym razem łom miał posłużyć do zerwania betonowej plomby z dwoma uchwytyami w kształcie litery „U”. Stosowano je przy kanałach, ale kiedy się zbliżyłam, pomyślałam, że pod nią mieści się studnia.

Obserwowałam, jak Mervyn przekłada łom przez uchwyty. Mięśnie na jego karku stwardniały, kiedy uniósł plombę.

Słyszysz?, spytał.

To woda?

Zajrzyj.

Śmierdzi.

W snopie światła latarki Mervyna zobaczyłam niewielką rurkę, z której sączyła się do ścieku jakaś mętna ciecz.

Co to jest?, spytał.

Ścieki.

Dokąd trafiają?

Nie wiem.

Słyszałaś o dioksynie?

Nie.

A o Mieszance Pomarańczowej?

W szkole.

Dobra, powiedział.

I to było wszystko.

Kiedy wracaliśmy do domu, trzymał mnie za rękę. Pierwszy i pewnie ostatni raz. Nawet jeśli rozmawialiśmy, to nic pamiętam, ale nie wydało mi się to dziwne. Poruszyły mnie nie tyle sam ściek czy panujący tam smród, ile emocje, jakie wywołała we mnie ta duża, sucha dłoń, ulga, jaką z niej czerpałam, i mdłe poczucie winy, wynikające ze świadomości zdrady.

26

Tamtego wieczoru zbiegły dziennikarz stwierdził, że niosą go jak dziecko przez ciemny busz, jakby był – jak sam to ujął – jakimś świętym leniuchem albo jedwabnikiem chronionym przez gwardię cesarzowej. Teraz jednak, gdy nad rzeką Hawkesbury wzeszło już słońce, jego dostojni strażnicy zapewne powrócili na spoczynek do koszar w Manly. Tymczasem zbieg krzątał się wokół toalety. Ruszył z łopataą na skaliste wzgórze, gdzie ze złością poszukiwał odpowiedniego miejsca do załatwienia tego, po co tam przyszedł. Wygrzebał niewielki dołek w odpornej ziemi, zdjął dolną część stroju i położył ją na kępie trawy. Później przykucnął, wpatrując się beznamiętnie w rzekę. Nikt go nie widział. Nikt nie wiedział, że bolą go kolana. Był Feliksem Moorem, człowiekiem świadomym swojej pozycji w dziejach ojczyzny i dlatego spoglądał na siebie z trochę wyższej perspektywy, czerpiąc nieco gorzkiej satysfakcji ze swego podobieństwa do postaci pustelnika, świętego Hieronima z portretu pędzla Dürera.

Na śniadanie zjadł obite jabłko. Później nie pozostało mu nic innego niż powrót do katowania maszyny do pisania firmy Olivetti. Na lunch spożył ser i popił go kieliszkiem wina. W miarę

upływu godzin sterta kartek rosła. Zabezpieczył je guzowatym kamieniem. Pod koniec dnia dorzuci je do skarbu ukrytego w czarnej torbie na śmieci leżącej u jego stóp. Felix pozostawał offline. Tryb totalnie analogowy. Były tam też inne czarne torby, wilgotne i gotowe do wyrzucenia, ale ta u jego stóp była sucha i czysta niczym modlitwa w głuszy.

I tak upływały mu dni, jak każdemu pisarzowi, na samotniczej pracy. I tak jak pokojówki, zakonnice, księża i inni ludzie Kościołów najróżniejszej maści słyną z tego, że formują ciała tak, by służyły ich powołaniu, co przejawia się w trwałych, fizycznych deformacjach uznawanych za przypadłości podlegające leczeniu chirurgicznemu, tak i Felix Moore zaczął garbić szerokie barki nad swoją maszyną. Pisząc, machał rękami i niekiedy coś do siebie mrucał, lecz jego słuch wyłapywał więcej niż tylko panujący w jego wnętrzu zamęt i pozostawał wyczulony na odgłosy dobiegające znad rzeki, nie tylko pokrzykiwania rybaków, ale także ryk pieprzonych skuterów wodnych, rytmiczny chlupot łodzi przewożącej pocztę oraz osamotniony warkot silników płynących w oddali blaszanych łódek, które tłukły się po twardej i niepokornej tafli wody. Unosiły się na niej także „pałace dżinu”, „plastikowe łajby” i najróżniejszego rodzaju „wanny”. Od czasu do czasu Felix porzucał swoje krzesło tylko po to, by upewnić się, że trafnie odgadł źródło tego hałasu. Na co dzień lękał się chaosu i ciągłych zmian, ale tutaj bał się ciszy, nagłej nieobecności, tego, że ustanie warkot silnika. Zrywał się wtedy i wspinał na dach chaty, niczym Ben Gunn z *Wyspy skarbów*, i spoglądał w dół, nie mając pewności, czy aluminiowa łódź, która właśnie sunie

bezszelestnie pod mangrowcami przywiezie mu prowiant, czy – wreszcie – zabójcę, którego spodziewał się tam ujrzeć.

Usłyszał wołanie. Chłopięcy głos, ostry i oburzony. Później głos mężczyzny.

Przestań!, krzyknął chłopak.

Pustelnik zgramolił się po drabinie z dachu. Wszedł do izby i zaczął biegać tam i z powrotem, zamiatając długimi rękami podłogę i biurko. Porzucił smrodliwą, czarną torbę i wyciągnął spod krzesła swój skarb. Wcisnął doń swój poranny urobek, po czym, przysiadłszy, sapiąc, pozbierał kasety, baterie, notatniki, długopisy, karteczki samoprzylepne oraz inne archiwa i wepchnął je do torby, jakby były obierkami po ziemniakach.

Nie!, usłyszał.

A potem zabrzmiał męski głos, fałszywie wyśpiewujący piosenkę.

Felix zawiązał torbę i umieścił ją w drugiej, którą też zawiązał. Powtórzył tę czynność jeszcze raz i bosy, z odciskami na stopach, wspiął się na dach, gdzie rzucił torbę w stronę płynącej w dole rzeki. Jeśli spodziewał się plusku, to niczego takiego nie usłyszał. Odczekał, ale dłużej nie mógł już czekać. Jego goście byli już na ścieżce. Mężczyzna śpiewał tak nieciekawie, wesoło i z taką pewnością siebie, że słuchaczowi włos zjeżył się na karku.

„Lepiej uważaj,

Lepiej nie płacz...”

Felix Moore zawrócił do chaty, pocierając świeżo kontuzjowany łokieć. Kiedy zbliżał się do drzwi, przystanął, podniósł zapodziałą baterię duracell i sięgnął po jabłko z kartonowego pudełka.

Puść mnie!, krzyknął chłopak.

Pustelnik oparł się „nonszalancko” o futrynę drzwi.

„Sporządzam listę, sprawdzam dwa razy
Żeby się dowiedzieć, kto był grzeczny, a kto nie...”

Nagle ujrzał swojego szefa o różowych policzkach i czerwonych ustach, który ciągnął za ucho opierającego się chłopaka.

Cześć, koleś, rzucił Woody Townes.

Cześć, odpowiedział Felix i wbił zęby w gnijące jabłko.

Gdy goście przystanęli na podeście w połowie schodów, Woody ponownie skierował uwagę na swojego jeńca.

Auuu!

Widziałeś kiedyś tego gościa?

Nie. Auuu!

Ciągnąc chłopaka, Woody sięgnął po jabłko pustelnika. W tym momencie pojmany zdołał się oswobodzić, ale upadł i potoczył się po schodach, głośno protestując, póki nie opadł na sam dół.

Dawaj to pieprzone jabłko.

Tłusty skurwieli!, krzyknął chłopak. Jednak zdążył już się obrócić, gdy owoc uderzył go w ramię i rozpadł się na kawałki.

Głupia cipa, skomentował Woody, obejmując pisarza. Zarośnięta twarz Feliksa ugrzęzła w przyobleczonym w płótno ramieniu Wodongi, który czule wyśpiewywał mu do ucha:

„Widzą, kiedy śpisz,
Wiedzą, kiedy wstałeś,
Wiedzą, czy byłeś grzeczny,
Więc bądź grzeczny, na litość boską”.

Słyszając ryk włączanego silnika, deweloper wyciągnął telefon ze swojej przemyślnej płóciennej kamizelki. Pustelnik wciąż tkwił w jego uścisku. Woody miał przygnębiająco grube palce, a jednak

precyzyjnie wybrał numer. Kolego, rzucił do cienkiego telefonu, puść tego małego.

Pustelnik uwolnił się z objęć Wodongi. Widzisz mnie, kiedy śpię?!, wykrzyknął. Co to ma, kurwa, znaczyć? Wcześniej spostrzegł jacht z antenami satelitarnymi przymocowanymi do kabiny. Kto ci powiedział, gdzie jestem?

Woody Townes nie zaszczycił Feliksa odpowiedzią. Chwycił jedyne dostępne krzesło i pokręcił głową w sposób, który można było uznać za „smutny”. Schudł. Blokada żołądka najwyraźniej zadziałała, a może zaczął chodzić na siłownię. Kiedy wsuwał telefon do kieszeni kamizelki, świeżo wyrzeźbione bicepsy napięły materiał koszuli.

Weź sobie jakiś stołek, rzucił. Postawił na biurku flaszkę, a obok położył jakiś dziwny rewolwer.

Pustelnik nie zareagował na widok tej ohydnej broni, tylko przyniósł ze zlewu dwa nie najczystsze kieliszki i podsunął plastikową skrzynkę, która miała posłużyć za siedzisko.

Zawsze lubiłeś ten kawałek, Feels.

Który?

Daj spokój, to specjalnie dla ciebie. Twój ulubiony wywiad. Murray Sayle przyciska Kima Philby’ego w Moskwie. Nieustraszony australijski dziennikarz dopada angielskiego zdrajcę na moskiewskiej poczcie. Szpieg zgadza się na wywiad. Kiedy dziennikarz zjawia się u niego, ten czeka z butelką wódki i rewolwerem na stole. Nie skojarzyłeś tego?

Co chcesz zrobić, Woody?

Dosłowna odpowiedź brzmiałaby: Zaraz uniosę rewolwer i wyceluję go nad twoim barkiem. Ale Woody Townes nie

odpowiedział wprost. Zawsze uważałem, że Philby lubił dramatyzować, odparł.

Ręka pustelnika może była mniej pewna od ręki jego przyjaciela, ale Felix wykazał się jednak odrobiną odwagi. Czyli odkorkował flaszkę i nalał wino do kieliszków. Kiedy unosił swój (wcześniej służący za słoik na masło orzechowe), doszło do gigantycznej eksplozji.

Kurwa! krzyknął pustelnik. Wierzgnął. Staął. Usiadł. Obrócił się w stronę, skąd dobiegał dźwięk ciekącej wody. Okazało się, że to czerwone wino tryskające z przedziurawionego kartonu. Przyglądał mu się ponuro. Głos zabrał jego gość.

Dawaj te pierdolone kartki.

Pustelnikowi przemknęło przez głowę, że wino i tak było okropne.

Dawaj te pierdolone kartki.

Niby skąd? Nie mam informatoroki.

To po co tu przyjechałeś?

Żeby mieć trochę spokoju, kurwa.

Woody odłożył broń i przesunął po blacie maszynę Olivetti Valentine. Odkręcił dwie pomarańczowe nakrętki przytrzymujące szpulki z taśmą. Wyjąwszy ją, zaczął się jej przyglądać jak filmowej kliszy.

Czy są gdzieś specjaliści, na przykład, w San Antonio w Teksasie, w dawnej fabryce mikroprocesorów firmy Sony, którzy umieją odczytywać tekst z taśmy maszyny do pisania? Jasne, że tak. Rozczytają najbardziej dziwaczne gówno, jakie możesz sobie wyobrazić. Szpulki poleciały przez pokój jak jojo,

a Woody odchylił głowę i spytał: Powiedz, dlaczego to zawsze ja muszę wyciągać cię z kłopotów?

Nieprawda.

Zamknij się. Nie próbujesz sił z lokalnym oddziałem Partii Pracy.

Napisałem dwieście stron. Przysłali chłopaka, żeby je zabrał. Nie tego, innego. Powiedział, że przychodzi od ciebie.

Pieprzysz. Nie chciałbyś tu być, kiedy kogoś przyślę.

Niczego tu nie ma. Możesz sprawdzić.

Napaliłeś się na nią, w porządku. Masz okazję zostać bohaterem. Daj nam szansę, żebyśmy mogli jej bronić. Potrzebujemy informacji, kurwa.

Nie wiem, czy mogę ci ufać, Woody.

Nie wiesz?

Nie bierz tego do siebie.

À propos. Rozmawiałem z Donno z „Telegraph”. Z Donovanem. Dałem mu do zrozumienia, że mogę mieć ciekawą opowieść o Feliksie. Odparł, że wie wszystko o tej napuszonej małej cipie. Wiesz, jak on się wyraża. Ale oczywiście to nieprawda, bo mam na ciebie jeszcze mnóstwo gówna.

Zbieg ani drgnął.

Pamiętasz, Feels, jak myślałeś, że możesz zmierzyć się z Hawkiem? Nikt o tym nie wie. Felix Moore kontra przyszły premier.

Powiedziałeś o tym Celine, tak?

Wzruszył ramionami. O ile sobie przypominam, byliście jak mafia. Nikt nie cieszył się większym autorytetem moralnym niż szef związków zawodowych. Hawke użył swoich wpływów, żeby nie

dopuścić do strajku generalnego? Prawda, kumplował się z amerykańskim ambasadorem. Itd., itd.

Owszem. Wiesz, że tak.

A ty, mój nerwowy mały przyjacielu, stanąłeś do konkursu na prowadzącego „Radio dla kierowców”. Ktoś był na urlopie. Matt Cocker? Nie, nie on. Dali ci trzy tygodnie na próbę – „Radio dla kierowców z Feliksem Moore’em”. Sodówka uderzyła ci do głowy? Tak troszkę? Uznałeś, że możesz zarządzić strajk generalny przez radio? Martwiłeś się – jak sobie przypominam – o to, czy zdołasz upchnąć osiemnastu lewicowych przywódców związkowych do małego studia przy William Street. Osiemnastu. Optymistyczny plan.

Nie byłeś temu przeciwny. Jak pamiętam, bardzo mnie do tego zachęcałeś.

Powiedzmy, że bardzo interesowało mnie wszystko, co miałeś do powiedzenia. Urodziłeś się w kraju, w którym nigdy nie toczyła się wojna. Miałeś szczęście, ale uznałeś, że powinniśmy cierpieć jak Bośniacy, Rwandyjczycy, Palestyńczycy i reszta. Nigdy nie słyszałem czegoś równie głupiego. Ty naprawdę chciałeś wojny domowej.

Nieważne. Byłeś po mojej stronie.

Och, stary, westchnął Woody i przekrzywił głowę. Miał niemal miły wyraz twarzy.

Co?

A jak myślisz?

Chyba nie wspierałeś drugiej strony?

Drugiej strony czego? Rozlewu krwi? Pewnie, że tak. Na szczęście zabrakło ci jaj. Srałeś po gaciach, pamiętam to,

wypatrywałaś jakiegokolwiek szansy, żeby nie doprowadzać tego do końca.

Powiedziałeś to Celine?

Bałeś się tego, do czego wiodła cię wyobraźnia. Pamiętasz, w przeddzień przesiedzieliśmy pół nocy? Tak się nawaliłeś, że nie mogłeś chodzić. Przekimałeś u mnie, w Neutral Bay. Pamiętasz tamten ranek?

Wypiliśmy całą twoją tequilę.

Nie o tym mówię. Spłonął twój samochód.

Pewnie, że pamiętam. Byłeś wtedy ze mną. To ty wyciągnąłeś mnie z fotela pasażera. Wóz zapalił się nie z mojej winy.

Nie z twojej. Z mojej.

Chrzanisz.

Tak, z mojej. Uratowałem cię przed samym sobą. Powinieneś być mi wdzięczny, że dałem ci wymówkę. Chociaż gdybyś naprawdę chciał, zdążyłbyś do studia.

Musieliśmy poczekać na policję.

Spójrz na siebie, powiedział zachwycony Woody Townes. Facet, który wołał: Pali się! Przez całe życie wrzeszczysz na ludzi, że w 1975 zabrakło im jaj. Na barykady i takie tam bzdury. Jeśli istniała jakaś wiarygodna opozycja, to miałeś ich wszystkich. Wszyscy lewacy i durnie tylko czekali, żeby wejść do tego studia. Co pomyślą twoje córki o swoim tatusiu, kiedy to usłyszą?

Wino ciurkało, ale już bardzo powoli. Pustelnik przeniósł uwagę na butelkę przyniesioną przez gościa, z której powolutku nalał dwa duże kieliszki, po czym jeden z nich wypił.

Dlaczego?, spytał swojego największego fana.

Woody odchylił się na krześle, jakby chciał dać pisarzowi szansę, by ten chwycił broń. Stary, przecież mnie znasz.

Szurnął drugi kieliszek po blacie. Felix Moore nie odmówił przyjęcia prezentu.

Czyli nic dla mnie nie masz, Feels? Ani jednej strony?

Przykro mi, stary. Żałuję.

Woody wstał. Z irytacją kopnął splątaną taśmę z maszyny i wsunął broń do swojej najwyraźniej przeznaczonej dla fachowców kamizelki.

To nie jest gra dla ciebie, powiedział. Chciałbyś rozgrywać na tym poziomie, ale w życiu byś nie mógł. Weź mój telefon. Kiedy dotrze do ciebie, w jaki bajzel się wpakowałeś, zadzwoń na mój numer stacjonarny. Może jeszcze nie będzie za późno.

Był to iPhone, najnowszy model, ale zostawił go bez żalu.

Pustelnik stał w drzwiach, gdy jego gość ruszył ścieżką w dół. Kiedy usłyszał odgłos wystrzału, nieszczególnie się przejął. Rozumiał, że Woody miał ochotę użyć broni i że wystrzelenie ostatnich piętnastu nabojów w stronę aluminiowej łódki będzie najlepszą rzeczą, jaką dzisiaj zrobi.

Królowa zamknęła świętego w komnacie w wieży pełnej słomy i kazała mu, pod groźbą śmierci, przeprząść słomę w złoto. Jakże się starał! Ślęczał przy wrzecionie dniem i nocą, aż w końcu nadszedł ranek, kiedy trzeba było wrzucić złoto do plastikowej torby i cisnąć ją z wieży.

Sprytnie pomyślane. Dobrze ukryte. Lecz kiedy powrócił spokój, nie było tak łatwo odzyskać skarb. Święty położył się na skalnym występie i wychylił aż po jego kraniec. Wypatrywał torby w leśnym poszyciu i krzakach skąpanych w plamach słońca, drgających od małych rzecznych fal. Korzenie mangrowców sterczały niczym gwoździe w żółtym piasku.

Ten tak zwany „występ” porastała dzungla akacji, dzikich lantan i różnych kłujących krzewów. Przed mięsistym nosem Feliksa, ledwie na wyciągnięcie ręki, rósł pokręcony mały eukaliptus o pniu nie grubszym niż trzonek siekiery.

Nieco niżej, w odległości – jak obliczył – długości ciała mężczyzny jego wzrostu, znajdowała się poręczna skalna półka, której mógł sięgnąć palcami stóp. Co jest niżej, nie wiedział.

Jeszcze w szkole zyskał sporą sławę jako krykiecista, który rzuca piłkę z prędkością stu kilometrów na godzinę. Mimo to zdarzało się, że inni chłopcy chodzili za nim, wymachiwali rękami i naśladowali odgłosy wydawane przez małpy. Fakt, miał długie ręce, ale jak stwierdziła kiedyś jego matka, odpowiadając na pytanie dotyczące jego jąder, Bóg ma co do wszystkiego swój zamysł i właśnie teraz nadszedł moment, by ramiona Feliksa udowodniły swą darwinowską przydatność. Chwycił się pokrzywionego eukaliptusa i, całkowicie zapominając ile ma lat, zsunął się w stronę półki.

Ramię wyskoczyło mu ze stawu niczym kość z kurczaka z rożna. Zaczął wierzgać, ale nie znalazł oparcia dla stóp. Machał nogami, skręcając się i trzęsąc niczym wisielec. Jako że zawsze częścią jego mózgu zawiadywał jakiś autor komiksów, wciąż wierzył, że zdoła się bezpiecznie zsunąć te paręnaście centymetrów.

Raniąc się, objając i ześlizgując, stoczył się poniżej miejsca, w którym – jak sobie wyobrażał – była jakaś półka czy punkt oparcia. Śmierć czekała na niego. On czekał na śmierć. Wylądował w plątaninie akacji i lantan, a czarna, plastikowa torba wbiła się w jego twarz niczym koński zad. Do wszystkich trzech toreb przedostało się powietrze i to właśnie ono, a nie piasek, zamortyzowało siłę uderzenia.

Piekła go twarz. Rzucił głośne przekleństwa. Czuł ostry ból w barku, gdy brnął przez wodę wzdłuż brzegu. Przytulił skarb do piersi niczym pajak swoje jajeczka. Podążał ostrożnie wśród korzeni pod ponurymi mangrowcami, aż dotarł do miejsca, w którym dawno temu plażował.

Nie okazał najmniejszego zainteresowania podziurawionej przez kule łódce, tylko od razu ruszył ścieżką w górę, łapiąc powietrze ustami i pokonując trzeszczące schody. Wszedłszy do swojego wcześniejszego schronienia, poczuł, że powietrze wewnątrz jest chłodne i pachnie winem. Taśma z maszyny przywarła do jego przemoczonych butów, ale nie zrobił nic, by się jej pozbyć. Usiadł w mroku, czujny, tuląc do siebie torbę, świadom, że może zawierać dowody niewinności Gaby Baillieux. Co zrobiłby z tym Woody? Co on sam by zrobił?

Nie chciał, żeby okazała się niewinna. Chciał, żeby była nieustraszona, winna odwagi i wierności zasadom. Jeśli jego pisanina miała sprawić, że trafi do tak zwanego „Matriksu do likwidacji”, pragnął, by była warta jego cierpienia.

Podniósł otwartą butelkę wódki i przytknął ją do piekących ust. Pierwszy raz się nie napił. Przyjrzał się porzuconemu iPhone'owi, włączył go, po czym próbował – lecz nie zdołał – wyrzucić go za okno. Ekran po jakimś czasie zgasł. W chacie nie było żadnego światła, oprócz tego odbitego od ciemnogrnatowych wód rzeki Hawkesbury.

Felix?

Źródło tego głosu było gdzieś blisko, w okolicach drzwi, ale panował już mrok i trudno było odróżnić futrynę od przestrzeni, którą ograniczała. Pisarz trzymał swoją plastikową torbę jak dziecko poduszkę.

Felix, tak? Pan Moore?

Głos młodego chłopaka. Pewnie był wysoki i miał jasne włosy.

Kto tam?

Jesteśmy fachowcami z Dover.

Z opóźnieniem zarejestrował to „my” i z jeszcze większym opóźnieniem dotarło do niego, że te przyjazne zmy, które stanęły w drzwiach, to przedstawiciele kasty ratowników surferów, niegdyś znanych z tego, że zjadali żywe kanarki w bułkach i wypinali nagie pupy przez okna samochodów podczas późnowieczornych wypraw po zakupy. Ci anarchiści okazywali teraz pustelnikowi upajający szacunek. Feliks żałował, że jego córki nie są świadkami tego momentu odkupienia, a już na pewno chwały.

Jak się nazywasz?

Stary, publicznie dostępne narzędzia uwolnienia się od nadzoru państwa są nieskuteczne.

Nie rozumiem ani słowa z tego, co powiedziałeś.

Czas ruszać.

Teraz?

Gość Feliksa wyjaśnił, że nie wydobędzie się stąd bezpiecznie przez wodę. Musieli wspiąć się na grań. Sprzyjał im księżyc.

Zbieg nie oponował ani nie spierał się, zaznaczył jednak od razu, że sam będzie niósł torbę. Nieźle sobie z tym radził, ale przemoczone buty ocierały jego delikatne pięty i zanim dotarli do strażackiej przecinki, już zaczął utykać. Ścieżka miała bladożółty kolor, idealny do pieszej wędrówki nocą, ale Feliksa wkrótce zaczęły łąpać skurcze łydek. Krwawiły mu też odciski. Kiedy stało się jasne, że nie wytrzyma tempa, że zostanie pozbawiony męskości i będzie musiał ścierpieć wstyd i wygodę, kiedy będą go nieść, wzruszyła go dobroć, jaką mu okazywali. Rzecz jasna podróżowanie na czyichś plecach nie jest najdogodniejszą formą przemieszczania się. Felix Moore przemierzył park narodowy

Marramarra od rzeki Hawkesbury do Forest Glen z przekrwioną, zwisającą w dół głową, gubiąc po drodze ołówki, spinacze i baterie firmy Duracell.

Był motylem koszówką obleczonym w jedwab, wreszcie odkupionym, skarbem swojego kraju.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Feliks nie dostrzegł „spektakularnych kolorów skał ze słynnego piaskowca z Hawkesbury” ani „wąwozów porośniętych jaskrawoczerwonymi *Telopea* i *Doryanthes excelsa*”. Członkowie jego eskorty nie pozwolili mu samodzielnie iść, tylko przekazywali go jeden drugiemu, dopóki nie dostrzegli podskakujących w mroku świateł terenówki, ślizgających się po krętej drodze.

Czas łyknąć tabletkę, powiedział ten, który pierwszy się do niego odezwał.

Na co?

Na chorobę lokomocyjną.

Nie muszę.

Zaufaj mi.

Pustelnik wyciągnął dłoń i połknął tabletkę.

Co to takiego?

„Faceci w czerni”, odpowiedzieli.

Nigdy się nie dowie, jaki miała skład chemiczny, ale okazała się na tyle skuteczna, że obudził się dopiero po ośmiu godzinach w czymś, co – sądząc po błyszczących narzutach na łózkach i pastelowo-różowych obrazkach na ścianach – było motelem. Jego mokre buty leżały na podłodze, wypchane gazetami. Miał plastry na piętach. Kiedy rozsunał zasłony, ujrzał niemal pusty, wyłożony

betonowymi płytami dziedziniec, a dalej – dwupasmową drogę i porośnięte buszem góry.

Na biurku stały dwie butelki McLaren Vale shiraz, duży kawał mazistego i wonnego sera oraz elektryczna maszyna do pisania Triumph-Adler Twen T180. Były tam także – niech Bóg im wynagrodzi – nowe kasety i baterie, które wystarczyłyby, by je odtwarzać przez cały rok.

Co do miejsca, gdzie się znalazł, to nie było tam żadnej gazety ani telewizora, które rozwiązałyby dla niego tę zagadkę. Jedne drzwi prowadziły do łazienki. Próbował otworzyć drugie. Choć były – co go nie zaskoczyło – zamknięte, słyszał pomruk głosów dochodzących z drugiej strony. Wyciągnął korek z butelki z ponurą świadomością, że pierwszy raz w swoim życiu zawodowym okazał się wart apartamentu.

Osiemnaściołowe ciężarówki całą noc przemykały z rykiem obok motelu. Słyszeć je było z odległości paru kilometrów. Osiem przełożeń, a na koniec świdrujący dziewiąty bieg. Do tego hamulce tak głośne, że można sobie było wyobrazić, jak ich odgłos burzy recepcję o szklanych ścianach i uwalnia pokryte lukrem pączki, które toczą się środkiem drogi.

Tymczasem taśmy w kasetach przesuwały się z prędkością mniej więcej siedmiu ósmych centymetra na sekundę, gdy Gaby składała swoje dydaktyczne „wyznanie”, tłumacząc na przykład, dlaczego sądzono, iż wśród hakerów nie ma kobiet. Nie chciała w ogóle poruszać tematu zasady numer 37 (wymyślonej przez dorastających chłopców), wedle której w Internecie nie ma dziewczyn. Wygoogluj to sobie, powiedziała swojemu słuchaczowi, jakby było to coś, co można zrobić na elektrycznej maszynie do pisania Triumph-Adler. Poszukaj sobie, dodała. Wpisz „ulubione zajęcie nastolatków podglądaczy”. Albo wpisz „nie ma hakerek, tak, jak nie ma podglądaczek, które obsesyjnie wypatrują widoku męskich majtek”. Zawiedzie cię to do Cornelia Sollfrank z Rotterdamu w roku 1999. Podaj pełne nazwisko. „Kobiety są

niezwykle rzadko zatrzymywane za podkradanie się nocą pod okna sypialni. Tymczasem nastolatków aresztują za to bez przerwy”.

To bardzo miłe z moralnego punktu widzenia, ale kompletnie nieprawdziwe i bzdurne, ciągnęła Gaby. Nawet kobiety nie mogły sobie mnie wyobrazić. W ich pojęciu nie mogłam istnieć. Byłam skazana na wściekłość i wysypkę. A jeśli? A jeśli marzysz, żeby unicestwić, wyeliminować zwolenników korporacjonizmu? A jeśli Bonnie znajdzie swojego Clyde'a, jeśli Sid znajdzie swoją Nancy, byłabyś zachwycona od łechtaczki po ucho i małe różowe paluszki u nóg, serio, gdybyś spotkała chłopaka, który zgodzi się, żebyś została chłopakiem w wymiarze światowym, Upadłym Aniołem albo choćby IN (imię nieznane) lub NN (nazwisko nieznane), żeby być chłopakiem, dziewczyną lub brzanką rekinia. Możemy stać się każdym, powiedziała Gaby, nieświadoma faktu, że zwraca się do więźnia z opatrunkami na piętach.

Moi mieszczańscy rodzice starali się wyrwać mnie spod każdego pozytywnego wpływu, pod jaki się dostałam. Matka kupiła mi komputer, żeby uwolnić mnie od Aisenów. Z tego samego powodu ojciec wyciągnął mnie z liceum przy Bell Street. Frederic był na wygnaniu i już mi nie zagrażał, tak przynajmniej sądzili, ale „Istota Wyższa wyczekuje mądrości i jasności” (jak napisano w pewnej opasłej księdze).

Liceum im. R.F. Mackenziego znajdowała się ledwie dziesięć minut jazdy rowerem od ogólniaka przy Bell Street, ale był to całkiem inny świat. Byłam nabzdyczona i nie chciałam podać swojego nazwiska. Weszłam wściekła na lekcję wychowawczą i tam go zobaczyłam. Nagle mi wyskoczył, mój roześmiany

chłopak, dziewczyna-chłopak, a teraz, po powrocie z Nimbin, już chłopak-mężczyzna.

Zgadnij, co powiedziała moja matka, kiedy go zobaczyła. Że jest „na schwał”. Był taki szeroki w barach. Mimo że Celine była zwariowana na punkcie seksu, i tak zawsze nienawidziłaby Frederica, nawet gdyby był męskim facetem naprawiającym dachy z Claude’em Poulosem, kochankiem Meg z Northern Rivers. Claude w końcu poszedł siedzieć za ściąganie numerów kart kredytowych, choć w zasadzie nie był przestępcą. Był siwowłosym cyberhipisem, wyznającym motto: „Jeśli angażujesz się w działania, które mogą mieć złe konsekwencje, musisz być niewidzialny”. Claude nie figurował w żadnej bazie danych. Nie pasował do schematu. Wyglądał jak surfujący hydraulik z rozjaśnionymi włosami i kolczykami. W rzeczywistości był zaś kryptografem, autorem misternego systemu bankowego, tak dyskretnego, że nawet bank nie wiedział, ile trzymasz w nim pieniędzy. Zatem gdy matka Frederica ćpała heroinę, po której płakała i wrzeszczała, Frederic nie tylko nauczył się surfować, ale też przysposabiał się do zawodu hydraulika i kryptografa, którego celem było życie poza zasięgiem jakiegokolwiek „państwa narodowego”. Kiedy wrócił do mnie w liceum im. R.F. Mackenziego, był jedną wielką falą najróżniejszych możliwości daleko wykraczających poza świat Zork.

Gaby uważała, że Celine przydałoby się trochę I Ching. Na przykład: „Ponieważ jesteś w tym otoczeniu obca, nie masz za sobą historii, która cię uniewinni. Obserwuj, słuchaj, ucz się, kontempluj, a potem lekko ale zdecydowanie kroczyć naprzód”.

W motelu kasety Celine nigdy nie zetknęły się z kasetami jej córki. Leżały na osobnych stertach i były odtwarzane w różnych dyktafonach. Ciężarówka pędziła z rykiem w dół wzgórza. Gościowi wsunięto pod drzwiami karteczkę instruującą, żeby nie podchodził do okna, z dopiskiem: Oddaj ten liścik. Posiłki będą mu dostarczane do wspólnej łazienki. „Oddaj tę wiadomość nadawcy. Drzwi łączące pokoje są zamknięte. Otworzymy je, kiedy zajdzie taka potrzeba”. Na tamtej porozciąganej taśmie Celine mówi: „Moja córka uważa, że jestem homofobką. Jak może być tak głupia? Mój jedyny prawdziwy ojciec był ciotą. Wykarmił mnie. Niczym osa, która chowa jajeczka w truchle, zapisał mi w testamencie pieniądze na edukację. Kiedy umarł, Doris znalazła tony nitrogliceryny ukrytej nad sufitem w korytarzu. To nie był symbol, lecz fakt. Tak czy siak, nie był to zły symbol. Szkoda, że nie zostałam spłodzona jak Tristram Shandy, wyznała. Jakież to urocze i niewinne nakręcać zegar. Teraz widzę nasienie i zbrodnię. Wolałabym nigdy się nie dowiedzieć. Żałuję, że nie byłam w tamtych czasach miłą dla Doris. Byłam taką głupią krową. Czy można to jeszcze naprawić? Powinnam ucałować ranę, pobłogosławić rękawicę, wybaczyć mi.

Chciałam być lepsza dla Gaby. Sytuacja nie była nieodwracalna. Ostatecznie polubiła nową szkołę. Pokazywała mi swoje szkolne projekty. Uwierzyłbyś? Kartonowe pudełka, alternatywna edukacja oparta na resztkach z supermarketu, zadania z historii, geografii, biologii, chemii, dotyczące ekologicznych problemów Coburg, Pentridge i Merri Creek. Była szczęśliwa, nawet gdy rysowała mapy pokazujące występowanie raka. Były takie ładne,

różowo-żółte imperia, jak *pâté en croûte*, z delikatnymi czarnymi liniami i adnotacjami. I nagle Frederic wrócił do Melbourne.

Kiedy pojawił się przy Patterson Street, Sandy przywitał się z nim, najwyraźniej nie rozpoznając go.

Cześć, rzucił Frederic.

Cześć, odpowiedział poseł stanowy.

Mogę wejść?

Kiedy Celine wróciła do domu po próbie, gość już zdążył się umościć. Wyciągnął długie nogi. Podobnie jak jej mąż, nie rozpoznała go. Zmylił ją jeź na głowie i brak makijażu. W końcu zaalarmowały ją rzęsy, które prawie całkowicie – choć nie do końca – przesłaniały jasne oczy o natarczywym spojrzeniu. Właśnie ta charakterystyczna iskra (niczym żywe zwierzę w norze) zawsze będzie dla niej najbardziej niepokojącym rysem jego twarzy.

Celine postawiła ciężkie torby z zakupami na kuchennym blacie. Nalała sobie kieliszek wina i obserwowała swoją dziwnie spokojną córkę, która siedziała w rogu długiej kanapy, na wprost Frederica, ze ślicznymi, mocnymi, opalonymi nogami skrytymi pod spódniczką.

Gość odchylił głowę i wtedy Celine zobaczyła, kto się tam ukrywał, nieziemskie, podrygujące dziecko, lubiące stare futra i kredkę do oczu. Miał na sobie kraciastą flanelową koszulę z supermarketu, jak jakiś robotnik. Jezus Maria, powiedziała. (Na kasecie: Jeezus Mariiii). Przyszedł tu, żeby zniszczyć moją córkę.

Gaby sączyła piwo. (Od kiedy wolno jej było pić?)

Frederic?, odezwała się Celine.

Uśmiechnął się. Podała mu dłoń. Jego była twarda i sucha.

Witaj, Celine.

Nigdy wcześniej nie zwrócił się do mnie po imieniu, powiedziała Celine. (Dobry Boże, liczył, że go uściskam).

Siadaj!, zawołała. Gdzie się podziewałeś?! Boże, ile ty masz lat? spytała, zszokowana ciałem mężczyzny, które wyczuła, kiedy się witali. Stwór zaczął jej opowiadać, co porabiał, choć oczywiście wiedział, że nie chce go w swoim domu, bo bała się, że zniweczy jej dotychczasowe wysiłki.

Tak wiele przeżyłeś, powiedziała (próbując sprawdzić, czy Frederic wie, co z jego powodu spotkało Gaby – ale nic, żadnej reakcji).

Spytała, do jakiej szkoły chodzi. Nie pamiętała, co jej odpowiedział, ale wiedziała, że kłamie. Nie potrafiła pojąć, skąd nagle na twarzy jej córki pojawiło się poczucie tryumfu. Pomyślała, ani mi się waż wyrzucać w błoto swojego życia, dziewczyno.

Jak nie jedno, to drugie. Wkrótce poszli do jej pokoju, chyba żeby uprawiać seks, ale nie. Celine usłyszała pomruk komputera. Niestety, nie była na tyle mądra, żeby wzbudziło to jej niepokój. Ten komputer to były wyrzucone pieniądze. Gaby w ogóle z niego nie korzystała. Celine wydawało się, że poświęciła swoją cybermanię na rzecz rekultywacji Merri Creek. Zachęcano ją do tego w nowej szkole już od pierwszego dnia. W sobotnie popołudnia razem z kolegami z kółka zainteresowań Gaby sadziła drzewa i łowiła karpie. Wykorzystywali szkolny komputer do sporządzania tabel gatunków inwazyjnych i rodzimych ptaków. Ale kto zwrócił jej uwagę na Agrikem? Frederic? Skąd mógł o tym wiedzieć?

Nie, ciągnęła Celine, to Mervyn Aisen podsunął jej ten temat. Z czystej złośliwości. „Udowodnił” jej, że MetWat wydał Agrikemowi tajne zezwolenie na spuszczenie „ograniczonych ilości” dioksyny. A Gaby, jak to Gaby, natychmiast wpadła w szal. Mervyn tak ją nakręcił, że od razu zaatakowała swojego tatę.

Sandy musiał być dobrym człowiekiem, po to się urodził, wspominała Celine. Nie mógł znieść myśli, że jego córka ma na ten temat inne zdanie. Rzecz jasna Gaby o tym wiedziała i nie odpuściła. Pokazywała mu obumierające ogródki przy małych domkach na McBryde Street. Tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, że w końcu podniósł tę kwestię w parlamencie. Nie uspokoił tym córki, za to sam padł ofiarą kpin ministra, zapewne tego samego, który zaaranżował dla Sandy’ego przeciek, „z pewnego źródła”, analizy chemicznej ścieków Agrikemu, pokazującej, że nie ma tam choćby śladu dioksyny.

Sandy był politykiem, snuła opowieść Celine, a za oknem gruchotały ciężarówki, więc musiał być skorumpowany. Ale jako że biedaczek był też kompletnie nie z tego świata, gdy dostawał jakąś złą informację z lewego skrzydła partii, z miejsca uznawał ją za prawdziwą. Posadził więc Gaby przy stole w kuchni i razem przejrzeni wydruk dokumentu. Dał słowo, że w ściekach Agrikemu nie ma dioksyny.

Nie było mnie przy tym, ciągnęła Celine, ale wyobrażam sobie, jak bolesne musiało być to dla niego – zmierzenie się z wrogim spojrzeniem szarych oczu własnej córki.

Pauza. Cofnij. Odtwórz.

A jeśli chciałeś unicestwić zwolenników korporacjonizmu?, spytał Anioł.

Kiedy dwa reflektory zaświeciły wprost w jego okno, wyrwany ze snu Felix zatoczył się w stronę kwarcowo-białej łuny, przesłaniając ręką zaczerwienione oczy. Reszta jego ciała nie zyskała skromności.

Ktoś zaczął gwałtownie łomotać do znajdujących się za nim drzwi łączących pokoje w apartamencie.

Felix odsunął zasłonę i w górskiej mgle ujrzał wysoką, pozbawioną okien furgonetkę z dużą, staromodną chłodnicą, która – jak się później dowie – miała tę zaletę, że nie obciążały jej żadne systemy komputerowe. Chwilowo jednak łomotanie do drzwi było dla niego ważniejsze.

Wcześniej zdarzało mu się przystawić do tych drzwi ucho, czasami plecy. Niekiedy słyszał śmiech, innym razem odgłosy telewizora. Nikt jednak dotąd do nich nie zapukał. Kto tam, na Belzebuba? Do tej pory Felix zakładał, że ludzie przebywający po drugiej stronie, tacy jak tamta kobieta, która wiozła go z Newcastle, chłopak, z którym płynął łódką, całe to plemię rzecznych szczurów i anonimowych alkoholików, dostarczających mu jedzenie i picie, ekipa ratowników na deskach surfingowych,

że wszyscy oni mieli wobec niego dobre zamiary. Wiedział, że to dzielni ludzie, którzy szanują jego profesję i są gotowi zaryzykować, by opowieść została zreferowana w całej złożoności, nawet jeśli jakiś machający pistoletem bandyta próbuje ukręcić jej łeb.

Co?, rzucił do drzwi.

Po wykładzinie prześlizgnęła się biała papierowa serwetka z widoczną na pierwszy rzut oka informacją.

NIE PODCHODŹ DO OKNA.

Felix wycofał się w okolice łóżka i włożył bokserki.

Wydawało mu się, że słyszy, jak ktoś wchodzi do pokoju obok, też odgłosy walki, ale to pewnie z telewizora. Ktoś kaszlnął. Felix wepchnął pod materac papiery, kasety i baterie, po czym zasłał łóżko. Czuł w uszach głośno pulsujące tętno. Wślizgnął się pod opalizującą kapeę. Czekał. Podciągnąwszy kolana, leżał z twarzą zwróconą ku drzwiom. Przytulił do siebie poduszkę, jak dziecko rodziców, którzy się rozwodzą. Zrzucił narzutę i wciągnął spodnie. Zrobił trzy kroki w stronę drzwi. Okleinowane, z pustym środkiem, do kupienia w supermarkecie budowlanym Mitre 10 za niecałe pięćdziesiąt dolarów, nie stanowiły poważnej przeszkody. Może mógłby je wyważyć.

Zapukał.

Głosy ucichły. Telewizor też. Drzwi rozwarły się na oścież. Felix ujrzał kilkoro młodych mężczyzn i kobiet umykających jak karaluchy przed światłem. Dostrzegł kobietę ze złotymi kolczykami w kształcie muszli. Na szczupłym nadgarstku miała bransoletkę, także ze złota. Wyciągnęła do kogoś rękę. Zaszokowany stwierdził, że dłoń należała do jego żony, Claire

Moore. Miała na sobie długi, męski płaszcz i adidasy. Jej cudowne, dziewczęce nogi były gołe, jakby zjawiała się tu prosto z kortu. Była zarumieniona.

Schudłeś, zauważyła, i wyciągnęła do niego swoje zniszczone dłonie garncarki.

Celine Baillieux, która jej nie знаła, poufale położyła własne dłonie na jej barkach.

Felix Moore poczuł przyływ emocji, które – jak sądził – już zdołał w sobie stłumić.

Żona przypatrywała się jego twarzy. Dużo pijesz?, spytała.

Wszystko spierdoliłem.

Idioto, kocham cię.

Zbieg uniósł w górę palec, potem obydwie dłonie, aż w końcu umknął do łazienki, gdzie z zażenowaniem ujrzał pomiętą twarz, gila w zmierzwionej brodzie i zabarwione czerwonym winem, brudne zęby.

Bączku!, zawołała Claire, wpuść mnie!

Pochlipując z wdzięczności, wyglądał szpetnie.

Muszę umyć zęby, odpowiedział. Nie było jednak szczoteczki [*sic!*] i gdy w końcu wyszedł z łazienki, miał potargane brwi i sterczące, mokre włosy.

Żona oznajmiła mu, że Gaby to jedyna córka Celine, więc niech napisze to, o co Celine go prosi.

Poklepała łóżko i usiadł obok niej. Bardzo się ucieszył, kiedy ujęła jego dłonie.

Masz cudowną żonę, powiedziała Celine.

Nie powinnaś tu być, rzucił do Claire. Pewni ludzie chcą mnie zabić.

Przyjechałam, żeby przemówić ci do rozsądku, odparła. Goni ich termin. Właśnie redagują tekst.

Zakonotował, że grzebią w jego dziele. Jednocześnie, wpatrując się w tę kochaną, tak dobrze znaną twarz, zrozumiał, że ona zgodzi się, by do niej wrócił.

Byłam w klubie tenisowym w Five Dock. Mecz już się prawie skończył.

Wyszłaś w trakcie trzeciego seta?

Obdarowała go porozumiewawczym uśmiechem.

Taka właśnie była Claire. Zabierali ją do męża, z którym się rozstała, ale jako sumienna obywatelka, nie chciała zawieść innych. Taka była. W singlu szło jej słabo, bo brakowało jej instynktu zabójcy, za to w deblu była niezrównana, bo nigdy nie zostawiała partnera na lodzie.

Posłuchaj, wtrąciła się Celine. Posłuchaj tego, co Claire ma ci do powiedzenia.

Dłoń Claire spoczęła na jego kolanie. Feliksie, proszę cię, zrób to, czego od ciebie oczekują.

A czego oczekują?

Naprawdę piszesz o Gaby tak, jakby była winna?

W całym tym zamęcie zbieg rozkoszował się dotykiem silnej dłoni swojej żony.

Nie będziesz gmerała w moich słowach, rzucił do Celine.

Posłuchaj swojej żony.

A to całe „redagowanie”?

Poprawiamy twoją okropną ortografię. Przygotowujemy wersję cyfrową. Ale czyta się to tak, jakbyś życzył mojej córce śmierci, więc może mógłbyś to jeszcze przemyśleć.

To nie publikuj tego. Spal. Wszystko mi jedno.

Bączku, wtrącała się Claire.

Zbieg spojrział w piwne oczy żony. Otaksowała go wzrokiem, pokręciła głową i się roześmiała. On się nie zmieni, powiedziała i pogłaskała wierzchem dłoni jego zmierzwioną brodę. Kochany, stary głupiec. Nie bądź odważny.

Bał się, że się rozplącze i zrobi się nieciekawie. Do zobaczenia wkrótce, powiedział i gwałtownie się obrócił. Była na tyle mądra, by dać mu spokój, za to on był na tyle głupi, że pozwolił jej wsiąść do furgonetki, nie wyznając ani razu, że ją kocha.

Kiedy zrobiło się cicho, powrócił do pracy. Wiedział, że jego informatorka wcale nie chciała być bezgrzeszna. Postawiła sobie za cel być winną. Będą powtarzać, że nie ma kobiet programistek, tłumaczyła na kasecie. Wszystko wokół jest tak urządzone, żeby twój cudowny syn trafił na ścieżkę kariery i tworzył skomplikowane algorytmy, podczas gdy ty pewnie ugrzęzniesz w jakimś pieprzonym centrum danych, będziesz wdrapywała się na serwery, zmieniała taśmy i rozprowadzała kable po podłodze. Jeśli nie skończyłaś ogólniaka, kumple z pracy będą jak idioci próbowali obmacywać twoje cycki, a szefowie, którzy będą chcieli cię przelecieć, „wypromują” cię na stanowisko w marketingu albo w dziale obsługi klienta, gdzie po całych dniach będziesz tłumaczyć jakimś debilom zawilóści technologii. Prawie sobie to zrobiłam.

Myślałam, że jestem odważna, ale byłam właśnie taką dziewczyną, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Włamywanie się sprawiało mi taką radość, że niemal przestałam programować. Przemieniłam się w postać z własnych koszmarów – w pieprzoną

„hobbystkę”, „zaawansowaną użytkowniczkę”, czytającą w kiblu stare egzemplarze miesięcznika „Macworld”. Ale jak już zaczęłam, to zaczęłam. Pisanie programów daje tak ogromną przyjemność, że powinno być zakazane. Nie po to mnie zatrudnili. Ale tego się nie robi, żeby płacili; nagrodą jest samo programowanie. Kładziesz się o czwartej nad ranem, wstajesz o siódmej, a głowa już pracuje: Dlaczego program działa tak wolno? Skąd bierze się ten czyhający błąd? Dziewczyny nie programują? Gówno prawda. Kiedy za dnia pracowałam w korporacji, byłam dobra, bo wiedziałam więcej niż programiści. Nawet w czasach kiedy Frederic był słono przepłacanym narodowym geniuszem, zapuścił włosy jak bitels, nosił zapięte pod szyję koszule, wąskie, czarne krawaty i obcisłe, jednorzędowe marynarki, w tych czasach, kiedy za dnia byłam korporatką, nocą razem ruszaliśmy w tango.

Kod to proste narzędzie, język służący rozmowie z ludźmi i z maszynami. Pomyśl o Montaigne piszącym esej, poszukującym piękna, klarowności, prostoty i zwięzłości. Dobry kod pozwala ci na to. Kiedy płoniesz, pojawia się *piękno*. Jak choćby w dowodzie Euklidesa na istnienie nieskończenie wielu liczb pierwszych. Albo w „Ptakach w przestrzeni” Brâncușiego, eleganckich rozwiązaniach skomplikowanego problemu. W niektórych językach kodowania jest to niemożliwe, niektórzy programiści to żywe trupy, ale jeśli piszesz w ekspresyjnym języku, na całe noce trafiasz do raju.

Od samego początku ja i Frederic byliśmy budowniczymi, ciągnęła Gaby. Przebudowaliśmy Zork, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Później, dużo później, tworzyliśmy całe konstrukcje, funkcja po funkcji, łączyliśmy ze sobą interfejsy, likwidowaliśmy

błędy, zwiększaliśmy przepustowość, żeby programy chodziły jeszcze szybciej. Wykorzystywaliśmy powietrze i prąd, jedynki i zera, nic więcej.

Dopiero kiedy Frederic wrócił z północy Nowej Południowej Walii, wznieśliśmy strukturę w realu, w stajni obok Agrikemu. To było najważniejsze wydarzenie. To wszystko, co musisz zrozumieć.

30

Była zima. Trawę pokrywał szron. Ja i Frederic stanęliśmy na czatach na McBryde Street, a Mervyn przeczołgał się pod ogrodzeniem. Miał kalosze i wodery, więc nie było to łatwe. Poza tym wziął wodoszczelną taśmę do zabezpieczenia rękawów i gumowych rękawic oraz kask motocyklowy z osłoną. Nieźle, jak na siedemdziesięcioletka. Odsunął właz kanału i opuścił w dół menażkę. Patrzyliśmy, jak wciąga ją na górę i przelewa jej zawartość do trzech brązowych butelek. Każdą z nich starannie owinął plastikową torbą. Na koniec podeszliśmy do ogrodzenia i przytrzymaliśmy drut kolczasty, żeby ułatwić mu powrót.

Poszliśmy tam, bo Mervyn był nieustraszonym, starym dziwakiem z długim partyjnym stażem. Jego kumpel, Herby Waltzer, piastował kiedyś stanowisko sekretarza Australijskiego Związku Pracowników Fabrycznych i miał bratanka w Batman Institute of Technology (BIT). Bratanek pisał doktorat z ekologii i spotka go „zaszczyt” darmowego przebadania naszej próbki. Co więcej, mógł to zrobić pod kierunkiem szefa swojego wydziału. My musieliśmy tylko pobrać materiał.

Analizy w BIT trwały cały miesiąc. Bratanek Herby'ego Waltzera odkrył w próbce furan (2,3,7,8-TCDF) oraz inne trujące dioksyny. Szef wydziału napisał: „Nie istnieje bezpieczny poziom furanów i dioksyn. W żadnym wypadku nie powinny trafiać do ścieków. Związki te są niebezpieczne dla środowiska nawet w bardzo niewielkich stężeniach”.

Opinię tę przysłano tradycyjną pocztą do domu przy Darlington Grove. Poszłam na Sydney Road i zapłaciłam za kserokopie.

Działo się to w czasie, kiedy próbowałam zasypać podziały między moim ojcem a Mervynem. Może Mervyn był podżegaczem i durniem, ale korporacyjne machlojki stały się jego konikiem. Lepszego prezentu nie można było mu dać – firmy zanieczyszczającej środowisko, złapanej na gorącym uczynku, na co mieliśmy niepodważalny dowód, dokument z rzędami cyferek z Batman Institute of Technology. Na razie nie wspomniałam o Mervynie. Najważniejsze były cyfry. Kiedy ojciec to przeczytał, przyciągnął mnie do siebie i – wciąż posiniaczoną i potarganą – ucałował w czoło. Dopadliśmy drani, powiedział. Nie zamierzałam tego zepsuć. Nie wspomniałam o Mervynie. Za to przygotowałam mu zapiekankę z tuńczykiem. Później razem pozmywaliśmy i przejrzelśmy analizę BIT, którą ojciec najwyraźniej ogarnął w całości.

Powiedział, że ów doktorant znalazł tam furan 2,3,7,8-TCDF w stężeniu 1,4 na miliard. Stężenie to odpowiadało 143 jednostkom na trylion dioksyny 2,3,7,8-TCDD. Nie wnikaj w szczegóły. Wystarczy tylko wiedzieć, że stężenie 0,038 na trylion jednostek wody jest śmiertelne dla ryb. Ścieki Agrikemu zawierały również chlorofenole niezbędne do produkcji kwasu 2,4-

dichlorofenoksyoctowego. Były tam również inne związki chemiczne, w tym dichlorofenol i trichlorofenol. Próbki zawierały stężenie stukrotnie wyższe od limitu przyznanego Agrikemowi w ramach Umowy o odprowadzaniu ścieków.

Tata zadzwonił wieczorem na prywatny numer ministra. Nie byliśmy zdenerwowani ani onieśmieleni. Dopadliśmy sukinsynów, rzucił i przesłał mu analizę faksem. To był Sandy w najlepszym wydaniu. Warto było mieszkać w tym obskurnym domu, żeby wreszcie zobaczyć, jak błyszczący.

Minister złożył raport – spokojnie jak na wojnie – ale nie może tego zrobić, póki BIT oficjalnie go nie podstempluje. Bo zadaniem ministra nie jest zniesławianie producentów. BIT najpierw powiedział, że nie ma sprawy, a później analiza gdzieś się zapodziała. Potem się odnalazła, ale biuro prawne BIT przysłało list, że uczelnia nie może sankcjonować „badań bez nadzoru”, przeprowadzonych poza wydziałem.

Sam możesz to przedstawić w parlamencie.

W marzeniach.

Przecież masz taką możliwość.

Kochanie, nie mogę.

Możesz. Trzeba tylko chcieć. (Chyba byłam nieprzyjemna).
Musisz.

Na litość boską!, wykrzyknął Sandy. Przymknij się!

Wtedy wszystko się zmieniło, w nanosekundę, wspominała Gaby. Powiedziałam mu, że ma mnie przeprosić. Staliśmy w kuchni. Trzymał w ręku słoik z masłem orzechowym. Rzucił nim w okno. Wszędzie rozprysło się szkło. Miałam je nawet we włosach. Czułam jednocześnie przerażenie i złość. Próbował mnie

przytulić i przeprosić. Powiedziałam, że jest zerem dla swoich wyborców. Spytałam, ile zdeformowanych dzieci rodzi się w Fawkner. Wymyśliłam to sobie, ot tak, z powietrza.

Roześmiał się. Kto ci pozwolił tak się do mnie odzywać?

Nie śmieć się. Przestań.

Ale nie chciał albo nie mógł. Dreptał po rozbitym szkłe. Powiedziałam, że jest zalany, chociaż wcale tak nie było. Dodałam, że się nade mną znęca. Wepchnęłam ubranie do szkolnego plecaka i zaczęłam krążyć rowerem po Brunswick i Royal Parade, wypatrując furgonetki matki Frederica.

31

Zraniłam ojca. Odtąd się zmienił. Później już zawsze byłam naiwna albo głupia. Jeśli go krytykowałam bądź coś kwestionowałam, to zawsze byłam pod czyimś wpływem. W ten sposób mógł mnie nadal kochać, bez względu na to, co zrobiłam.

Znalazł dyskietkę z napisem „Znajdź kotkę Gaby”.

Nie miał pojęcia, jak ją otworzyć. Obwinił szkołę za to, co obawiał się tam znaleźć i poszedł z tym do mojej wychowawczynie. Nie spodobało mu się, że ma nastroszoną fryzurę i podarte dzinsy. Jej chłopak grał w Cosmic Psychos albo w The Hairballs, w którejś z tych dwóch grup. Crystal była feministką i neopunkówką. Pogadała z ojcem i się uspokoił. Kiedy wyszedł, dała mi znać co i jak. Jasne, że skumała, że to Frederic był moją kotką. Później nauczyliśmy ją kodować, linijka po linijce.

Byli tam nauczyciele, których stresował brak dyscypliny. Uważali się za radykałów, tylko dlatego, że porzucali pracę, kiedy zjawiał się inspektor z kuratorium. Ale nie wszyscy byli predestynowani do życia w demokracji. Crystal urodziła się, żeby zostać naszą nauczycielką. Zachęcała nas do głosowań. Paliła z nami w „kanciapie”. Uczyła nas i uczyła się od nas. Kiedy

dostałam fioła na punkcie Merri Creek, bardzo jej to to spodobało. Wcześniej nie wiedziała nic o glebie, historii, polityce, ptakach ani o drzewach, więc ją w to wciągnęłam.

Kiedy tata stchórzył i nie przedstawił raportu dotyczącego dioksyn w parlamencie, całkiem naturalnym odruchem z mojej strony było pokazanie Crystal analizy sporządzonej przez BIT. A ona właśnie po to przyszła na świat. Dodała Agrikem do mojej mapy Merri Creek. Zwróciła naszą uwagę na herbicydy, co doprowadziło nas do tematu dioksyn, Mieszanki Pomarańczowej i udziału Australii w wojnie wietnamskiej, która skończyła się, zanim się urodziliśmy.

Poszła do siedziby MetWat przy Flinders Lane, obok dworca przy Spencer Street, i wróciła stamtąd z ich rocznym raportem. Byliśmy oburzeni tym, co z niego wyczytaliśmy i zdjęciami ludzi, którym powierzyliśmy najcenniejsze dobro na ziemi – naszą wodę. Tymczasem oni byli „korporacyjnymi konsultantami, specjalistami od zadłużenia i zwiększania wydajności”. Zasiadali w zarządach Genteck, Bank West, National Australia Bank, Bank of New Zealand i CSIRO. Mieli tytuły inżyniera lądowego, magistra inżyniera, FAIM, FIE (Aust.), licencjata Nauk Ścisłych i Inżynierii oraz doświadczenie w pracy w przemyśle. Współpracowali z firmami wydobywczymi i ponadnarodowymi korporacjami księgowymi. Nie przekonali nas, że można im powierzyć nasze wspólne dobro.

Wpadam w patos? Sama w pokoju. Gadam do ściany. Czy ktoś kiedykolwiek mnie usłyszy?

Podczas lekcji napisaliśmy z Fredem wyjątkowo powolną grę w języku BASIC o nazwie „Marionetka czynnika aktywnego”.

Czynnikiem aktywnym była dioksyna, a marionetkami – wyblyszczeni faceci z zarządu MetWat. Crystal była publikowaną pisarką. Pomogła nam wymyślić poszczególne postaci – żałosne, płaczliwe, zadufane w sobie albo fałszywie niewinne, jak amoralny Harold Skimpole z powieści *Samotnia* (którą musieliśmy przeczytać). Skimpole mawiał, że jest niewinny jak dziecko, więc jego też umieściliśmy w zarządzie. Mimo że nawet Frederic nie był w stanie rozwiązać problemów związanych z kodowaniem, nasze idee rozprzestrzeniły się po szkole niczym pożar.

Zwariowany nauczyciel wychowania plastycznego z orlim nosem przeniósł zdjęcia członków zarządu na papier kredowy. Mazaliśmy po nich, przerabiając podobizny tych facetów na krwawiące, włochate portrety o pustych oczodołach, ubrane w okropne garnitury z wielkimi złotymi guzikami. Nauczycielem zajęć praktycznych był Doug, Organiczny Mechanik. Zaznajamiał piątoklasistów z obsługą przycinarki. Jego uczniowie wykonali ramki i zorganizowaliśmy wernisaż. Portrety zawisły wokół galerii na piętrze, gdzie kiedyś zwariowani metodyści studiowali Pismo święte w pokojach w kształcie trójkątnych kawałków placka.

Czy są dziś jeszcze takie szkoły? Pewnie nie. Wszystkim nam wydawało się, że wymyślamy przyszłość, która – jak sądziliśmy – będzie lepsza od przeszłości.

Pojawiał się tam wolny słuchacz, którego widywałam na Lygon Street – podstarzały punk o rzadkich, rudych włosach z krążkami, śrubami i agrafkami wpiętymi w skórę twarzy niczym odznaczenia. Czasami w soboty przychodził ze składanym

stolikiem. Rozkładał na nim okropne zdjęcia przedstawiające zdeformowane ciała. Nosił czerwone okulary. Zawsze uważałam go za wariata.

Podczas godziny wychowawczej Eddy Margolis spytał go, w jakim zespole występuje. Odpowiedział mu, żeby się przymknął i nie fikał. Był kiedyś sierżantem australijskiej armii i miał do czynienia z herbicydami. Przez nie się rozchorował.

Uśmiechnęłam się do niego współczująco. Przeszył mnie wzrokiem na wylot.

Swoje makabryczne wyznanie zakończył stwierdzeniem, że nie przychodzi tu, by nakłaniać nas do łamania prawa. Zamierzał osobiście udać się do kanału, który wyrysowaliśmy na naszej mapie. Wcześniej o nim nie wiedział. Obiecał, że namacalnie potwierdzi lub podważy wyniki analizy. Ja i Undertoad pojechaliśmy tam na rowerach. Dotarłszy na miejsce, ujrzeliśmy sfatygowaną furgonetkę Crystal i kilka ludzkich sylwetek majaczących w szarej mgłę za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Było wilgotno i zimno. Wiał wschodni wiatr. Przecisnęliśmy się pod drutem. Nauczycielka i koledzy stali stłoczeni przy wejściu do kanału. Nasz ekspert wciąż miał na sobie te czerwone okulary. Uniósł pokrywę bez pomocy łomu, podważył kciukami i palcami wskazującymi. Nawet nie odłożył jej na ziemię.

Dobra, rzucił. Co czujecie?

Chemikalia.

Jakie?

Cuchną jak krowie łajno.

Tak, są bogate w azot. Co jeszcze?

Plastik?

Zgadza się. Czy ktoś wie, jak pachnie silikon do uszczelniania?

Nikt nie wiedział.

Cuchnie łajnem, plastikiem i silikonem. Nie ma takiego zapachu. Komu łzawią oczy?

Łzawiły wszystkim.

Czyli – co byś odpowiedział, gdyby MetWat zarzekał się, że nie ma tu dioksyny?, spytała Crystal.

Trzymajcie się od tego miejsca z daleka.

Co możemy zrobić?

Nic. Trzymajcie się z daleka.

Przeszliśmy po namokniętej, przerośniętej trawie i wymknęliśmy się przez obwiązaną łańcuchem bramę. Wszystko było takie zwyczajne. Ulice, małe domki, brzydki zapach, furgonetka hydraulika wykręcająca na podjeździe. Crystal przytuliła mnie i powiedziała: Obiecuj mi, że nie będziesz tu przychodzić. Słabo mnie znała. Słabo znałam samą siebie.

Poszliśmy z Fredem na zawilgły szkolny strych. Rozebrał mnie, powiódł palcem między moimi piersiami i powiedział, że jestem piękna. Odparłam, że rozbiore się do naga w Agrikemie i zacznę tarzać się po ziemi.

Nic na to nie odpowiedział, tylko wpatrywał się we mnie swoimi tajemniczymi, błyszczącymi oczami. Poczułam przypływ gorąca w miejscu, gdzie kończy się kręgosłup. Nie próbował mnie powstrzymać. Wiedział, że to by mi się nie spodobało. Całował mnie wszędzie, we wszystkie niedorzeczne miejsca, na przykład pod kolanami. To było jak przeskakujący prąd. Wykonywaliśmy „programowanie parami”, zanim o nim usłyszeliśmy i zanim

dowiedzieliśmy się, że nie jest fajne. Takie programowanie cechuje wciągająca intymność – ty i twój partner przebywacie ledwie parę centymetrów od siebie. Czujesz jego ciepło i myśli. Oboje musicie rozumieć kod, tu i teraz, w chwili kiedy powstaje. Praca w parach bywa inwazyjna, ale seks też taki jest.

Nikt nie znał naszych myśli ani planów. Irytowaliśmy ludzi. Wykluczaliśmy ich. Brnęliśmy coraz głębiej we własne sprawy. W szkole była stara kamera super 8, którą nikt się nie interesował. Canon 512XL. Kiedy nasi koledzy w kółko kręcili artystowskie filmiki, a Cosmic Cosmo robił półkę na wino z części hydraulicznych, rozłożyliśmy ją, po czym złożyliśmy, jak żołnierze broń.

Naśmiewaliśmy się z nowych kamer wideo, nazywając je „produktami”. Wprowadziliśmy do codziennego języka słowo „agitacja”. Wybrana przez nas technologia nie pozwalała na rejestrowanie dźwięku, zatem nasza agitacja miała charakter wyłącznie wizualny. Chcieliśmy zniszczyć MetWat w telewizyjnych wiadomościach.

Zapuscimy się dalej i graliśmy ostrzej niż inni. Poświęcimy dla tego celu moją piękną skórę. Kupiliśmy kliszę. Film będzie trwał dokładnie dwie minuty i pięćdziesiąt sekund. Odbyliśmy próbę, żeby zmieścić się w czasie.

Trzysekundowe ujęcie tablicy z nazwą Agrikemu.

Plan ogólny fabryki, zbliżenie na właz kanału.

W kadrze pojawia się Gaby i zdejmuje majtki.

Gaby tarza się po zatrutej toksynami ziemi.

Zapisaliśmy ten plan, a potem sami to wyreżyserowaliśmy. Zawsze tak ze mną było. Kiedy przechodzę do działania,

zapominam o strachu. Po prostu działałam. Najpierw robię to, a potem tamto. Tyle w tym strachu, ile w rozkładaniu broni. Kiedy to kręciliśmy, było zimno. Moja naga skóra przypominała oskubanego z pierza kurczaka, była utyłana w błocie i toksynach. Przykucnęłam i objęłam rękami kolana, a Frederic pobiegł na drugą stronę ulicy, żeby znaleźć dom, w którym jest telefon. Bardzo długo nie wracał. Liczyłam, że przyniesie mi też jakiś koc. Nie pomyśleliśmy o tym wcześniej. Frederic wrócił z pustymi rękami. Teraz mieliśmy wykonać dalszą część planu.

Przyjeżdża karetka.

Sanitariusze biegną przez pastwisko przy stajni.

Przenoszą Gaby do karetki.

Karetka z Gaby odjeżdża.

Znak Agrikemu.

Napis: Miesiąc później.

Skóra Gaby z trądzikiem chlorowym, pokryta pęcherzami i krostami.

Frederic zdjął koszulę, żeby było mu tak zimno, jak mnie. Gest wart mojego taty. Czekaliśmy na przyjazd karetki. Kiedy podał mi własną koszulę, rozplakałam się. Dotknął mnie, ale go odepchnęłam. Przyszły mi do głowy dziwne myśli. Pomyślałam, wiozłeś rowerem ten cholerny statyw, ale o kocu zapomniałeś. Wydawało mi się, że na moich plecach i brzuchu pojawiają się pęcherze. Byłam bardziej rozbita, niż się spodziewałam. Płakałam, bo ojciec nie chciał mnie słuchać. Płakałam, bo Frederic będzie mnie podziwiał za odwagę, ale już się ze mną nie ożeni albo ożeni się i będzie miał romanse z kobietami

o nieskazitelnej skórze. Pomyślałam, marna szansa, żeby pokazali nasz filmik w telewizji.

Wygłodzone, chude jak szczapy konie stały pod płotem sąsiedniego pastwiska, wystawiając smutne łby ku mnie, a zady – w stronę wiatru.

Przyjechała karetka. Dostałam hysterii. Zbiegli się sąsiedzi, żeby popatrzeć. Frederic też musiał się rozplakać, żeby zabrali go ze mną.

Kiedy odmówiliśmy wywołania filmu, Crystal nieoczekiwanie się wkurzyła.

Powiedzieliśmy, że nie jest jeszcze gotowy. Że na coś czekamy.

Na co?

Na jedną scenę. Nie możemy ci powiedzieć.

Pewnie byliśmy arogancy. Cała klasa uznała nas za kretynów. W porządku. Ale co mieliśmy im do pokazania? Że czekamy, aż na moich plecach i brzuchu pojawią się paskudne wrzody? A przecież dopiero wtedy mogliśmy dokręcić tę scenę, skończyć film, wywołać go i pokazać w wiadomościach w Channel 9. Wtedy go zobaczą. Nie mają pojęcia, kim jesteśmy.

Czekaliśmy na te wrzody i rany. Za każdym razem kiedy wracałam z kibla, Frederic spoglądał na mnie i pytająco unosił brwi. Miał już przygotowane oświadczenie dla prasy, ale Jezu, Freddo, weź na wstrzymanie.

Nie zrozum mnie źle. Panowała między nami całkowita zgoda. Wykonaliśmy „konieczne działanie”, ale teraz emocje opadły i nie zachwycała mnie perspektywa, że całe życie będę naznaczona.

Poszłam do Biblioteki Narodowej, bez Fredda. Zobaczyłam tam ohydne zdjęcia, które mnie przeraziły. Później przyłgnie do mnie łatka ignorantki i histeryczki, mniej więcej trafna, choć moja matka przebiła później wszystkich, nazywając mnie masochistką. Gdybym była żołnierzem, zostałabym bohaterką, bo naraziłam swoje ciało na niebezpieczeństwo w imię wyższego dobra. Ale byłam dziewczyną i dlatego musiałam być masochistką.

Crystal była idealną nauczycielką, ale kiedy nie pokazaliśmy jej filmu, przemieniła się w zadzierającą nosa cipeę. Dlaczego? Mieliśmy już wystawione oceny, więc nie rozumiem, dlaczego to ją tak stresowało. W końcu jej odwaliło i „kazała” Fredericowi podejść do jej biurka z plecakiem. A w tym liceum nikt nikomu niczego nie narzucał.

Zaproponowałam głosowanie.

Crystal powiedziała, żebym się przymknęła. Przyniesić plecak, natychmiast.

Zauważyła, że coś zapisuję.

W plecaku Frederica była kamera, a w kamerze nasz film. I o to właśnie chodziło. Frederic nawet nie drgnął. Też coś zapisał i zaczął wpatrywać się w Crystal.

Klasa zamarła. Crystal nie zaczęła mu grozić ani nie powtórzyła polecenia. Frederic pozostał w ławce. Później znowu coś zapisał i odłożył długopis. Ta wyzywająca postawa wywołała we mnie ekscytację. Nagle rozprostował się i zmrużył oczy. Jego ruchy świadczyły o jakimś ukrytym zamiarze, co sprawiało, że wydawał się wspaniały.

Gdy przeszedł między ławkami do wieszaka na ubrania, pomyślałam, kurczę, kocham cię, kocham, wyniesiesz nasz film za

te pieprzone drzwi albo go prześwietlisz, przy wszystkich. Wiedziałam, że myśli jak ja. Zawsze tak było.

Kiedy oddawał plecak Crystal, byłam jak w transie. Położył go na jej biurku. Dobra. Rozsunął suwak. Dobra. Wyjął kamerę i drwiąco uniósł ją w górę.

A potem, kurwa, dał jej kamerę. Patrzyłam na tę scenę w całym tym okropieństwie. Przechylił głowę. Jeśli miała to być ironia, spudłował. Stał bezsilny i czekał, aż Crystal przewinie taśmę.

Wyjęła kliszę i oddała mu kamerę.

Film jest naszą własnością, zaprotestował Frederic.

Przykro mi.

Zapłaciliśmy za niego.

Dostaniecie zwrot. Teraz proszę wrócić na miejsce.

Proszę wrócić na miejsce. I kto to mówi? Oczywiście zrobiłam notatkę, ale to już nie była nasza szkoła. Dotąd tak tu nie było. Godzina wychowawcza zamieniła się w obóz jeniecki. Wszyscy byli zszokowani i znienawidzili Crystal, może – gwoli ścisłości – wszyscy oprócz tych, którzy uważali mnie i Frederica za przemądrzałych, a rzecz jasna takich była większość.

Ale nawet wtedy nie przyszło mi do głowy, że ta tłusta, mała dziumdzia z nastroszoną fryzurą da nasz film do wywołania.

Później, kiedy wszyscy prezentowali swoje projekty, co trwało cały dzień, od dziewiątej rano do piątej po południu, obserwowałam, jak Crystal ustawia projektor i puszcza nasz film. Wciąż była nieprzejednana, ale gdy zobaczyła tablicę z napisem „Agrikem”, jej twarz złagodniała. Kiedy na mnie zerknęła, ucieszyłam się, bo mimo wszystko nadal chciałam, żeby mnie

lubiła. Czułam, że byłam najbardziej radykalną i najfajniejszą uczennicą, jaką kiedykolwiek miała.

Frederic kręcił poszczególne sceny jedna po drugiej, więc to, co zobaczyliśmy na guzowatej ścianie, było surową wersją naszego filmu, nie do końca zgodną ze scenariuszem, ale prawie. Wszystkie ujęcia były krótkie, trzy–pięciosekundowe. Wyraz twarzy Crystal zmieniał się z każdą sceną, jakby w rytm padających argumentów. 1. Napis Agrikem. Dobrze. 2. Ogólny plan fabryki, dobrze, zbliżenie na właz. Dobrze. 3. Gaby się rozbiera. W porządku. 4. Gaby tarza się w błocie. Nie, nie. 5. Karetka. 6. Gaby wynoszona przez ogrodzenie. 7. Karetka odjeżdża z McBryde Street. 8. Szpital Royal Melbourne. Przyjazd karetki. Nie, nie, nie. Crystal całkowicie spanikowana.

Kiedy Crystal wybiegła z klasy, wszyscy przenieśli wzrok na mnie. Freddo zaczął rysować w notatniku, jakby nagle wpadł na jakiś bardzo fajny pomysł. Crystal wróciła w towarzystwie tymczasowej koordynatorki programu, która nie za bardzo pasowała do tej roli. Po obejrzeniu filmu koordynatorka oświadczyła, że prawo zobowiązuje ją do pokazania go naszym rodzicom.

Całe popołudnie czytaliśmy *Samotnię*. Nienawidziłam jej, tej cukierkowo słodkiej Estery Summerson.

Spytałam Crystal, czy ją lubi.

Odpowiedziała, że powinniśmy wyjść poza „lubienie”.

Nagle zjawił się Doug Organiczny Mechanik i obwieścił, że „bardzo wątpi”, by po jednokrotnym kontakcie z ziemią w Agrikemie można dostać choćby pryszczę. Melissa i Nada zachichotały. Doug kazał mi podciągnąć koszulkę, na co

odpowiedziałam, że jest zboczony. Uparłam się, że to „niestosowne”, więc wyszedł. Później Crystal kazała mi pokazać mój nieskazitelny tłuszcz.

To był najgorszy dzień w moim życiu.

Ojciec zrobił mocne wrażenie, kiedy wezwali nas na rozmowę. Oświadczył, iż to prawdziwa ulga i szczęście, że nikomu nic się nie stało i że każdy przekonał się, jakie to ważne, żeby odrabiać lekcje. Wszyscy sikali po nogach ze śmiechu, a ja czułam się jak idiotka. Ojciec miał koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i rozciągnięty, prujący się sweter, bardzo w stylu liceum im. R.F. Mackenziego. Był taki mądry, przystojny, pewny siebie. Premier właśnie zwiększył dotacje dla podmiejskich bibliotek. Jedna z nich mieści się naprzeciwko i moja córka mogła dowiedzieć się wszystkiego na temat efektów działania dioksyn bez konieczności tarzania się w błocie, podsumował Sandy.

Z psychologicznego punktu widzenia to było okropne.

Położył dłoń na ramieniu matki Frederica, a ta spojrzała na niego jak cocker spaniel. Była nawalona. Sandy zmierzwił włosy Frederica (co bardzo mu się nie spodobało), a mnie i Celine zmusił do koszmarnego, rodzinnego uścisku. Jeszcze nigdy nie było w nim tyle energii. Zbajerował tymczasową koordynatorkę i wygłosił pean na cześć niezwykłego zaangażowania Crystal w pracę. Miał nadzieję, że efekt negocjacji między rządem a związkiem zawodowym nauczycieli dotyczący płac bardzo ją ucieszy.

Czy Frederic rozumiał, co się stało? Oczywiście. Całkowicie. Ale wyszedł ze swoją zamuloną matką i nawet się do mnie nie odezwał. Przyjechałam na rowerze, więc nie musiałam wracać

samochodem z rodzicami. Volvo już stało przed domem, kiedy tam wreszcie dotarłam. Chłodnica trzeszczała, oddając ciepło. Podprowadziłam rower do bocznych drzwi i weszłam przez pralnię. W domu przekonałam się, że Akt Drugi dramatu już się skończył i że właśnie rozpoczął się Akt Trzeci. Totalny mrok i poczucie dyskomfortu.

Sandy najwyraźniej wszystko już przetrawił i kiedy się spotkaliśmy, na jego twarzy malował się tryumf. Nie mógł się doczekać, żeby mi to wytknąć: Nie zdołałam dowieść moich racji. To była prawda. Powinnam była słuchać jego, a nie Mervyna Aisena i jego niechlujnego znajomego doktoranta. Sandy zostanie w przyszłym roku ministrem. Czy gdybym wiedziała, tobym mu uwierzyła?

Stał się refleksyjny, zaczął teoretyzować. Spytał, co by było, gdyby okazało się, że miałam rację. Mówiąc czysto teoretycznie. Co by się stało, gdyby moja skóra pokryła się wrzodami? Czy przyszło mi do głowy, jak bym skrzywdziła ich, nie tylko siebie? Jaki miałoby to wpływ na jego przyszłość w rządzie?

Nie poznawałam osoby, z którą kiedyś sprzymierzałam się przeciwko matce.

Jak mogłaś mi to zrobić? Dlaczego wierzysz wszystkim, tylko nie własnemu ojcu?

Naraziłaś na szwank swoją urodę, powiedział. Odparłam, że jest żaloszny i poszłam spać, zamknąwszy się na klucz, żeby musiał mnie przeproszać przez drzwi.

Celine podjęła się roli rozjemcy. Byłam prawie pewna, że ma romans z Lionelem Patrickiem (wtedy już w wieku emerytalnym), ale stanęła po stronie ojca. On cię kocha ponad życie, powiedziała.

To dzieciak.

Wszyscy mężczyźni są jak dzieciaki, kiedy kochają,
odpowiedziała. Jakaż ona była próżna.

Gdy Frederic oddał nasz film Crystal, początkowo nie rozumiałam, jak bardzo zostałam zdradzona. Za to on rozumiał. Był to jeden z jego zadziwiających talentów – zawsze znał bieg moich myśli.

W oczach klasy pewnie byliśmy, jak przedtem – para zarozumialców w wojskowych butach malujących oczy taką samą kredką. Freddo głaskał moją szyję i dmuchał mi w ucho przy ludziach. Nikt nie miał pojęcia, że prosi mnie o przebaczenie, a ja nie chciałam przyznać, że cokolwiek musiałabym mu wybaczać. Oczami dawał mi do zrozumienia, że mnie potrzebuje, a ja nie mogłam tego znieść. To było takie nieatrakcyjne. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Opędzałam się od niego, przy ludziach. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek rzeczywiście go kochałam.

Niedługo potem, po paru dniach, nie tygodniach, zamienił komputer firmy Apple na peceta, chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy. (O co, kurwa, chodzi?). Przepoczwarzył się we Fredda Wersja 3, zwawego i zdecydowanego. Uznał, że pecety są po prostu poważniejsze. Był „uprzejmy”. Już nie głaskał mnie po szyi.

Nie zamierzał mnie przeprosić za to, że zrobił ze mnie w tym filmie kompletną idiotkę, pokazując klasie mój tłuszcz bez większych korzyści dla społeczeństwa. Wyciągnął książkę *Effective C++* Scotta Meyersa i zaczął ją czytać, jak gazetę.

Naprawdę tak lekko mu to przyszło czy może chodziło o: Ty karzesz mnie, jak karzę ciebie?

Odtąd żyłam jak w oku cyklonu. Bałam się chodzić do szkoły. Dostałam obsesji, na przykład na punkcie mojej wagi i tego, skąd Frederic miał pieniądze na drogą książki. Aż w końcu pewnego ciepłego wieczoru, po lekcjach, ruszyłam Sydney Road nie w tę stronę. To znaczy nie w tę, w którą zawsze chodziliśmy razem. Pozwolił mi odejść. Sama to sobie zrobiłam. Zanim dotarłam do sklepu z narzędziami Cornwall's, wiedziałam, że właśnie ze sobą zerwaliśmy.

Nazajutrz poszłam na godzinę wychowawczą. Niech będzie tak samo, pomyślałam. Usiadłam tam, gdzie zawsze. Czekałam bezwolnie, już martwa. Kiedy Frederic usiadł na swoim zwykłym miejscu, pomyślałam, chwała Bogu, ale kiedy obrócił się do mnie, z jego oczu sączyły się mrok i chęć zabijania.

Nie rozumiem, co się dzieje, rzuciłam.

Muszę pomóc Cosmo, odpowiedział.

Cosmo, który później przemienił się w słynnego Paypala, był największym ćwokiem w klasie pełnej odmieńców, ćwoków i ofiar najróżniejszych rodzinnych, pedagogicznych i politycznych katastrof. Jego tata prowadził firmę hydrauliczno-gazowniczą na tyłach hipermarketu w Coburg. Cosmo trafił do naszego liceum, gdyż uznano, że nie można niczego go nauczyć. Jego ojciec miał jeszcze czterech synów i dla najmłodszego zabrakło miejsca

w firmie. Ale Cosmo był jak pies, który nie chce odejść od drzwi. Wciąż tylko konstruował modele i maszyny z części hydraulicznych. Mierzył wtedy już metr osiemdziesiąt, lecz brakowało mu wyczucia własnej przestrzeni. Spacer z nim po Sydney Road był prawdziwym koszmarem, bo Cosmo bezustannie na kogoś wpadał, a potem śmiał się, głośno i histerycznie. Poza tym uwielbiał grać na pececie – i, oczywiście, o to chodziło.

Cosmo potrzebuje pomocy, powiedział Frederic, pocierając oko i rozsmarowując tusz na rękę.

Dobra.

Trochę mu pomogę, w porządku?

Spojrzałam na Cosmo. Puścił do mnie oko, na co nie miał pozwolenia.

W porządku.

Z opóźnieniem dotarło do mnie, że mój miły i uprzejmy Frederic już niedługo na stałe przysiądzie się do tego nerda i że odtąd po całych dniach będą wymieniać szeptem uwagi na temat wszystkich gier, w które można grać na pececie.

Kiedy Cosmo pożyczył Fredericowi „Ultima VI”, wszyscy zrozumieli, że zostałam porzucona. Nikt w klasie mnie nie żałował. Nikt nie przyszedł, żeby ocalić moją dumę, a przecież byłoby to takie proste. Poza liceum im. R.F. Mackenziego był kosmos, żadnego życia na którejkolwiek z planet. Wkurzyłam Troya. Dla Samończyków byłam trupem. Tak cholernie zadzierałam nosa przy Kwartecie z Keppel Street, że dziewczyny już dawno przestały do mnie dzwonić. Ojciec oddalił się ode mnie, a Celine wracała wieczorem pijana i liczyła na „babskie rozmowy”. Ohyda.

Zbliżała się Gwiazdka, a wraz z nią lato, więc mogłam ukryć się przed samą sobą nad strumieniem, gdzie rada miejska kazała skosić nasze sadzonki, bo, rzecz jasna, między kołami traktorów nie mogło istnieć życie i powinniśmy byli wiedzieć, że drzewa sadzi się w metrowych odstępach. Ktoś gdzieś spotykał się z przedstawicielami trzech samorządów i MetWat, ale ja i tak zaczęłam przesadzać roślinki. Przesiadywałam ze starymi, pomarszczonymi ludźmi. Ciężko zasuwałam i starałam się nie odczuwać zbyt wielu emocji. Zgłosiłam się na wolontariuszkę do szkoły leśnej i robiłam, co mogłam, żeby dogadywać się z ojcem, choć i on nie był w dobrej formie. Wieczorami siedziałam w domu i wcinałam dania na wynos, póki nie zebrałam się na odwagę i nie zadzwoniłam do Katie, która dawniej była moim alibi, kiedy szłam na noc do Frederica.

Właściwie nie mogłam na wiele liczyć, ale akurat tamtego wieczoru wybierała się do Klubu Mechaników w Brunswick, gdzie występował zespół jej chłopaka. Był perkusistą w neopunkowej grupie o nazwie Glut, czy jakoś tak. Grali jako pierwsi, więc on i Katie będą na mnie czekać przed klubem – w porządku?

Serio?

Żartujesz? Stęskniłam się za tobą.

Tak długo byłam Gaby-i-Fredericem, że już nie wiedziałam, w co mam się ubrać, żeby słuchać muzyki jakiejś pieprzonej kapeli. Znałam te dziewczyny; przychodziły na koncerty takie śliczne i na bajerze. Próbowалам „się odszpanować”, ale efekt był do wyrzygania. W końcu wypaliłam skręta i ubrałam się w rzeczy z ciucholandu, jakie zwykle nosiłam. Kiedy przyszedłam do klubu, czekali tam na mnie wszyscy dawni znajomi. Byli zachwyceni

moim wyglądem i wciąż powtarzali, że mnie uwielbiają. Wydawałam im się oryginalna. Nie było tam nikogo takiego jak ja, chociaż oczywiście prędzej padliby trupem, niż wyglądali tak jak ja. Ich ubrania musiały dużo kosztować (co nie było oczywiste dla chłopaków, ale dla dziewczyn – absolutnie tak).

Klub Mechaników to była nora, a zespół grał do bani. Chłopak Katie był przystojny, ale zbyt zadowolony z siebie. No i chuj. Trochę poskakałam i wypłam parę drinków. Katie podzieliła się ze mną kreską koki. Później zaprosili mnie na „after party”. Chłopak-perkusista wstawił mój rower do furgonetki. Cieszył mnie ten powrót do normalnego świata. Katie siedziała z przodu obok swojego perkusisty. Prowadził, obejmując ją za szyję, a na ramieniu, od koszulki bez rękawów po paznokcie, miał tatuaż – łuski węża. Katie wciąż przewieszała rękę za oparcie fotela. Nagle patrzę, trzyma prezerwatywę. Moi znajomi dziecinnieli, kiedy mnie nie było.

After party odbywało się w East Kew. Mimo że mieszkałam w Melbourne od urodzenia, nigdy nie widziałam domu z taką bramą – czterometrowe pręty ozdobione na górze złotymi *fleurs-de-lis* – jakby jego właściciele czekali na rewolucję. Przed domem jasnożółte porsche. Perkusista neopunkowiec mieszkał tu z mamą, tatą i młodszymi braćmi. Jego lewe ucho było zrolowane i przekłute jak jakiś dziwaczny makaron, ale chłopak miał nieskazitelne maniery. Wyjął mój rower z furgonetki i powiedział, gdzie mam go postawić. Cholera, pomyślałam. Ja pierdolę. Będę musiała wrócić nim do domu.

Rodziców nie było, za to wszędzie szalały dzieciaki. Amfa, MDMA, koka, olejek haszyszowy. Takie do bólu z prywatnych

szkół, a ja byłam najdziwaczniejszym zjawiskiem, jakie widzieli. Głupie dziewczynki z białym proszkiem rozmazanym nad ustami jak z Botticellego.

Wysikam się i spróbuję jakoś wrócić do domu, pomyślałam.

Ale kible były zamknięte i wypełnione idiotami. Zeszłam na dół i pośród tego chaosu, kretyńskiej dudniącej muzyki, krzyków i odgłosów rzygania odkryłam nie kibel, lecz nowiutki komputer Mac IIci. Okazało się, że jest wyposażony w 50-megahercową kartę akceleratora Daystar 68030 i podłączony do modemu Hayes Smartmodem 96. Otaczał go wianuszek milczących dzieciaków. Niektóre mogły mieć nie więcej dwanaście lat. Przy klawiaturze, niczym perwersyjny seminarzysta albo katecheta ze szkoły niedzielnej, zasiadał Frederic Matovic.

Mali chłopcy stali przyklejeni do jego barków, a on w swoim stylu delikatnie przemykał palcami po klawiaturze. Wiedziałam, że nie ma w tym nic seksualnego, a jednak poczułam ucisk w dołku. Było to – przynajmniej dla mnie – niezwykle intymne. To były *jego* algorytmy stworzone przez komendy, odpowiedzi, pauzy i gwałtowne nawroty, kiedy – jak to on – nagle przesuwał się na krześle i kiwał głową jak wtedy, gdy miał jeszcze grzywkę, którą musiał odgarniać. Wiedziałam, że dokonuje się w nim jakaś dobra przemiana. Kiedy jeden z tych knypków podłączył go do nowiutkiej powolnej drukarki StyleWriter, stało się jasne, że Frederic wróci dziś do domu obładowany skarbami. Chciałam stamtąd uciec, ale przepchnęłam się do niego i klepnęłam w ramię. Powiedział „Cześć”.

Odepchnął jakiegoś smarkatego deskorolkarza i zajęłam swoje miejsce.

W czym teraz siedział? Parę lat później nazwą to pocztą mailową. Wtedy było to konto CSIRONET. O kurde! Wszedł w *Secretum secretorum* przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjnego MetWat, gdzie wszelką korespondencję wciąż opatrywano nagłówkiem „Okólnik” lub „OOZ” – okólnik ograniczonego zasięgu. Wydał typowy dla siebie, bliżej nieokreślony dźwięk przypominający muczenie, zostawił mnie w towarzystwie swojej ławicy, podszedł do drukarki i zdjął z niej jej brzemię. Porządkując kartki, czytał.

Lepiej już chodźmy, rzucił i machnął grzywką, której już nie miał.

Wstałam. (Bo właściwie co innego miałam zrobić?).

Dobra, powiedział Frederic. Stawiam wam wodę.

Byłam zszokowana, że to zrobił. Pozwolił tym maluchom harcować jak myszy w plikach MetWat. Może była to cena, jaką wcześniej z nimi ustalił, może naigrawał się z bezpiecznej odległości z policji federalnej, a może zaangażował się w walkę klas i próbował ściągnąć funkcjonariuszy wydziału do walki z cyberprzestępczością do East Kew. Zwykle nie rozrabiał na stronie, na którą się włamał, co najwyżej tworzył bezpieczną drogę ucieczki, sprzątał po sobie i nie uszkadzał systemu.

Ale nie dzisiaj. IDIOCI. POTRZEBUJECIE SILNIEJSZYCH HASEŁ. JESTEŚMY DWUNASTOLATKAMI I MAMY WAS W RĘKU.

Znalazłam mu w kuchni plastikową torbę. Włożył do niej ciężkie wydruki. Wyszliśmy stamtąd i ruszyliśmy przed siebie w gorącą noc.

I nagle, tuż przed tym pałacem, za wysoką żeliwną bramą, obok porsche i bmw, zaczęliśmy bez końca się całować, delikatnie i nienasyconie. Całowałam jego tajemnicze, ukryte pod rzęsami oczy. On wachał moją szyję. Szepnął mi do ucha: Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, a ja byłam taka zapłakana, że właściwie nie rozumiałam, co mu się kołacze po tej małej główce.

34

Zbieg – co można ujawnić w tym wydaniu (piątym cyfrowym, pierwszym papierowym) – został przewieziony nocą, powiedzmy, że na tylnym siodełku nie do końca sprawnej hondy 750, stutrzydziestokilometrowym odcinkiem pełnej serpentyn górskiej drogi z Golden Wattle Motel do Koala Lodge w Katoomba, mieście słynącym z atrakcji turystycznych, takich jak najbardziej strome tory kolejowe na świecie, kolejka linowa pokonująca największą stromiznę na półkuli południowej oraz przyprawiający o zawroty głowy Malowniczy Szlak Pieszy, tak karkołomnie i groźne piękny, że nawet ktoś całkowicie zdrowy może poczuć pokusę, by z krzykiem rzucić się z niego w przepaść.

Charakter pasażera tylnego siodełka nie zostanie jednak poddany takiej próbie. Przeciwnie. Umieszczono go w Koala Lodge w pokoju z widokiem na betonowy dziedziniec oraz z wszelkimi innymi udogodnieniami eleganckiego apartamentu z własnym wyżywieniem i łazienką. Miał tam płytę ceramiczną, więc mógł jeść spaghetti, smażone kielbaski i kotlety jagnięce oraz – jak w tym momencie – wygotować majtki, które wydymały się drżąc z rondla niczym namioty w kształcie kopuły,

nasuwające skojarzenia z kąpielą w pianie i gmachem opery w Sydney.

W tym nowym miejscu zbieg siedział przed maszyną do pisania, tak jak siedział wcześniej i pisał o wojnie w Bougainville, wydarzeniach 1975 roku czy o pierwszym strajku głodowym w Villawood – i tak dzień po dniu przez niemal pięćdziesiąt lat. Dostarczono mu kasety, a zapisane kartki sukcesywnie odbierano. W łazience bezustannie i hałaśliwie kapiała woda, ale to ignorował. Wokół bioder owinał gruby ręcznik. Na szerokim, nagim karku widać było owłosione siodełko, twardą poduszkę przypominającą wypukłość na czole delfina zwaną „melonem”, wytwarzającą dźwięki służące „komunikacji i echolokacji”.

Jak zwykle była noc. Światła reflektorów aut przejeżdżających pobliską drogą omiatały sufit, a głos Celine Baillieux nie łagodniał. Podobnie jak kapanie, które w końcu sprawiło, że zbieg zerwał się z krzesła niczym bohater spektaklu trupy Pram Factory, na przykład na wpół oszalały arcybiskup Mannix wyobrażający sobie, że występuje w dramacie, który ogląda cały świat. Jego spodnie wciąż nie wyschły, ale przecież był synem pomysłowego mechanika. Przyniósł z łazienki metalowy wieszak i wygiął go w pętlę o średnicy dwudziestu centymetrów, po czym wepchnął ją w nogawkę, żeby się nie sklejała. Następnie przeplótł pasek przez szlufki i zapiął go. Położył spodnie na podłodze i ustawił motelową suszarkę na wprost tunelu lewej nogawki. Kiedy ją włączył, strumień gorącego powietrza wydał ją niczym żagiel.

Dawaj je, Harry!, powiedział. Na głos.

Na ostatnich kasetach pojawiały się irytujące komentarze. Serio, większość tego, co nam przedłożyłeś, jest nieprawdą, mówiła Celine Baillieux.

Tymczasem Felix Moore nie **przedkładał**. Nikomu. Wyłączył dyktafon. Wstał i podszedł do łączących pokoje drzwi, gdy nagle snop niebieskiego policyjnego światła prześlizgnął się po zaparowanym suficie. Felix wrzucił kasety i kartki pod materac. Schował do szafki maszynę do pisania oraz dyktafony i wciągnął ręcznik, kiedy zamykał za sobą przesuwane drzwi.

Majtki wciąż bulgotały. Niebieskie światło koguta migało w zaparowanym pomieszczeniu. Szafka pozostała zamknięta. Kiedy odsunął drzwi, niebieskie światło przemieniło się w czerwone.

Poprawił sobie ręcznik, wyłączył światło i zaczął podglądać przez szpary w żaluzjach. Z ulgą dostrzegł młodego mężczyznę przywiązanego pasami do wózka, który sanitariusze śpiesznie pchali w stronę karetki.

Cytujesz moją córkę, żeby wywołać wrażenie, że byliśmy poróżnione, powiedziała Celine. A wiesz, że to nieprawda. Byliśmy sobie bliskie wtedy i jesteśmy sobie bliskie teraz. Gdybyś był uczciwy, dałbyś jasno do zrozumienia, że robię to wszystko, bo nie ma na świecie nikogo, kogo bym kochała bardziej. Miłość nie czyni nas doskonałymi, o ile pamiętam. Nie zmywa naszych grzechów, ale kiedy wróciłam późną nocą do Coburg, to nie po to, żeby rozmawiać o moim życiu z Lionelem, jak sugerujesz, lecz dlatego, że jej ojciec by nam nie przeszkadzał. Wściekł się na ten jej film o Agrikemie. Był oburzony, że próbowała mu zaszkodzić.

Chrapał w pokoju, który kiedyś był naszą sypialnią, a ja przyjechałam, żeby ją pocieszyć.

Tak, „spotykałam się” z Lionelem Patrickiem – i co z tego? Dzięki niemu mieszkałam w ładnym domu. Co miałam robić? Naturalnie Sandy uważał, że wybrałam konserwatystę, żeby go zranić. Nawet nie znał Lionela. Najwyżej raz uścisnął mu dłoń. Chcesz porozmawiać o Gramscim? Z Lionelem mogłam o nim rozmawiać. Albo o cholernym Terrym Eagletonie. Lionel widział spektakle, dla obejrzenia których gotowa byłam zabić, nawet jeśli musiałabym wcześniej zasuwać jako bileterka. Paul Scofield, Gielgud, Olivier, doskonale ich wszystkich pamiętał. Czułam się spokojna i zadowolona w jego domu przy Caroline Street, w którym zgromadził tyle pięknych rzeczy. Nie było tam nic niepięknego, ale i nic wymuskanego. Uwielbiałam jego miękkie, skórzane kapcie i piżamy z cienką, białą podszewką, w których chodził po domu.

Sandy w najmniejszym stopniu nie rozumiał teatru, uwielbiał tylko oglądać mnie na scenie. Świadomość, że wkrótce będzie posuwał Heddę Gabler, przepełniała go cudzołożną chucią.

Lionel był dużo bardziej wyrafinowany i to pod każdym względem. Z przyjemnością wyprawiałam się z nim do buszu, do jego domu w Smiths Gully, obwieszzonego obrazami pędzla jego znajomych, zwłaszcza Boydów, ale też Percivala, Cliftona Pugh'a i Petera Glassa. Próbował nauczyć mnie nazw drzew, ale było to zbyt odległe od moich własnych korzeni. Przy panu Neville'u świat dzielił się na eukaliptusy, akacje i krzaki.

I tak dwa, trzy razy w tygodniu jechałam na drugą stronę rzeki i wślizgiwałam się do mojego domu, żeby porozmawiać z córką.

Może i wypłam przy tym kieliszek wina albo dwa, ale nie powiedziałabym, że kiedykolwiek się upłam. Gaby była otyła, wyalienowana i przygnębiona. Ten chłopak, łajdak, rzucił ją. To była jego wina. Zawsze był winny. To oczywiste, że źle się o nim wyrażałam. Jezu, później się zesłi, więc musiała mnie ukarać.

A sama pamięta, jak opluwała Lionela? Bo ja pamiętam. Było dla niej „ohydne”, że jest taki stary. Chciało jej się rzygać, kiedy o tym myślała, cokolwiek „to” było. Powtarzała różne rzeczy po Sandym, który najwyraźniej uważał, że to Lionel wymyślił kapitalizm. Tymczasem laborzyści próbowali odkapitalizować kapitalistów. Sandy zaczynał gorzknieć. Był posłem od niedawna, ale musiał słuchać biurokratów i technokratów. Skończy się to jego porażką, nie dlatego, że był słaby albo kiepski, tylko dlatego, że występował przeciwko czemuś, nad czym nie mógł zapanować, a tego – w co trudno uwierzyć – się nie spodziewał.

Wmówił Gaby, że mój związek z byłym prokuratorem generalnym wywoła skandal, który zaszkodzi nie tylko jemu, ale także partii. To jakiś żart. Malcolm Fraser zgubił spodnie w Memphis. Był premierem, ale nawet coś takiego nie zaszkodziło mu politycznie. Mogłabym iść za Lionelem, niosąc jego spodnie, i nikt by o tym nie napisał. Mogłam mieszkać u niego tygodniami, chodzić z nim do teatru, do opery i do Moroni's – i nic by się nie stało.

Ale usłyszałam, że jestem destrukcyjna i narcystyczna.

W takim razie warto spytać, dlaczego Gaby skonsultowała się ze mną w sprawie okólników o spuszczeniu ścieków. Czy destrukcyjny narcyz nie jest najgorszą osobą do zwierzeń?

A jednak to matce ujawniła zawartość torby na zakupy niejakiego Davida Jonesa. Było tego spokojnie ze dwieście stron.

Zasugerowałam, żeby przekazała je ojcu.

Spali je, odpowiedziała.

Kiedy wreszcie zrozumiałam, co wpadło w jej ręce, zaczęłam się o nią bać. MetWat rzeczywiście wydawał tajne licencje na spuszczenie ścieków i nie tylko. Byłam oburzona, że to pieprzone liceum Mackenziego nie uprzedziło uczniów, iż ich szczerze i piękne działania wywołają określone konsekwencje.

Oczywiście nawet nie śniłam, żeby powiedzieć o tym Lionelowi, ale w końcu był kiedyś prokuratorem generalnym i bardzo doświadczonym prawnikiem. Nie było więc nic dziwnego w tym, że rozmawiałam z nim o prawie, tak ogólnie, czysto teoretycznie. Nieważne, jakie to były rozmowy. I tak ich nie pamiętam, ale wysnułam z nich wniosek, że te drukowane dokumenty nigdy nie ujrzą światła dziennego. Zostały wykradzione, czyli pozyskane w drodze przestępstwa. A tym przestępcą była moja córka. Właśnie to jej powiedziałam – że zostanie ukarana i nie osiągnie celu. Oczywiście zaczęła na mnie krzyżeć. Że jestem defetystką i burżujką. Że pójdzie z tym do mediów. Odparłam, że królują w nich oświadczenia i wyreżyserowane wydarzenia, bo speców od PR pracuje tam cztery razy więcej niż dziennikarzy.

Prawie mnie opluła. Myślisz, że o tym nie wiem? Niby czym miał być ten nasz film? Przejdę do historii. Nie masz o niczym pojęcia.

Skoro jestem taka głupia, to po co zawraca sobie głowę i mi o tym mówi?

Bo jesteś moją matką.

Zaczął jej drżeć podbródek. Rozpłakałam się i dlatego nie zrozumiałam tego, co chciała mi powiedzieć – że wyreżyseruje jakieś wydarzenie, które zmusi rząd do działania.

Wróciłam do Lionela zapłakana. Byłam jej matką, ciągnęła Celine Baillieux beznamiętnym tonem, tak charakterystycznym dla wszystkich Australijczyków, czy to Libańczyków z Denbo, Samończyków bądź potomka człowieka, który liczył, że dożyje swoich dni w Krainie Jezior. Zbiegowi zdawało się, że odkrył w głosie Celine głęboki, historyczny smutek, tak dobrze mu znany, jak szum wiatru w szpalerach europejskich sosen w kształcie litery „L”, sadzonych przy końskich pastwiskach na bezdrzewnych terenach ciągnących się od Balliang East przez Morrisons i Bullengarook, aż po Maryborough. Oto nasz los, pomyślał. Mamy kochać ten kraj mimo dowodów, które widzimy na własne, łzawiące od wiatru oczy.

Pisarz wyłączył gaz płonący pod rondlem z jego majtkami i z podłogi w łazience podniósł wysuszone na wiór spodnie. Wsunął do dyktafonu nową kasetę. Głos młodej kobiety będzie mu szeptał do snu.

Teraz, kiedy ja i Frederic znów byliśmy razem, myślałam, że Cosmo zniknie. Rankiem, w poniedziałki, mieliśmy sesje „poniedziałkowych refleksji”. Przedtem Frederic uważał je za stratę czasu, ale teraz chciał poruszyć sprawę „broni Cosma”.

Nie było takiej możliwości, żebym wstydziła się za Fredda, ale tym razem niewiele brakowało. Broń Cosma była dziecinną pukawką w stylu *steampunk*, którą skonstruował ze starych miedzianych i mosiężnych rurek oraz paru „studzienek rewizyjnych” o ekscentrycznych kształtach. Zbudował ją na zajęciach z Dougiem – i to było w porządku, ale kiedy przyniósł ją na godzinę wychowawczą i zachowywał się, jakby to było coś „znaczącego”, został kompletnie wyśmiany. Nikt nie wiedział, co to jest *steampunk* i nikogo to nie obchodziło. Za to wszyscy zagłosowali przeciwko broni. To dlatego Crystal nie zdołała wykorzystać tej chwili, by czegoś nas nauczyć. Nieudacznik Cosmo pogrzebał w firmie ojca i znalazł całkowicie nowe zastosowanie dla giętkich, miedzianych rurek, obejm zaciskowych, termoogniw, elementów grzewczych, mosiężnych i miedzianych okuć i przeróżnych zwariowanych bzdetów w stylu Juliusza

Verne'a, których ojciec zabraniał mu dotykać w realnym świecie. Nie zagłosowałam przeciwko niemu. Nawet kiedy powiedział, że komputery Mac są dla dziewczyn. Było mi tylko smutno, że jest taki wielki i pokrzywiony.

Frederic zwykle gardził opinią kolegów. Za to teraz oburzył ich jego tupet i zaskoczył fakt, że stali się obiektem jego pożądania.

Cosmo ze swoimi wpatrującymi się oczami, ostrym podbródkiem i wielkim sycylijskim nochalem, przerośnięty Cosmo wciśnięty w ławkę, czyż nie pomyślał czasami – dlaczego spotyka to mnie? Czy przyszło mu do głowy, że za to zapłaci? Czy doszedł do wniosku, że taki niespodziewany awans towarzyski będzie wart każdej ceny?

Myślałam, że chodzi o Cosmo. Byłam tak wkurzona, iż nie domyśliłam się, że Frederic robi to dla mnie. Zawsze był jak ptak altannik. Zalecając się, odgrywał przede mną zaskakujące sceny, wciąż i wciąż, przez wiele lat. Kiedy już myślałam, że się mną znudził, zaczynał taniec godowy. Ale skąd miałam to wiedzieć? Był taki podstępny, przebiegły i zabawny. W swoim stylu zmusił naszych kolegów, by podziwiali Cosma. Wygłosił pogadankę o *steampunku*, pełnymi zdaniem, z uwzględnieniem interpunkcji: Juliusz Verne, H.G. Wells, *Laputa – podniebny zamek* Hayao Miyazakiego, bla, bla, bla. *Steampunk* był jak alternatywna historia wiktoriańskiej Anglii i Dzikiego Zachodu, razem i osobno. Był odmianą science-fiction, osadzoną w postapokaliptycznej przyszłości. Wykorzystywał anachroniczne technologie, tak, jak broń Cosma, której siłą napędową – co (najwyraźniej) wszyscy widzieli – były para i gaz.

Crystal rozdziawiła usta. Pomyślałam, że ją zahipnotyzował i że mimo wszystko go uwielbia. Był uczniem Mackenziego w stu procentach, podsuwając nauczycielce, jaki program może przygotować w oparciu o *steampunk* – literatura, fizyka, budowa okrętów. *Steampunk* prowadził wprost do Charlesa Babbage’a, który w 1822 roku stworzył pierwszy na świecie komputer. I tak dalej. Frederic był synem aktora. Przechadzał się między ławkami. Mówił płynnie i dobitnie. Temat, który poruszał, wypełniał jego duże i sztywne ciało. Rumienił się i płonął, a czarne, kręcone włosy wymykały się spod czerwonej bandany.

Nasi koledzy nigdy go takim nie widzieli. (Ja chyba też nie). Z pewnością nie wiedzieli, skąd wziął się tam ten stwór i byli oburzeni, że ich czarował i pytał, jak może brzmieć muzyka w stylu *steampunk*. Nie mieli, kurwa, pojęcia. Zerkali na Crystal, ale nie mogła im pomóc.

Cosmo ani razu się nie odezwał, ale Fred i tak go spytał: Jak mogła brzmieć muzyka w stylu *steampunk*?

Wtedy się rozpromienił, jakby słyszał jakąś prywatną orkiestrę – syntezator, mosiężne dzwonki i dudy – ale nie chciał się tym podzielić. Był taki uradowany; ja zresztą też, dziwnie uradowana, dumna, zaskoczona i dozgonnie zakochana.

Matka Frederica wróciła na odwyk, więc po lekcjach wczółgaliśmy się na tył jej furgonetki. Byłam senna i wyluzowana. Tymczasem Frederic recytował mi listę przeszkód uniemożliwiających zdemaskowanie MetWat oraz sposoby, w jakie je pokona, jeden po drugim. Umiem tak zrobić, oświadczył. Porównał to do wielopoziomowej gry przygodowej.

Pierwszy problem: toksyczna zmywarka płynie przez podziemny mrok. Wydobędziemy ją albo zrobimy coś biblijnego. Gadał, jakby się nawalił. Powoli dotarło do mnie, że to jego plan na realne życie. Freddo nie miał pojęcia o rysowaniu, a jednak naszkicował smutny, wyłysiały wybieg dla koni obok parkingu Agrikemu, jednocześnie rozprawiając o hydraulice, rurkach z PCV i kleju hydraulicznym firmy Bostik. Narysował coś, co przypominało kobrę, a okazało się ogromnym kranem wychodzącym ze ścieku.

Nie wiesz, jak to zrobić, powiedziałam.

Spokojna głowa. Załatwię to. Po opublikowaniu prawdziwej analizy toksyn pobierzemy tę truciznę, obejrzymy ją i powąchamy w chwili, gdy trafia do publicznego kanału. Później zakręcimy kran przed kamerami telewizji.

Na początek potrzebujemy kombinezonów chemicznych, powiedział.

Pomyślałam, że w telewizji będzie to wyglądać fajnie, a jednocześnie przerażająco – tylko skąd je weźmiemy? Ile może kosztować taki kombinezon?

Spokojna głowa. Załatwi to.

Oczywiście nie miał pojęcia, jak się załatwia cokolwiek, ale intuicyjnie kreował wydarzenie. Miał siedemnaście lat. Jak w filmie *Pole marzeń* – jeśli je stworzysz, przybędą. Pozyskał Cosma, choć ten jeszcze o tym nie wiedział.

Wyznałam mu, jak bardzo go kocham.

Możemy wpakować się w duże kłopoty, odparł.

Powiedziałam, że wiem. Byłam całkowicie uzależniona od ryzyka, sprawiedliwości, prawości i gniewu. To nie moja wina, że ojciec zawiódł. Nie moja wina, że zostawił to do wykonania nam.

Następnego dnia wieczorem przyprowadziłam Frederica do domu przy Darlington Grove. Usiedliśmy przy stole w kuchni. Panował piekielny upał. W ogródku postękiwał zraszacz. Pani Aisen miała na sobie sukienkę do gry w tenisa, a jej ojciec – szorty i granatową koszulkę bez rękawów. Pani Aisen przysiadła na dłoniach i nie patrzyła w moją stronę. Pomyślałam, że popełniliśmy duży błąd. Ona nie złamie prawa. W dodatku Mervyn miał kłopot z patrzeniem na Frederica. Tego nie wzięłam pod uwagę – Freddo znów malował oczy i paznokcie. Mervyn zwracał się ze wszystkim do mnie.

Dopiero później odkryłam, że pani Aisen bała się, że oznajmię, iż jestem w ciąży. Przygotowywała się do zajęcia stanowiska, ale nigdy mi go nie wyjawiała. Była katoliczką? Możliwe. Wyczuwałam jedynie, że atmosfera jest bardzo ciężka i nie byłam w stanie poprosić o to, po co tam przyszliśmy. Plotłam. Bezmyślnie powtarzałam wszystko, czego się od nich nauczyłam – o brutalnym traktowaniu strumienia przez MetWat, jego całkowicie poronionych próbach walki z powodziami i oszustwie związanym ze ściekami z Agrikemu. Nie zdradziłam im, że wreszcie mamy niepodważalny dowód.

Pani Aisen spytała, czy właśnie w tej sprawie przyszliśmy. Oparła dłoń na ramieniu ojca. Wtedy pomyślałam: przeraził się Fredda. Nawet na niego nie patrzy.

Frederic odpowiedział, że się to z tym łączy.

Z MetWat?, upewniła się pani Aisen, podczas, gdy Mervyn wpatrywał się w solniczkę.

Tak.

Aha! powiedziała pani Aisen i szeroko uśmiechnęła się do Frederica.

Pani Aisen, wiem od Gaby, że to wy załatwiliście tego żurawia.

Zniszczenie mienia MatWat było poważnym przestępstwem. Nikt mi wcześniej nie powiedział, że to robota Mervyna. Musiałam im się wydać niebezpieczną plotkarą.

Tak ci powiedziała?, spytał Mervyn i ponownie skupił całą uwagę na solniczce.

Powiedziałam, że bardzo ich przepraszam, jeśli się pomyliłam.

Siedzieliśmy w okropnej ciszy, aż w końcu Mervyn zdobył się na uśmiech. Ty podstępny staruszk, pomyślałam. Powiedziałam mu o włamaniu dokonanym przez Frederica, który zaproponował, że może im to pokazać na żywo, ale pani Aisen nie zamierzała łamać prawa.

Jej ojciec stwierdził, że jest bojaźliwą myszką. Była taka podekscytowana i oburzona, że dała nam dyskietkę do wgrania naszego dowodu.

Będzie wam potrzebny hydraulik, zaopiniował Mervyn.

Już go mamy, odpowiedział Frederic.

Dzisiaj moglibyśmy rozegrać to inaczej – włamać się do systemu i wpisać komendy, które doprowadziłyby do zniszczenia fabryki, ale dwadzieścia lat temu zdalny dostęp do zakładów przemysłowych wyglądał zupełnie inaczej. Taka firma jak Agrikem nie dysponowała aż tak nowoczesnym instrumentarium. Wszystkim sterowali ręcznie – otwierali zawory i nastawiali prędkość wirówki. Dwadzieścia lat temu potrzebowaliśmy czterech metrów 80-milimetrowej rurki PCV, czterech metrów giętkiego 80-milimetrowego drenu rolniczego, złącza PCV 45 stopni dwa

w jedno, złączki, tubki kleju hydraulicznego Bostik, plastikowego wiadra, wodoszczelnej taśmy samoprzylepnej, metrowego drążka stalowego 3/8 ze składu Surdex Steel przy Edward Street w Brunswick, dwóch śrub 3/8 z podkładkami, skrawków włóczki ósemki, piły do metalu, wyrzynarki, zestawu narzędzi do gwintowania, przestawnego klucza płaskiego, wiertarki, 9-milimetrowego wiertła, łomu, ośmiu kombinezonów dla Undertoady oraz, rzecz jasna, Cosma.

36

Freddo stworzył Cosmo szansę na zbudowanie systemu drenażu z PCV z tłokiem, który wywoła ssanie i umożliwi wystawienie na widok publiczny ścieków Agrikemu, zawierających trującą dioksynę. Cosmo niezdrowo się tym ekscytował. Bez przerwy opowiadał głupie dowcipy, aż w końcu zaczęło nam to ciążyć. Zabrałam go do cukierni Ferguson Plarre, kupiłam mu dwukolorową babeczkę z nadzieniem i przykazałam, żeby nigdy przenigdy o nas nie mówił. Nawet Dougowi nie mógł powiedzieć, czym się zajmuje.

A co ma powiedzieć Dougowi?

Że interesuje go *steampunk*, odparłam. Był tak zdumiony, że kupiłam mu jeszcze napój mleczny, ale i tak ten wielki uparty osioł zaraz poszedł do Douga Organicznego Mechanika i wszystko mu wygadał.

Doug przypominał takiego brodatego psa o rozpaczliwym wejrzeniu, który nie szczeka. Jaka to była rasa, Gaby nie wiedziała, wiedziała tylko, że podczas zajęć Doug wszelkie polecenia wypowiadał szeptem. „Narysuj koło i wytnij je z kwadratu”. Doug mieszkał kiedyś w Japonii. Uczył ciesielstwa,

używając japońskich pił ręcznych. Potajemnie pasjonował się science-fiction i *manga otaku* i był jedynym nauczycielem, który wspierał Cosma.

Teraz nagle zaczął się od niego publicznie odcinać. Mówił głośno, żeby wszyscy mogli o usłyszeć, że już nie będzie pozwalał Cosmo Palermo przynosić „tego jego złomu” na lekcje. Znajdź sobie inne miejsce. Nie prowadzę tu firmy hydraulicznej.

To jednak on znalazł nam bezpieczną kryjówkę, gdzie mogliśmy składać rury – opuszczony plac budowy nieopodal szkoły przy David Street. Był tam zadaszony, prosty warsztat. Pod blatem stało kilka pustych butelek po piwie i walało się mnóstwo gnijących petów.

Dougowi bardzo zależało na zachowaniu niewinności. Poradził Cosmo, żeby spędzał więcej czasu nad angielską literaturą, bo skończy jako matoł, którego nikt nie będzie chciał zatrudnić.

Do mojego gabinetu. Mam cię dość, Palermo.

Później przez godzinę spisywali listę rzeczy, których Cosmo będzie potrzebował do skonstruowania pompy.

Nie mieliśmy pojęcia o hydraulice, ale jakoś zdołaliśmy zbudować prostą pompę ledwie za pomocą piły do metalu i tubki kleju hydraulicznego Bostik. Zrobiliśmy to w jeden weekend. Później pompa stała niezabezpieczona przez pięć dni, dopóki Mervyn nie ściągnął tam swojego kumpla z ruchu Catholic Worker, który bardzo pochwalił sposób, w jaki Cosmo połączył mosiężny kurek z elementami z PCV. Jako aktywista rozumiał, że musimy mieć stalową klatkę, która będzie nas chronić przed glinami.

Gliny nigdy się tam nie zjawily, za to klatka przyczepiona łańcuchami do wjazdu kanału była tym, co wszyscy najbardziej zapamiętali z tej akcji – kubik ze stalowej siatki, a w nim dwójka śmiałków w chemicznych kombinezonach. Jednym z nich był Mervyn, a drugim – jego kumpel z organizacji Catholic Worker.

Później komentowano, że byłam niewinnym narzędziem w rękach lewackich działaczy związkowych, ale było dokładnie na odwrót – to moja wola puściła w ruch tę maszynę wojenną. To ja „pożyczyłam” kombinezony. To ja, ściągając kaptur, pokazałam twarz przed kamerami. Chciałam wziąć to na siebie. Patrzcie na tę dziewczynę. Skoro ona może, to dlaczego nie my?

Reprezentowałam wiele osób. Uhonorowałabym ich, gdyby chcieli, nie tylko Mervyna, ale też około pięćdziesięciu innych osób, z którymi nawet nie rozmawialiśmy, w tym członków sławnej kapeli, którzy dostarczyli nam furgonetkę z kierowcą, żebyśmy przewieźli konstrukcję w elementach na McBryde Street. I tak będzie przez całe moje życie. Będę tą, którą wszyscy mogą pokochać albo znienawidzić. Ale przecież w pojedynkę nie da się uwolnić szukających azylu z korporacyjnych więzień. Byłam zawsze, we wszystkich swoich działaniach, karmiona łyżeczką przez innych. Matce trudno się z tym pogodzić, ale moją rolą jest przyjmowanie krytyki i odsiadanie wyroków.

W dniu naszej akcji znów było mroźno. Zanim zsiadłam z roweru, dwaj uwięzieni w klatce mężczyźni już czekali, aż klej do PCV chwyci. W tej części Fawkner nikt się jeszcze nie obudził. Nie jeździły samochody. Ja i Frederic włożyliśmy kombinezony na środku McBryde Street.

Tak zwana *steampunk* pompa już wyrastała z ziemi. Mervyn wyciągnął stalowy pręt z krążkiem ze sklejki. Usłyszeliśmy ekscytujące bulgotanie cieczy płynącej przez rurkę z PCV, piękny, narastający gulgot. Spoistość i przyczepność sprawiły, że toksyny popłynęły pionowo, a później poziomo, po czym wylały się z mosiężnego kranu niczym woda, po kąpieli ściekająca do odpływu. Nagle w powietrzu pojawiły się trujące, cuchnące końskim łajnem opary. Pozwoliliśmy, żeby ciecz wyciekała, choć mogliśmy zakręcić kurek. Biedny tata, teraz żałuję za szkody, które musiałam spowodować.

Są pisarze, którzy dziękują swoim wydawcom, kłaniają się im i podlizują, a później cieszą się, kiedy tamci przebijają ich nadgarstki granatowymi długopisami. Felix Moore nigdy do nich nie należał. Uwięziony w Koala Lodge, mając swoich wydawców za ścianą, został przemieniony w szczeniaka z pseudohodowli, biedną, trzymaną w zamknięciu dla reprodukcji sukę, której zawsze będą odbierać dzieci. Mocne zdania, wyraźnie zadrukowane kartki, są przekazywane innym i nie ma pewności, które fragmenty zostaną usunięte i jakie kalumnie trafią do tekstu. Nie tego oczekiwał Felix Moore, gdy przyjmował wypchaną, szarą kopertę od Woody'ego Townesa.

Z jego pokoju nie ma bezpośredniego wyjścia – jedne drzwi prowadzą do wspólnej łazienki, a drugie – do pomieszczenia, które można by nazwać „apartamentem wydawców”. To w tej brudnej łazience zostawiają mu kleik i mrożony groszek. Także tutaj, na opuszczonej desce sedesowej, Felix kładzie swój dzienny urobek, który później przeredagują bez jego udziału i nie przedstawią mu zmian do akceptacji. Powtarzają mu, że to dla jego bezpieczeństwa. że jest skarbem narodowym, człowiekiem

zbyt ważnym, by ryzykować w roli autora i być świadkiem przestępstwa. Ale mimo tego rozpieszczania Feliksowi wydaje się całkiem prawdopodobne, że wkrótce zostanie zastrzelony. *Nie wprowadzać zmian redakcyjnych.* Żona przeczyta jego ostatnie słowa. Kocha ją. [sic!] Pozostawić czasy tak, jak są. Felix wielbi ją i żałuje wszystkiego bardziej, niż umie wyrazić to słowami. Nic nie umyka pamięci – gniazdo w pościeli, zapachy, dziecięce wymiociny na ramieniu w środku wywiadu, w środku opowieści. Felix nie zapomniał, nawet pod koniec swoich marnych dni, wieczorów spędzonych na zamartwianiu się o córkę dyslektyczkę i jej prześliczną siostrę, zbyt pewną siebie, by mogła przetrwać kolejny dzień.

Pisząc, Felix czuje się zrzędlivy, chory od wspomnień i niepewności, od lęku, że koniec nadejdzie, nim zostanie zapowiedziany, lęku, że nie będzie żadnego końca. Chciał, żeby Gaby Baillieux dokonała tego, czego jemu nie udało się dokonać w „Radiu dla kierowców”. Chciał nawet czegoś więcej. Jakże żałosne wydają się teraz jego ambicje i jakże mała wyobraźnia. Był dziennikarzem jednego artykułu, jednej sprawy, jednego efektu swojego pisania. Urodził się w poprzedniej epoce geologicznej, podczas gdy ona przyszła na świat w antropocenie i z łatwością zrozumiała, że wrogiem nie jest jeden naród, lecz cały tabun firm, korporacji przedsiębiorców i ciał ustawowych, których istnienie oznaczało degradację wody, powietrza, gleby i samego życia.

Gaby Baillieux była kiedyś uczennicą. Stała o brzasku na twardej zimnej trawie wybiegu dla koni Agrikemu pośród much plujek, smutnych koni i odoru dioksyny. Miała na sobie żółty

chemiczny kombinezon. Trucizna wypływała z nowych białych rurek, mętna jak woda w rowie.

Przebrani ludzie stłoczyli się wokół wjazdu do kanału ściekowego, ich niebieskie i żółte sylwetki przypominały gnomy z kreskówki w chemicznych kombinezonach. Zjawiły się ekipy wszystkich stacji telewizyjnych w Melbourne. Wozy transmisyjne zaparkowały przy McBryde Street. Anteny satelitarne skierowane były w stronę wschodzącego słońca. Na ogrodzonej drutem kolczastym działce drżący z zimna członkowie ekip telewizyjnych szczelnie otoczyli metalową klatkę.

Ubrana w żółty kombinezon dziewczyna, spocona i z ograniczonym polem widzenia, bała się, że ktoś się tam prześliznie. Widziała szesnaście postaci w niebieskich kombinezonach i trzy w żółtych. Nie wiedziała już, która z nich to Frederic.

Duże auto, czarny ford LTD, jechało z dużą prędkością od strony fabryki wprost na klatkę z gnomami. Wyglądzone konie rozpierzchły się. Dziewczyna czuła suchość w gardle. Zastanawiała się, czy – kiedy nadejdzie ten moment – zdoła wydobyć z siebie głos. Spojrzała na nadjeżdżającego forda akurat w chwili, gdy jego prawe przednie koło wpadło do rowu i samochód przewrócił się na bok. Wydawało się, że warkot silnika dobiega ze sporej odległości. Wyraźnie widziała, jak kierowca przeczołguje się do drzwi od strony pasażera. Nie był wysoki, ale bardzo barczysty i biła od niego furia mężczyzny o szerokim karku i mocnej zuchwie. Krzyczał coś, idąc w ich stronę. Gaby dostrzegła jego grube uda i charakterystyczny, szpotawy chód. Niósł jakiś pręt albo łyżkę do opon.

Nie wie, że jestem jeszcze dzieckiem, pomyślała. Rozwali mi głowę.

Wciąż powtarzał słowo „intruz”. Fajna ksywka, pomyślała. Jestem intruzem. Mam cię w ręku.

Grupka kobiet i mężczyzn w niebieskich kombinezonach rozstąpiła się i otoczyła oficjela Agrikemu, tworząc to, co Chińczycy nazywają „kapuścianą obroną”, luźny kordon, niczym liście kapusty jednocześnie pasywny i nieprzenikniony. I tak człowiek ten znalazł się w miejscu, w którym ścieki spływały z powrotem do kanału.

Ujęcie wykonane przez operatora telewizji ABC było wyjątkowo estetyczne. Widzowie zobaczyli niebieskie, plastikowe płatki, które otwierają się i ukazują pracownika Agrikemu. Tymczasem w domu przy Patterson Street poseł parlamentu stanowego siedział na podłodze przed telewizorem i czekał na materiał dotyczący strajku pielęgniarek.

Postać w żółtym kombinezonie zdjęła kaptur. Wśród kamerzystów dało się wyczuć poruszenie. Dziewczyna była szokująco młoda; blond loki i zamyślane, delikatne, szare oczy. Za to oficjel Agrikemu miał szeroką twarz, gruby kark i zaskakująco zmysłowe rysy. Jego wargi były niczym łuki, a wzdęte policzki przypominały jabłka. Kiedy zobaczył dziewczynę, spojrzał na nią z niedowierzaniem i wybuchnął śmiechem.

W domu przy Patterson Street Sandy patrzył, jak jego córka odczytuje analizę składu chemicznego ścieków, wykradzioną przez jej chłopaka z MetWat. Kiedy recytowała listę związków chemicznych, pomyślał, że robi z siebie kompletną idiotkę. Telewizja ABC puściła ten wykaz w napisach jak tyłówkę filmu.

Przygotowanie czegoś takiego trwało parę godzin, pomyślał Sandy. W tym czasie żadna ze stacji nie zwróciła się o komentarz do rządu.

Skąd masz te informacje?, spytał oficjel Agrikomu. Sandy wiedział, że jest zawziętym skurwielem.

Władze stanowe ogłosiły program zero tolerancji dla dioksyn, zgadza się?, odparła Gaby.

To czysty nonsens. MetWat ma własne analizy. Porozmawiaj z nimi.

To właśnie te analizy.

Skąd je wzięłaś?

Dziewczyna miała krostkę na napuchniętej górnej wardze, co tylko podkreślało jej urodę.

Obieca mi pan, że przestaniecie spuszczać te trujące ścieki?

Dzwonię na policję.

Czyli nie zakręcicie kurka?

Oczywiście, że nie.

Świetnie, w takim razie my to zrobimy.

Niby jak, ty idiotko? Najwyraźniej facet nie zwrócił uwagi na zamontowane urządzenie hydrauliczne. Patrzył, jak Mervyn zakręca mosiężny zawór i ścieki przestają lecieć.

Mężczyzna, który – jak się później okazało – nazywał się Ken MacFarlane, podszedł do przewróconego samochodu, przystanął, po czym ruszył w stronę fabryki. W tym samym czasie do premiera stanowego zaczęły dzwonić wszystkie stacje telewizyjne z Melbourne. Gaby Baillieux wciąż pojawiała się w relacjach prezentowanych na wielkim ekranie na placu przy Swanston Street. Premier odwołał wszystkie spotkania i spędził cały ranek

na rozmowach z przedstawicielami MetWat i stanowym ministrem ochrony środowiska.

W taki oto sposób Gaby, Frederic, Cosmo oraz inne anonimowe osoby doprowadziły do zamknięcia fabryki Agrikemu. Późniejsze wyczyny Gaby będą mniej spektakularne, za to donioślejsze, ale właśnie ten pierwszy, upajający spektakl zawiedzie ją w końcu do Koala Lodge.

Żaden z poniższych faktów nie był znany, gdy z takim pośpiechem przygotowywano pierwsze wydanie tej książki.

Woody Townes wdarł się do Koala Lodge, ciągnąc za sobą Celine Baillieux. Wielki byk miotał się, rozwścieczony postawą dziennikarza, który – przerażony – nie przerwał pisania, tylko zaczął wiernie notować wypowiedzane kwestie. W jego zamyśle nie była to prowokacja.

Felix Moore nie był szlachetny. Martwił się przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Drzwi łączące pokoje zostały roztrzaskane. Teraz Feliksa nie chroniło już nic. Był bezbronny niczym szczur umykający przez salę balową.

Woody miał na sobie tę przemyślną kamizelkę z mnóstwem suwaków i kieszeni. Pochwycił zapisane kartki z biurka pisarza i wepchnął je do plastikowej torby, w której już spoczywała spora część maszynopisu. Tymczasem Celine dawała Feliksowi desperackie sygnały. Kiwała głową i robiła miny. Co miały znaczyć te sygnały? Czy Felix Moore miał przekazać Woody'emu to, czego tamten się domagał? Tak? Nie? Wręczył mu dwanaście ponumerowanych kartek w szarej teczce, po czym wciągnął do

maszyny czysty papier. Pisał, bo nie umiał robić niczego innego. Przedstawił żonie całą sytuację. Woody czytał mu przez ramię, jakby każde słowo Feliksa było jego własnością.

Napisz jej, że przepraszasz za to, że jesteś tchórzem i kimś absolutnie zbędnym, nakazał Woody.

Felix Moore zapisał to i zanotował wszystkie zniewagi, które później usłyszał. Nie było to w jego stylu.

Nagle do pokoju weszła Gaby Baillieux. Feliksa ponownie wzruszył widok jej małych, bosych stóp i popękanego lakieru do paznokci. Miał poczucie głębokiej bliskości z kobietą, z którą ledwie raz się wcześniej spotkał. Towarzyszył jej zylasty i giętki mężczyzna, może trzydziestopięcioletni, z głęboko osadzonymi oczami i zapadniętymi policzkami. Wytatuowany na ręce kod kreskowy identyfikował go jako Frederica Matovica. Czy naprawdę był kiedyś tym chłopakiem-dziewczyną z wymalowanymi oczami? Nawet jeśli, to teraz został przedestylowany, zredukowany, wypolerowany. Gdy stanął przed Woodym, wyglądał jak twardziel, z prawą ręką zwisającą wzdłuż szwu dzinsów. Felix nigdy przedtem nie widział prawdziwego „majchra”. Postawa Frederica świadczyła o tym, że trzyma go przy nodze.

Dobra, rzucił sławny Frederic do Woody'ego. Co dla nas masz?

Oczy dewelopera były małe, podkrążone, zaczerwienione i groźne. Jego wzrok spoczął na Fredericu i pozostał tam, gdy przez chwilę milczeli. Potem Woody sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej dwa australijskie paszporty i rzucił je na biurko.

Frederic przyjrzał się najpierw jednemu, a później drugiemu przez aluminiową, zegarmistrzowską lupę. Nie śpieszył się.

Judith, powiedział, podając paszport Gabrielle Baillieux.

Nawet jeśli był to żart, nikt się nie roześmiał. Woody wyjął dużą, szarą kopertę. Gdy Gabrielle Baillieux przeliczała jej zawartość, Frederic nie spuszczał wzroku z Woody'ego.

W porządku, powiedziała.

Bilety lotnicze, zażądał Frederic.

Celine już gmerała w torebce. Miała minę kobiety, która boi się, że zgubiła kluczyki. Cholera, rzuciła. Zostawiłam w schowku w samochodzie.

Woody jęknął.

Myślałam, że tak będzie bezpieczniej, wyjaśniła aktorka.

Dobra, odezwał się Frederic. Zrobimy tak: Gaby i Celine zostaną tutaj. Ty dasz mi kluczyki, a ja pójdę po bilety.

Chyba żartujesz?

Dobra, to co proponujesz?

Woody zmrużył oczy. Frederic wyciągnął lewą rękę. Prawa wciąż zwisała wzdłuż jego tułowia.

I latarka, dorzucił.

Nie mam latarki.

Nie chrzań.

Woody zawahał się. Kiedy wyjął dłoń z kieszeni kamizelki, pisarz z ulgą dojrzał w niej tylko latarkę.

Frederic wyszedł z kluczykami i latarką. Felix wciąż stukał w klawisze maszyny. Woody kazał mu przestać. Felix nie mógł się powstrzymać, więc został zelżony. Następnie Woody zwrócił się w stronę Gabrielle Baillieux, do której wygłosił ironiczną mowę na temat przyszłości Ziemi. Nasza planeta zawsze była skazana na zagładę i ani ona, ani nikt inny temu nie zaradzi. Za pięć

miliardów lat Słońce ostygnie i będzie po ptakach. Ratować pieprzone wieloryby. Czy Gaby była aż tak zepsuta i zadufaną w sobie cipą, że uważa, że jej to nie dotyczy?

Był jak pies ujadający na łańcuchu. Jeśli Frederic gwizdnie mu merca, Woody każe go sprzątnąć. Tania usługa, tysiąc dolców. Obiecał, że maszynopis nigdy nie przemieni się w książkę. Zostanie „przejrzany przez stosowne władze”, po czym Felix Moore trafi do więzienia. Woody ciężko opadł na łóżko, co sprawiło, że baterie duracell wylądowały na podłodze. Wyjął rewolwer i oparł go na potężnym udzie. Nikt się nie odezwał. Frederic wciąż nie wracał.

Woody dźwignął się z łóżka i stanął w łączących pokoje drzwiach. Wycelował lufę w kobiety, najpierw w jedną, później w drugą.

Celine, rzucił.

Jej usta zadrżały. Nie, Woody, nie rób tego.

Zamknij się. Idź i przyprowadź go tutaj. Jeśli zaraz tu nie wróci, żarty się skończą. Rozumiesz, co mówię?

Celine obróciła się do córki. Gaby wyciągnęła do niej rękę i ucałowała jej oczy i uszy. W porządku, mamusiu, idź.

Jak zawsze, wszechwiedzący narrator miał bardzo niejasne pojęcie o tym, co się dzieje. Nie wiedział na przykład, że wejście OBD-II w mercedesie S500 znajduje się po prawej stronie poniżej deski rozdzielczej i że jakieś wredne urządzenie może wysłać komendy wprost do Magistrali CAN i tym samym przejąć kontrolę nad samochodowym komputerem, który z kolei można kontrolować za pomocą smartphone'a. Nie przyszło mu też do głowy, że – jak sugerował prokurator – Celine mogła zostawić

bilety w schowku umyślnie i w porozumieniu z „pozostałymi spiskowcami”.

Feliksowi schlebiło, że był podejrzewany – choćby przez chwilę – o poplecznictwo w popełnieniu tego przestępstwa, choć nawet sobie nie wyobrażał, że można czegoś takiego dokonać. Marzył wyłącznie o tym, żeby mieć jeszcze pół godziny, co dałoby mu szansę na zakończenie książki w wielkim stylu. Tymczasem, kiedy Frederic wreszcie wrócił, kazano mu pozbierać wszystkie kartki i materiały źródłowe, a konkretnie kasety, i zanieść je do mercedesa. Rewolwer trafił już wtedy z powrotem do kabury. Nie było żadnych pogrózek ani wyraźnego zagrożenia. Felix spodziewał się, że w najgorszym razie wyląduje w bagażniku.

Woody zaparkował samochód nie na parkingu, lecz przy drodze. Obszedł mercedesa, świecąc latarką i lustrując opony, najwyraźniej nie znalazł jednak tego, czego szukał. Otworzył bagażnik tylko po to, by zamknąć w jego mrocznym wnętrzu maszynopis i kasety.

Woody poświecił białym kwarcowym światłem w umęczoną twarz pisarza.

Jesteś głupim futem, Feliksie.

Tak, stary, wiem.

Dobra rada: nie kręciłbym się tutaj na twoim miejscu.

Mógłbyś mnie podrzucić?

Chwila milczenia. Zaskoczyłem go, pomyślał pisarz.

Tylko do taksówki.

Woody w milczeniu otworzył drzwi od strony kierowcy i usiadł za kierownicą. Felix podszedł do drzwi od strony pasażera i z nadzieją czekał. Włączył się silnik. Felix usłyszał kliknięcie,

sięgnął ręką do klamki i ledwo uniknął poważnego urazu, gdy mercedes ruszył.

Porzucony w żółtym sodowym świetle latarni w Katoomba, Felix Moore wyglądał na bardzo osamotnionego. Przygarbione ramiona, szuranie stóp wyraźnie słyszalne w górskim powietrzu. Nie było tam nikogo, kto zaobserwowałby ten moment w jego życiu. Nic nie wskazywało też na to, że już wkrótce Felix stanie się wydawniczym fenomenem. Niedługo po tym, jak ruszył w mrok z kasetami, wcześniej przygotowana cyfrowa wersja opisu życia i rzekomych zbrodni Gabrielle Baillieux została opublikowana w Internecie. W ciągu kilku minut, jakie zajęło mu dotarcie do motelu, plik PDF pod tytułem „Amnezja” został ściągnięty przez ponad pięć tysięcy użytkowników. Przewiń.

Mój dawny przyjaciel miał takie koneksje, że policja aresztowała mnie niemal natychmiast, w wyniku czego przez wiele miesięcy nie dane mi było ujrzeć żony i córek. Później widywałem je tylko przez szybę w sali odwiedzin Barwon Prison, zakładu karnego o zaostrzonym rygorze, nie tak znowu odległego od mojego rodzinnego miasta, Bacchus March. Przetrzymywano mnie tam na podstawie licznych zarzutów, w tym udziału w spisku mającym na celu zabójstwo Woody’ego Townesa. Świadkowie widzieli jego nienaruszone auto mknące z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę w pobliżu klubu golfowego Pennant Hills. Dwa kilometry dalej samochód wypadł z drogi i na krótko wzbił się w powietrze, nim dachował i zamienił się w ognistą kulę.

Postawiono mi także zarzut uszkodzenia wartego miliardy dolarów mienia za pomocą złośliwego oprogramowania (które media nazwały Wirusem Amnezji), sprytnie umieszczonego w pliku PDF zawierającym tekst mojej książki.

Nie wiem, w jaki sposób ingerowano w ów plik i zwrócono nań uwagę niektórych korporacji oraz ich komórek prawnych. Wiem jedynie, że „redakcja” książki polegała między innymi na

umieszczeniu w tekście kodów, które miały przysporzyć wielkich szkód licznym koncernom oraz osobom prywatnym, określanym mianem „morderców klimatu”. Osobiście nigdy ich nie atakowałem, gdyż uznano by to za terroryzm.

Mimo podejrzeń, że Celine Baillieux i Frederic Matovic włamali się do komputerów pokładowych mercedesa-benza Woody’ego Townesa, niczego takiego im nie udowodniono. Co do oskarżeń o spowodowanie śmierci w wyniku katastrofy w ruchu lądowym, przysięgli, jako osoby racjonalne, uznali za „wydumany” i „nie do udowodnienia” zarzut, że oskarżeni przejęli kontrolę nad cudzym autem, sprawili, że ponad miarę przyspieszyło, a potem zablokowali w nim tylko jedno koło.

Co się tyczy mojego udziału w niszczeniu dokumentów, baz danych oraz procesów produkcyjnych niektórych światowych korporacji, szybko ustalono, że nie miałem świadomości, iż mój tekst został zeskanowany i przekonwertowany w plik PDF, który zarażono wirusem. Za popełnienie przestępstwa polegającego na wyrażeniu radości z faktu, że moja książka będzie dostępna dla przyszłych pokoleń, zostałem uznany za osobę nie tylko niemoralną, lecz także prózną i pełną pychy. Mimo paskudnych gróźb i oszczerstw ze strony korporacyjnych właścicieli praw autorskich jak dotąd nie postawiono mi żadnego poważniejszego zarzutu.

Gabrielle Baillieux i Frederic Matovic zostali skazani za szpiegostwo oraz wyrządzanie umyślnych szkód za pomocą programów wirusowych, które wspólnie tworzyli i które zawarli pod różnymi postaciami w pierwszym cyfrowym wydaniu mojej książki. Sto piętnaście zarzutów, jakie im postawiono, przełożyły

się łącznie na kary dożywocia dla obojga. Spędzili w więzieniu Barwon trzy lat, dopóki w listopadzie 2013 roku nie pojawiła się zaktualizowana wersja ich programu Anielski Wirus, udostępniona przez ich „zwolenników”. Ten silny wirus zaatakował korporacyjne zapory globalnego systemu więzień o najostrzejszym rygorze i zaczął się w nim mnożyć. To wtedy Anioł Pański otworzył bramy ich więzienia i zwrócił im wolność. Miejsce obecnego pobytu Gabrielle Baillieux i Frederica Matovica pozostaje nieznane. Krążą plotki, że wciąż czeka na nich amerykańska ława przysięgłych.

Felix Moore jest pisarzem mieszkającym przy Denison Street w Rozelle. Jego wczesna powieść Barbie i zakute pały wkrótce postuży za scenariusz wysokobudżetowego filmu.

Amnezja

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

CZĘŚĆ DRUGA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
AMNESIA

Projekt graficzny okładki
Faber

Opracowanie okładki
Janusz Staszczyk

Redakcja
Firma wydawnicza SEZAMM Małgorzata Maruszkin
www.sezamm.pl

Korekta
Jadwiga Piller

Copyright © Peter Carey 2014
Copyright © for the Polish translation by Bohdan Maliborski, 2015
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., 2015



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-059-8



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl